

**Vladimir Nabakov**

# **Król, dama, walet**

*Przekład Leszek Engelking*

## Przedmowa

Ze wszystkich moich utworów powieściowych ten bystry brutal jest najweselszy. Ekspatriacja, ubóstwo, nostalgia w żaden sposób nie wpłynęły na staranny i ekstatyczny proces jego tworzenia. Wymyślona na plażach Zatoki Pomorskiej latem roku, tworzona podczas następnego zimy w Berlinie i dokończona na wiosnę powieść ukazała się na początku października, nakładem rosyjskiego wydawnictwa emigracyjnego „Słowo”, pod tytułem *Korol, dama, walet*. Była to moja druga rosyjska powieść. Miałem dwadzieścia osiem lat. Mieszkalem mniej więcej stale w Berlinie od lat sześciu. Byłem absolutnie pewien, dzieląc tę pewność ze sporą liczbą inteligentnych osób, że w ciągu następnego dziesięciolecia wszyscy znajdziemy się z powrotem w gościnnej, skruszonej, pełnej kiści rozkwitłych kwiatów Rosji. Jesienią tego samego roku Ullstein zakupił prawa do wydania niemieckiego.

Przekładu - kompetentnego, jak mnie zapewniano - dokonał Siegfried von Vegesack; przypominam sobie, że spotkałem go na początku 1929 roku, kiedy w pośpiechu przejeżdżaliśmy z żoną przez Paryż, chcąc wydać szczerą zaliczkę Ullsteina na motylowe safari we wschodnich Pirenejach. Rozmawiałem z nim w hotelu, gdzie leżał w łóżku silnie przeziębiony, nieszczęśliwy, ale w monoklu; było to wtedy, gdy słynni pisarze amerykańscy spędzali sporo czasu w barach i tym podobnych instytucjach, jak to - podobno - mieli w zwyczaju.

Łatwo można przypuścić, że rosyjski autor, wybierając na postaci swojej powieści wyłącznie Niemców (w ostatnich dwu rozdziałach pojawiają się ja i moja żona, ale jedynie dla dokonania inspekcji), przysparza sobie wiele nieprzewidywanych trudności. Nie mówiłem po niemiecku, nie miałem żadnych niemieckich przyjaciół i w życiu nie przeczytałem choćby jednej niemieckiej powieści czy to w oryginale, czy w przekładzie. Ale w sztuce, tak jak w naturze, rażąca wada może się okazać subtelnym środkiem ochronnym. Nie miałem nic do zarzucenia „ludzkiej wilgoci” *czelowieczeskaja wlaźnost* , którą przesiąknięta była moja pierwsza powieść, *Maszeńka*, opublikowana w 1926 przez „Słowo” i w niemieckim przekładzie - przez Ullsteina, ale książka przestała mi się podobać (teraz podoba mi się znowu, ale już z innych powodów). Postaci emigrantów, które zgromadziłem w tej gablotce wystawowej, były dla ówczesnego oka tak przejrzyste, że łatwo można im było przyczepić etykiety. To, co te etykiety mówiły, nie było już na szczęście równie jasne, ale nie miałem ochoty trwać przy przypisywanej Francuzom technice „ludzkiego dokumentu”, zakładającej wierny opis jakiejś hermetycznej społeczności, dokonany przez jednego z jej członków - nie jest to dalekie, na małą skalę, od roznamiętnionej i nudnej etnopsychologii, którą tak często deprimują nas współczesne powieści. W fazie stopniowego wewnętrznego

rozsupływania się, kiedy nie odkryłem jeszcze lub może nie miałem odwagi zastosować bardzo specyficznych metod odtwarzania sytuacji historycznej, które dziesięć lat później wykorzystałem w *Darze*, brak jakiegokolwiek zaangażowania emocjonalnego i bajkowa swoboda właściwa nieznanemu środowisku pasowały do mojego marzenia o czystym wymyśle. Mógłbym zainscenizować KDW w scenerii rumuńskiej lub holenderskiej. Znajomość planu i klimatu Berlina przesądziły o moim wyborze.

Pod koniec 1966 roku mój syn przygotował dosłowny przekład książki na język angielski i właśnie ten przekład umieściłem na pulpicie obok egzemplarza wydania rosyjskiego. Przewidywałem, że będę musiał dokonać wielu zmian, kształtując realnie istniejący tekst powieścizterdziestolatki, której nie czytałem od czasu, kiedy autor - dwa razy młodszy od obecnego modyfikatora - zakończył pracę nad korektą. Szybko stwierdziłem, że oryginał oklapł znacznie bardziej, niż przypuszczałem. Nie mam zamiaru psuć zabawy przyszłym badaczom porównującym obie wersje, wyliczając drobne zmiany, których dokonałem. Pozwolę sobie jednak zauważyć, że wprowadzając je nie myślałem o tym, by upiększyć trupa, mój zasadniczy cel był inny: dać wciąż oddychającej istocie szansę wykorzystania pewnych wrodzonych możliwości, których wcześniej nie pozwoliły jej wykorzystać brak doświadczenia i pochopność, pośpiech myśli i lenistwo słowa. Możliwości owe wręcz skowytały w tkankach tej istoty, błagając, by je rozwinąć lub wyodrębnić. Dokonałem tej operacji z przyjemnością. „Nieokrzeseanie” i „lubieżność” książki, które tak zaniepokoiły najlaskawszych mi krytyków w czasopismach emigracyjnych, pozostały oczywiście nienaruszone, ale przyznaję, że bezlitośnie skreśliłem lub napisałem na nowo wiele kulejących fragmentów, na przykład zasadniczą zmianę wprowadziłem w ostatnim rozdziale, gdzie - pragnąc pozbyć się na jakiś czas Franza, który nie powinien wścibiać nosa w pewne ważne rozgrywające się w Gravitz sceny, całkowicie zajmujące uwagę autora, ten ostatni uciekł się do godnego pogardy wybiegu i kazał Dreyerowi wysłać siostrzeńca do Berlina: młody człowiek miał tam oddać papierośnicę w kształcie muszli, którą za cichym przyzwoleniem autora zgubił pewien kupiec (podobny przedmiot, jak sobie przypominam, występuje w *Pamięci mów*, mojej książce z 1966 roku - i jest tam całkiem na miejscu, jako że jego kształt jest taki sam, jak kształt słynnej magdalenki z *Poszukiwania straconego czasu*). Nie mam bynajmniej poczucia, że traciłem czas pracując nad trącającą myszką powieścią. Jej zmieniony tekst może ująć i zabawić nawet tych czytelników, którzy - niewątpliwie z powodów religijnych - przeciwni są temu, by autor zapobiegliwie i z niewzruszonym spokojem wskrzeszał jedną po drugiej wszystkie swoje stare książki, pracując jednocześnie nad nową powieścią, która opętała go już pięć lat temu. Uważam, że nawet bezwyznaniowy

autor zbyt wiele zawdzięcza swoim juveniliom, by nie wykorzystać sytuacji, która raczej nie ma podobnej sobie w historii literatury rosyjskiej, i nie uratować przed nakazanym administracyjnie zapomnieniem książek, z dreszczem zgrozy zabronionych w jego smutnym i odległym kraju.

Nie powiedziałem jeszcze nic o fabule *Króla, damy, waleta*. Zasadniczo nie jest ona czymś nieznanym. Prawdę powiedziawszy, obawiam się, że owi dwaj giganci, Balzac i Dreiser, oskarżą mnie o karygodną parodię, ale przysięgam, że nie czytałem w tamtych czasach ich nedorzeczości i że nawet teraz nie bardzo wiem, o czym gadają pod swoimi cyprysami. W końcu mąż Charlotty Humbert też nie był całkiem niewinny.

Skoro mówimy o literackich prądach powietrznych, muszę przyznać, że byłem trochę zaskoczony, natknąwszy się w swoim tekście rosyjskim na tyle fragmentów w formie *monologue intérieur*. Nie pozostają one w żadnym pokrewieństwie z *Ulissesem*, którego wówczas nie znałem, ale oczywiście od wczesnej młodości byłem wystawiony na działanie *Anny Kareniny*, w której znajduje się cała scena oparta na podobnych intonacjach, wówczas, przed stu laty, rajsko nowych, dzisiaj - porządnie zużytych. Z kolei moje dobroduszne imitacyjki *Pani Bovary*, których dobry czytelnik nie omieszką zauważyć, są świadomym hołdem złożonym Flaubertowi. Pamiętam, że pamiętałem, pisząc pewną scenę, jak Emma skrada się o świcie do *château* kochanka zdumiewająco niespostrzegawczymi bocznymi uliczkami - bo nawet Homais czasem drzemie.

Jak zwykle chciałbym zauważyć, że jak zwykle (i jak zwykle paru wrażliwych ludzi, których lubię, będzie miało nadąsane miny) wiedeńska delegacja nie otrzymała zaproszenia. Jeśli jednak jakiemuś zdecydowanemu na wszystko freudyście (lub zdecydowanej na wszystko freudystce) uda się wśliznąć, to powinien się liczyć z tym, że w powieści zastawiono tu i tam sporą liczbę okrutnych pułapek.

Wreszcie kwestia tytułu. Zachowałem sobie te trzy figury karciane, wyłącznie kiery, zrzucając jakąś niską parę. Dwie nowe karty mogą usprawiedliwić podjęcie ryzyka, jako że w tej grze zawsze miałem szczęśliwą rękę. Mocno ściskając karty w oparach gryzącego dymu z papierosów, leciutko, opornie, ciężko wysuwam rożek jednej. Żabie serce, jak mówią w Ruskim Parowie. I - grajcie fanfary! Mam nadzieję, że moi dobrzy starzy przeciwnicy, którzy mają strity i fule, pomyślą, że blefuję.

*Vladimir Nabokov*

Montreux, 28 III 1967

I

Ogromna czarna wskazówka zegara jest jeszcze nieruchoma, zastygła przed

czynionym co minutę gestem; jej sprężyste drganie wprawi w ruch cały świat.

Powoli odwróci się cyferblat zegara, wypełniony rozpaczą, pogardą i nudą, a żelazne słupy jeden za drugim skierują się do tyłu, jak dobrotliwe atlanty unosząc gdzieś sklepienie stacji; peron ruszy z miejsca, zabierając w niewiadomą podróż niedopałki papierosów, stare bilety, cętki słonecznego blasku i plamy plwociny; nie poruszając kołami, przesunie się obok ręczny wózek bagażowy, a za nim popłynie kiosk z gazetami, obwieszony kuszącymi okładkami magazynów - fotografiami nagich, perłowoszarych piękności; i ludzie, ludzie, ludzie na ruchomym peronie będą poruszać nogami, a jednak pozostaną w miejscu, będą szli do przodu, a jednak zaczną się cofać, jak w męczącym śnie, pełnym niewiarygodnego wysiłku, mdłości i wacianej słabości w łydkach - jakaś fala porwie ich do tyłu, tak że się omal nie przewrócą.

Kobiet było więcej niż mężczyzn, jak zwykle przy pożegnaniach. Siostra Franza, której chude policzki pokryte były bladością wczesnej godziny, i której nieprzyjemnie, pustym żołądkiem, pachniało z ust, ubrana w kraciastą pelerynę, jakiej z pewnością nie zobaczyłbyś na dziewczynie z wielkiego miasta; i matka, niska, okrągłutka, cała w brązach, przypominająca masywnego braciszka zakonnego. O, zaczęły już powiewać chusteczki.

Odpłynęły nie tylko one, te dwa znajome uśmiechy, odjechał nie tylko dworzec z kioskiem, wózkiem bagażowym i sprzedawcą kanapek i owoców ze swymi tak apetycznymi, pulchnymi, kluskowatymi, wręcz domagającymi się, żeby zanurzyć w nich zęby, lśniącoczerwonymi truskawkami, deklarującymi powinowactwo każdej niełupki - teraz już dalekiej, dalekiej - z kubkami smakowymi na twoim języku; nie tylko to wszystko pozostało z tyłu, ruszyło się także całe stare miasteczko, pogrążone w różowej mgłę jesiennego poranka: wielki kamienny *Herzog* na rynku, mroczna katedra, szyldy sklepowe - cylinder, ryba, miedziana miseczka fryzjera. Teraz nie było już mowy o zatrzymaniu świata. Dostojnie przesuwają się domy, firanki trzepoczą w otwartych oknach jego mieszkania, poskrzypują podłogi, trzeszczą ściany, matka i siostra w potężnym przeciągu piją poranną kawę, meble wzdrygają się przy coraz częstszych wstrząsach i coraz szybciej, coraz bardziej tajemniczo jadą domy, katedra, rynek, zaułki... I chociaż już od dłuższej chwili za oknami wagonu rozwijała się szachownica pól uprawnych, Franz wciąż czuł przenikający go do szpiku kości wsteczny ruch miasteczka, w którym przeżył dwadzieścia lat. Poza Franzem na drewnianych ławkach przedziału trzeciej klasy siedziało kilka osób: dwie starsze panie w sztruksowych sukniach, pulchna kobiecina z nieuniknionymi rumianymi policzkami i nieuniknionym koszykiem z jajkami na kolanach i młody blondyn w brązowych szortach, mocnych i kanciastych, bardzo podobnych do jego nabitego plecaka, który wyglądał, jakby był wykuty

w żółtym kamieniu; energicznie strząsnął go z ramion i włożył na półkę. Miejsce przy drzwiach, naprzeciw Franza, zajmował ilustrowany magazyn ze zdjęciem zapierającej dech w piersi dziewczyny, a przy oknie na korytarzu, plecami do drzwi przedziału, stał barczysty mężczyzna w czarnym płaszczu.

Pociąg jechał teraz szybko. Franz chwycił się nagle za bok, przeszyty na wylot obawą, że nie ma już portfela, w którym znajdowało się tak wiele: twardy bilecik kolejowy, zostawiona przez nieznajomego wizytówka z drogocennym adresem i nietknięty miesiąc życia w reichsmarkach. Portfel był na swoim miejscu, jędrny i ciepły. Starsze panie zaczęły się krzątać i szeleścić, odpakowując kanapki. Mężczyzna na korytarzu odwrócił się, lekko zachwiał, cofnął o krok i odniósłszy zwycięstwo nad rozchybotaną podłogą, wszedł do przedziału.

Musiał stracić większość narządu powonienia albo nigdy jej nie mieć. Z grzbietu nosa pozostała przypominająca pergamin skóra, tak ściśle przylegająca do kości, że zbierało się na wymioty; nozdrza straciły wszelkie poczucie przyzwoitości i spozierały na wzdrygającego się obserwatora jak dwie niespodziewane jamy, czarne i asymetryczne; policzki i czoło pokryte były całą geograficzną gamą odcieni - żółtawych, różowawych, połyskliwych. Czyżby otrzymał tę maskę w spadku? A jeśli nie, to jaka choroba, jaki wybuch lub jaki żrący kwas tak go zniekształciły?

Praktycznie nie miał warg, brak rzęs nadawał jego niebieskim oczom wyraz zaskoczenia. A przecież mężczyzna ten ubrany był ze smakiem, zadbany i dobrze zbudowany. Pod ciężkim płaszczem nosił dwurzędowy garnitur. Jego włosy były gładkie jak peruka. Siadając leniwym ruchem, podciągnął nogawki spodni, dłonie w szarych rękawiczkach otworzyły magazyn, który zostawił na ławce.

Pomiędzy łopatkami Franza przeszedł dreszcz i spiczastym koniuszkiem wniknął mu do ust, w których zaczęło się dziać coś dziwnego. Franz czuł, że jego język jest odrażająco ożywiony, a podniebienie obrzydliwie wilgotne. Pamięć otworzyła swoje muzeum figur woskowych i wiedział, że gdzieś daleko, na samym końcu czeka w nim na niego gabinet grozy. Przypomniawszy sobie psa, który wymiotował na progu sklepu rzeźnika. Przypomniawszy sobie dziecko, pełnego pędu, który z właściwą swemu wiekowi trudnością pracowicie podniósł z ziemi i włożył sobie do ust jakiś oblepiony brudem przedmiot, podobny do smoczka. Przypomniawszy sobie starca, który kaszląc w tramwaju, posłał grudkę śluzu prosto w rękę konduktora. Takie obrazy Franz trzymał zwykle w szachu, ale roily się one gdzieś na odległym planie jego życia i z histerycznym spazmem witały każde nowe wrażenie tego typu. Kiedy w niedawnych jeszcze dniach przeżywał podobny szok, padał plackiem na łóżko i

starał się przewalczyć napad mdłości. Jego wspomnienia ze szkoły sprowadzały się do prób uniknięcia wszelkich możliwych i niemożliwych kontaktów z brudną, pryszczatą, śliską skórą jakiegoś kolegi, który starał się go wciągnąć w zabawę lub zwierzyć mu przyskający śliną sekret.

Mężczyzna kartkował magazyn, zestawienie jego twarzy z kuszącą okładką było nieznośnie groteskowe. Koło potwora siedziała rumiana kobiecina z jajkami, dotykała go śpiącym ramieniem. Plecak młodzieńca ocierał się o jego elegancką, pokrytą nalepkami czarną walizkę. A co najgorsze, starsze panie, nie zwracając uwagi na wstrętnego sąsiada, żuły swoje kanapki i wysysały puszyste kawałki pomarańczy; skórki zawijały w kawałki papieru i zgrabnie ciskały pod ławkę. Kiedy mężczyzna odłożył magazyn i nie zdejmując rękawiczek, sam zaczął jeść drożdżówkę z serem, wyzywająco patrząc przy tym dokoła, Franz nie mógł już wytrzymać. Podniósł się szybko, jak męczennik odchylił pobladłą twarz, wyszarpnął i zdjął swoją skromną walizkę, wziął deszczowiec i kapelusz i niezgrabnie uderzając walizką o framugę drzwi, wymknął się na korytarz.

Ten wagon przyczepiono do składu ekspresu na ostatniej stacji i powietrze było w nim jeszcze świeże. Natychmiast poczuł ulgę. Zawrót głowy nie minął jednak całkowicie. Ściana buków migotała za oknem - pstrokaty ciąg blasków i cieni.

Niepewnie ruszył korytarzem, chwytając się gałek u drzwi i różnych przedmiotów i zaglądną do przedziałów. Tylko w jednym było wolne miejsce; zawahał się i poszedł dalej, zrzucając z siebie obraz dwojga dzieci o ziemistej cerze i zabrudzonych kurzem rękach, wtulających głowy w ramiona w oczekiwaniu wymierzonego przez matkę uderzenia w kark - zsuwały się cicho z ławki, by pobawić się wśród brudnych skrawków papieru u stóp podróżnych, na podłodze, o której lepiej zamilczeć. Franz dotarł do końca wagonu i zatrzymał się, bo przyszedł mu do głowy niezwykle pomysł.

Pomysł ten był tak uroczy, zuchwały i podniecający, że Franz musiał zdjąć i przetrzeć okulary. - Nie, nie można, to nie wchodzi w rachubę - powiedział do siebie półgłosem, zdając już sobie jednak sprawę, że nie będzie w stanie oprzeć się pokusie.

Potem, kciukiem i palcem wskazującym sprawdzając węzeł swego krawata, ogłuszony wybuchem łoskotu, przeszedł przez rozchybotany pomost i czując rozkoszne ssanie w dołku, wkroczył do następnego wagonu.

Był to wagon drugiej klasy, taki, jakie jeżdżą tylko w składach pociągów pośpiesznych, a dla Franza druga klasa była czymś promiennie pociągającym, trochę nawet grzesznym, mającym posmak pikantnej ekstrawagancji - jak kieliszek gęstego białego likieru lub ogromny, przypominający żółtą czaszkę grejpfrut, który kupił sobie kiedyś w drodze do

szkoły. O klasie pierwszej nie można było nawet pomarzyć, przeznaczona była dla dyplomatów, generałów i niemal nadziemskich istot - aktorek!

Ale druga... druga... Gdyby tylko zdobył się na odwagę. Podobno jego ojciec nieboszczyk (ubogi notariusz) dawno temu, na długo przed wojną jechał pewnego razu drugą klasą. Mimo wszystko Franz nie mógł się zdecydować. Zatrzymał się na początku korytarza, koło spisu inwentarza wagonu, za oknami nie migał już podobny do ogrodzenia las, majestatycznie sunęły do tyłu rozległe łąki, a w oddali, równoległe do torów płynęła szosa, po której na łeb na szyję uciekał miniaturowy samochód.

Konduktor, który właśnie sprawdzał bilety, wybawił go z kłopotu. Franz uiścił dodatkową opłatę, która umożliwiła awans społeczny jego biletowi. Krótki tunel ogłuszył Franza głośną ciemnością. Potem zrobiło się jasno, a konduktora już nie było.

W przedziale, gdzie Franz wszedł z milczącym ukłonem, na który nikt nie odpowiedział, siedziały tylko dwie osoby: ładna płomiennooka dama i pan w średnim wieku, z przyciętym rudawym wąsikiem. Franz powiesił swój deszczowiec i ostrożnie usiadł. Miejsce było takie miękkie, tak przytulnie sterczał na poziomie skroni mały występ oddzielający je od drugiego, a zdjęcia na ścianie były takie romantyczne - kierdel owiec, krzyż na skalnym szczycie, wodospad. Powoli wyprostował swoje długie nogi, powoli wyjął z kieszeni złożoną gazetę. Nie mógł jednak czytać.

Spalizowany luksusem trzymał ją tylko otwartą i obserwował zza niej swoich towarzyszy podróży. Doprawdy, byli uroczy. Dama nosiła czarny kostium i malutki czarny kapelusik z miniaturową brylantową jaskółką. Jej twarz tchnęła wyrazem powagi, oczy były zimne, a nad jej górną wargą błyszczało pasemko ciemnego puszkę, znamię namiętnej natury; nagły rozbłysk słońca ujawnił miękką kremową szyję, którą przecinały dwie ledwie zarysowane linie, jak gdyby ślady paznokci - jedna nad drugą: według jego kolegi, nad wiek rozwiniętego znawcy, także i to znamionowało wspaniałe możliwości damy. Mężczyzna, sądząc po miękkim kołnierzyku i tweedowym garniturze, musiał być cudzoziemcem. Ale Franz najwyraźniej się mylił.

- Pić mi się chce - powiedział z berlińskim akcentem mężczyzna. - Szkoda, że nie mamy owoców. Te truskawki po prostu prosiły się, żeby ich spróbować.

- Sam sobie jesteś winien - niezadowolonym głosem odrzekła dama i dodała po chwili - Ciągle nie mogę przestać o tym myśleć - strzelić takie głupstwo.

Dreyer wznosił na moment oczy do namiastki nieba i nic nie odpowiedział.

- Sam sobie jesteś winien - powtórzyła i machinalnie poprawiła spódnicę, machinalnie zauważając, że niezgrabny młodzieniec w okularach, który pojawił się w rogu przedziału przy



drzwiach, wydaje się zafascynowany jedwabiem jej nóg.

- Tak czy owak, nie warto o tym mówić.

Dreyer wiedział, że jego milczenie niesłychanie irytuje Martę. W jego oku pojawił się szelmowski błysk, miękkie fałdy wokół ust falowały, gdyż posysał miętową pastylkę. Wydarzenie, które zirytowało jego żonę, nie miało w istocie większego znaczenia. Spędzili sierpień i część września w Tyrolu, a teraz, w drodze powrotnej do domu, dla załatwienia jakiegoś interesu zatrzymali się na kilka dni w tym zabawnym miasteczku. Dreyer odwiedził tu swoją kuzynkę Linę, z którą nieraz tańczył w młodości, dwadzieścia pięć lat wcześniej. Żona nie chciała z nim iść, odmówiła kategorycznie. Lina, obecnie pulchna kobietka ze sztucznymi zębami, ale równie rozmowna i przyjacielska jak dawniej - stwierdziła, że wprawdzie lata wycisnęły na nim swoje piętno, ale mogło być gorzej; poczęstowała go znakomitą kawą, opowiedziała o swoich dzieciach, wyraziła żal, że nie ma ich w domu, spytała o Martę (której nie знаła) i o jego interesy (o których słyszała to i owo); potem po chwili namaszczonego milczenia poprosiła go o radę...

W pokoju było gorąco, wokół sędziwego żyrandola z szarymi szklanymi breloczkami, przypominającymi brudne sople, muchy kreśliły równoległoboki, przysiadając stale na tych samych wisiorach (co, nie wiedząc czemu, bardzo go rozbawiło), a stare fotele z komiczną kordialnością wyciągały pokryte pluszem ramiona. Na haftowanej poduszce drzemał stary mops. W odpowiedzi na wyczekujące i pytające westchnienie kuzynki gość powiedział niespodziewanie, ze śmiechem budząc się znów do życia:

- No cóż, przyślij go do mnie, do Berlina, dam mu pracę.

Tego właśnie nie mogła mu żona wybaczyć. Nazwała to „zabagnianiem interesów ubogimi krewnymi”; ale jeśli się głębiej nad tym zastanowić, jak może jeden ubogi krewny cokolwiek zabagniać? Wiedział, że Lina zechce zaprosić jego żonę, która za żadne skarby jej nie odwiedzi, więc skłamał mówiąc, że wyjeżdżają jeszcze tego samego wieczora. Nie wyjechali jednak, tylko odwiedzili targ i wspaniałe winnice przyjaciela, z którym robił interesy. Tydzień później na stacji, kiedy już siedzieli w swoim przedziale, zauważył z okna Linę. To prawdziwy cud, że nie wpadli na nią gdzieś w mieście. Marta za wszelką cenę chciała uniknąć spotkania, toteż, mimo że bardzo podobał mu się pomysł kupienia na drogę lubianki owoców, nie wysunął z okna głowy ani nie skinął z cichym „pst” na młodego sprzedawcę w białej kurtce.

W wygodnym ubraniu, cieszący się znakomitą zdrowiem, z kolorową mgiełką nieokreślonych, ale przyjemnych myśli w głowie i miętową pastylką w ustach, Dreyer siedział ze skrzyżowanymi rękami, a miękkie fałdy materiału na zgięciach ramion

harmonizowały z miękkimi fałdami jego policzków, zarysem jego przyciętych wąsików i wachlarzem zmarszczek biegnących od oczu ku skroniom. Ze szczególnym ironicznym błyskiem rozbawienia w oczach przyglądał się spode łba krajobrazom przesuwanym się za oknem, ładnemu profilowi Marty w obramowaniu słonecznego blasku i taniej walizce młodzieńca w okularach, który w rogu przy drzwiach czytał gazetę. Leniwie badał tego pasażera, ze wszystkich stron dotykając go spojrzeniem.

Zauważył tak zwany „jaszczurczy” deseń jego zielonogranatowego krawata, który z pewnością kosztował dziewięćdziesiąt pięć fenigów, sztywny kołnierzyk, mankiety i gors jego koszuli - istniejącej zresztą jedynie w sferze abstrakcji, jako że sądząc po zdradzieckim połysku, wszystkie jej widoczne części były elementami wykrochmalonej zbroi dość niskiej jakości, wysoko jednak cenionej przez oszczędnych prowincjuszy, którzy doczepiają je do niewidocznej, uszytej w domu zgrzebnej koszuliny. Garnitur młodego człowieka nappełnił go subtelną melancholią, Dreyer zadumał się bowiem - nie po raz pierwszy - nad wzruszająco krótkim żywotem każdego nowego fasonu: ten typ granatowej marynarki z trzema guzikami i wąskimi klapami zniknął z większości berlińskich sklepów co najmniej pięć lat temu.

Dwoje zaniepokojonych oczu narodziło się nagle w soczewkach okularów i Dreyer odwrócił wzrok. Marta powiedziała:

- Takie głupstwo. Szkoda, że mnie nie posłuchałeś.

Jej mąż westchnął i nie odezwał się ani słowem. Chciała dalej ciągnąć ten temat, można było uczynić jeszcze sporo ostrych wyrzutów, ale czuła, że wszystkiemu przysłuchuje się młody człowiek, toteż zamiast co powiedzieć, gwałtownie oparła łokieć na okiennej stronie składanego stolika, kłykciami napinając skórę na policzku.

Siedziała w tej pozycji, dopóki leśne migotanie w oknie nie zrobiło się nieprzyjemne; powoli wyprostowała swoje dojrzałe ciało, rozdrażniona i znudzona, odgięła się do tyłu i przymknęła oczy. Słońce przenikało pod powieki ostrym szkarłatem, na którego tle jeden po drugim przebiegały świetliste pasy (widmowy negatyw przesuwanących się lasów); w tę prążkowaną czerwień wmieszała się replika roześmianej twarzy jej męża, jak gdyby powoli obracającej się ku niej, i Marta wzdrygnęła się i otworzyła oczy. Jej mąż siedział jednak stosunkowo daleko, czytał książkę oprawną w szkarłatny marokin. Czytał z uwagą i przyjemnością. Poza zalaną słońcem stroną nie istniało nic.

Odwrócił kartkę, rozejrzał się dokoła i świat zewnętrzny łapczywie - jak swawolny pies, który czekał właśnie na tę chwilę - skoczył na niego świetlistym susem. Ale pieszczotliwie odsunawszy Toma, Dreyer znowu zagłębił się w swojej antologii poetyckiej.

Dla Marty ten figlarny blask był po prostu duchotą kołyszącego się wagonu. W

wagonie należy się spodziewać duchoty: jest to normalne, a więc dobre. Życie powinno toczyć się według planu, prosto i dokładnie, bez żadnych dziwacznych zakrętasów. Elegancka książka jest na swoim miejscu na stole w salonie. Żeby zabić nudę w pociągu, można kartkować jakieś tanie pismo ilustrowane. Ale żeby z upodobaniem wchłaniać w siebie... za przeproszeniem, wiersze... w luksusowej oprawie... ktoś, kto uważa się za człowieka interesu, nie powinien, nie może, nie śmie postępować w ten sposób. Ale pewnie robi to umyślnie, żeby mi dokuczyć. Jeszcze jedna z jego demonstracyjnych fanaberii. Doskonale, kolego, demonstruj sobie dalej.

Jak miło byłoby wyrwać mu tę książkę z ręki i zamknąć w walizce.

W tej chwili słońce jak gdyby obnażyło jej twarz, przepływając po jej gładkich policzkach i obdarzając sztucznym ciepłem jej oczy, oczy z wielkimi, zdawałoby się elastycznymi źrenicami, otoczonymi przez gołębioszary tęczówki, ze wspaniałymi ciemnymi powiekami, lekko pofałdowanymi jak fiołki, rzadko mrugającymi, jakby ich właścicielka bała się stracić kontakt wzrokowy z zasadniczym celem. Była prawie nie umalowana, tylko drobnutkie rysy na jej pełnych ustach zdawały się nosić ślady schnącej pomarańczowoczerwonej szminki.

Franz, który dotąd, ukryty za gazetą, znajdował się w stanie rozkosznego nieistnienia, żyjąc jakby poza sobą, w przypadkowych ruchach i przypadkowych słowach towarzyszy podróży, teraz zaczął się ujawniać i otwarcie, niemal arogancko, patrzył na damę.

A zaledwie przed chwilą jego myśli, zawsze skłonne do chorobliwych skojarzeń, roztopiły się w jednym z tych fałszywie harmonijnych obrazów, które mają znaczenie we śnie, ale stają się całkowicie bezsensowne, kiedy człowiek przypomni je sobie.

Myślał o dwu niedawnych wydarzeniach. Przejście z przedziału trzeciej klasy, gdzie w milczeniu panował beznosy potwór, do tego słonecznego, pluszowego pomieszczenia zdawało mu się przejściem z okropnego piekła przez czyściec korytarzy i ogłuszającego łoskotu między wagonami do niewielkiego przybytku szczęścia. Stary konduktor, który przed chwilą przedziurkował mu bilet i natychmiast zniknął, zdawał się równie pokorny i wszechmocny jak święty Piotr. Ożyły znów pobożne obrazki, które przerażały go w dzieciństwie. Szczęk szczypiec konduktorskich przekształcił się w jego umyśle w zgrzyt klucza otwierającego wrota raj. Tak właśnie w misterium uszmkowany i jaskrawo upudrowany aktor idzie przez całą długość podzielonej na trzy części sceny, przechodząc z paszczy diabła pod opiekę aniołów. By odpędzić od siebie stare natrętne wyobrażenie, Franz zaczął skwapliwie szukać czegoś ludzkiego, codziennego, co rozwiąłoby czar.

Pomogła mu Marta. Wyglądając bokiem przez okno, ziewnęła: w czerwonym

pólcieniu jej ust, nim ręka rzuciła się do twarzy, by zatrzymać uciekającą duszę, zdążył dostrzec wybrzuszenie naprężonego języka i błysk zębów; ziewnąwszy, zamrugła, ciosami rżęs starając się przepędzić łaskoczącą łzę. Franz nie należał do ludzi, którzy potrafią się oprzeć hasłu do ziewania, zwłaszcza hasłu przywodzącemu na myśl te soczyste i lubieżne jesienne truskawki, z których słyneło jego rodzinne miasteczko.

W chwili gdy nie mogąc pokonać rozpierającego podniebienie nacisku, konwulsyjnie otworzył usta, Marta przypadkiem spojrziała na niego i uświadomił sobie, warcząc i lejąc łzy, że ona uświadomiła sobie, że przed chwilą patrzył na nią.

Chorobliwa rozkosz, którą dopiero co odczuwał, spoglądając na jej roztapiającą się twarz, teraz zmieniła się w wyraźne zakłopotanie. Pod jej promiennym i obojętnym spojrzeniem ściągnął brwi i kiedy się odwróciła, zaczął obliczać w myśli - jego palce zdawały się grzechotać galkami tajemnego liczydła - ile dni życia oddałby za zdobycie tej kobiety.

Drzwi się otworzyły i wsunął głowę podekscytowany kelner, herold jakiejś okropnej katastrofy, wyszczekał swoją wiadomość i popędził do następnego przedziału, by i tam ogłosić okropną nowinę.

Marta była z gruntu przeciwna szalbierskim i lekkomyślnym posiłkom, niedosolonym potrawom, za które towarzystwo kolejowe każe sobie słono płacić; niemal fizyczne wrażenie niepotrzebnego wydatku, zmieszane z uczuciem, że ktoś przystojny i dobrze zbudowany próbuje ją oszukać, było w niej tak silne, że gdyby nie wilczy głód z pewnością nie udałaby się w długą, rozchybotaną drogę do wagonu restauracyjnego. Mglistość zazdrościła młodemu człowiekowi w okularach, który sięgnął do kieszeni deszczowca wiszącego przy nim i wyciągnął kanapkę. Wstała i wsunęła torebkę pod pachę. Dreyer odnalazł fioletową zakładkę, wsunął ją przed odpowiednią stronę i odczekawszy parę sekund - nie mógł natychmiast przemieścić się z jednego świata do drugiego - lekko klepnął się w kolana i także się podniósł.

Natychmiast wypełnił sobą cały przedział, był bowiem jednym z tych mężczyzn, którzy mimo umiarkowanej wagi i średniej tuszy sprawiają wrażenie potężnej masy. Franz cofnął nogi. Marta i jej mąż chwiejnym krokiem przesunęli się obok niego i wyszli.

Został sam ze swoją szarą kanapką w nagle wyolbrzymiałym przedziale. Żuł bułkę i patrzył przez okno, za którym po przekątnej wznosił się zielony nasyp. W końcu wypełnił je całe. Potem, pozwalając sobie na żelazny akord, nasyp gruchnął z góry i natychmiast zielony stok zniknął i rozpostarł się szeroki krajobraz - pola, wierzby, złocista brzoza, wijący się strumień, zagony kapusty. Franz skończył kanapkę, przyjemnie się po wiercił i zamknął oczy.

Berlin! W samej nazwie tej ciągle nie znanej metropolii, w turkocie i łaskocie pierwszej sylaby i w delikatnym dzwonku drugiej kryło się coś takiego, co podniecało jak

romantyczne nazwy dobrych win i imiona złych kobiet. Ekspres przejeżdżał obok lip, które wspaniale rosną na ulicy o dźwięcznie brzmiącej nazwie, i („derlin, derlin”

- wołał dzwonek kelnera, przyzywając spóźnionych biesiadników) wpadł pod potężny łuk, ozdobiony świecidelkami z masy perłowej. Dalej rozciągała się urocza mgła, w której na stojaku obracała się następna widokówka, ukazująca półprzeźroczystą wieżę na czarnym tle. Znikła i oto Franz w zakiecie, prążkowanych spodniach i białych butach przechadzał się pośród złożonych manekinów, kryształowych luster i szklanych lad i zgrabnym ruchem ręki kierował klientów do działów, w których chcieli zrobić zakupy. Nie była to już w pełni świadoma gra myśli, zarazem jednak nie był to jeszcze sen; w momencie kiedy senność zamierzała podstawić mu nogę, Franz odzyskał panowanie nad sobą i skierował myśli zgodnie ze swoim życzeniem.

Przyrzekł sobie samotną ucztę jeszcze tego wieczoru. Obnażył ramiona kobiety, która przed chwilą siedziała przy oknie, przeprowadził szybki test myślowy (czy ślepy Eros zareagował? owszem, niezgrabny Eros zareagował, rozwinął w mroku skrzydła), potem, zachowując wspaniale ramiona, wymienił głowę, podstawiając twarz siedemnastoletniej pokojówki, która ulotniła się wraz ze srebrną chochlą, niemal równie dużą jak ona, nim zdążył wyznać jej miłość; jednak i tę głowę także wymazał i wstawił na jej miejsce twarz jednej z berlińskich piękności o śmiałych oczach i wilgotnych wargach, ślicznotek, które widzi się głównie na reklamach alkoholi i papierosów. Dopiero wtedy obraz ożył: dziewczyna o obnażonych piersiach podniosła do swych szkarłatnych ust kieliszek wina, kołysząc nogą pokrytą morelowym jedwabiem, a pantofelek bez zapiętki powoli zsuwał się z jej stopy. Pantofelek spadł, a Franz, pochylając się w ślad za nim, miękko pogrążył się w mrocznej drzemce. Spał z otwartymi ustami i na jego bladej twarzy widniały trzy otwory, dwa świetliste (okulary) i jeden ciemny (usta). Dreyer zauważył tę symetrię, kiedy godzinę później wrócił z Martą z wagonu restauracyjnego. W milczeniu przeszli przez martwą nogę.

Marta położyła torebkę na składanym stoliku przy oknie i natychmiast ożyło kocie oko niklowej klamry, w której zaczęło tańczyć zielone odbicie. Dreyer wyjął cygaro, ale go nie zapalił.

Obiad, zwłaszcza sznycel wiedeński, okazał się wyjątkowo dobry i Marta nie żałowała już, że zgodziła się pójść. Jej cera nabrała ciepła, jej śliczne oczy były wilgotne, a jej nowo pomalowane usta błyszczały. Uśmiechnęła się, leciutko obnażając siekacze, i ten zadowolony, drogocenny uśmiech przylgnął do jej ust na parę chwil.

Dreyer podziwiał ją leniwie lekko zwięzonymi oczami, smakując jej uśmiech jak niespodziewany podarunek, za nic w świecie nie okazałby jednak swojej przyjemności. Gdy

uśmiech znikł, odwrócił się jak gap, kiedy już rowerzysta wstanie, a uliczny sprzedawca pozbiera i ułoży na wózku rozsypane owoce.

Franz założył nogę na nogę jak ktoś kulawy i bardzo powolny, ale się nie obudził. Pociąg zaczął zgrzytliwie hamować. Przepłynęli koło muru z cegieł, potężnego komina i stojących na boczniczy wagonów towarowych. Nagle w przedziale zrobiło się ciemno: wjechali na pokryty olbrzymią kopułą dworzec.

- Pójdę się przejść, najdroższa - powiedział Dreyer, który lubił palić na powietrzu.

Zostawszy sama, Marta wycofała się w róg przedziału i nie mając nic lepszego do roboty, przyglądała się trupowi w okularach w drugim rogu, obojętnie zastanawiając się, czy to przypadkiem nie stacja, na której młody człowiek powinien wsiąść.

Dreyer spacerował wzdłuż peronu, zabębnił wszystkimi pięcioma palcami w szybę, kiedy przechodził, ale jego żona już się nie uśmiechnęła. Wydmuchawszy kłęb dymu poszedł dalej. Przechadzał się powoli, ale pełnym energii krokiem, ręce założył na plecy, cygaro wysunięte było do przodu. Pomyślał, że miło byłoby spacerować w ten sposób pod oszklonymi łukami jakiejś dalekiej stacji, w drodze do Andaluzji, Bagdadu albo Niżnego Nowgorodu. W gruncie rzeczy można wyruszyć w każdej chwili; kula ziemską jest olbrzymią i okrągłą, a on ma wystarczająco dużo zaoszczędzonej gotówki, by okrążyć ją ze sześć razy. Ale Marta nie będzie chciała jechać, od najbujniejszej dżungli woli przystrzyżony trawnik na przedmieściu. Prychnęłaby tylko sarkastycznie, gdyby zaproponował, że zrobią sobie roczny urlop. „Chyba powinienem kupić gazetę - pomyślał. - Giełda to też interesująca i delikatna sprawa. No i zobaczymy, czy nasi dwaj lotnicy - a może to jakaś błyskotliwa mistyfikacja? - zdołali pokonać w odwrotnym kierunku trasę, którą przeleciał miesiąc temu ten młody Amerykanin.

Ameryka, Meksyk, Palm Beach. Willy Wald tam pojechał, chciał, żebyśmy pojechali razem z nim. Nie, nie da się jej przekonać. No, to gdzie jest kiosk? Stara maszyna do szycia z artretycznym pedałem, owinięta w brązowy papier, tak bardzo rzuca się w oczy, a przecież za godzinę lub dwie zapomnę o niej na zawsze; zapomnę, że na nią patrzyłem, wszystko zapomnę...” W tym momencie rozległ się gwizdek i wagon bagażowy ruszył z miejsca. Hej, to przecież mój pociąg!

Dreyer puścił się żwawym truchtem w kierunku kiosku, wybrał na dłoni odpowiedni pieniążek, porwał wybraną gazetę, upuścił ją, podniósł i popędził z powrotem. Niespecjalnie zgrabnie wskoczył na stopień jadącego wagonu, nie od razu udało mu się otworzyć drzwi. Mocując się z nimi zgubił cygaro, ale nie gazetę.

Chichocząc i sapiąc przeszedł przez wagon, potem przez drugi, trzeci. Na

przedostatnim korytarzu rosły, ubrany w czarny płaszcz mężczyzna, który zamykał okno, odsunął się, żeby go przepuścić. Kiedy przechodząc Dreyer spojrział na niego, zobaczył roześmianą twarz dorosłego człowieka z nosem małpiego dziecka. „Ciekawe - pomyślał. - Dobry byłby taki ludzik, co by śmiech widowni budził”. W następnym wagonie odnalazł swój przedział, przeszedł przez martwą nogę, co było znaną już dobrze czynnością, i cicho usiadł. Marta najwyraźniej spała. Rozłożył gazetę i nagle zauważył wbity w siebie wzrok żony.

- Głupi idiota - powiedziała spokojnie i znów zamknęła oczy. Dreyer przyjaźnie skinął głową i pogrążył się w lekturze.

Pierwszy rozdział podróży jest zawsze przeładowany szczegółami i akcja rozwija się powoli. Jej środkowe godziny są senne, a ostatnie szybkie. Franz nagle obudził się i poruszył ustami w taki sposób, jakby coś żuł. Jego towarzysze podróży spali. Światło w oknie przygasło, ale za to pojawiło się tam odbicie miniaturowej błyszczącej jaskółki Marty. Franz spojrział na swój nadgarstek, na zegarek, którego cyferblat ze wszystkich sił chroniła metalowa siateczka. Sporo czasu uciekło jednak z tej celi więziennej. W ustach czuł wyjątkowo wstrętny smak. Starannie przetarł specjalną kwadratową ściereczką okulary i wyszedł na korytarz, by poszukać toalety.

Kiedy stał w niej, trzymając się metalowego uchwyty, pomyślał, jakie to dziwne i okropne, że jest połączony z zimną dziurą, w której błyszczy i podskakuje strumień, spływając ku ciemnej, pędzącej na złamanie karku nagiej ziemi, takiej bliskiej i takiej przerażającej.

Godzinę później obudzili się państwo Dreyer. Kelner przyniósł im kawę z mlekiem w grubych filiżankach, Marta wyrzekała przy każdym łyku. Jeszcze pociemniało na wyblakłych polach, które zdawały się biec coraz szybciej. W szybę zaczął łagodnie bębnić deszcz: strumyczek wił się, niepewnie się zatrzymywał i znowu ruszał w swoją szparką, zygzakowatą podróż w dół. Za oknami w korytarzu, pod krągłym, zapowiadającym burzę kumulusem tlił się wąski pomarańczowy zachód słońca. Nagle do przedziału wkroczyło światło elektryczne. Marta długo przeglądała się w lusterku, szczerząc zęby i unosząc górną wargę.

Dreyer, ciągle przepełniony przyjemnym ciepłem drzemki, spojrział na granatowe okno i krople deszczu i pomyślał, że jutro jest niedziela i rano pójdzie grać w tenisa (którym zajął się niedawno z desperackim zapałem pana w średnim wieku) i że szkoda by było, gdyby pogoda pokrzyżowała mu plany. Pytał sam siebie, czy zrobił jakieś postępy, nieświadomie naprężając prawe ramię, i przypomniał sobie wspaniale wypielęgowany kort w swoim ulubionym uzdrowisku w Tyrolu i sławnego tenisistę, który przyszedł na mecz w białym flanelowym palcie z szyją owiniętą angielskim szalikiem w barwach klubu, który

reprezentował, i z trzema rakietami pod pachą, niespiesznie, profesjonalnymi ruchami zdjął płaszcz, szalik w długie pasy i biały sweter, który miał pod płaszczem, a potem z błyskiem obnażonego po łokieć ramienia dźwięcznie ofiarował nieszczęsnemu Paulowi von Lepelowi leniwy i straszny prezent w postaci pierwszej próbnej piłki.

- Jesień, deszcz - powiedziała Marta, zamykając z trzaskiem torebkę.

- Ależ gdzie tam, tylko mży - łagodnie poprawił ją Dreyer.

Pociąg pędził teraz z niewiarygodną szybkością, jak gdyby znajdował się już w strefie przyciągania metropolii. Szyby zrobiły się całkiem ciemne, nie można było nawet dostrzec, gdzie zaczyna się niebo. Płomienny pas ekspresu przemknął w przeciwnym kierunku i na zawsze się urwał. A jednak to była mistyfikacja - ten lot do Ameryki. Franz, który wrócił już do przedziału, chwycił się nagle konwulsyjnie za bok.

Minęła kolejna godzina i w ponurym mroku pojawiły się odległe kiście światła, brylantowe pożary.

Po chwili Dreyer wstał. Wstał także Franz, cały przejęty dreszczem podniecenia. Rozpoczął się rytuał przyjazdu. Dreyer zaczął zdejmować z półki walizki (lubił podawać je bagażowym przez okno). Franz stanął na palcach i także sięgnął po walizkę. Miętko zderzyli się plecami i Dreyer roześmiał się. Franz zaczął wkładać deszczowiec, przy pierwszej próbie nie trafił do rękawa, włożył butelkowiełony kapelusz i z oporną walizką wyszedł na korytarz. W ciemności błyskało teraz więcej światła, nagle jakby tuż pod jego stopami pojawiła się ulica z oświetlonym tramwajem i znowu znikła za murami domów, które szybko potasowano i rozdano na nowo.

„Szybciej, szybciej” - jęczał Franz.

Przemknęła jakaś mała stacyjka, peron, na wpół otwarta szkatułka na kosztowności, i znowu zrobiło się ciemno, jakby nie było w pobliżu żadnego Berlina.

W końcu nad tysiącem torów i rzędami mokrych wagonów rozlał się topazowy blask.

Powoli, pewnie i płynnie potężna stalowa jama stacji wchłonęła w siebie pociąg, który nagle stał się ospały, zadrzał i oto był już zbędny.

Franz wysiadł, zanurzył się w przesyconej dymem wilgoci. Kiedy przechodził koło wagonu, w którym jechał, zobaczył swego rudawowąsego towarzysza podróży: otwierał okno i przywoływał bagażowego. Przez chwilę czuł żal, że rozstał się na zawsze z cudowną, kapryśną damą o oczach koloru tarniny. Wraz z tłumem ludzi szedł wzdłuż niezmiernie długiego peronu, niecierpliwą ręką oddał kontrolerowi bilet i szedł dalej, mijając niezliczone reklamy, kasy, kwaciarnie i obładowanych niepotrzebnymi bagażami ludzi, szedł ku wyjściu na wolność.



## II

Złocista mgła, puszysta kołdra na łóżku. Kolejne przebudzenie, ale być może jeszcze nie ostateczne. Zdarza się to nie tak znowu rzadko: budzisz się i widzisz siebie, powiedzmy, siedzącego w eleganckim przedziale drugiej klasy razem z parą eleganckich nieznajomych; w istocie jednak jest to pseudoprzebudzenie - nie przebudzenie, lecz jedynie kolejny poziom snu, jak gdybyś płynął w górę i mijał warstwę za warstwą, nigdy jednak nie docierając do powierzchni, nigdy nie wynurzając się ponad taflę, nie osiągając jawy. Ale twoja zaczarowana myśl bierze każdy nowy poziom snu za drzwi do rzeczywistości. Wierzysz w nią i z zapartym tchem wychodzisz z dworca, na który przywiodły cię odwieczne fantazje, i przecinasz położony przed nim plac. Nie widzisz niemal nic, gdyż deszcz rozmazuje noc, twoje okulary są zaparowane i chcesz najszybciej, jak to tylko możliwe, dojść do widmowego hotelu po drugiej stronie placu, żeby umyć ręce, zmienić mankiety i powłóczyć się potem po oślepiająco jasnych ulicach. Coś się jednak wydarza, absurdalna katastrofa, i to, co wydawało się rzeczywistością, traci nagle ton i posmak rzeczywistości. Twoja świadomość została oszukana: nadal głęboko śpisz. Chaotyczna senność przytłumia twój umysł. Potem przychodzi kolejne zwodnicze rozjaśnienie świadomości: ta złocista mgła i twój pokój w hotelu, który nazywa się „Montevideo”. Sklepikarz, którego znałeś w swoich stronach, nostalgiczny berlińczyk, zapisał ci tę nazwę na kawałku papieru. A jednak, któż wie, czy to rzeczywistość, ostateczna rzeczywistość, czy tylko nowy oszukańczy sen.

Leżąc na plecach, Franz wpatrywał się krótkowzrocznymi, boleśnie zwężonymi oczami w niebieską mgłę sufitu, a potem spojrzał w bok, na promienną plamę, która musiała być oknem. I chcąc uwolnić się od tej złoto zabarwionej mętności, ciągle bardzo podobnej do snu, sięgnął do nocnej szafki i namacał okulary.

I dopiero kiedy ich dotknął, a ściślej mówiąc, kiedy dotknął chusteczki, w którą były zawinięte jak w papier do pakowania, przypomniał sobie absurdalną katastrofę z innej warstwy snu. Wszedłszy po raz pierwszy do tego pokoju, rozejrzawszy się i otworzywszy okno (odkrył za nim tylko mroczne podwórze i mroczne, głośnie drzewo), przede wszystkim zerwał brudny kołnierzyk, który uciskał mu szyję, i pośpiesznie zaczął myć twarz. Jak idiota położył okulary na brzegu umywalki, koło miednicy.

Kiedy podniósł ciężkie naczynie, żeby wylać wodę do wiadra, nie tylko zrzucił okulary na podłogę, ale jeszcze niezręcznie stąpnął, trzymając przed sobą umazaną miednicę, i usłyszał złowieszczy trzask pod obcasem.

Odtwarzając to wydarzenie w umyśle, Franz krzywił się i jęczał. Jego but zadeptał wszystkie odświeżne płomienie Friedrichstrasse. Okulary trzeba było oddać do naprawy: tylko

jedno szkło znajdowało się na swoim miejscu, a i ono było pęknięte. Jedynie dotknął nieszczęsnego kaleki, nie poddał go ponownemu badaniu.

W myśli wychodził już na ulicę w poszukiwaniu właściwego sklepu. Najpierw to, a potem ważna, raczej przerażająca wizyta. Przypomniawszy sobie, że matka nalegała, by złożył ją zaraz następnego ranka po przyjeździe („to właśnie dzień, kiedy możesz zastać człowieka interesu w domu”), Franz przypomniał sobie zarazem, że jest niedziela.

Cmoknął językiem i zamarł.

W rezultacie niejednoznaczego, ale jakże dobrze znanego ubóstwa, które nie pozwalało posiadać dwu takich samych kosztownych rzeczy, opanowała go pierwotna panika. Bez okularów był właściwie ślepy, a przecież musiał odbyć niebezpieczną drogę przez obce miasto. Wyobraził sobie drapieżne widma, które kręciły się wczoraj koło dworca, ich silniki pracowały, ich drzwiczki trzaskały, kiedy wciąż jeszcze bezpiecznie zaopatrzone w okulary, ale z polem widzenia ograniczonym przez deszczową noc, zaczął przechodzić przez plac. Potem, po katastrofie, zamiast pójść na spacer, na który się cieszył, zamiast po raz pierwszy posmakować Berlina w porze lubieżnego rozmigotania i rojących się tłumów - położył się do łóżka. Szukając żalostnego pocieszenia, powrócił tej pierwszej nocy do samotnych praktyk, które przed wyjazdem obiecał sobie porzucić.

Ale przesiedzieć cały dzień we wrogo nastawionym pokoju hotelowym i nie mając nic do roboty, tępo czekać do poniedziałku, kiedy otworzą wreszcie sklep z szyldem (przeznaczonym dla widzających!) w kształcie ogromnego niebieskiego *pincenez* - taka perspektywa była nie do pomyślenia. Franz zrzucił z siebie kołdrę i boso powłókł się do okna.

Powitał go jasnyniebieski, delikatny, cudownie słoneczny ranek. Większość podwórza pokrywał czarny aksamit, będący zapewne cieniem rzucanym przez drzewo, ponad którym zdołał dostrzec rozmazany, pomarańczowoczerwony odcień czegoś, co wyglądało na gęste listowie. Tętniąca życiem metropolia - dobre sobie! Wszędzie panowała cisza, taka sama jak w odległej głuszy świetlistej wiejskiej jesieni.

Aha, to w pokoju jest hałas! Na ten zgiełk składały się głuchy szum przykrych ludzkich myśli, łoskot przesuwanego krzesła, pod którym bardzo teraz potrzebna skarpetka od dawna ukrywała się przed spojrzeniem niedowidzących oczu, plusk wody, brzęk małych monet, które jak głupie wypadły z nieuchwytniej kamizelki, zgrzyt walizki, przesuwanej w odległy róg, gdzie nikt się już o nią nie potknie; był jeszcze jeden dodatkowy hałas w tle: własny jęk pokoju i brzęczenie, przypominające szum powiększonej muszli kontrastujące z tą słoneczną niesamowitą cudowną ciszą, która jak drogie wino przechowywana była w chłodnej głębi podwórza.

W końcu Franz pokonał wszystkie plamy i ławice mgły, znalazł kapelusz, wyrwał się z objęć błaznującego lustra i ruszył do drzwi. Tylko twarz pozostała naga.

Uporał się ze schodami, gdzie jakaś anielica śpiewała czyszcząc poręcze, pokazał portierowi adres na bezcennej karteczce i dowiedział się, do jakiego ma wsiąść autobusu i gdzie na niego czekać. Przez chwilę się wahał, walcząc z magiczną i majestatyczną pokusą taksówki. Odrzucił ją nie tylko ze względu na koszt, lecz także dlatego, że jego potencjalny pracodawca mógłby go wziąć za rozrzutnika, gdyby przybył z taką pompą.

Kiedy wyszedł na ulicę, wchłonął go w siebie potok blasku. Konturów nie było, kolorom brakło materialności. Jak lekka damska sukienka, która zsunęła się z wieszaka, miasto migotało i układało się w fantastyczne fałdy, niczym nie podtrzymywane, bezcielesne opalizowanie miękko wisiało w lazurowym jesiennym powietrzu. Za perłową pustynią placu, przez który co chwila pędził samochód z nowym, wielkowiejskim klaksonem, wynurzyły się wielkie różowe budynki i nagle promień słońca, błysk szkła, ukłuł go boleśnie w źrenicę.

Franz doszedł do mającego pozory prawdopodobieństwa rogu. Dłuższą chwilę kręcił się i mrużył oczy, nim znalazł czerwoną plamę przystanku autobusowego, który marszczył się jak słupy na pływalni, kiedy się nurkuje. Niemal natychmiast ucieleśnił się żółty miraż autobusu. Nadeptując komuś na stopę, która bez zwłoki roztopiła się pod nim jak wszystko inne, Franz chwycił się poręczy, a jakiś głos - najwyraźniej należący do konduktora - warknął mu prosto w ucho: - Na górę! - Po raz pierwszy w życiu wchodził po tego rodzaju kręconych schodach (w jego mieście rodzinnym jeździło tylko kilka starych tramwajów) i kiedy autobus szarpnął i ruszył, kątem oka dostrzegł, jak przerażający asfalt podnosi się na kształt srebrzystej ściany, chwycił się czyjś ramienia i porwany siłą jakiegoś nieubłaganego zakrętu, przy którym cały autobus zdawał się przechylać, wleciał po ostatnich stopniach i znalazł się na górze.

Usiadł i rozejrzył się z bezradnym oburzeniem. Szybował wysoko ponad miastem. W dole, na ulicach, jak meduzy ślizgali się ludzie, kiedy tylko samochody nieruchomiały.

Autobus ruszył znowu i domy, cienistoniebieskie po jednej stronie ulicy, słonecznomgliste po drugiej, popędziły jak chmury niezauważalnie zlewające się z tkliwym niebem. Takim Franz po raz pierwszy ujrzał miasto - widmowo zabarwione, eteryczne, nasycone płynnymi kolorami, żadną miarą nie przypominające prymitywnego marzenia prowincjusza.

Czy wsiadł do właściwego autobusu?

- Tak - powiedział konduktor.

Czyste powietrze gwizdało mu w uszach, a klaksony wołały do siebie niebiańskimi

głosami. Poczul zapach suchych liści, gałąź niemal się o niego otarła.

Spytał siedzącego obok pasażera, gdzie powinien wysiąść. Okazało się, że ma jeszcze przed sobą szmat drogi. Zaczął liczyć przystanki, żeby nie musieć pytać powtórnie, i próbował - na próżno - zarejestrować rogi ulic. Pęd, powietrzność, woń jesieni, przyprawiająca o zawrót głowy zwierciadlana jakość świata złożyły się na niezwykle wrażenie bezcielesności, toteż Franz z rozmysłem przesunął szyję, żeby poczuć twardy łepiek spinki do kołnierzyka, która wydawała mu się jedynym dowodem własnego istnienia. Wreszcie dojechał do swojego przystanku. Spełznął po stromych schodach i ostrożnie wysiadł. Z uciekających wyżyn pasażer bez twarzy zawołał: - Na prawo! Pierwsza ulica na...

Franz zadygotał w odpowiedzi, doszedł do rogu i skręcił w prawo. Cisza, samotność, słoneczna mgła. Czuł, że zgubił drogę, rozpuszczając się w tej mgle, zwłaszcza że nie mógł odczytać numerów domów. Czuł się słaby i spocony. Wreszcie, wyszedziwszy rozmazanego przechodnia, zagadnął go i spytał, gdzie jest numer piąty.

Przechodzień stał bardzo blisko, a cień liści dziwnie igrał na jego twarzy i przez chwilę Franzowi zdawało się, że rozpoznaje mężczyznę, przed którym uciekł poprzedniego dnia. Można stwierdzić niemal z całkowitą pewnością, że był to płamisty kaprys światła i cienia, ale Franzowi zrobiło się nagle tak nieprzyjemnie, że odwrócił wzrok.

- Po drugiej stronie, tam gdzie widzi pan ten biały płot - powiedział wesoło przechodzień i poszedł.

Franz nie widział żadnego płotu, ale odnalazł furtkę, namacał guzik dzwonka i nacisnął go. Furtka wydała z siebie osobliwe brzęczenie. Poczekał chwilę i znowu nacisnął dzwonek. Furtka znowu zabrzęczała. Nikt nie przyszedł otworzyć. Za nią rozpościerała się zielonkawa mgła ogrodu, a dom płynął w niej jak niewyraźne odbicie. Spróbował sam otworzyć furtkę, ale nie ustąpiła. Gryząc wargi zadzwonił jeszcze raz, długo trzymał palec na guziku. Takie samo monotonne brzęczenie. Nagle zrozumiał, w czym rzecz: naparł na furtkę dzwoniąc znowu, a ona otworzyła się z taką złością, że omal się nie przewrócił. Ktoś spytał: - Pan do kogo?

Zwrócił się w stronę głosu i dostrzegł kobietę w jasnej sukience, stojącą na wysypanej żwirem ścieżce, wiodącej do domu.

- Męża jeszcze nie ma - oznajmił głos po krótkiej pauzie, która nastąpiła po odpowiedzi Franza.

Zmrużył oczy i dostrzegł błysk kolczyków i ciemne gładkie włosy. Nie była kobietą strachliwą ani kapryśną, ale w swoim niezgrabnym pragnieniu, żeby widzieć lepiej, podszedł bardzo blisko i przez groteskowy moment myślała, że ten zapalczywy intruz chce wziąć jej

głowę w swoje dłonie.

- To dla mnie bardzo ważne - powiedział. - Chodzi o to, że jestem jego krewnym.

Zatrzymał się przed nią, wyjął portfel i zaczął w nim grzebać, szukając słynnej wizytówki.

Zastanawiała się, gdzie go już widziała. Jego uszy były w słońcu przejrzystoczerwone, a drobne kropelki potu jak klejnoty zdobiły jego niewinne czoło przy samych korzonkach krótkich ciemnych włosów. Nagle przypomnienie jak iluzjonista nałożyło okulary na pochyloną twarz i natychmiast znów je zdjęło. Marta uśmiechnęła się. W tej samej chwili Franz znalazł wreszcie kartkę i podniósł głowę.

- O, proszę - powiedział. - Polecono mi, żebym przyszedł. W niedzielę.

Spojrzała na kartkę i uśmiechnęła się znowu.

- Pański wuj gra teraz w tenisa. Wróci na obiad. Wie pan co, już raz spotkaliśmy się.

- *Bitte?* - spytał Franz wyężając wzrok.

Kiedy później wspominał to spotkanie, miraż ogrodu, rozplywającą się w słońcu sukienkę, zdumiewał się tym, jak późno ją rozpoznał. Stojąc trzy kroki od kogoś był w stanie zobaczyć rysy jego twarzy przynajmniej tak wyraźnie, jak człowiek o normalnym wzroku, spoglądający przez powiewny welon. Tłumaczył sobie to wszystko raczej naiwnie: nie widział jej nigdy przedtem bez kapelusza i nie spodziewał się, że jej włosy rozdzielone są pośrodku głowy, a z tyłu upięte są w kok (jedyne szczegóły, w którym Marta nie podporządkowywała się modzie); a jednak nie tak łatwo było wytłumaczyć, czemu - nawet biorąc pod uwagę przytępioną percepcję widmowego kształtu - nie zadziałały znowu i od razu to samo drzenie, ten sam czar, które tak bardzo zafascynowały go poprzedniego dnia. Zdawało mu się później, że tego ranka zanurzył się w mętnej i niepowtarzalny świat, który istniał tylko przez jedną krótką niedzielę, świat, w którym wszystko było subtelne i nieważkie, promienne i niestałe. W tym śnie mogło się wydarzyć wszystko: okazało się ostatecznie, że Franz nie obudził się tego ranka w hotelu, lecz przeszedł jedynie do kolejnej warstwy snu. W nierealnym blasku jego krótkowzroczności Marta ani trochę nie przypominała damy z pociągu, która jarzyła się jak obraz filmowy i ziewała jak tygryska. Piękno madonny, które w niej przez chwilę widział i które gdzieś się potem zapodziało, teraz objawiło się w całej pełni, jak gdyby to była jej prawdziwa istota, która doszła oto do pełni rozkwitu - bez żadnej domieszki, bez skazy i bez ramy. Nie mógł z całą pewnością powiedzieć, czy uważa tę zamazaną damę za pociągającą. Krótkowzroczność jest cnotliwa. A poza tym była to żona człowieka, od którego zależała cała jego przyszłość, żona człowieka, z którego polecono mu wycisnąć, co się da, i to mogło uczynić ją w momencie spotkania jak

gdyby bardziej odległą, bardziej niedostępną niż fascynująca nieznamoma z poprzedniego dnia. Idąc za Martą po wysypanej żwirem ścieżce do domu, Franz gestykułował, ciągle przepraszał za swoje niedołęstwo, stłuczone okulary, zamknięte sklepy i wychwalał cudowną niezwykłość zbiegu okoliczności, upajając się w ten sposób dążeniem do tego, by jak najszybciej usposobić ją przychylnie do swojej osoby.

Na trawniku koło ganku stał bardzo duży parasol ogrodowy, pod którym kuliły się mały stolik i kilka wiklinowych foteli. Marta usiadła. Franz uśmiechając się i mrugając usiadł koło niej. Uznała, że oszołomiła go całkowicie widokiem niedużego, ale zbytkownego ogrodu, w którym było między innymi pięć rabat dali i w którym rosły też trzy modrzewie, dwie wierzby płaczące i jedna magnolia - i nie kłopotowała się ustalaniem, czy te nieszczęsne dzikie oczy są w stanie odróżnić parasol plażowy od ozdobnego drzewa. Cieszyło ją, że przyjmuje go tak elegancko *auf englische Weise*, olśniewając go niesamowitym bogactwem i cieszyła się także perspektywą pokazania mu willi, miniatury w salonie i sypialni, w której wszystko jest z drzewa atlasowego, i sprawiały jej przyjemność jęki pełnego szacunku podziwu tego dość przystojnego chłopca. A ponieważ olśniewanie gości, pochodzących na ogół z jej własnego kręgu, już dawno ją znudziło, była tkliwie wdzięczna temu prowincjuszowi w sztywnym kołnierzyku i wąskich spodniach za dostarczenie jej sposobności do przypomnienia sobie dumy, którą czuła w pierwszych miesiącach po ślubie.

- Tak tu cicho - powiedział Franz. - Myślałem, że Berlin będzie bardzo hałaśliwy.

- Ależ mieszkamy prawie na wsi - odrzekła i czując się o siedem lat młodsza, dodała - Ta willa tam należy do pewnego hrabiego. Uroczy staruszek, często się widzimy.

- To bardzo miłe... ta atmosfera ciszy i prostoty - powiedział Franz, pilnie rozwijając temat i przeczuwając już ślepą uliczkę, w którą za chwilę zabrze.

Spojrzała na jego bladą dłoń z różowymi kłykciami i pięknym długim palcem wskazującym, który płasko leżał na stole. Wąskie palce odrobinę drżały.

- Wiele razy się zastanawiałam - powiedziała - kogo zna się lepiej, kogoś, kto przez pięć godzin przebywa z człowiekiem w tym samym pokoju, czy kogoś, kogo widzimy przez dziesięć minut przez cały miesiąc.

- *Bitte?* - spytał Franz.

- Myślę - ciągnęła - że zasadniczą sprawą nie jest tu ilość czasu, ale czynnik komunikacji, wymiany poglądów na życie i jego warunki. Proszę mi powiedzieć, jakie dokładnie pokrewieństwo łączy pana z moim mężem. Jest pan jego kuzynem, prawda? Ma pan tu pracować, to dobrze, tacy chłopcy jak pan powinni dużo pracować. Jego firma jest ogromna - myślę o firmie męża. Ale jestem pewna, że słyszał pan już o jego słynnym domu

towarowym. Może dom towarowy to za dużo powiedziane, sklep prowadzi tylko rzeczy dla mężczyzn, ale jest tam dosłownie wszystko - krawaty, kapelusze, artykuły sportowe. Poza tym mąż ma biuro - w innej części miasta - i przeprowadza rozmaite operacje bankowe.

- Początek będzie trudny - powiedział Franz, bębniąc palcami po stoliku. - Trochę się boję. Ale wiem, że pani mąż to cudowny człowiek, bardzo dobry człowiek.

Moja matka go wręcz ubóstwia.

W tej chwili wynurzyło się skądś, jakby na dowód sympatii, widmo psa, który po bliższym zbadaniu okazał się owczarkiem alzackim. Pochylając głowę, pies położył u stóp Franza jakiś przedmiot. Potem cofnął się trochę, momentalnie się rozplynął i na coś czekał.

- To Tom - powiedziała Marta. - Tom zdobył medal na wystawie, prawda, Tom? (Mówiła do Toma tylko przy gościach.) - Powodowany szacunkiem dla gospodyni, Franz podniósł przedmiot, który przyniósł mu pies. Okazało się, że to wilgotna drewniana piłeczka, pokryta wyczuwalnymi śladami zębów. Kiedy tylko gość podniósł piłeczkę i zbliżył ją do twarzy, widmo psa jednym susem wynurzyło się ze słonecznej mgły - żywe, ciepłe, pełne wigoru - i omal nie zrzuciło go z fotela. Szybko pozbył się piłeczki. Tom zniknął.

Piłeczka wylądowała wśród dali, ale Franz oczywiście tego nie widział.

- Wspaniałe zwierzę - stwierdził z odrazą, wycierając mokrą dłoń o pokrytą perkalem poręcz fotela. Marta patrzyła w bok, zaniepokojona zamieszaniem panującym na rabatach, które Tom deptał, zapamiętały w poszukiwaniu swojej zabawki. Klasnęła w dłonie. Franz uprzejmie klasnął także, myląc naganę z wyrazem zachwytu. Na szczęście w tej chwili przejeżdżał obok jakiś chłopiec na rowerze i Tom, natychmiast zapominając o piłeczce, popędził na łeb na szyję do ogrodzenia i przebiegł wzdłuż całej jego długości, wściekle szczekając. Potem nagle się uspokoił, pobiegł z powrotem i prowadzony zimnym spojrzeniem Marty, położył się koło stopni wiodących na ganek, z wywieszonym językiem i po lwimiu podkurczoną przednią łapą.

Słuchając tego, co Marta mówiła mu wibrującym rozdrażnionym głosem, do którego zaczynał się przyzwyczajać, o Tyrolu, czuł, że pies nie jest daleko i w każdej chwili może przynieść z powrotem ten sam śliski przedmiot. Nostalgicznie przypomniał sobie obrzydliwego starego mopsa obrzydliwej starszej pani (krewnego i wielkiego wroga ulubieńca jego matki), którego kilka razy udało mu się zręcznie kopnąć.

- Ale w pewnym sensie - mówiła Marta - człowiek czuje się uwięziony.

Wyobraża sobie, że góry mogą zwalić się w środku nocy na hotel, na łóżko, grzebiąc mnie i mojego męża pod skałami, wszystkich zabijając. Myśleliśmy o wyjeździe do Włoch, ale jakoś straciłam ochotę. To straszny głuptas - ten nasz Tom. Psy, które bawią się

płeczkami, są zawsze głupie. Przychodzi obcy mężczyzna, a dla niego to nowy członek rodziny. Czy to pierwsza pańska wizyta w naszym wielkim mieście? Jak się tu panu podoba?

Franz dobrze wychowanym małym palcem wskazał na swoje oczy: - Jestem całkiem ślepy - powiedział. - Zanim nie będę miał nowych okularów, nic nie mogę ocenić. Widzę tylko kolory, co w końcu nie jest specjalnie interesujące. Ale ogólnie rzecz biorąc, podoba mi się. Tak tu cicho, pod tym żółtym drzewem.

Nie wiedzieć czemu przemknęło mu przez myśl - była to smużka jakiegoś ulotnego kaprysu - że właśnie w tej chwili jego matka wraca z kościoła z Frau Kemelspinner, żoną wypychacza zwierząt. A tymczasem - czyż to nie cudowne - on prowadzi w tej promiennej mgłę trudną, ale rozkoszną rozmowę z tą mglistą damą.

Wszystko to było bardzo niebezpieczne, każde jej słowo mogło podstawić mu nogę.

Marta zauważyła lekkie zająkiwanie się i nerwowe pociąganie nosem.

„Olśniony i zakłopotany, i taki młody - pomyślała z mieszaniną pogardy i czułości - rozgrzany, zdrowy, młody wosk, który można dowolnie ugniatać, nadając mu kształt, na jaki ma się akurat chęć. Mógł się jednak ogolić przed przyjściem tutaj”. I przeprowadziła eksperyment: powiedziała jedynie po to, żeby sprawdzić, jak zareaguje:

- Jeśli zamierza pan pracować w eleganckim sklepie, łaskawco, musi pan być bardziej pewny siebie i pozbyć się tego czarnego puchu na swoich męskich policzkach.

Tak jak przypuszczała, zupełnie stracił kontenans.

- Muszę kupić nowe okulary, to znaczy szokulary - rzekł, w każdym razie taki dźwięk wydały jego rozgorączkowane usta.

Pozwoliła, by jego zmieszanie trwało dłuższą chwilę, mówiąc sobie, że bardzo mu się to przyda. Franz rzeczywiście przez chwilę czuł się nieswojo, ale zgoła nie z tego powodu, o jakim myślała Marta. Tym, co zbiło go z tropu, nie było upomnienie, lecz nagła szorstkość jej głosu, coś w rodzaju gardłowego „hep!” - jakby, przykładowo, przy słowach „pewny siebie” gwałtownie szarpnęła do tyłu ramionami. Nie pasowało to do jej mglistego wizerunku.

Zgrzytliwy wtręt skończył się szybko: Marta znów rozpuściła się w uroczej mgłę otaczającego go świata i podjęła wytworną rozmowę.

- Jesień jest tu chłodniejsza niż w sadach pańskich rodzinnych stron. Lubię soczyste owoce, ale lubię także chrupiący zimny dzień. Jest coś takiego w budowie i temperaturze mojej skóry że po prostu dygocze przy zetknięciu z wiatrem albo przejmującym mrozem. Niestety, zawsze za to płacę.

- U nas o tej porze jeszcze się kąpią - zauważył Franz. Był gotów opowiedzieć jej o słynnej, cudownie przejrzystej, lirycznej rzece, przepływającej przez jego miasto rodzinne



pod łukami mostów, a potem pomiędzy polami i winnicami, o tym, jak przyjemnie jest kąpać się w niej nago i nurkować z małej „tratwy ondyny”, którą można wynająć za parę miedziaków, ale w tej chwili zatrąbił i zatrzymał się przy bramie samochód, a Marta powiedziała:

- Otóż i mój mąż.

Wbiła wzrok w Dreyera, zastanawiając się, czy jego wygląd wywrze wrażenie na młodym kuzynie, i zapominając, że Franz już raz go widział i że teraz raczej go widzieć nie może. Dreyer wszedł swoim szybkim, pełnym werwy krokiem. Miał na sobie obszerny biały płaszcz i biały szalik. Spod pachy wystawały mu trzy rakiety tenisowe, każda w pokrowcu innego koloru - kasztanowym, niebieskim i morwowym. Jego twarz, ozdobiona rudawym wąsikiem, błyszczała jak jesienny liść. Mniej zirytował ją jego osobliwy strój niż fakt, że rozmowa się urwała, że nie jest już sam na sam z Franzem, że to już nie wyłącznie ona pochłania jego uwagę i budzi jego zdumienie.

Mimowolnie jej zachowanie w stosunku do Franza zmieniło się, jakby „coś między nimi było”, a mąż, który właśnie nadszedł, zmuszał ich do większej rezerwy. Poza tym zdecydowanie nie chciała okazać Dreyerowi, że ubogi krewny, którego tak skrytykowała, zupełnie go nie znając, wcale nie okazał się taki okropny. Toteż kiedy Dreyer wszedł, chciała mu przekazać za pomocą nie rzucającej się w oczy scenki pantomimicznej wiadomość, że jego przybycie nareszcie uwalnia ją od nudnego gościa. Niestety, Dreyer podchodząc nie odrywał wzroku od Franza, który wpatrując się w stopniowo gęstniejącą jasną cząstkę pstrej mgły, podniósł się i zamierzał złożyć ukłon. Dreyer, który był na swój sposób spostrzegawczy i lubił banalne sztuczki pamięciowe (często grał sam ze sobą, próbując w jakiejś poczekalni - tym żalonym przedpieklu obrazów - przypomnieć sobie takie czy inne malowidła) już z daleka natychmiast poznał towarzysza ich niedawnej podróży i zastanawiał się, czy przypadkiem nie przyniósł on nie otwartego listu od modystki, który Marta zapodziała gdzieś w czasie podróży. Nagle jednak inna, znacznie ciekawsza myśl zaświtała mu w głowie. Marta, przyzwyczajona do fajerwerków jego twarzy, zobaczyła, że jego przycięty wąsik trzepocze i że promienie jego zmarszczek między oczami a skronią mnożą się i drżą. Zaraz potem wybuchnął tak gwałtownym śmiechem, że Tom, który skakał wokół niego, nie mógł się powstrzymać od szczekania. Nie tylko zbieg okoliczności ubawił Dreyera, lecz także przypuszczenie, że Marta powiedziała prawdopodobnie coś nieprzyjemnego o jego krewnym, podczas gdy krewny ów siedział obok, w tym samym przedziale. Nigdy nie zdoła przypomnieć sobie, co właściwie Marta powiedziała i czy Franz mógł to usłyszeć, ale coś takiego z pewnością się wydarzyło i ta świerzbująca niepewność wzmacniała humorystyczny

aspekt zbiegu okoliczności. W beczasie ludzkiej myśli, kiedy pies zagłuszał wyrazy powitania wypowiedziane przez kuzyna, przypomniał sobie również, jak brał kiedyś hałaśliwy prysznic i zadzwonił znajomy, i jak Marta wrzeszczała przez drzwi do łazienki: „Dzwoni ten stary głupi Wasserschluss” - a pięć kroków dalej położona na stole słuchawka telefoniczna nadstawiała ucha jak wścibska postać w farsie.

Śmiał się, kiedy ścisnął Franzowi dłoń, i śmiał się jeszcze, kiedy opadł na jeden z wiklinowych foteli. Tom dalej czekał. Nagle Marta zrobiła wypad do przodu i z brzęczeniem pierścionków wierzchem dłoni dała psu naprawdę mocnego klapsa.

Zabolało i Tom wymknął się ze skomleniem.

- Urocze - powiedział Dreyer (urok gdzieś pierzchnął), wycierając oczy dużą jedwabną chusteczką. - A więc pan jest Franzem, synem Liny. Po takim zbiegu okoliczności musimy skończyć z formalnościami - nie mów do mnie „panie dyrektorze”, tylko „wujku, drogi wujku”.

„Unikać wołacza” - przemknęło Franzowi przez myśl. Mimo to poczuł się spokojniejszy. Dreyer, wycierający we mgle nos, był niewyraźny, absurdalny i nieszkodliwy jak owi całkowicie obcy ludzie, którzy odgrywiają w naszych snach dobrze znane nam osoby i sztucznymi głosami mówią do nas jak bliscy przyjaciele.

- Byłem dziś w doskonałej formie - powiedział Dreyer do żony - i wiesz co, jestem głodny jak wilk. Przypuszczam, że nasz młodzieniec także by coś przetrącił.

- Zaraz podadzą obiad - powiedziała Marta. Wstała i znikła.

Franz, czując się jeszcze spokojniejszy, powiedział: - Muszę przeprosić - stłukłem sobie okulary i ledwie widzę, tak że trochę mi się wszystko miesza.

- Gdzie się zatrzymałeś? - spytał Dreyer.

- W”Video” - powiedział Franz - koło stacji. Poleciał mi ten hotel człowiek znający się na rzeczy.

- Świetnie. Tak, tak, dobry z ciebie pies, Tom. Przede wszystkim musisz sobie znaleźć jakiś miły pokój niedaleko od nas. Za czterdzieści albo pięćdziesiąt marek miesięcznie. Grasz w tenisa?

- Oczywiście - odpowiedział Franz, przypominając sobie podwórze, używaną brązową rakietę kupioną za jedną markę w sklepie ze starzyzną, gdzie leżała pod popiersiem Wagnera, czarną gumową piłeczkę i niechętny do współpracy ceglany mur z nieszczęsną kwadratową dziurą, w której rósł powój.

- Świetnie. Możemy grywać w niedzielę. Poza tym będziesz potrzebował przyzwoitego garnituru, koszul, miękkich kołnierzyków, krawatów, mnóstwa rzeczy.

Jak ci poszło z moją żoną?

Franz wyszczerzył zęby, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Świetnie - powiedział Dreyer. - Myślę, że obiad jest już gotowy. O interesach pogadamy później. Interesy omawiamy tu przy kawie.

Jego żona wyszła na ganek. Posłała mu długie, zimne spojrzenie, zimno skinęła głową i wróciła do domu. „Znów ten wstrętny, poufały i jowialny ton, który przybiera rozmawiając z nizej postawionymi” - pomyślała, przechodząc przez biały jak kość słoniowa przedpokój, gdzie na ozdobnej serwetce pod lustrem leżały nieskazitelny, uprzejmy biały grzebień i biała szczotka. W tym stylu utrzymana była cała willa, poczynając od wymalowanego na biało tarasu, a kończąc na antenie radiowej - schludna, elegancka i ogólnie rzecz biorąc nie kochana i pusta. Jej właściciel uważał ją za żart. Co się tyczy pani, jej smakiem nie rządziły ani względy estetyczne, ani emocjonalne, uważała po prostu, że rozsądny i bogaty kupiec niemiecki powinien mieć w latach dwudziestych dwudziestego wieku w zachodniej części Berlina taki właśnie dom, to znaczy dom tego samego podmiejskiego typu, do którego należały domy jego kolegów po fachu. Były tu wszelkie możliwe wygody, z większości z nich jednak nikt nie korzystał. Na przykład w łazience wisiało okrągłe obracające się lustro wielkości twarzy, groteskowe szkło powiększające z dołączonym do niego oświetleniem elektrycznym. Marta podarowała je kiedyś mężowi, żeby się przy nim golił, ale on bardzo szybko je znienawidził: czymś nie do zniesienia był coranny widok swojego oświetlonego podbródka, spuchniętego do rozmiarów trzykrotnie większych niż w rzeczywistości, nabijanego rdzawymi kłakami, które wyrosły w ciągu nocy. Krzesła w salonie wyglądały jak na wystawie eleganckiego sklepu meblowego. Na biurku z niepotrzebnym do niczego, nadbudowanym elementem, złożonym z niepotrzebnych do niczego szufladek, zamiast lampy stał brązowy rycerz trzymający w ręku latarnię.

Było tu mnóstwo wspaniale odkurzonych, ale kompletnie niedopieczonych porcelanowych zwierzątek z błyszczącymi zadami, jak również różnokolorowych poduszek, do których nigdy nie przytulił się policzek człowieka. Były też albumy - drogie, pretensjonalne książki z fotografiami kopenhaskiej porcelany i mebli Hagenkoppa - których nie otwierał nikt prócz najbardziej znudzonych i najbardziej nieśmiałych gości. Wszystko w tym domu, nawet słiki z napisami: „Cukier”, „Goździki”, „Cykoria”, stojące na półce w idyllicznej kuchni, wybrała Marta, której przed siedmiu laty mąż przyniósł na tacy z zielonej darni nowo zbudowaną willę, jeszcze pustą i gotową wszystkim dogodzić. Nabyła obrazy i porozwieszała je w pokojach, zrobiła to pod okiem bardzo modnego w owym sezonie artysty, który uważał za możliwe do przyjęcia każde dzieło pod warunkiem, że jest brzydkie,

bezsensowne i namalowane gęstymi chlapnięciami farby - im bardziej upačkane i brudne, tym lepsze. Za radą hrabiego kupiła także kilka obrazów olejnych na aukcji.

Był wśród nich wspaniały portret jegomościa o szlachetnej twarzy i postawie, z bokobrodami, mającego na sobie elegancki poranny surdut; jegomość stał na bogatym brązowym tle, wspierając się na zgrabnej lasce, jakby oświetlony błyskawicą.

Marta kupiła ten obraz nie bez powodu. Na tej samej ścianie jadalni, tuż przy portrecie umieściła dagerotyp swojego dziadka, dawno już zmarłego kupca handlującego węglem; podejrzewano go, że około roku 1860 utopił swoją pierwszą żonę w górskim jeziorze, niczego mu jednak nie udało się udowodnić. On również nosił bokobrody i poranny surdut i wspierał się na lasce. Podobieństwo fotografii do wspaniałego oleju, podpisanego: Heinrich von Hildenbrand, zgrabnie przekształcało go w portret rodzinny. „Dziadzio” - mawiała Marta, wskazując na właściwą podobiznę ruchem ręki, leniwie obejmującym zataczającym łukiem anonimowego szlachcica, na którego portret przenosił wzrok zwiędziony gość.

Niestety jednak, Franz nie był w stanie dostrzec ani obrazów, ani porcelany, choć Marta niezwykle zręcznie kierowała jego uwagę na uroki pokoju. Widział subtelną mieszaninę kolorów, czuł świeżość licznych kwiatów, doceniał podatną miękkość dywanu, który miał pod stopami, i w ten sposób wskutek kaprysu losu dostrzegał w urządzeniu domu właśnie to, czego w nim nie było, ale co według Marty być powinno i co kosztowało majątek: atmosferę luksusu, w której po drugim kieliszku bladego wina zaczął się wolno rozpląwać. Dreyer ponownie napełnił jego kieliszek i Franz, który od rana nie miał nic w ustach i który nie ośmielił się zjeść zagadkowego pierwszego dania, poczuł, że jego dolne kończyny rozpląły się już całkowicie. Dwukrotnie omyłkowo wziął nagie przedramię służącej za rękę Marty, ale potem uświadomił sobie, że Marta siedzi daleko - jak winnołociste widmo. Dreyer, również widmowy, ale ciepły i rumiany, opowiadał o swoim locie przed dwu czy trzema laty z Monachium do Wiednia i o tym, jak samolot przelatywał przez gwałtowną burzę, jak nim ciskało, jak dygotał i jak on, Dreyer, miał ochotę powiedzieć pilotowi: „Proszę się na chwilę zatrzymać”, i jak siedzący obok starszy Anglik zachowywał przez cały czas zimną krew i spokojnie rozwiązywał krzyżówkę.

Tymczasem Franz pokonywał gigantyczne trudności, jakie miał z *volauvent*, a potem z deserem. Odnosił wrażenie, że już za chwilę jego ciało rozpuści się zupełnie, i że zostanie tylko głowa z ustami wydętymi ptysiem i zacznie szybować po pokoju jak balonik. Kawa i curaçao go dobiły. Dreyer, obracający się przed nim wolno jak płomienne koło z ludzkimi rękami zamiast szprych, zaczął mówić o jego przyszłej pracy. Widząc, w jakim nieszczęśliwym znajduje się stanie, nie wdawał się w szczegóły.

Powiedział jednak, że razdwa z Franza będzie znakomity sprzedawca, że największym wrogiem lotnika jest nie wiatr, lecz mgła i że pensja początkowo nie będzie wysoka, w związku z czym bierze na swój koszt wynajem pokoju i że będzie bardzo rad, jeśli Franz będzie do nich wpadał - gdy zechce, to choćby i co wieczór - chociaż nie zdziwi się, jeśli w przyszłym roku ktoś wprowadzi stałe połączenie lotnicze między Europą i Ameryką. Karuzela w głowie Franza nie chciała się zatrzymać, jego fotel krążył po pokoju, zataczając płynne kręgi. Dreyer patrzył na niego z wyrozumiałym uśmiechem i spodziewając się ostrej reprymendy, jaką za całą tę zabawę dostanie biedak od Marty, w myśli obsypywał głowę Franza zawartością ogromnego rogu obfitości, chciał go bowiem wynagrodzić za uciechę, jaką dzięki Franzowi obdarował go hojnie diabełek przypadku. Musi wynagrodzić nie tylko jego, ale i kuzynkę Linę - za brodawkę na policzku, za jej mopsa, za fotel na biegunach, z podobnym do parówki zielonym oparciem dla głowy, na którym wyhaftowany był napis: „Tylko pół godzinki”. Później, kiedy Franz, dysząc winem i wdzięcznością, pożegnał się z wujem, ostrożnie zszedł po stopniach do ogrodu, ostrożnie przecisnął się przez furtkę i ciągle trzymając w ręku kapelusz, zniknął za rogiem, Dreyer wyobraził sobie, jak smacznie biedny chłopiec zaśnie po powrocie do hotelu, i sam poczuł rozkoszny ciężar senności i poszedł do sypialni.

Tam przy toaletce siedziała piłując paznokcie Marta - miała na sobie pomarańczowy peniuar, założyła nogę na nogę, aksamitną biel jej szyi wspaniale uwydatniały gęste gładkie czarne włosy, rozdzielone przedziałkiem i nisko zebrane w kok. Dreyer zobaczył w lustrze ich melanitowy połysk, zmarszczone brwi Marty, jej dziewczęce piersi. Potężny, ale niewczesny dreszcz rozproszył senność. Dreyer westchnął. Nie po raz pierwszy ubolewał, że Marta uważa popołudniowy seks za dekadencją perwersję. A ponieważ nie podniosła głowy, zrozumiał, że jest zła.

Powiedział miękko, starając się pogorszyć sytuację, by przestać odczuwać żal: - Czemu znikłaś zaraz po obiedzie? Mogłaś chociaż poczekać, aż wyjdzie.

Nie podnosząc wzroku, Marta odpowiedziała:

- Wiesz doskonale, że jesteśmy dzisiaj zaproszeni na bardzo ważną i bardzo wytworną herbatkę. Nie zaszkodzi, jeśli też doprowadzisz się do porządku.

- Mamy jeszcze jakąś godzinę - powiedział Dreyer. - Właściwie chciałem się zdrzemnąć.

Marta milczała, szybko pracując zamszowym gładzikiem. Zrzucił z siebie tak zwaną marynarkę a la Norfolk, potem usiadł na brzegu tapczanu i zaczął zdejmować swoje czerwone, przybrudzone piaskiem tenisówki.

Marta pochyliła się jeszcze niżej i powiedziała nagle: - Zdumiewające, jak niektórym ludziom brakuje poczucia godności.

Dreyer chrząknął i leniwie ściągnął flanelowe spodnie, a potem białe jedwabne skarpetki.

Po dłuższej chwili Marta odrzuciła coś z brzękiem na szklaną taflę toaletki i powiedziała:

- Ciekawa jestem, co ten młody człowiek myśli teraz o tobie.

„Skończmy z formalnościami, mów mi »wujku«...” Niestychane.

Dreyer uśmiechnął się, poruszając palcami nóg.

- Dostyc gry na ogólnodostępnych kortach - powiedział. - Na wiosnę zapiszę się do klubu.

Marta gwałtownie obróciła się do niego i opierając łokieć o poręcz fotela, położyła brodę na pięści. Lekko kołysała nogą założoną na nogę. Patrzyła uważnie na męża, rozdrażniona jego spojrzeniem, na wpół psotnym, na wpół poządlwym.

- Masz, czego chciałeś - ciągnęła. - Zaopiekowałeś się swoim najdroższym siostrzeńcem. Założę się, że zalałeś morzem obietnic. Poza tym może byłbyś łaskaw zakryć swoją nieprzyzwoitą nagość?

Drapując się w szlafrok, Dreyer ułożył się wygodnie na pokrytym kretonem tapczanie. Zastanawiał się, co by się stało, gdyby powiedział teraz na przykład: „Ty też masz swoje dziwactwa, najdroższa, a niektóre z nich trudniej wybaczyć niż mężowską nieprzyzwoitość. Jeździsz drugą klasą, a nie pierwszą, bo druga jest równie dobra, a pozwala zaoszczędzić mnóstwo pieniędzy, niesłychaną sumę dwudziestu siedmiu marek i sześćdziesięciu fenigów, która w przeciwnym razie wylądowałaby w kieszeniach oszustów - tych, co wymyślili pierwszą klasę. Bijesz uroczonego i przywiązanego psa, bo pies nie powinien głośno szczekać. W porządku, przyjmijmy, że wszystko jest w porządku. Ale pozwól i mnie się trochę pobawić - zostaw mi mojego siostrzeńca...”

- Najwyraźniej nie zamierzasz się do mnie odezwać - powiedziała Marta. - No cóż, świetnie... - Wróciła do swoich przypominających klejnoty paznokci. Dreyer pomyślał: „Gdybyś choć raz pozwoliła sobie na wybuch, no, dalej, pośmiej się szaleńczo, rozplacz. Po czymś takim na pewno zrobiłoby ci się lepiej”.

Odchrząknął, oczyszczając drogę dla słów, ale - jak się to już nieraz zdarzało - w ostatniej chwili uznał, że lepiej nic nie mówić. Trudno powiedzieć, czy chciał rozdrażnić milczeniem żonę, czy też milczenie to było po prostu rezultatem zadowolonego z siebie lenistwa; a może podświadomie obawiał się zadać ostateczny cios czemuś, co pragnął

zachować. Włożył ręce głęboko w kieszenie szlafroka, przechylił się do tyłu, oparł na trójkątnej poduszce i dalej przyglądał się milczącej Marcie, a potem przeniósł wzrok na szerokie łóżko żony, przykryte kocem w batystowej poszwie z koronkowym wykończeniem - można prać w wodzie, 230 cm x 230 cm - które od jego łóżka, także z koronkami, odgradzała surowo nocna szafka; rozwalała się na niej długonoga szmaciana lalka z czarną twarzą. Lalka, narzuty i pretensjonalne meble budziły zarówno rozbawienie, jak i odrazę.

Ziewnął i potarł nasadę nosa. Może rozsądniej byłoby przebrać się od razu i potem przez pół godziny czytać na tarasie. Marta zrzuciła pomarańczowy peniuar.

Kiedy ściągnęła łokcie, poprawiając naszyjnik, jej anielsko urocze nagie łopatki zbliżyły się do siebie jak składające się skrzydła. Zastanawiał się tęsknie, ile godzin musi upłynąć, nim pozwoli mu te łopatki ucałować, zawahał się, przemyślał rzecz raz jeszcze i przeszedł przez korytarz do swojej garderoby.

Kiedy tylko drzwi bezszelestnie zamknęły się za nim, Marta zerwała się z miejsca i ze wściekłością przekręciła klucz w zamku. To zupełnie nie pasowało do niej, był to szczególny impuls, którego nie potrafiłaby sobie wytłumaczyć, tym bardziej pozbawiony sensu, że za chwilę będzie potrzebować pokojówki, tak czy owak przyjdzie jej więc otworzyć drzwi. Znacznie później, kiedy minęło wiele miesięcy, a ona próbowała przywołać w pamięci ten dzień, stawały jej przed oczami właśnie te drzwi i właśnie ten klucz, jak gdyby zwyczajny klucz okazał się kluczem otwierającym nie całkiem zwyczajny dzień. Skręcając kark zamkowi w drzwiach, nie zdołała jednak wyładować gniewu. Kipiło w niej niejasno i niespokojnie i para nie znajdowała ujścia. Była zła, że wizyta Franza sprawiła jej osobliwą przyjemność i że za przyjemność tę powinna podziękować mężowi. Okazało się koniec końców, że w ich sporach na temat „zapraszać czy nie zapraszać ubogiego krewnego” to ona się myliła, a rację miał jej nieobliczalny i stuknięty mąż. Z tego powodu starała się negować tę przyjemność, aby mąż mógł nadal pozostać tym, który się myli. Przyjemność, wiedziała dobrze, wkrótce się powtórzy, wiedziała także jeszcze jedno: gdyby była absolutnie pewna, że jej postawa odwiedzie męża od powtórnego zaproszenia Franza, być może nie powiedziałaaby tego, co powiedziała przed chwilą. Po raz pierwszy od chwili ślubu doświadczała czegoś niespodziewanego, czegoś, co nie pasowało jak legalna klepka do wzoru, w który ułożony był parkiet ich życia od czasu przykrych niespodzianek ich miesiąca miodowego. W ten sposób z blahostki, z przypadkowego pobytu w śmiesznym prowincjonalnym miasteczku, zaczęło wyrastać coś radosnego i nieodwracalnego. I nie istniał na świecie taki odkurzac, który natychmiast mógłby przywrócić wszystkie pokoje jej mózgu do poprzedniego nieskalanego stanu. Niejasny charakter jej doznań, trudność logicznego zrozumienia, dlaczego właściwie

przypadł jej do smaku ten niezgrabny, skwapliwy chłopiec z prowincji z długimi drżącymi palcami i pryszczami pomiędzy jedną brwią a drugą - to wszystko rozdrażniło ją tak bardzo, że gotowa była przeklinać nową zieloną sukienkę położoną na fotelu, tłusty zadek Friedy, która grzebała w najniższej szufladzie komody, i swoje własne posępne odbicie w lustrze. Spojrzała na klejnot, w którym chłodno odbijała się rocznica, i przypomniała sobie, że parę dni temu skończyła trzydzieści cztery lata, i ze szczególną niecierpliwością zaczęła przeglądać się w lustrze, by wysledzić jakąś groźbę zmarszczki, jakąś aluzję do obwisłej skóry. Gdzieś cicho zamknęły się drzwi i skrzypnęły schody (nie powinny były skrzypieć!) i wesołe i fałszywe pogwizdywanie jej męża oddaliło się i zamilkło. „Jest kiepskim tancerzem - pomyślała Marta. - Może i dobrze gra w tenisa, ale zawsze będzie kiepskim tancerzem. Nie lubi tańczyć. Nie rozumie, jakie to dzisiaj modne. Modne i nieodzowne”.

Z głuchą niechęcią do nieudolnej Friedy precyzyjnie przesuwała głowę przez miękkie, zwarty otwór sukienki. Jej zielony cień przemknął przed oczami w dół. Wynurzyła się wyprostowana, pogładziła się po biodrach i poczuła nagle, że na razie jej dusza jest ograniczona i zamknięta szmaragdowym materiałem chłodnej sukienki.

Na dole, na kwadratowym tarasie - z cementową podłogą, z purpurowymi i różowymi astrami na szerokiej balustradzie - na płóciennym fotelu przy ogrodowym stoliku siedział Dreyer, na kolanach miał otwartą książkę, patrzył na ogród. Za ogrodzeniem nieubłaganie czekał już czarny samochód, kosztowny ikar. Nowy szofer, wspierając się łokciami na zewnętrznej stronie ogrodzenia, rozmawiał z ogrodnikiem.

Zimna jasność późnego popołudnia przenikała jesienne powietrze; ostre niebieskie cienie młodych drzew przeżyły się na nasłonecznionym trawniku, wszystkie w tym samym kierunku, jakby chciały przekonać się, który z nich pierwszy dosięgnie białego muru biegnącego z boku ogrodu. Daleko, po drugiej stronie ulicy, bardzo wyraźnie rysowały się pistacjowe fasady czynszowych kamienic, tam to, melancholijnie wsparty na położonej na parapecie czerwonej pikowanej kołdrze, siedział niski, łysy jegomość w samej koszuli. Ogródnik już dwukrotnie chwycił swoje taczki, ale za każdym razem obracał się do szofera. Wreszcie obaj zapalili papierosy. Wiotki dym był doskonale widoczny, kiedy szybował wzdłuż lśniącego czarnego boku samochodu. Cienie przesunęły się chyba nieco dalej, ale słońce wciąż jeszcze tryumfalnie zalewało świat blaskiem nieco na prawo, za rogiem willi hrabiego, która stała trochę wyżej i którą otaczały wyższe drzewa. Tom leniwie kroczył wzdłuż rabat. Jedyne z poczucia obowiązku, bez najmniejszej nadziei na sukces pobiegł za nisko przelatującym wróblem, a potem położył się koło tacek, z nosem na łapach. Samo słowo „taras” - jaka przestrzeń, jaki chłód! Ładny promień pajęczyny biegł skośnie od kwiatu



na rogu balustrady do stojącego przy niej stolika. Obłoki po jednej stronie bladego, czystego nieba miały zabawne loczki, wszystkie były podobne do siebie, jak na morskim horyzoncie, i wszystkie trzymały się razem, zbite w subtelny kierdel. Usłyszawszy wreszcie wszystko, co było do usłyszenia i powiedziawszy wszystko, co było do powiedzenia, ogrodnik ruszył wraz ze swoimi taczkami, z geometryczną precyzją skręcając na skrzyżowaniach wysypanych żwirem ścieżek, Tom podniósł się leniwie i poszedł za nim jak nakręcana zabawka, skręcając tam, gdzie skręcał ogrodnik. *Die toten Seelen* pewnego rosyjskiego pisarza, które od dawna zsuwały się z kolan Dreyera, upadły na płyty podłogi, a on był zbyt leniwy, żeby je podnieść. Jaka przestrzeń, jaki chłód... Pierwsza będzie na pewno jabłoń, o, tamta. Szofer usiadł na swoim siedzeniu w samochodzie. Ciekawe byłoby dowiedzieć się, o czym teraz myśli.

Rano dziwnie mrugał oczami. Czyżby pił? Ale heca - szoferpijaczyna. Obok przeszło dwu mężczyzn w cylindrach - dyplomaci albo grabarze. Cylindry i czarne płaszcze przepłynęły wzdłuż ogrodzenia. Nagle nie wiadomo skąd pojawił się motyl, godna admiracji rusałka admirał, przysiadł na krawędzi stolika, rozchylił skrzydła i zaczął nimi powoli wachlować, jakby oddychał. Ciemnobrązowe tło było gdzieś wytarte, szkarłatne pasmo wyblakło, frędzle się wystrzępiły, ale stworzenie było ciągle takie urocze, takie odświeżone...

### III

W poniedziałek Franz zaszalał: nabył, jak zapewniał go optyk, produkt amerykański. Oprawka zrobiona była z szylkretu - z tym zastrzeżeniem, że skorupę żółwia imituje się często i na wiele sposobów. Kiedy wstawiono odpowiednie szkła i Franz włożył swoje nowe okulary, poczuł w sercu otuchę i spokój. W sercu i za uszami.

Mgła się rozproszyła. Niesforne kolory wszechświata trafiły znowu do swoich właściwych pomieszczeń i cel.

Aby osiąść i wzmocnić swoją pozycję w świeżo wytyczonym świecie, trzeba było zrobić jeszcze jedną rzecz: trzeba było znaleźć sobie miejsce stałego pobytu. Na twarzy Franza pojawił się pobłażliwy i zadowolony z siebie uśmiech, kiedy przypomniał sobie wczorajsze słowa Dreyera, który obiecywał, że zapłaci za różne luksusy. Wujaszek Dreyer był nieco fantastyczną, lecz wielce przydatną instytucją. Ma zresztą całkowitą rację: bo i jak mógłby sobie Franz poradzić bez porządnych ubrań? Najpierw jednak - pokój.

Słońce tego dnia nie świeciło. Trzeźwym chłodem wiało od zawieszzonego nisko nad ziemią bezbarwnego nieba. Berlińskie taksówki okazały się ciemnozielone (bardzo ciemna zieleń), a ich drzwi ukośnie przecinało pasmo czarnobiałych, jakby wziętych z szachownicy kwadracików. Tu i ówdzie wisiała świeżo pomalowana na cześć jesieni skrzynka pocztowa,

wyjątkowo na wygląd błyszcząca i lepka.

Rozczarowały go cisza i spokój, jakie panowały na ulicach w tej dzielnicy, wielkowiejskie ulice powinny przecież być inne. Zabawne było zapamiętywanie ich nazw i lokalizacji przydatnych sklepów i instytucji - apteki, spożywczego, poczty, posterunku policji. Dlaczego Dreyerowie upierają się przy tym, żeby mieszkać tak daleko od centrum? Nie podobało mu się, że tak dużo było tu nie zabudowanej przestrzeni, parczków i skwerów, tak dużo sosen i brzoź, placów budowy i ogrodów warzywnych. Za bardzo przypominało to jego rodzinne ostępy. Zdawało mu się, że rozpoznaje Toma w psie prowadzonym przez pulchną, ale brzydką służącą. Dzieci grały w piłkę lub podcinały bacikami baki na asfalcie. On też tak się kiedyś bawił.

Tylko jedno mówiło mu, że naprawdę znajduje się w metropolii: niektórzy przechodnie nosili wspaniałe stroje! Na przykład pumpy wydymały się pod kolanem, by szczególnie smukła wydawała się łydka w wełnianej pończosze. Takiego fasonu nie widywał nigdy przedtem, chociaż chłopcy w jego stronach rodzinnych także nosili tego rodzaju spodnie. Trafił się też bogaty lalusz w dwurzędowej marynarce, bardzo szerokiej w ramionach i wyjątkowo wąskiej w biodrach, i spodniach z niewiarygodnie słoniowatymi nogawkami, których niesamowite dolne krańce niemal całkowicie zakrywały buty. Kapelusze też były wspaniałe. I ozdobne krawaty. I dziewczyny, dziewczyny. Jaki dobry jest Dreyer!

Szedł wolno, kiwając głową, cmokając, co chwila rozglądając się dokoła. „Co za ślicznotki, tylko by je całować” - myślał niemal na głos i ze świstem oddychał przez zaciśnięte zęby. Ależ łydki! Ależ tyłeczki! Zwariować można!

W rodzinnym mieście, chodząc do przesyty znanymi ulicami, doświadczał wielokrotnie w ciągu dnia tej samej udręki, reagując boleśnie na ten ulotny urok.

Wtedy jednak, z powodu chorobliwej nieśmiałości, nie mógł się zdobyć na zbyt natarczywe spojrzenie. Tutaj to co innego. Tu przebrany był za kogoś obcego, tu dziewczęta były dostępne (znowu ten świst), przyzwyczajone do pełnych pożądliwości spojrzeń, pozwalały na nie, można było każdą z nich zaczepić i zacząć błyskotliwą i brutalną rozmowę. Tak właśnie zrobi, ale najpierw musi sobie znaleźć pokój, w którym mógłby zerwać z niej ubranie i posiąść ją. Czterdzieści do pięćdziesięciu marek - powiedział Dreyer. Czyli przynajmniej pięćdziesiąt.

Franz postanowił działać systematycznie. Na drzwiach mniej więcej co trzeciego domu tekturowe ogłoszenie informowało o pokojach do wynajęcia.

Popatrzył na nowo kupiony plan miasta, raz jeszcze sprawdził odległość od willi wujka i uznał, że jest ona wystarczająco nieduża. Przyciągnął go ładny, wyglądający na nowy,

dom z ładnymi zielonymi drzwiami, do których przytwierdzona była biała kartka; wesoło zadzwonił. Dopiero kiedy nacisnął guzik dzwonka, zauważył, że na karteczce napisane jest: „Świeżo malowane”! Było już jednak za późno. Po prawej stronie otworzyło się okno. Dziewczyna w czarnej halce, ostrzyżona na pazia, z obnażonymi ramionami, przyciskając do piersi białego kotka, spojrzała uważnie na Franza. Poczł nagle, że ma w ustach sucho. Dziewczyna była urocza: prosta szwaczka, bez wątpienia, ale urocza i - miejmy nadzieję - niezbyt kosztowna.

- Pan do kogo? - spytała.

Franz przełknął ślinę, uśmiechnął się głupawo i powiedział z niespodziewaną beczelnością, która jego samego zaraz zbiła z tropu: - Może do pani, co?

Spojrzała na niego z ciekawością.

- No - powiedział z zakłopotaniem - proszę mnie wpuścić.

Dziewczyna odwróciła się, słyhać było jak mówi do kogoś w pokoju: - Nie wiem, czego chce. Lepiej sam go spytaj.

Ponad jej ramieniem pojawiła się głowa starszego mężczyzny z fajką w zębach.

Franz nasunął kapelusz na oczy, obrócił się na pięcie i odszedł. Zdał sobie sprawę, że ciągle okropnie wyszczerza zęby i wydaje z siebie cichy jęk. „Bzdura - pomyślał ze wściekłością - nic się nie stało. Już zapomniane”.

Dwie godziny zajęło mu obejrzenie jedenastu pokoi w czterech różnych ciągach domów. Ściśle mówiąc, wszystkie były wspaniałe. Każdy jednak miał jakiś drobny mankament. W jednym na przykład było jeszcze nie posprzątane, a poza tym patrząc w tępe oczy kobiety w żałobie, która odpowiadała na jego pytania z jakąś apatyczną rozpaczą, Franz uznał, że właśnie w tym pokoju, który podstępnie mu proponowała, dopiero co umarł jej mąż. Inny pokój miał bardzo prostą wadę: czynsz wynosił o pięć marek więcej niż suma wymieniona przez Dreyera, poza tym pokój był doskonały. W trzecim okazało się, że na ścianach są brązowe plamy, a w rogu leży pułapka na myszy. Czwarty znajdował się blisko śmierdzącej toalety, do której można się było dostać tylko z korytarza i której używała rodzina sąsiada. Piąty... Ale wyjątkowo szybko te pokoje ze wszystkimi ich plusami i minusami pomieszały się w umyśle Franza ze sobą, tylko jeden pozostał nietknięty i wyraźny: ten za pięćdziesiąt pięć marek miesięcznie. Poczł nagle, że nie ma sensu ciągnąć dalej poszukiwań i że tak czy owak sam nie zdoła podjąć decyzji z obawy przed dokonaniem niewłaściwego wyboru i utratą miliona innych możliwości; z drugiej strony trudno było wyobrazić sobie coś lepszego niż pokój, który przypadł mu do gustu. Okno wychodziło na spokojną boczną uliczkę, przy której były delikatesy. Na rogu budowano coś podobnego do

pałacu, co - jak mówił gospodarz - będzie kinem. Ta budowa ożywiała okolicę. Obraz wiszący nad łóżkiem przedstawiał nagą dziewczynę, która pochylała się do przodu, żeby umyć sobie piersi w mglistym stawie.

„Dobra - pomyślał. - Już za piętnaście pierwsza. Czas na jakiś posiłek. Mam świetny pomysł: pójde zjeść coś u Dreyerów. Spyta ich, na co powinienem zwracać szczególną uwagę, podejmując decyzję, spyta też, czy nie uważają, że dodatkowych pięć marek...”

Inteligentnie posługując się planem (i obiecując sobie, że jak tylko załatwi swoje sprawy, pojedzie metrem do najweselszej części tego rozrastającego się miasta), bez trudu dotarł do willi. Była ziarnistoszara i miała solidny, zwarty, można by nawet powiedzieć, apetyczny wygląd. Z młodych jabłonek w ogrodzie zwisały całe kiście czerwonych jabłek. Kiedy szedł chruszczącą ścieżką, zobaczył Martę, która stała na stopniu ganku. Miała na sobie kapelusz i futro z kretów i sprawdzała dwuznaczną biel nieba, próbując się zdecydować, czy ma otworzyć parasol, czy nie. Nie uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła Franza.

- Męża nie ma w domu - powiedziała, utkwivszy w nim spojrzenie swoich pięknych, zimnych oczu. - Je dzisiaj obiad na mieście.

Franz rzucił okiem na torebkę, sterczącą jej spod pachy, na sztuczny fioletowy bratek przypięty do potężnego kołnierza jej futra i na krótką, grubą parasolkę z błyszczącą gałką i domyślił się, że i ona wychodzi.

- Przepraszam, że panią niepokoję - powiedział, przeklinając w duchu swój pech.

- Ależ nic nie szkodzi - powiedziała Marta i oboje ruszyli ku bramie. Franz zastanawiał się, co powinien teraz zrobić - powiedzieć „do widzenia”? Iść z nią dalej?

Marta z niezadowoloną miną patrzyła wprost przed siebie, jej pełne ciepłe usta były na wpół rozchylone. Szybko je polizala i powiedziała: - Fatalnie się złożyło. Muszę iść piechotą. Wczoraj rozbił się nasz samochód.

Istotnie, w drodze z herbatki i tańców do domu zdarzył się poprzedniego wieczoru nieprzyjemny wypadek. Przy niefortunnej próbie wyprzedzenia ciężarówka szofer najpierw uderzył w drewnianą barierkę odgradzającą miejsce naprawy torów tramwajowych, a potem gwałtownie skręciwszy, otarł się o bok ciężarówki; ikar obrócił się dokoła swojej osi i z trzaskiem wpadł na słup. Podczas tego motoryzacyjnego szaleństwa Marta i jej mąż przybierali wszelkie możliwe pozycje, by w końcu znaleźć się na podłodze. Dreyer spytał współczująco, czy nic jej się nie stało.

Wstrząs, poszukiwania rozsypanych koralii, gromada gapiów, ordynarny wygląd rozbitego samochodu, kierowca ciężarówka, gbur z niewyparzoną gębą, arogancki policjant, którego nie bawiły żarty Dreyera - wszystko to wprawiło Martę w taką irytację, że musiała

zażyć dwie pigułki nasenne, a i tak spała tylko dwie godziny.

- Dziwię się, że nie zginęłam - powiedziała ponuro. - Nawet nasz szofer nie jest ranny, czego należy żałować.

I powoli wyciągając rękę, pomogła Franzowi otworzyć furtkę, którą na próżno popychał i szarpał.

- Nie ma dwóch zdań, samochody to niebezpieczne zabawki - powiedział dyplomatycznie. Była już najwyższa pora, żeby się pożegnać.

Marta zauważyła jego niezdecydowanie. Podobało jej się to.

- W którą stronę pan idzie? - spytała, przekładając parasolkę z prawej ręki do lewej. Jego okulary były bardzo twarzowe. Przypominał Hessa, aktora, który grał w filmie Hinduski student.

- Sam nie wiem - powiedział Franz, uśmiechając się bez skrępowania. - Właściwie to przyszedłem, żeby się poradzić wujka w sprawie pokoju.

Pierwszy „wujek” wyszedł nieprzekonywająco i Franz postanowił przez jakiś czas nie powtarzać tego słowa, żeby mogło dojrzeć na swojej gałązce.

- Ja też mogę pomóc - powiedziała Marta. - Z czym ma pan trudności?

W niezauważalny sposób poruszyli się, szli teraz powoli po szerokim chodniku, na którym tu i ówdzie leżały kasztany i ich rozbite łupiny oraz podobne do szponów suche liście. Franz wytarł nos i zaczął opowiadać Marcie o pokoju.

- Co? To niesłychane - przerwała mu. - Pięćdziesiąt pięć? Na pewno można trochę utargować.

Franz poczuł dreszcz zbliżającego się tryumfu, ale postanowił nie działać zbyt pochopnie.

- Gospodarz to stary kutwa, ma węża w kieszeni, sam diabeł nic by tu nie wskórał, nie ustąpi.

- Wie pan co? - powiedziała nagle Marta. - Mogłabym tam pójść i porozmawiać z nim.

Franz szalał z radości. Ale miał szczęście! Nie mówiąc już o tym, jak wspaniale jest iść tak razem z tą czerwonowargą pięknoscią w futrze z kretów! Ostre jesienne powietrze, szmer opon - to się nazywa życie! Gdyby jeszcze miał nowy garnitur i jaskrawy krawat, byłby absolutnie szczęśliwy.

- Gdzie bawi dzisiaj pan Tom? - spytał. - Wydaje mi się, że widziałem go na spacerze.

- Nie, jest zamknięty w szopie ogrodnika. To dobry pies, ale wariat.

Zawsze powtarzam, że psy to miłe zwierzęta, pod warunkiem, że są czyste.

- Koty są czystsze - powiedział Franz.

- Nie znoszę kotów. Psy rozumieją, kiedy się je skarci, a koty są beznadziejne - żadnego kontaktu z istotami ludzkimi, żadnej wdzięczności, nic.

- Zastrzeliliśmy sporo bezdomnych kotów u mnie w miasteczku. Mój kolega i ja. Zwłaszcza wiosną nad rzeką.

- Coś mi się stało z lewym obcasem - powiedziała Marta. - Proszę mnie podtrzymać przez chwilę.

Położyła dwa lekkie palce na jego ramieniu i patrzyła w dół i do tyłu. Drobiazg.

Czubkiem parasolki zeszkrobała zeschnięty liść, który przykleił się jej do obcasa.

Doszli do placu. Przynajmniej dwie fabuły, dotyczące przyszłych dziejów nowego domu na rogu, dawały się dostrzec przez rusztowanie chwili obecnej.

Marta wskazała na coś parasolką.

- Znamy - powiedziała - faceta, który pracuje dla wspólnika dyrektora kompanii filmowej, budującej ten budynek.

Nie będzie gotowy przed przyszłym rokiem. Robotnicy ruszali się jak we śnie.

Franz gorączkowo torturował swój umysł, starając się znaleźć lepszy temat rozmowy. Zbieg okoliczności!

- Ciągle nie mogę zapomnieć tego naszego spotkania w pociągu, to takie dziwne. Wprost niewiarygodne!

- Tak, zbieg okoliczności - powiedziała Marta, myśląc o swoich sprawach.

- Proszę posłuchać - powiedziała, kiedy zaczęli się wspinać na piąte piętro po stromych, brudnych schodach - wolałabym, żeby mój mąż nie dowiedział się, że panu pomagam. Nic się za tym nie kryje. Po prostu wolałabym i koniec.

Franz skłonił głowę. To nie jego sprawa. Ciekaw był jednak, czy to, co powiedziała, powinno mu schlebiać, czy go urazić. Już od dłuższej chwili stali przed drzwiami. Nikt nie odpowiedział na dzwonek. Franz zadzwonił znowu. Drzwi gwałtownie się otworzyły. Wynurzyła się z nich zmięta twarz niskiego staruszka ze zwisającymi szelkami i bez kołnierzyka; w milczeniu wpuścił ich do środka.

- To znowu ja - powiedział Franz. - Chciałbym jeszcze raz obejrzeć pokój.

Staruszek szybko zasalutował, tak przynajmniej można było odczytać jego gest, i poczłapał w głąb długiego mrocznego korytarza.

„O Boże, co za nora” - z odrazą pomyślała Marta. Czy dobrze zrobiła, że tu przyszła? Wyobraziła sobie złośliwy uśmiech męża: robiłaś mi wymówki, a teraz sama mu pomagasz.

Pokój okazał się jednak dosyć jasny i czysty. Pod ścianą po lewej stronie stało drewniane łóżko, prawdopodobnie ze skrzypiącymi sprężynami, umywalka i piec. Po prawej -

dwa krzesła i pretensjonalny fotel obciążony nadjeżdżonym przez mole pluszem. Na środku stał niewielki stół, a w rogu tkwiła komoda. Nad łóżkiem wisiał obraz. Franz z zakłopotaniem utkwiał w nim wzrok. Trzech wahających się lubieżników łypało na wystawioną na sprzedaż niewolnicę z obnażonymi piersiami. To było jeszcze bardziej artystyczne niż kąpiąca się wrześniowa nimfa. Nimfę musiał widzieć w jakimś innym pokoju, tak, oczywiście, w tym, w którym nieprzyjemnie pachniało.

Marta pomacała materac. Był mocny i twardy. Zdjęła jedną rękawiczkę, przesunęła dłoń po nocnym stoliku i przyjrzała się opuszcze swojego palca. Z dwóch aparatów radiowych na dwóch różnych piętrach dobiegała melodia *Czarnookiej Nataszy*, popularnej piosenki, mieszając się wesoło z muzycznym hałasem robót budowlanych gdzieś na zewnątrz.

Franz spojrział z nadzieją na Martę. Wymierzyła parasolkę w gołą prawą ścianę i wypranym z emocji głosem spytała, nie patrząc na staruszka: - Dlaczego zabrał pan kanapę? Najwyraźniej coś tu dawniej stało.

- Zaczęła się zapadać, jest teraz w naprawie - odrzekł staruszek i przekrzywił głowę.

- Później ją pan wstawi - stwierdziła Marta, podniosła wzrok i na chwilę zapaliła światło. Staruszek także spojrział w górę.

- Dobrze - powiedziała Marta i znowu wyciągnęła do przodu parasolkę. - Oczywiście daje pan pościel.

- Pościel? - powtórzył ze zdziwieniem staruszek. Potem, przekrzywiając głowę w drugą stronę, zacisnął usta, przez chwilę myślał i wreszcie odpowiedział: - Tak, znajdzie się to i owo.

- A co z obsługą lokatora, sprzątnięciem?

Staruszek wałnął się w pierś.

- Wszystko robię - powiedział. - Wszystko załatwiam. Sam jeden.

Marta podeszła do okna, spojrziała na wiozącą deski ciężarówkę i wróciła w głąb pokoju.

- A ile pan sobie wieszkuje? - spytała obojętnie.

- Pięćdziesiąt pięć - raźno odparł staruszek.

- Włączając opłatę za elektryczność i poranną kawę?

- Czy ten pan ma pracę? - spytał staruszek, skinąwszy głową w stronę Franza.

- Tak - bezzwłocznie odpowiedział Franz.

- Pięćdziesiąt pięć za wszystko - powiedział staruszek.

- To drogo - powiedziała Marta.

- Wcale nie drogo - powiedział staruszek.

- To wyjątkowo drogo - powiedziała Marta.

Staruszek uśmiechnął się.

- No cóż - ze wzruszeniem ramion westchnęła Marta i obróciła się do drzwi.

Franz zrozumiał, że pokój odplywa na zawsze. Miętosił i męczył swój kapelusz, próbując złowić spojrzenie Marty.

- Pięćdziesiąt pięć - melancholijnie powtórzył staruszek.

- Pięćdziesiąt - powiedziała Marta.

Staruszek otworzył usta i znowu je mocno zacisnął.

- Zgoda - powiedział wreszcie. - Ale o jedenastej światło powinno być wyłączone.

- Oczywiście - wmieszał się Franz. - Oczywiście, rozumiem doskonale.

- Kiedy chce się pan wprowadzić? - spytał gospodarz.

- Dzisiaj, zaraz - powiedział Franz. - Muszę tylko przynieść walizkę z hotelu.

- A jakaś mała zaliczka? - z subtelnym uśmiechem zaproponował staruszek.

Sam pokój zdawał się uśmiechać. Dziwnie było przypomnieć sobie poddasze, na którym upłynęły Franzowi dni chłopięce. Matka przy maszynie Singera i on, próbujący zasnąć. Jak mógł to tak długo znosić? Kiedy znowu znaleźli się na ulicy, w jego świadomości zostało ciepłe wgłębienie, jakby wydrążone przez jego nowy pokój zanurzający się w miękką masę drobniejszych wrażeń. Żegnając się z nim na rogu, Marta ujrzała za jego okularami błysk wdzięczności. A kiedy skierowała się do fotografa, żeby oddać do wywołania kilka zdjęć z Tyrolu, wspominała rozmowę z uzasadnioną dumą.

Zaczęło mżyć. Drzwi kwaciarni, starających się złowić wilgoć, otworzyły się szeroko. Teraz już naprawdę padało. Nie mogła znaleźć taksówki, kroplom deszczu udało się przedostać pod parasolkę i zmyć Marcie puder z nosa. Tępy niepokój zastąpił uniesienie. Zarówno dzień wczorajszy, jak i dzisiejszy były jakieś nowe i bezsensowne; i niejasno rysowały się zdecydowanie niezbyt czytelne, ale pełne znaczenia kontury. I jak ciemny roztwór, w którym będą się za chwilę kąpać i nabierać ostrości górskie widoki, ten deszcz, ta delikatna deszczowa wilgoć wywołały w jej duszy błyszczące obrazy. Jeszcze raz przemoczony do ostatniej nitki, ognisty, mocny, niebieskooki mężczyzna, wakacyjny znajomy jej męża, wykorzystywał oberwanie chmury w Zermatt, by zawadiacko wcisnąć ją w jakiś zakamarek ganku i przypierając ją do ściany, urywanym głosem mówić jej o swojej namiętności i nieprzespanych nocach, ale ona potrząsała głową i mężczyzna zniknął za rogiem pamięci. Jeszcze raz ten zwariowany malarz, rozmarzony drań z brudnymi paznokciami, przyciskał w jej salonie wargi do jej obnażonej szyi, a ona czekała chwilę, by przekonać się, co czuje, i stwierdzając, że nie czuje nic, uderzała go łokciem w twarz. Jeszcze raz - ten obraz



był świeży - bogaty kupiec, Amerykanin z niebieskawosiwymi włosami i długą górną wargą, mamrotał, bawiąc się jej ręką, że z pewnością przyjdzie do jego pokoju hotelowego, a ona uśmiechała się i niejasno żałowała, że jest cudzoziemcem. W towarzystwie tych przypadkowych widm, szybko dotykających ją zimnymi rękami, dotarła do domu. Wstrząsnęła ramionami i zrzuciła je z siebie, cisnęła je w kąt, tak jak cisnęła w kąt otwartą parasolkę: zostawiła ją na ganku, żeby wyschła.

- Co za idiotka ze mnie - powiedziała. - O co chodzi? Co mi jest? Po co się zadręczać. Wcześniej czy później musiało się to zdarzyć. To nieuniknione.

Jej nastrój znowu się zmienił. Z zadowoleniem zbeształa Friedę za to, że pies wśliznął się jakoś z powrotem do domu i zostawił brudne ślady na dywanie. Przy herbacie pochłonęła mnóstwo małych kanapek. Zadzwoiła do firmy wynajmującej pojazdy mechaniczne, żeby sprawdzić, czy mąż, zgodnie z obietnicą, postarał się o samochód. Zadzwoiła do kina, żeby zarezerwować dwa bilety na piątkową premierę.

Potem zadzwoniła do męża, a potem do niemłodej pani Hartwig, kiedy okazało się, że mąż będzie przez cały czas zajęty. A Dreyer istotnie był bardzo zajęty. Tak zaabsorbowała go niespodziewana oferta pewnego przedsiębiorstwa, tak wciągnęły ostrożne pertraktacje i pełne wzajemnej uprzejmości rozmowy, że przez kilka dni nie pamiętał o Franzu. Czy też raczej przypominał sobie o nim w niestosownych momentach - kiedy odpoczywał pogrążony po szyję w ciepłej wodzie, kiedy jechał z biura do fabryki, kiedy palił w łóżku papierosa. Franz pojawiał się, gwałtownie gestykulując, na niewłaściwym końcu teleskopu jego umysłu. Dreyer obiecywał mu w myśli, że wkrótce się nim zajmie i natychmiast zaczynał dumać o czym innym.

Franzowi w niczym to nie pomagało. Kiedy minęło pierwsze miłe podniecenie nowym mieszkaniem, spytał sam siebie, co ma robić dalej. Marta zanotowała telefon jego gospodarza, ale nic z tego nie wynikło. Sam nie miał odwagi zatelefonować ani nie miał odwagi wstąpić do Dreyerów bez zapowiedzi, nie dowierzając losowi, który ostatnio tak wspaniale przemienił w tryumf klęskę jego niewczesnej wizyty. Trzeba czekać. Z pewnością prędzej czy później zostanie wezwany, ale zwłoka nie była przyjemna. Już pierwszego ranka o wpół do ósmej gospodarz przyniósł mu osobiście lepką filiżankę słabej kawy i dwie kostki cukru, które leżały na spodeczku - jedna miała brązowy brzeżek. Surowym tonem powiedział przy tym: - Niech się pan tylko czasem nie spóźni do pracy, proszę ją wypić i niech pan zaraz wskakuje w swoje ubranie. Proszę nie spuszczać wody w klozecie zbyt energicznie. Niech pan uważa, żeby się nie spóźnić.

Franz uznał, że może zrobić tylko jedno: wyjść z domu na cały dzień, żeby odegrać

rolę, którą wymyślił dla niego staruszek, poczekać do piątej lub szóstej, a później przekąsić coś na mieście i wrócić do domu. W ten sposób zmuszony był poznawać miasto czy raczej tę jego część, która zdawała mu się najbardziej wielkowiejska. Fakt, że wędrówki te były wymuszone, zatruwał przyjemność nowości.

Wieczorami był zbyt zmęczony, by wcielić w czyn swój projekt, swój dawno przemyślany wspaniały projekt: przejść się po pełnych pokus ulicach i wstępnie, ale dokładnie przyjrzeć się prawdziwym ladacznicom. Ale jak się tam dostać? Jego plan miasta wydawał się jakiś osobliwy i zwodniczy. Pewnego bezchmurnego dnia zawędrował dosyć daleko i znalazł się na szerokiej, ponurej alei, przy której mieściło się sporo biur żeglugi parowej i sporo galerii sztuki; spojrzął na tabliczkę z nazwą i uświadomił sobie, że była to sławna na cały świat aleja, która w marzeniach wydawała mu się taka wspaniała. Dość rachityczne lipy traciły właśnie liście. Uskrzydłony łuk tryumfalny na jednym końcu alei cały był w rusztowaniach. Przeszedł przez asfaltową pustynię. Ruszył wzdłuż kanału: na wodzie unosiła się w jednym miejscu tęcza plama benzyny, upajający zapach miodu, przypominający mu dzieciństwo, dolatywał z barki, z której mężczyźni w różowych koszulkach wyładowywali góry gruszek i jabłek; z mostu dostrzegł dwie kobiety w połyskujących czepkach kąpielowych, z premedytacją prychające i rytmicznie wyrzucające do przodu ramiona - płynęły jedna przy drugiej. Dwie godziny spędził w muzeum starożytności, z przerażeniem oglądając posągi i sarkofagi, i obrzydliwe profile śniadych mężczyzn powożących rydwanami. Długo odpoczywał w nędznych knajpkach i na całkiem wygodnych ławkach w niezmiernie rozległym parku. Zanurzył się w głębinach kolejki podziemnej i usadowiony na pokrytych czerwoną skórą siedzeniach, patrzył na błyszczące drągi, po których przemykały złociste odbicia; z niecierpliwością czekał, aż skończy się czarny jak węgiel, stukotliwy mrok i aż zastąpi go wreszcie raj luksusu i grzechu - raj, który ciągle mu się wymykał. Bardzo chciał też znaleźć ten ogromny należący do Dreyera dom towarowy, o którym z taką rewerencją mówiono w jego miasteczku. W grubaśnej książce telefonicznej były jednak tylko numery i adresy domu i biura.

Najwyraźniej musi się jakoś specjalnie nazywać. I pozostając w nieświadomości, że centrum przesunęło się na zachód, Franz smętnie włóczył się po ulicach w środku miasta i w dzielnicach leżących na północy, gdzie, jego zdaniem, powinny się znajdować najelegantsze sklepy i ośrodek najbardziej ożywionego handlu.

Nie śmiał niczego kupić i to go dręczyło. Przez ten krótki okres zdążył już wydać sporo pieniędzy, a Dreyer zniknął. Wszystko było jakieś niepewne, wszystko nappełniało go niepokojem. Próbował zaprzyjaźnić się z gospodarzem, który tak zdecydowanie wyrzucał go

z domu na cały dzień, ale staruszek okazał się małowówny i ciągle czaił się w nieznanach głębinach swego niewielkiego mieszkania. Pierwszego wieczoru jednak spotkał Franza w korytarzu i przypomniał, że wodę należy spuszczać w klozecie bardzo delikatnie, bo inaczej urwie się łańcuszek przy rezerwuarze i długo wyjaśniał mu sekrety miejscowego posterunku policji, dla którego lokator miał wypisać na jakichś formularzach swoje imię i nazwisko, stan cywilny i miejsce urodzenia.

- I jeszcze jedno - powiedział staruszek - chodzi o tę pana przyjaciółeczkę.

Nie może tu pana odwiedzać. Wiem, że jest pan młody. I ja kiedyś byłem młody.

Chętnie pozwoliłbym panu, ale jest jeszcze, widzi pan, moja żona - chwilowo bawi poza domem, ale wiem, że nigdy nie zgodziłaby się na takie wizyty.

Franz poczerwieniał i szybko kiwnął głową na znak, że rozumie. Podejrzanie jego gospodarza pochlebilo mu i podziało ekscytująco. Wyobraził sobie jej wonne usta, które wyglądały na takie ciepłe i jej śmietankową skórę, ale przerwał gwałtownie zwykły w takich razach przypływ pożądania. „Ta kobieta nie jest dla mnie - pomyślał ponuro - jest taka daleka i zimna. Żyje w innym świecie z bardzo bogatym i ciągle pełnym wigoru mężem. Kazałaby mi się natychmiast spakować, gdybym na coś się ośmielił, moja kariera ległaby w gruzach”. Z drugiej strony - myślał - mógłby sobie jednak znaleźć jakąś dziewczynę. Ona także byłaby kształtna, lśniąca, miałaby dojrzałe wargi i ciemne włosy. I mając to na względzie, postanowił podjąć pewne kroki. Rano, kiedy gospodarz przyniósł mu kawę, Franz odchrząknął i powiedział: - Proszę pana, gdybym płacił panu niewielki dodatek, czy byłby pan skłonny...

Czy pozwoliłby pan... To znaczy, czy mógłbym przyjmować, kogo chcę?

- To zależy - powiedział staruszek.

- Kilka dodatkowych marek - powiedział Franz.

- Rozumiem - powiedział staruszek.

- Pięć marek miesięcznie więcej - powiedział Franz.

- To całkiem nieźle - powiedział staruszek i obracając się do drzwi, dodał chytrym moralizatorskim tonem - Ale niech się pan pośpieszy, bo spóźni się pan do pracy.

W ten sposób całe targowanie się Marty ostatecznie zdało się na nic. Decydując się płacić w sekrecie dodatkową sumkę, Franz doskonale wiedział, że postępuje nierozważnie. Pieniądze topniały, a telefonu od Dreyera jak nie było, tak nie było.

Przez cztery dni opuszczał dom punktualnie o ósmej i wracał o zmroku, pogrążony we mgle zmęczenia. Miał już całkowicie dość słynnej alei. Wysłał do matki kartkę z widokiem Bramy Brandenburskiej, napisał, że czuje się świetnie i że wujek Dreyer to bardzo dobry człowiek. Nie było sensu jej straszyć, choć może i na to zasługiwała. Coś się zdarzyło dopiero

w piątek wieczorem, kiedy Franz leżał już w łóżku i powtarzał sobie drżącym z przerażenia głosem, że wszyscy o nim zapomnieli, że jest zupełnie sam w obcym mieście, i z jakąś złośliwą radością myślał, że skończy z wiernością promiennej Marcie, która patronowała jego nocnemu folgowaniu sobie, i poprosi starego lubieżnika Enrichta, żeby pozwolił mu się wykąpać w lepiącej się od brudu wannie i wytłumaczył, jak dotrzeć do najbliższego burdelu. W tej właśnie chwili Enricht sennym głosem zawołał go do telefonu.

W straszliwym pośpiechu i podnieceniu Franz wciągnął na siebie spodnie i bosa wypadł z pokoju. Kufrowi udało się walnąć go w kolano, kiedy pędził ku blaskowi aparatu telefonicznego w końcu korytarza. Zapewne dlatego, że nie był przyzwyczajony do telefonów, nie mógł początkowo zidentyfikować skrzeczącego mu w ucho głosu.

- Przyjdź do mnie natychmiast - powiedział wreszcie głos wyraźnie.

- Słyszysz mnie? Pośpiesz się z łaski swojej, czekam na ciebie.

- Ach, dzień dobry, dzień dobry - zaszczebotał Franz, ale telefon był już martwy.

Dreyer zamaszyście odłożył słuchawkę i jął szybko zapisywać kolejne pozycje na liście spraw, które powinien załatwić następnego dnia.

Potem spojrzął na zegarek i pomyślał, że żona może wrócić z kina w każdej chwili. Potarł czoło i z szelmowskim uśmiechem wyjął z szuflady pęk kluczy i podobną do parówki latarkę z wylupiastym okiem. Ciągle miał na sobie płaszcz, nie zdejmując go, poszedł prosto do swojego gabinetu, jak zawsze, kiedy spieszo mu było coś zapisać albo do kogoś zadzwonić. Z hałasem przesunął krzesło i zaczął zdejmować swój obszerny płaszcz z wielbłądziej wełny, idąc przy tym do holu, żeby go tam powiesić. Do jego potężnej kieszeni wrzucił klucze i latarkę. Tom, który leżał przy drzwiach, wstał i zaczął się ocierać swoją miękką głową o nogę Dreyera. Dreyer głośno zamknął się w łazience, gdzie na pobielonej ścianie drzemało kilka zgrzybiałych komarów. W chwilę potem, odwijając i zapinając na nadgarstkach rękawy, już innym, powolnym, domowym krokiem udał się do jadalni.

Stół nakryty był na dwie osoby, ciemnoczerwona szynka westfalska odpoczywała na półmisku, otoczona mozaiką plasterków kielbasy. Duże winogrona, wypełnione po brzegi zielonkawym światłem, zwisały z krawędzi wazy. Dreyer urwał sobie jedno i wrzucił do ust. Spojrzął z ukosa na salami, ale postanowił poczekać na Martę. W lustrze odbiły się jego szerokie plecy, otulone popielatą flanelą, i rudawe pasma gładko wyszczotkowanych włosów. Szybko się odwrócił, jak gdyby czując na sobie czyjeś spojrzenie, i odsunął się w bok. W lustrze pozostał tylko biały róg stołu na czarnym tle, złamanym krystalicznym połyskiem na kredensie. Z dalekiego zakamarka ciszy dobiegł go słaby dźwięk: jakiś kluczyk szukał wrażliwego punktu ciszy, znalazł i przebił ten punkt, przekręcił się z chrzęstem i wszystko

ożyło. Przez lustro przeszło - raz, drugi - popielate ramię Dreyera, który głodnym krokiem krążył wokół stołu. Trzasnęły drzwi frontowe i weszła Marta. Oczy jej błyszczały, mocno wytarła nos przesyconą zapachem perfum Chanel chusteczką. Za nią wszedł zupełnie już rozbudzony pies.

- Siadaj, siadaj, najdroższa - powiedział z animuszem Dreyer i włączył sprytny prąd elektryczny, żeby zagrzać wodę na herbatę.

- Świetny film - powiedziała. - Hess był wspaniały, chociaż chyba bardziej podobał mi się w *Księżciu*.

- W czym?

- Och, pamiętasz przecież, student z Heidelbergu przebrany za hinduskiego księcia.

Uśmiechnęła się. W rzeczy samej uśmiechała się ostatnio dość często, co ogromnie cieszyło Dreyera. Znajdowała się w niezwykle miłej sytuacji człowieka, któremu obiecano w niedalekiej przyszłości wielką, tajemniczą przyjemność. Chciała trochę poczekać, wiedząc, że przyjemność jest pewna. Tego dnia wynajęła malarzy, każąc im ożywić południową ścianę tarasu. Scena bankietu na filmie wzbudziła w niej uczucie głodu, zamierzała teraz sprzeniewierzyć się swojej diecie, a potem rzucić się na łóżko i być może dać wreszcie Dreyerowi to, co mu się należało.

Rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi frontowych. Tom zaszczekał z animuszem.

Marta ze zdziwieniem uniosła brwi. Dreyer wstał ze zduszonym śmiechem i poszedł, ciągle przeżuując jedzenie, do holu.

Na wpół obróciła się do drzwi, trzymając podniesioną filiżankę. Kiedy Franz, żartobliwie poszturchiwany przez Dreyera, wszedł do jadalni, strzelił obcasami i szybko do niej podszedł, rozpromieniła się tak pięknie, jej usta rozbłysły tak ciepło, że w duszy jej męża zaczął ogłuszająco klaskać wesoły tłum, Dreyer pomyślał, że po takim uśmiechu wszystko musi pójść dobrze: Marta, jak niegdyś to robiła, zadyszany głosem opowie mu szczegółowo cały niemądry film i będzie to przygotowanie i cena uległych pieszczoł; a w niedzielę, zamiast grać w tenisa, będzie z nią jeździł konno po szeleszczącym, nakrapianym słonecznym blaskiem, pomarańczowoczerwonym parku.

- Przede wszystkim, mój drogi - powiedział, odsuwając dla siostrzeńca krzesło - musisz coś przekąsić. I nie pogardzisz chyba kropelką wiśniówki.

Franz jak automat gwałtownie wyciągnął nad stołem rękę, celując w proponowany mu kieliszek, i przewrócił smukły wazon z obfitą brązową różą („który dawno należało stąd zabrać” - pomyślała Marta). Uwolniona z więzienia woda rozlała się na obrus.

Franz był teraz całkiem zbity z tropu - nic dziwnego. Po pierwsze, nie spodziewał się

zobaczyć Marty. Po drugie, sądził, że Dreyer przyjmie go w swoim gabinecie i poinformuje o bardzo, bardzo ważnej pracy, do której on, Franz, będzie się musiał bezzwłocznie zabrać. Oszłomił go uśmiech Marty. Wyjaśnił sobie przyczynę swej trwogi. Jak to fałszywe ziarno, które fakir zakopuje w ziemi, by za pomocą obłądnej magii natychmiast wywieść z niego żywy krzak róży, tak prośba Marty, żeby ukrył przed jej mężem ich niewinną przygodę, prośba, na którą niemal nie zwrócił uwagi, teraz, w obecności Dreyera, fantastycznie nabrzmiała, zmieniając się we wiążący ich ze sobą erotyczny sekret. Przypomniał sobie także słowa starego Enrichta o odwiedzającej go przyjaciółeczce, słowa, które niejako potwierdzały rozkosz i wstyd.

Spróbował zrzucić z siebie czar, ale napotkawszy nieznośnie badawcze spojrzenie Marty, spuścił oczy i dalej przykładał bezradnie chusteczkę do mokrego obrusa, mimo że Dreyer starał się odsunąć jego rękę. Jeszcze przed chwilą leżał w łóżku, a teraz siedział oto w osłepiająco jasnej jadalni, męcząc się jak w sennym koszmarze, jako że nie był w stanie powstrzymać ciemnego strumienia, który wyminął solniczkę i pod osłoną skraju talerza usiłował dotrzeć do krawędzi stołu. Ciągłe się uśmiechając (obrus tak czy owak należało następnego dnia zmienić), Marta przeniosła spojrzenie na jego ręce, obserwowała subtelną grę kłykci pod naprężoną skórą, kosmaty nadgarstek i wędrujące po omacku długie palce i nie wiedzieć czemu, uświadomiła sobie, że nie ma dziś na sobie nic wełnianego.

Dreyer podniósł się gwałtownie i powiedział: - No, Franz, może nie jest to dowód zbytnej gościnności, ale nie ma rady.

Robi się późno, czas nam jechać.

- Jechać? - spytał zmieszany Franz, wciskając wilgotną kulkę chusteczki do kieszeni. Marta spojrzała na męża z zimnym zaskoczeniem.

- Zaraz wszystko zrozumiesz - powiedział Dreyer, w jego oczach błysnął zawadiacki ognek, aż nadto dobrze znany Marcie. „Co za nudziarz - pomyślała gniewnie - co znowu wymyślił?”

Zatrzymała go na chwilę w holu i spytała szybkim szeptem: - Dokąd jedziecie, dokąd jedziecie, chcę wiedzieć, dokąd jedziecie.

- Trochę sobie pohulać - odpowiedział Dreyer, mając nadzieję, że wywoła kolejny cudowny uśmiech.

Skrzywiła się z niesmakiem. Poklepał ją po policzku i wyszedł.

Marta wróciła do jadalni i stała tam zatopiona w myślach za opuszczonym przez Franza krzesłem. Potem, poirytowana, zawinęła obrus w miejscu, gdzie rozlała się woda, i wsunęła pod spód talerz. Lustro, które tego wieczoru pracowało bardzo ciężko, odbiło jej

zieloną suknię, jej biały kark obciążony ciemnym brzemieniem koka i połysk jej szmaragdowych kolczyków. Marta była nieświadoma uwagi, jaką poświęcało jej lustro; kiedy powoli okrążyła stół zbierając nożyki do owoców, jej odbicie raz po raz pojawiała się znowu. Po kilku minutach przyłączyła się do niej Frieda. Potem światło w jadalni pstryknęło i zgasło, a Marta, szarpiąc swój naszyjnik, poszła do sypialni.

„Założę się, że chce, żebym wzięła to za żarty, bo to wcale nie są żarty. Założę się, że będzie dokładnie tak, jak powiedział - pomyślała. - Zaprowadzi go do jakiejś brudnej lafiryndy i wszystko przepadnie.

Kiedy się rozebrała, poczuła, że bliska jest płaczu. Poczekaj tylko, zobaczysz, co będzie, jak wrócisz do domu. Zwłaszcza jeśli sobie ze mnie zażartowałeś. I co to za maniery, co za maniery! Zapraszać biednego chłopca, a potem go gdzieś porywać. W środku nocy! To haniebne!

Raz jeszcze, jak tylekroć przedtem, przebiegła w pamięci wszystkie grzechy męża. Zdawało się jej, że pamięta wszystkie. Było ich wiele. Nie przeszkadzało jej to jednak zapewniać swej zamężnej siostry Hildy, kiedy ta przyjeżdżała z Hamburga, że jest szczęśliwa, że jej małżeństwo jest ze wszech miar udane.

I Marta naprawdę wierzyła, że jej małżeństwo nie różni się od innych, że zawsze panuje w nich niezgoda, że żona zawsze walczy z mężem, z jego dziwactwami, z jego wyłamywaniem się z ogólnie przyjętych reguł i że wszystko to składa się na małżeństwo udane. Małżeństwo było nieudane, kiedy mąż klepał biedę albo siedział w więzieniu za jakieś ciemne interesy, albo trwonił oszczędności na utrzymanki. Toteż Marta nigdy się nie skarżyła na swoje położenie, było ono przecież czymś normalnym, zwyczajnym.

Jej matka zmarła, kiedy Marta miała trzy lata - nie tak znów rzadka rzecz.

Pierwsza macocha także wkrótce zmarła - i to zdarza się w wielu rodzinach. Druga i ostatnia macocha, która zmarła całkiem niedawno, była uroczą kobietą, całkiem dobrze urodzoną, wszyscy ją uwielbiali. Papcio, który rozpoczął swoją karierę jako rymarz, a zakończył jako zbankrutowany właściciel fabryki sztucznych skór, rozpaczliwie pragnął, żeby poślubiła „Huzara”, jak nie wiedzieć czemu nazywał

Dreyera, którego ledwie znała, gdy oświadczył się jej w 1920 roku, czyli w tym samym czasie, kiedy Hilda zaręczyła się z tłustym, niskim facetem, pracującym jako płatnik na dość nędznym transatlantyku. Dreyer dorabiał się majątku z cudowną łatwością, był całkiem przystojny, ale dziwaczny i nieprzewidywalny. Śpiewał fałszywie głupie arie i dawał jej głupie prezenty. Jako dobrze wychowana dziewczyna z długimi rzęsami i pałającymi policzkami powiedziała, że da mu odpowiedź przy jego następnej wizycie w Hamburgu.

Przed wyjazdem do Berlina dał jej małą, której nie znosiła.

Na szczęście przystojny młody kuzyn, z którym zaszła dość daleko, zanim został jednym z pierwszych kochanków Hildy, nauczył małą zapalać zapalki, jej kubraczek zajął się ogniem i niezdarne zwierzę trzeba było zlikwidować. Kiedy tydzień później Dreyer wrócił, pozwoliła mu się pocałować w policzek. Biedny stary papcio tak sobie podochocił na przyjęciu, że pobił skrzypka, co można było wybaczyć, biorąc pod uwagę, jak surowo obchodził się z nim los podczas jego długiego życia. Dopiero po ślubie, kiedy mąż odwołał ważną podróż w interesach, by móc się rozkoszować komicznym miesiącem miodowym w Norwegii - dlaczego właśnie w Norwegii? - zaczęły ją nachodzić pewne wątpliwości, ale willa w Grunewaldzie szybko je rozproszyła, i tak dalej - niezbyt interesujące wspomnienia.

#### IV

W mroku taksówki (nieszczęsny ikar ciągle był w warsztacie, a wynajęty substytut, dziwaczny oriole, nie okazał się udany) Dreyer był zagadkowo milczący.

Mogło się wydawać, że śpi, gdyby nie to, że jego cygaro rozjarzało się rytmicznie.

Franz także milczał, z niepokojem zastanawiając się, dokąd jest wieziony. Po trzecim czy czwartym zakręcie stracił jakiegokolwiek poczucie kierunku.

Do tej pory oprócz cichej dzielnicy, gdzie mieszkał, poznał jedynie aleję z lipami i jej najbliższe okolice po drugiej stronie miasta. Wszystko, co rozpościerało się pomiędzy tymi dwoma oazami życia, było pustką - *terra incognita*. Wyglądał przez okno samochodu i widział ciemne ulice nabierające stopniowo pewnej przejrzystości, znowu mroczniejsze, potem znowu tryskające światłem, jeszcze raz zanikające, znowu rozjaśniające się, by w końcu - osiągnąwszy w ciemności dojrzałość - nagle wybuchnąć, roziskrzyć się bajkowymi kolorami, kaskadami klejnotów, płonącymi reklamami. Wysoki, strzelisty kościół przepłynął obok pod niebem koloru umbrzy.

Zaraz potem, ślizgając się trochę po wilgotnym asfalcie, samochód zatrzymał się przy krawężniku.

Dopiero wtedy Franz wszystko zrozumiał. Szafirowymi literami z brylantowym zawijaszem, który wydłużał ostatnią samogłoskę, błyszczał prawie półtorametrowy napis: D\*A\*N\*D\*Y - teraz przypomniał sobie, że słyszał już tę nazwę, ale głupiec z niego! Dreyer wziął go pod ramię i zaprowadził do jednej z dziesięciu promiennie oświetlonych witryn. Przypominające tropikalne kwiaty w cieplarni, krawaty i skarpety rywalizowały w delikatności odcieni z prostokątami złożonych koszul albo leniwie zwisały ze złożonych kabłąków; w głębi stała opalowa piżama z twarzą orientalnego idola, wyprostowana, sztywna - bóg tego ogrodu. Dreyer nie pozwolił jednak Franzowi oddać się kontemplacji. Zrećnie



poprowadził go wzdłuż pozostałych witryn, gdzie mignęły po kolei: orgia połyskujących butów, fatamorgana płaszczy, pełen wdzięku lot kapeluszy, rękawiczek i lasek i słoneczny Eden artykułów sportowych. Potem Franz znalazł się w ciemnym podcieniu, gdzie stali - starszy mężczyzna w czarnej pelerynie i z blaszką na czapce z daszkiem i, obok, smukłonożna dziewczyna w futrze. Oboje spojrzeli na Dreyera. Strażnik rozpoznał go i przyłożył dłoń do daszka. Jasnooka prostytutka spojrzała na Franza i skromnie usunęła się na bok. Kiedy tylko w ślad za Dreyerem zniknął w ponurym mroku podwórza, podjęła przerwana rozmowę ze strażnikiem - o reumatyzmie i możliwych środkach zaradczych.

Podwórze było trójkątną ślepią uliczką, ograniczoną murami bez okien. Zapach wilgoci mieszał się z odorem uryny i piwa. W rogu albo coś zwałono, albo stał tam wóz z podniesionymi w górę dyszlami. Dreyer wyjął z kieszeni latarkę, ślizgający się po wszystkich krąg szarego światła wydobył z ciemności kratę, ruchome cienie wiodących w dół schodków i metalowe drzwiczki. Wybierając najbardziej tajemnicze wejście, Dreyer bawił się jak dziecko; otworzył drzwi. Franz pochylił głowę i w ślad za nim wszedł w ciemny kamienny korytarz, w którym krąg przemykającego się światła znowu wytropił drzwi. Gdyby ktokolwiek podjął nielegalną próbę ich sforsowania, dziko by się rozdzwoniły. I do tych drzwi jednak Dreyer miał mały, bezdźwięczny klucz, i znowu Franz pochylił głowę. W mrocznej suterenie, przez którą przechodzili, można było dostrzec jakieś wory i paki, zgromadzone to tu, to tam, a pod stopami szeleściło coś przypominającego słomę. Ruchomy blask skręcił za róg i pojawiły się jeszcze jedne drzwi. Koło nich wyrosły nagie schody, które rozpuściły się w ciemności.

Zaczęli się wspinać po kamiennych stopniach, jak archeolodzy w pogrążonej w ziemi świątyni. Z nagłością właściwą snom znaleźli się w obszernej sali. Światło prześliznęło się po jakiejś metalowej szubienicy, potem po fałdach draperii, gigantycznych szafach na ubrania, dwuskrzydłowych lustrach i czarnych postaciach z szerokimi barami.

Dreyer zatrzymał się, zgasił latarkę i powiedział cicho w ciemności: - Uwaga! - Słysząc było, że jego ręka szuka czegoś, i pojedyncza żarówka, kształtem przypominająca gruszkę, jasno oświetliła ladę sklepową. Reszta pomieszczenia, płatanina bez końca, nadal pogrążona była w mroku i niesamowite wrażenie sprawiał tylko ten jeden kącik wyodrębniony silnym światłem.

- Lekcja pierwsza - powiedział z namaszczeniem Dreyer i zamasyście wszedł za ladę.

Wątpliwe, by Franz wyniósł cokolwiek z tej fantastycznej nocnej lekcji - wszystko było takie dziwne, a Dreyer odgrywał sprzedawcę w sposób nazbyt wymyślny. A jednak - mimo całego tego barokowego nonsensu - w kanciastych odbiciach i otaczającej wszystko

widmowej otchłani, gdzie niewyraźne tkaniny, które ciągle na nowo wieszano i przewieszano w ciągu dnia, odpoczywały w pełnych znużenia pozach, było coś, co na długo utrwaliło się w pamięci Franza i przynajmniej początkowo nadawało pewne mroczne, luksusowe zabarwienie zasadniczemu tłu, na którym jego codzienny znój sprzedawcy zaczął potem kreślić swój wzór - prosty, zrozumiały, nierzadko męczący. To, co Dreyer zaprezentował Franzowi tej nocy, ucząc go, jak sprzedawać krawaty, nie opierało się na osobistym doświadczeniu, na wspomnieniu odległych dni, kiedy istotnie pracował za ladą. Zamiast czerpać z tych zasobów, wzleciał w dziedzinę bezużytecznej wyobraźni, pokazując nie tyle, jak sprzedaje się krawaty w rzeczywistości, ile, jak mógłby je sprzedawać ekspedient łączący w sobie artystę z jasnovidzem.

- Chciałbym zwyczajny, niebieski - drewnianym głosem ucznia powtórzył

Franz za Dreyerem.

- Oczywiście, proszę pana - z animuszem odpowiedział Dreyer, błyskawicznie zdejmując z półki kilka kartonowych pudełek i zwinnie otwierając je na ladzie.

- Jak się panu podoba ten tutaj? - spytał z cieniem zadumy w głosie, wiążąc na ręce karmazynowoczarne krawat i odsuwając go trochę od siebie, jak gdyby podziwiał go okiem jakiegoś niezależnego artysty.

Franz milczał.

- To ważny chwyt - zmieniając głos wyjaśnił Dreyer. - Zobaczmy, czy złapałeś, o co chodzi. Teraz ty przejdź za ladę. W tym pudełku tutaj masz jednokolorowe. Są po cztery pięć marek. A tutaj mamy krawaty stylowe, jak je nazywamy, „orchidee”; te są po osiem, dziesięć, a nawet, niech nam Bóg wybaczy, po czternaście marek. Teraz ty jesteś ekspedientem, a ja jakimś młodym człowiekiem - taką, za pozwoleniem, fujarą - niedoświadczonym, niezdecydowanym, łatwo dającym się skusić.

Franz nieśmiało wszedł za ladę. Garbiąc się i mrużąc oczy, jakby był krótkowidzem, Dreyer powiedział wysokim, drżącym głosem: - Chciałbym zwyczajny, niebieski... i bardzo proszę, niezbyt drogi.

- Uśmiechnij się - dodał szeptem suflera.

Franz nachylił się nad pudełkami, niezgrabnie w nich pogmerał i wyjął zwyczajny niebieski krawat.

- No, i przyłapałem cię! - zawołał radośnie Dreyer. - Wiedziałem, że nic nie zrozumiałeś. Chyba że jesteś daltonistą, a w takim razie żegnajcie, drogi wujku, droga ciociu. Dlaczego, do diaska, podsuwasz mi najtańszy?

Powinieneś być zrobić to samo, co ja - najpierw oszołomić tę fujarę jakimś drogim

krawatem - kolor nie gra tu roli, ale rzecz musi być zbytkowna i droga albo droga i elegancka - i być może wycisnąć z niego „co się tylko da, szylinga lub dwa”, jak mówią w Londynie. Masz, weź ten. Teraz zawiąż go na dłoni. Czekał, czekał, nie gnieć go tak. Zawieś go na palcu. O, tak! Pamiętaj, że każde spowolnienie rytmu kosztuje cię chwilę uwagi klienta. Hipnotyzuj go ruchem krawata, który pokazujesz.

Musisz sprawić, żeby rozkwitł przed oczami tego idioty. Nie, nie, to przecież nie jest węzeł, to jakaś narośl. Patrz. Trzymaj rękę wyciągniętą. Spróbujmy z tym drogim wampirycznie czerwonym. Załóżmy, że to ja mu się przyglądam i ciągle jeszcze nie uległem pokusie.

- Ale ja chciałem zwyczajny, niebieski - powiedział wysokim głosem Dreyer, a potem szeptem: - Ależ nie, nie, podsuwaj mu wampira pod głupią gębę, może się złamie. I obserwuj go, obserwuj jego oczy, jeśli przygląda się krawatowi, to już połowa sukcesu. Tylko jeśli wcale na niego nie patrzy i robi się sztywny, i chrząka, cholera jedna, tylko wtedy, rozumiesz, tylko wtedy daj mu to, o co prosił, oczywiście zawsze wybierając najdroższy z trzech niebieskich. Ale nawet jeśli uległeś jego prostackiemu życzeniu, wzrusz leciutko ramionami, rozumiesz, spójrz teraz na mnie i uśmiechnij się, jakoś tak lekceważąco, jakbyś mówił: „To jest zupełnie niemodne, szczerze powiedziawszy, to dobre dla wieśniaków, dla dorożkarzy... ale jeśli naprawdę chce pan to kupić...”

- Wezmę ten niebieski - powiedział Dreyer swoim komediowym głosem.

Franz ponuro podał mu nad ładą krawat. Dreyer parsknął śmiechem, budząc ordynarne echo.

- Nie - powiedział - nie, mój drogi. Nie tak. Przede wszystkim odłóż go na prawo, potem spytaj, czy klient nie potrzebuje czegoś jeszcze, na przykład chusteczek do nosa albo jakichś fantazyjnych spinek, i dopiero kiedy po chwili namysłu pokręci swoim tępym łbem, dopiero wtedy wyjmij to pióro (to prezent dla ciebie), wypisz rachunek i daj mu kwitek do kasy.

Reszta to mechaniczne działania. Nie, nie, pióro zatrzymaj... Zademonstruje ci to jutro pan Piffke, straszny pedant. A teraz idźmy dalej.

Dreyer nieco przyciężko usiadł na ladzie, rzucając przy tym tak wyraźny czarny cień, że zanurzył głowę w ciemności, która - jak się zdawało - przysunęła się bliżej, żeby lepiej słyszeć. Zaczął dotykać palcami jedwabi w pudełkach i jednocześnie pouczać Franza, jak ma zapamiętywać krawaty przez dotknięcie i odcień, innymi słowy (niedostępnymi dla Franza), jak ma rozwijać w sobie pamięć chromatyczną i dotykową, jak wyrzucać z artystycznej i kupieckiej pamięci fasony i wzory już wyprzedane, by zrobić w umyśle miejsce dla

następnych i jak w mgnieniu oka określać cenę w markach, by tylko liczbę fenigów sprawdzać na etykietce.

Kilkakrotnie zeskakiwał z lady, groteskowo gestykułując, odgrywając klienta, którego irytuje wszystko, cokolwiek mu pokazać, ordynusa, który złości się, że podaje mu się cenę, zanim o nią spytał i świętego, dla którego cena nie ma znaczenia; odegrał też starszą panią, kupującą krawat dla wnuka, strażaka z Poczdamu i cudzoziemca, który nic nie umie powiedzieć zrozumiale, Francuza, który chce dostać *cravate*, Włocha, któremu w głowie tylko *cravatta*, i Rosjanina, który uprzejmie prosi o *galstuk*. I natychmiast sam sobie odpowiadał, lekko przyciskając palce do lady i za każdym razem wymyślając jakąś szczególną odmianę intonacji i uśmiechu. Potem znowu usiadł i lekko kołysząc nogą w lśniącem bucie (jego cień czarnym skrzydłem trzepotał na podłodze), omawiał tkliwą i wesołą postawę, jaką sprzedawca powinien przybierać w stosunku do rzeczy wytworzonych przez człowieka; przyznał się, że czasem - co za absurd! - żał człowiekowi wyszłych z mody krawatów i skarpetek, które wciąż są takie porządne i świeże, ale kompletnie niechciane; dziwny marzycielski uśmiech zadrżał mu pod wąsem i na przemian wyostrzał i wygładzał zmarszczki w kącikach oczu i ust, podczas gdy Franz, słuchał go odrętwiały, opierając się o szafę.

Dreyer przerwał. Kiedy Franz zrozumiał, że lekcja skończona, nie mógł się powstrzymać przed rzuceniem pożądanego spojrzenia na opalizujące cuda, rozrzucone teraz - w prawdziwym życiu - na ladzie. Znow wyciągnąwszy latarkę i przekręciwszy wyłącznik na ścianie, Dreyer po pustaci dywanika poprowadził Franza w cieniste głębie sali. Przechodząc, zerwał płótno z jakiegoś stolika i nakierował światło na spinki do mankietów, które błyszczały na poduszczyce z granatowego aksamitu jak oczy. Kawałek dalej ze swawolną nonszalancją strącił ze stojaka ogromną piłkę plażową, która bezdźwięcznie potoczyła się w ciemność, daleko, daleko, aż do Zatoki Pomorskiej i jej miękkich białych piasków.

Znowu szli kamiennymi korytarzami; zamykając ostatnie drzwi, Dreyer nie bez przyjemności pomyślał o zagadkowym nieporządku, który zostawił po sobie, nie biorąc pod uwagę tego, że być może komuś innemu przyjdzie zań odpowiadać.

Kiedy tylko wychynęli z ciemnego podwórza na wilgotno połyskliwą ulicę, Dreyer przywołał przejeżdżającą taksówkę i zaproponował Franzowi, że podwiezie go do domu.

Franz zawahał się, mając (wreszcie!) przed sobą radosną perspektywę pełnej życia szerokiej ulicy.

- A może masz randkę z (Dreyer spojrzał na zegarek) senną damą serca?

Franz oblizał wargi i potrząsnął głową.

- Jak chcesz - powiedział Dreyer ze śmiechem i wysuwając głowę z auta, krzyknął na pożegnanie - Masz być jutro w sklepie, punktualnie o dziewiątej.

Glazurę czarnego asfaltu pokrywała mętna różnobarwna błonka, rozdarta tu i ówdzie owalnymi dziurami kałuż, w których błyskały prawdziwe kolory pełnych głębi odbić - ukośny cynobrowy pas, kobaltowy klin, zielona spirala - rzadkie prześwity pozwalające zajrzeć w wilgotny, odwrócony do góry nogami świat, w zawrotną geometrię klejnotów. Zmieniający się jak w kalejdoskopie widok nasuwał myśl o kimś, kto raz po raz wstrząsa brukiem, aby zmienić układ niezliczonych kolorowych drobinek. Kolumny i fale życia przebiegały ulicę, znacząc trasę każdego z samochodów. Wystawy sklepowe, pękające od pęczniejącego blasku, ciekły, tryskały i rozbryzgiwały się w soczystej ciemności.

Na każdym rogu, jak symbol niewysłowionego szczęścia, stała ladacznica w połyskliwych pończochach, nie było czasu, żeby przyjrzeć się jej twarzy: kawałek dalej kiwała już ręką druga, a za nią - trzecia. I Franz doskonale wiedział, dokąd prowadzą te tajemnicze znaki. Wszystkie latarnie, których aureole rozplýwały się jak kolczaste gwiazdy, wszystkie różowe odbłaski, wszystkie spazmy złocistego światła i sylwetki kochanków drżące jedna przy drugiej we wszystkich zagłębieniach ganków i bram, i te na wpół otwarte, umalowane usta, które szybko go mijały, i czarny, mokry, tkliwy asfalt - wszystko to zyskiwało szczególne znaczenie i dostawało imię.

Spocony, osłabły od rozkosznego znużenia, powolny w ruchach jak lunatyk, którego z powrotem przywabiła jego ciepła, pomięta poduszka, Franz położył się do łóżka, nie zauważwszy ani jak wszedł do domu, ani jak dotarł do swojego pokoju.

Przeciągnął się, przesunął dłońmi po włochatych nogach, odkleił ubranie od skóry, przytulił policzek do dłoni i niemal natychmiast Sen wręczył mu z ukłonem klucz do swego miasta: rozumiał znaczenie wszystkich świateł, dźwięków i zapachów, wszystko mieszało się i zlewało w jeden rozkoszny obraz. Zdawało mu się, że jest w jakiejś pełnej luster sali, która cudownie kończy się wodnistą otchłanią, woda lśniła w najbardziej nieoczekiwanych miejscach: podszedł do drzwi, minąwszy całkowicie wiarygodny motocykl, który czerwonym obcasem zapalał jego gospodarz; przeczuwając nieopisaną rozkosz, Franz otworzył drzwi i ujrzał Martę, która stała przy łóżku. Zbliżył się do niej ochoczo, ale drogę zagraadzał mu ciągle Tom; Marta śmiała się i próbowała przegonić psa. Całkiem blisko widział teraz jej błyszczące usta i nabrzmiewającą wesołością szyję i także zaczął się śpieszyć, odpinał guziki, wyciągał z pyska psa skrwawioną kość i czuł, że tryska w nim nieznośna słodycz; miał właśnie zacisnąć uda, ale nie mógł już utrzymać w sobie swej kipiącej ekstazy.

Marta westchnęła i otworzyła oczy. Pomyślała, że obudził ją hałas na ulicy: jeden z

ich sąsiadów miał wyjątkowo głośny motocykl. W istocie jednak hałasem tym było niepohamowane chrapanie jej męża, śpiącego na sąsiednim łóżku. Przypomniała sobie, że poszła spać, nie czekając na jego powrót, podniosła się i głośno go zawołała; potem, wyciągając rękę ponad nocną szafkę, zaczęła go brutalnie targać za włosy - tylko takie działanie przynosiło pożądany efekt. Chrapanie ucichło, jego usta raz czy dwa cmoknęły. Zapaliła się lampka na nocnej szafce, wydobywając całą różowość jej ręki.

- Przebudzenie lwa - powiedział Dreyer, jak dziecko przecierając oczy pięścią.

- Gdzieście byli? - wbijając w niego wzrok, spytała Marta.

Sennie spojrział na jej ramię koloru kości słoniowej, na różę obnażonej piersi i na długie pasmo hebanowych włosów opadające jej na policzek i wydał z siebie zduszony chichot, powoli opadając na poduszki.

- Pokazywałem mu „Dandy’ego” - mruknął przytulnie.

- Nocna lekcja. Może teraz zawiązać krawat na ręce albo na ogonie.

Bardzo zabawne i pożyteczne.

Ach, więc o to chodziło. Marta poczuła taką ulgę, taką wielkoduszność, że niemal zaproponowała mu... ale i ona była zbyt śpiąca. Śpiąca i bardzo szczęśliwa. Bez słowa zgasiła lampkę.

- Może byśmy pojeździli w niedzielę na koniach, co ty na to? - czule mruknął w mroku jego głos. Ale ona zatraciła się już we śnie. Trzech rozpustnych Arabów targowało się o nią z przystojnym handlarzem niewolników, obdarzonym brązowym torsem. Głos powtórzył pytanie nawet jeszcze czulszym i nawet jeszcze bardziej pytającym tonem.

Melancholijna pauza. Potem Dreyer odwrócił poduszkę, szukając chłodniejszego wgłębienia, westchnął i oto już znowu chrapał.

Rano, kiedy z pośpieszną satysfakcją pałaszował jajko na miękko i posmarowaną masłem grzanekę (najlepszy posiłek, jaki zna gatunek ludzki) - miał potem popędzić do sklepu - Frieda powiedziała mu, że samochód wrócił z warsztatu i czeka przed bramą. W tym momencie Dreyer przypomniał sobie, że przez kilka ostatnich dni, zwłaszcza po niedawnym wypadku, nawiedzała go uporczywie pewna zabawna myśl, której nie udało mu się przemyśleć do końca. Musi działać ostrożnie, posuwać się okrężną drogą. Otwarcie postawione pytanie do niczego by nie doprowadziło. Drań tylko łypnąłby nań okiem i wszystkiemu zaprzeczył. Czy ogrodnik może coś wiedzieć? Jeśli tak, będzie go krył. Dreyer przełknął kawę i mrugając oczami nalał sobie drugą filiżankę. Oczywiście mogę się mylić...

Wyszczył ostatnią słodką kropelkę, odrzucił serwetkę na stół i spiesznie wyszedł; serwetka powoli przepęzła przez krawędź stołu i miękko upadła na podłogę.

Tak, samochód był w porządku. Połyskiwał jego nowy płaszcz z czarnego lakieru, chrom wokół reflektorów i przypominający tarczę herbową znak firmowy, sterczący na kracie chłodnicy: srebrzysty chłopiec z błękitnymi skrzydłami. Lekko zażenowany uśmiech odsłonił okropne dziąsła i zęby szofera, kiedy ten, zdjawszy niebieską czapkę, otwierał drzwiczki. Dreyer spojrział na niego spode łba.

- Witam, witam - powiedział - a więc znowu jesteśmy razem. - Zapiął płaszcz na wszystkie guziki i mówił dalej - Musiało to kosztować niezłą sumkę, jeszcze nie rzuciłem okiem na rachunek. Ale co tam. Gotów byłbym zapłacić dużo więcej za samą przyjemność. Bardzo śmieszne przeżycie, niestety, ani moja żona, ani policja nie poznała się na kawale.

Chciał dodać coś jeszcze, ale nic mu nie przychodziło do głowy, rozpiął znowu płaszcz i wsiadł do samochodu.

„Bardzo dokładnie obejrzałem sobie jego fizjonomię - pomyślał przy akompaniamencie cichego warkotu silnika. - Tak czy owak, nie sposób dojść do jakichś ostatecznych wniosków. Owszem, oczy mu się świecą, owszem, ma pod nimi nieduże worki. Ale to może być w jego wypadku normalne. Następnym razem powinienem go porządnie powąchać”.

Tego ranka, jak było to uzgodnione, Dreyer złożył wizytę w sklepie i przedstawił Franza panu Piffke. Piffke był krzepkim, pełnym godności i doskonale ubranym mężczyzną. Miał jasne rzęsy, cerę w kolorze skóry dziecka, profil, który roztropnie zatrzymał się w połowie drogi między człowiekiem a imbrykiem, i brylant bynajmniej nie czystej wody na grubym małym palcu. Wobec Franza, siostrzeńca szefa, czuł pewien respekt, a Franz z zazdrością i przerażeniem obserwował architektoniczną doskonałość kantów jego spodni i przejrzystą chusteczkę, wyzierającą z kieszonki na piersi.

Dreyer nawet nie wspomniał o nocnej lekcji. Przy jego pełnej aprobacie Piffke przydzielił Franza nie do krawatów, ale do działu sportowego. Z zapalem zabrał się do pracy nad Franzem, a jego metody nauczania - jak się niebawem okazało - różniły się znacznie od metod Dreyera, było w nich znacznie więcej arytmetyki, niż Franz przypuszczał.

Nie przypuszczał też, że tak będą go boleć nogi - od ciągłego stania - i twarz - od mechanicznego wyrazu uprzejmości. Jak zwykle na jesieni, ta część sklepu była znacznie spokojniejsza niż pozostałe. Całkiem niezłe szły rozmaite przyrządy do rozwijania mięśni, rakiетки do pingponga, pasiaste wełniane przepaski i buty piłkarskie z czarnymi kołkami i białymi sznurowadłami. Istnienie krytych pływalni zapewniało stały niewielki popyt na kostiumy kąpielowe, ale ich pora już minęła, a sezon łyżew i nart jeszcze się nie zaczął. Toteż w nauce nie przeszkadzał natłok klientów, Franz miał sporo czasu, żeby opanować swój fach.

Jego najbliższymi współpracownikami były dwie dziewczyny - jedna miała rude włosy i ostry nos, druga była dość pulchną, energiczną blondynką, odznaczającą się stałym nieprzyjemnym zapaszkiem, poza tym jego kolegą z działu był atletycznie zbudowany młodzieniec, noszący takie same szylkretowe okulary, co Franz. Mimochodem wspomniał o nagrodach, jakie zdobył na zawodach pływackich, i Franz, który sam był świetnym pływakiem, zaczął mu zazdrościć. To właśnie z pomocą Schwimmera Franz wybrał materiał na dwa garnitury i zapas koszul, krawatów i skarpetek. Również on pomógł Franzowi w rozwikłaniu kilku drobnych sekretów fachu ekspedienta - wyjaśnił je o wiele bardziej przenikliwie, niż robił to Piffke, którego rola polegała głównie na przechadzaniu się po całej powierzchni sklepu i wytwornym aranżowaniu spotkań między klientem i sprzedawcą.

Przez kilka pierwszych dni Franz, oszołomiony i skrępowany, robiąc co można, żeby się nie trząść (jego dział był nadmiernie wentylowany i pełen sobie tylko właściwych atletycznych przeciągów), po prostu stał w kącie, starał się nie zwracać na siebie uwagi i chciwie śledził poczynania kolegów, zapamiętując ich profesjonalne ruchy i intonacje, a potem nagle, z nieznośną wyrazistością wyobrażał sobie Martę - gest, jakim dotyka dłonią tyłu swego koku, lub spojrzenie, jakim przygląda się swoim paznokciom i szmaragdowemu pierścionkowi. Bardzo szybko jednak, pod pełnym aprobaty, troskliwym wzrokiem pana Schwimmera, Franz sam zaczął sprzedawać.

Na zawsze zapamiętał swojego pierwszego klienta, tęgiego starszego pana, który poprosił o piłkę. Piłkę. Natychmiast owa piłka zaczęła podskakiwać w wyobraźni Franza, rozmnożyła się i rozsypała, i jego głowa zmieniła się w boisko, po którym skakały wszystkie piłki, jakie były w sklepie - małe, średnie i duże, zrobione ze zszytych ze sobą kawałków żółtej skóry, białe, puszyste, z fioletowym znakiem swego wytwórcy, małe czarne, twarde jak kamień, bardzo lekkie pomarańczowoniebieskie, wakacyjnych rozmiarów, piłki i piłeczki gumowe, celuloidowe, drewniane, z kości słoniowej - i potoczyły się w różne strony, pozostawiając pojedynczą kulę, błyszczącą w środku jego mózgu, kiedy klient dodał spokojnie: - Potrzebuję piłki dla psa.

- Trzecia półka po prawej stronie, gryzaczki - rozległ się suflerski szept Schwimmera i Franz z szerokim uśmiechem ulgi i czołem pokrytym potem otwierał jedno niewłaściwe pudełko po drugim, w końcu jednak znalazł to, czego szukał.

Mniej więcej po miesiącu w zupełności przyzwyczyił się do swojej pracy, już się nie denerwował, śmiało prosił niewyraźnie mówiących o powtórzenie i protekcyjnie doradzał cherlawym i nieśmiałym. Całkiem niezłe zbudowany, ze stosunkowo szerokimi barami, szczupły, ale nie chudy, z przyjemnością obserwował swoje przejście przez harem luster,



spojrzenia najwyraźniej zabujanych w nim sprzedawczyń i błysk trzech srebrnych zaczepów nad sercem: wieczne pióro od wuja i dwa ołówki, chemiczny i grafitowy. Mógłby doprawdy zostać uznany za absolutnie godnego szacunku, absolutnie zwyczajnego sprzedawcę, gdyby nie zestaw szczegółów, które byłby zdolny dostrzec tylko genialny detektyw - drapieżna kanciastość nozdrzy i kości policzkowych, dziwna słabość w zarysie ust, jak gdyby zawsze brakowało im tchu albo jakby właśnie przed chwilą ich właściciel kichnął, i te oczy, kiepsko zamaskowane okularami, niespokojne oczy, tragiczne oczy, bezlitosne i bezradne, w mętnie zielonkawym odcieniu, z zaognionymi naczyńkami krwionośnymi wokół tęczówki. Jedynym detektywem w okolicy była jednak zawsze niosąca tę samą paczkę starsza pani, która nie przejmowała się działem sportowym, mając sporo roboty w dziale krawatów.

Postępując zgodnie z delikatnie sformułowanymi sugestiami nieskazitelnego Piffke, Franz wdrożył się w sybaryckie zasady higieny osobistej. Mył teraz nogi przynajmniej dwa razy w tygodniu i zmieniał wykrochmalony kołnierzyk praktycznie codziennie. Co wieczór szczotkował garnitur i pastował buty. Używał najróżniejszego rodzaju płynów kosmetycznych, pachnących wiosennymi kwiatami i Piffkem. Niemal nigdy nie opuszczał sobotniej kąpieli. Wkładał czystą koszulę każdej środy i niedzieli.

Dbął o to, żeby zmieniać ciepłe kalesony i podkoszulek przynajmniej raz na dziesięć dni. Jakże wstrząśnięta byłaby matka - pomyślał - gdyby zobaczyła jego rachunki z pralni!

Skwapliwie godził się na nudę swojego zajęcia, ale nie znosił wspólnych posiłków z resztą pracowników. Miał nadzieję, że w Berlinie stopniowo pozbędzie się chorobliwego młodzieńczego przeczulenia na tym punkcie, ale nic z tego - trwało nadal, korzystając z najdrobniejszej okazji, żeby go dręczyć. Przy stole siedział pomiędzy pulchną blondynką i mistrzem pływackim. Zawsze gdy sięgał po chleb lub sól, jej pacha budziła w nim gwałtowne mdłości, przypominając mu o niegdysiejszej nauczycielce, starej pannie. Pływak po drugiej stronie miał inną ułomność - kiedy mówił, pryskał na wszystkie strony śliną i Franz zauważył, że powrócił do szkolnego zwyczaju chronienia swojego talerza przed bryzgami za pomocą ramienia i łokcia.

Tylko raz poszedł z panem Schwimmerem na pływalnię. Woda okazała się stanowczo za zimna i raczej niezbyt czysta, a współlokator jego kolegi, opalony pod kwarcówką Szwed, miał maniery wprawiające w zakłopotanie.

W gruncie rzeczy jednak sklep, połyskliwe towary, ożywiony lub spokojny dialog z klientem (który zawsze wydawał się tym samym aktorem, zmieniającym głos i charakterystykę), cała ta codzienność, były powierzchownym deszczem powtarzających się wydarzeń i wrażeń, które poruszały go tak mało, jakby był jednym z manekinów z woskową

albo drewnianą twarzą, ubranych w garnitury uprasowane żelazkiem doskonałym, uchwyconych w trakcie barwnego gnicia na ich chwilowych podstawkach i piedestałach, z ramionami na wpół zgiętymi, a na wpół wyciągniętymi w parodii sielankowego uroku. Młode klientki i szparkie, uczesane w kok ekspedientki z innych działów właściwie go nie podniecały. Jak kolorowe nieruchome reklamy mebli lub futer, przesuujące się przez dłuższy czas na ekranie - bez podkładu muzycznego - przed pojawieniem się fascynujących gwiazd filmowych, tak wszelkie szczegóły jego pracy były tyleż nieuniknione, co trywialne.

Koło szóstej wszystko to gwałtownie się zatrzymywało. I wtedy odzywała się muzyka.

Prawie co wieczór - jakaż okropna melancholia kryła się w tym „prawie” - odwiedzał Dreyerów. Obiad jadł u nich tylko w niedzielę, i to nie w każdą. W dni powszednie przegryzał coś zawsze w tej samej taniej restauracji i dopiero wtedy jechał autobusem albo szedł piechotą do ich willi. Minęło jakieś dwadzieścia wieczorów i wszystko pozostawało nie zmienione: powitalne brzęczenie furtki, ładna latarnia oświetlająca ścieżkę poprzez deseń bluszczu, wilgotny oddech trawnika, chrzęst żwiru, odgłos dzwonka, który leciał do domu na poszukiwanie służącej, wybuch światła, płaska twarz Friedy i nagle - życie, tkliwy dźwięk muzyki dobiegającej z radia.

Na ogół była w domu sama, Dreyer, człowiek ekscentryczny, ale punktualny, przychodził dokładnie na to, co Franz nazywał kolacją lub herbatką, i zawsze dzwonił, jeśli sądził, że może się spóźnić. W jego obecności Franz czuł się tak skrępowany, że niemal drętwiał, toteż wykształcił w sobie w tym okresie jakąś ponurą poufałość, którą odpowiadał na żywiołową jowialność Dreyera. Kiedy był sam na sam z Martą, odczuwał gdzieś na karku stały przyprawiający o omdlenie ucisk, jego pierś sztywniała, nogi robiły się słabe, palce długo zachowywały chłodną siłę uścisku jej dłoni. Z dokładnością do centymetra potrafił określić miejsce, do którego pokazywała nogi, kiedy przechadzała się po pokoju i kiedy siadała, zakładając jedną na drugą, i niemal nie patrząc widział napięty blask jej pończochy, nabrzmienie na lewej łydce wspartej na prawym kolanie i fałdę na spódnicy - przelewającej się, miękkiej, uległej - spódnicy, w której chciałby zatopić twarz. Czasami, kiedy wstawała i przechodziła koło niego, kierując się ku radioli, padające pod określonym kątem światło pozwalało konturom jej ud przebić się przez cienką tkaninę spódnicy, a raz zrobiła się jej na pończosze drabinka oczka i Marta, polizawszy palec, szybko dotknęła jedwabiu.

Niekiedy wrażenie odbierającego przytomność ciężaru stawało się zbyt silne i korzystając z tego, że na niego nie patrzy, zaczynał szukać jakiejś drobnej skazy na jej piękności, skazy, na której mógłby wesprzeć myśl i otrzeźwić wyobraźnię, uwalniając się w ten sposób od bezlitosnego wzburzenia zmysłów. Czasem zdawało mu się, że istotnie

znajduje taką zbawczą skazę - ostrą linię koło ust, ślad po ospie nad brwią, zbyt wydatne odcięcie widzianych z profilu warg, ciemny cień puszków nad nimi, szczególnie dobrze dostrzegalny, kiedy osypywał się puder. Ale lekki ruch głowy, najdrobniejsza zmiana wyrazu twarzy przywracały jej tak cudowny urok, że osuwał się w swoją osobistą otchłań jeszcze głębiej niż przedtem. Za pomocą szybkich spojrzeń przestudiował ją cal po calu, śledził i przewidywał jej gesty, antycypował banalny, ale dla niego wyjątkowy ruch jej dłoni, którą szybko unosiła, kiedy obluzowywał się koniuszek malutkiego grzebyka, podtrzymującego jej ciężki kok. Najbardziej dręczyły go wdzięk i moc jej nagiego białego karku, subtelnie ziarnista skóra i wytworne przebliski nagości, które umożliwiały cienkie, krótkie spódnice. Przy każdej kolejnej wizycie dodawał coś nowego do kolekcji uroków, później napawał się nimi w swym samotnym łóżku, wybierając te spośród nich, które jego oszalała fantazja poddawała dalszej obróbce, aż do całkowitego wyczerpania. Był taki dzień, kiedy dostrzegł drobniutkie brązowe znamię na jej ramieniu. Był taki moment, kiedy wychyliła się ze swego fotela, chcąc odgiąć róg dywanu - zobaczył wtedy rowek pomiędzy jej piersiami i uspokoił się dopiero, kiedy czarny jedwab jej stanika naprężył się znowu.

Był też taki wieczór, kiedy wybierała się na tańce - oszołomił go wtedy fakt, że jej pachy są gładkie i białe jak pachy posągu.

Wypytywała go o jego dzieciństwo i matkę, dość nudny temat, o rodzinne miasteczko - temat jeszcze nudniejszy. Pewnego razu Tom położył mu pysk na kolanach i ziewnął, spowijając go w nieznośny smród zepsutych śledzi i padliny. - Tak właśnie pachniało moje dzieciństwo - mruknął Franz, odsuwając głowę psa.

Marta nie usłyszała albo nie zrozumiała i spytała, co mówi. On jednak nie powtórzył swojego wyznania. Opowiadał o szkole, o kurzu i nudzie, o niestrawnych plackach swojej matki i o sąsiedzierzeźniku, pełnym godności panu w białej kamizelce, który w pewnym okresie przychodził do nich codziennie na obiad i zajadał baraninę w obrzydliwie profesjonalny sposób.

- Dlaczego obrzydliwie? - przerwała Marta, zaskoczona.

„O Boże, co za bzdury plotę” - pomyślał i z mechanicznym entuzjazmem po raz setny opisał rzekę, łódki, nurkowanie, picie piwa pod mostem.

Zmieniała falę, zamiast muzyki rozlegał się głos spikera i Franz z pokorą wysłuchiwał lekcji hiszpańskiego, wykładu o korzyściach płynących z uprawiania sportu, pojednawczych intonacji pana Stresemana, a potem znowu zaczynała płynąć ta sama dziwna nosowa muzyka. Marta opowiadała mu szczegółowo fabułę filmu, historię szczęśliwych spekulacji Dreyera w latach kryzysu i treść artykułu o usuwaniu plam po owocach. I za każdym razem myślała:

„Kiedyż on wreszcie się rozkręci?” - ale jednocześnie bawił ją, a nawet trochę wzruszał jego brak pewności siebie i fakt, że bez jej pomocy prawdopodobnie nie rozkręci się nigdy. Stopniowo jednak irytacja zaczęła brać górę. Listopad marnowało się na głupstwa, tak jak na głupstwa marnuje się pieniądze, kiedy człowiek ugrzęźnie w jakiejś nudnej mieścinie. Z niejasną urazą przypomniawszy sobie, że jej siostra miała już co najmniej czterech czy pięciu kochanków, jednego po drugim, i że młoda żona Willy’ego Walda miała dwu jednocześnie. A tymczasem Marcie już przed czterema laty stuknęła trzydziestka.

Najwyższy czas. Kolejno otrzymała męża, piękną willę, stare srebra, samochód - następnym darem na liście był Franz. Nie było to jednak takie proste, przyplątał się skądś jakiś wietrzykprzybłęda, osobliwy powiew podejrzanego tkliwości...

Nie było sensu próbować zasnąć. Franz otworzył okno. W okresie przejściowym między jesienią a zimą bywają takie kapryśne noce, kiedy ni stąd, ni zowąd nadciąga dech ciepłego, wilgotnego powietrza, spóźnione westchnienie lata.

Stał w swojej nowej pasiastej piżamie, trzymając się ramy okiennej, potem wychylił się, splunął obficie i nasłuchiwał, czekając na odgłos śliny rozpryskującej się o bruk chodnika. Ponieważ jednak mieszkał na piątym piętrze, a nie - jak w domu - na drugim, nie usłyszał niczego. Zamknął z leniwym stukiem okno i wrócił do łóżka. Tej nocy uświadomił sobie, jak ktoś zdający sobie nagle sprawę ze swojej śmiertelnej choroby, że zna już Martę ponad dwa miesiące i że trwoni swoją namiętność na próżne fantazje. I w na wpół ordynarnym, na wpół pompatycznym języku, którego używał w rozmowach ze sobą, powiedział do poduszki - Co tam, lepiej sprzeniewierzyć się karierze niż czekać, aż rozpęknie mi się czaszka. Jutro, tak, jutro chwycę ją i powalę na kanapę, na podłogę, na stół, na rozbitą porcelanę... - Szalony Franz!

Jutro nadeszło. Po pracy wrócił do domu, zmienił skarpetki, wymył zęby, włożył nowy jedwabny szalik i z wojowniczą determinacją poszedł na przystanek autobusowy. Po drodze udawał sobie, że, naturalnie, ona go kocha i że tylko duma nie pozwala jej ujawnić tych uczuć - jaka szkoda! Gdyby tylko, niby przypadkiem, przytuliła się do niego, gdyby przy oglądaniu zamazanego albumu otarła policzek o jego skroń albo gdyby jeszcze raz, jak któregoś wieczora, przed lustrem w holu przycisnęła się plecami do jego pleców i powiedziała, odwracając uperfumowaną główkę: „Jestem o trzy centymetry wyższa od pana”, albo gdyby... ale w tym momencie Franz się opamiętał i bezdźwięcznie powiedział do konduktora: „To słabość, a słabości trzeba się wystrzegać”. Niech sobie nawet będzie dzisiaj jeszcze chłodniejsza niż zwykle - teraz, teraz, teraz... Kiedy naciskał guzik dzwonka, przebiegła mu przez myśl tchórzliwa nadzieja, że może Dreyer jest już przypadkiem w domu.

Dreyera nie było.

Przechodząc przez pierwsze dwa pokoje, wyobrażał sobie, że za chwilę otworzy te drzwi tam, wejdzie do jej buduaru, zobaczy ją ubraną w czarną suknię z głębokim dekoltem, ze szmaragdami wokół szyi i natychmiast ją obejmie, mocno, mocno, aż zachrząśnie, a ona omdleje, i rozsypią się jej klejnoty; wyobraził to sobie tak plastycznie, że przez ułamek sekundy widział przed sobą swoje własne oddalające się plecy, widział swoją rękę, widział siebie samego, jak otwiera drzwi, a jako że był to grabieżczy wypad w przyszłość, a pładrowanie przyszłości jest surowo wzbronione, został szybko ukarany. Po pierwsze, kiedy tylko dopędził samego siebie, potknął się i gwałtownie pchnął drzwi. Po drugie, pokój, który Marta nazywała buduarem, był pusty. Po trzecie, kiedy weszła, miała na sobie beżowy kostium z wysokim kołnierzem i długim szeregiem guzików. Po czwarte, opanowała go dobrze mu znana nieśmiałość i mógł co najwyżej liczyć na to, że będzie zdolny mówić w sposób mniej lub bardziej artykułowany.

Marta postanowiła sobie, że tego wieczoru Franz po raz pierwszy ją pocałuje.

Specjalnie wybrała dzień, kiedy miała okres, żeby nie poddać się zbyt szybko i w niewłaściwym miejscu pragnieniu, któremu nie mogła się już dłużej opierać. Ciesząc się przedsmakiem tej roztropnie ograniczonej pieszczoty, nie od razu usiadła przy nim na kanapie. Jak wymagała tego tradycja, włączyła radio, przyniosła srebrne pudełeczko z "libidettes" (wiedeńskimi papierosami), poprawiła fałdę na zasłonie okiennej, włączyła opałowe światło stojącej na stole lampy, zgasiła żyrandol i - wybrawszy najgorszy z możliwych temat konwersacji - zaczęła opowiadać Franzowi, że poprzedniego dnia Dreyer zaczął prace nad jakimś nowym tajemniczym przedsięwzięciem - zyskownym, miejmy nadzieję; podniosła i powiesiła na oparciu krzesła różowy wełniany szal i dopiero wtedy miękko usiadła przy Franzu, niezbyt wygodnie podwijając jedną nogę i wygładzając fałdy spódnicy.

Bez żadnego powodu zaczął wychwalać wuja, mówiąc, jak strasznie jest mu wdzięczny i jak bardzo go polubił. Marta z roztargnieniem kiwała głową. Franz to zaciągał się papierosem, to trzymał go tuż przy kolanie i wodził kartonowym ustnikiem po materiale nogawki. Dym jak strumień nieziemskiego mleka pełził po czepliwym meszku. Marta wyciągnęła do Franza rękę i z uśmiechem dotknęła jego kolana, jakby bawiąc się widmową poczwarką dymu. Poczł miękki dotyk jej palców.

Był głodny spocony i kompletnie wyprany z potencji.

-...i moja matka, wie pani, w każdym liście przesyła mu wyrazy szacunku i miłości, serdeczne pozdrowienia, podziękowania.

Dym się rozwiął. Franz raz po raz pociągał nosem, jak zawsze, kiedy był szczególnie zdenerwowany. Marta wstała i wyłączyła radio. Zapalił następnego papierosa. Narzuciła różowy szal na ramiona i jak dama z jakiegoś staromodnego romansu, uporczywie wpatrywała się w niego z dalekiego kąta kanapy. Z drewnianym śmiechem opowiedział kawał z wczorajszej gazety. Potem, pchnąwszy łapą drzwi, pojawił się Tom, bardzo smutny, bardzo gładki i bardzo nieszczęśliwy i Franz po raz pierwszy naprawdę odezwał się do zdumionego zwierzęcia. W końcu, Bogu dzięki, przyjechał ukochany Dreyer.

Franz wrócił do domu około jedenastej; kiedy szedł na palcach do małej śmierdzącej ubikacji, usłyszał za drzwiami do pokoju gospodarza stłumiony chichot.

Drzwi były uchylone. Franz przechodząc zajrzał do pokoju. Stary Enricht, ubrany tylko w nocną koszulę, stał na czworakach, wypinając pomarszczony i włochaty tyłek ku wspaniałemu tremu. Nisko pochylając przekrwioną twarz z frędzlami siwych włosów, twarz, która przypominała głowę profesora z farsy *Hinduski księżę*, pod łukiem nagich ud rzucał badawcze spojrzenie na odbicie swoich niewesołych pośladków.

## V

Nowe przedsięwzięcie Dreyera istotnie otaczała aura tajemniczości. Cała rzecz rozpoczęła się pewnej środy w połowie listopada. Złożył mu wtedy wizytę pewien nieokreślony cudzoziemiec o kosmopolitycznym nazwisku i nie ustalonym pochodzeniu. Mógł być Czechem, Żydem, Bawarczykiem, Irlandczykiem - wszystko zależało od indywidualnej oceny.

Dreyer siedział w swoim biurze (ogromnym spokojnym miejscu z ogromnymi niespokojnymi oknami, ogromnym biurkiem i ogromnymi skórzanymi fotelami), kiedy przyprohwadzony oliwkowozielonym korytarzem obok szklanych przestrzeni, gdzie dął huragan maszynopisania, zjawił się ów nieokreślony jegomość. Był bez kapelusza, ale miał na sobie palto i ciepłe rękawiczki.

Na wizytówce, która wyprzedziła go o kilka minut, pod nazwiskiem widniał tytuł „Wynalazca”. Dreyer lubił, może nawet za bardzo lubił wynalazców.

Mesmerycznym gestem usadowił gościa w skórzanym luksusie zbyt mocno wypchanego fotela (z popielniczką przymocowaną do jego gigantycznej łapy) i bawiąc się czerwoniębieskim ołówkiem, także usiadł, częściowo zwrócony ku przybyłemu.

Gęste brwi jegomościa wiły się jak czarne włochate gąsienice, a świeżo ogolone partie jego melancholijnej twarzy miały ciemny turkusowy odcień.

Wynalazca zaczął, obchodząc temat z daleka, co Dreyerowi się spodobało.

Interesy należy prowadzić z taką właśnie kunsztowną ostrożnością. Zniżając głos,

wynalazca z godną pochwałą gładkością przeszedł od przedmowy do istoty rzeczy.

Dreyer odłożył ołówek. Węgier - albo Francuz, albo Polak - przedstawił swoją sprawę ze szczegółami i słodyczą.

- Więc mówi pan, że to nie ma nic wspólnego z woskiem? - spytał Dreyer.

Wynalazca uniósł palec:

- Absolutnie nic, chociaż nazywam to „woskinem”, nazwa handlowa, która wkrótce znajdzie się we wszystkich słownikach. Jego głównym składnikiem jest elastyczna bezbarwna substancja przypominająca ciało.

Szczególnie podkreślam jej elastyczność, jej giętkość, jej - jeśli można tak powiedzieć - falistość.

- Powiedzieć można - rzekł Dreyer. - No, a ten „napęd elektryczny”, nie całkiem to pojmuję, co pan na przykład rozumie przez „przekładnię ściąającą”?

Wynalazca uśmiechnął się uśmiechem mędrca.

- W tym cała rzecz. Oczywiście prościej byłoby, gdybym pokazał panu projekty, ale równie oczywiste jest to, że nie mam zamiaru tego uczynić.

Wyjaśniłem, jak może pan stosować mój wynalazek. Teraz od pana zależy, czy dostarczy mi pan środków na przygotowanie pierwszej próbki.

- Ile by pan potrzebował? - spytał z zainteresowaniem Dreyer.

Wynalazca odpowiedział szczegółowo.

- Nie uważa pan - z łobuzerskim błyskiem w oku powiedział Dreyer - że być może pańska wyobraźnia warta jest dużo więcej? Bardzo szanuję i cenię u ludzi wyobraźnię. Gdyby na przykład zjawiał się u mnie człowiek, który powiedziałby: „Mój drogi Herr Direktor, chciałbym trochę pomarzyć, ile zapłaci mi pan za marzenie?” - to może zacząłbym z nim poważne rozmowy. A pan, mój drogi wynalazco, oferuje mi od razu coś praktycznego, na skalę przemysłową i tak dalej. Kogo obchodzi realizacja projektu? Mam obowiązek wierzyć w marzenie, ale wierzyć w jego urzeczywistnienie...

Puh! (jedno z Dreyerowskich prychnięć).

Początkowo wynalazca nie zrozumiał, potem zrozumiał i poczuł się obrażony.

- Innymi słowy po prostu pan odmawia? - spytał ponuro.

Dreyer westchnął. Wynalazca cmoknął językiem i opadł z powrotem na oparcie fotela, splatając i rozplatając palce.

- To dzieło mojego życia - powiedział w końcu, patrząc w przestrzeń. - Jak Herkules przez dziesięć lat zmagalem się z mackami marzenia, udoskonalając tę miękkość, tę elastyczność, tę plastyczność, to stylizowane ożywienie, jeśli mogę użyć takiego terminu.

- Oczywiście, że pan może - rzekł Dreyer - powiedziałbym nawet, że jest lepszy niż - zaraz, jak to było? - falistość. Proszę mi powiedzieć - zaczął, ujmując znów ołówek: dobry znak (ale jego rozmówca nie mógł o tym wiedzieć) - czy zwracał się pan już w tej sprawie do kogoś innego?

- Cóż - powiedział wynalazca z doskonale podrobioną szczerością - muszę wyznać, że jest pan pierwszy. Prawdę mówiąc, dopiero co przyjechałem do Niemiec.

Ten kraj to Niemcy, prawda? - dodał, rozglądając się wokół siebie.

- Podobno - powiedział Dreyer.

Nastąpiła owocna pauza.

- Pańskie marzenie jest urocze - powiedział Dreyer, zamyślony - urocze.

Jego rozmówca wykrzywił usta i wybuchnął:

- Przestańmy głądzić o marzeniach. Marzenia się urzeczywistniły, ucieleśniły, co najmniej w kilku znaczeniach tego słowa, mimo że jestem nędzarzem i nie mogę stworzyć swojego Edenu i swoich ejdetycznych zjaw. Czytał pan kiedy Epikryta?

Dreyer potrząsnął głową.

- Ja też nie. Ale niech mi pan da szansę udowodnienia, że nie jestem szarlatanem. Mówiono mi, że interesuje się pan takimi innowacjami. Proszę tylko pomyśleć, jaka to będzie rewelacja, jaka ozdoba, jakie zdumiewające i - niech mi pan pozwoli użyć tego wyrażenia - artystyczne osiągnięcie.

- Jaką może mi pan dać gwarancję? - spytał Dreyer, rozkoszując się sytuacją.

- Gwarancję ludzkiego ducha - z przekonaniem powiedział wynalazca.

Dreyer roześmiał się:

- Brawo. Zbliży się pan do mojego punktu widzenia.

Zastanowił się i dodał:

- Muszę chyba przemyśleć pańską propozycję, przyjrzeć się jej ze wszystkich stron. Kto wie, może przyśni mi się pański wynalazek. Moja wyobraźnia musi nim przesiąknąć. W tej chwili nie mogę ani przyjąć, ani odrzucić pańskiej oferty. Niech pan idzie do domu. Gdzie się pan zatrzymał?

- W hotelu „Montevideo” - powiedział wynalazca. - Idiotycznie bałamutna nazwa.

- Ale także jakby znajoma, chociaż nie wiem skąd. Video, video...

- Widzę, że ma pan tu filtr do wody mojego przyjaciela Pugowitza - powiedział wynalazca, celując palcem w kran w korytarzu z miną Rembrandta wskazującego na obraz Claude'a Lorraine'a.

- Video, video - powtarzał Dreyer. - Nie, nie mam pojęcia. No cóż, proszę zastanowić



się nad naszą rozmową i zdecydować, czy chce pan uśmiercić wspaniałą fantazję, sprzedając ją fabryce. Za tydzień do dziesięciu dni zadzwonię do pana. I - przepraszam, że o tym mówię - mam nadzieję, że będzie pan odrobinę bardziej rozmowny, odrobinę ufniejszy.

Kiedy gość poszedł sobie, Dreyer usiadł i siedział nieporuszony z rękami wbitymi głęboko w kieszenie spodni. „Nie, to nie szarlatan - uznał. - W każdym razie na pewno nie zdaje sobie sprawy, że jest szarlatanem. Dlaczego by się troszeczkę nie pobawić? Jeśli jest tak, jak mówi, rezultaty mogą być naprawdę ciekawe”.

Dyskretnie zadzwonił telefon i na pewien czas Dreyer zapomniał o wynalazcy.

Tego wieczoru jednak dał Marcie do zrozumienia, że planuje całkiem nowe przedsięwzięcie, a kiedy spytała, czy to przyniesie zyski, zmrużył oczy i kiwnął głową: - Bardzo, bardzo duże, najdroższa.

Następnego ranka, prychając pod prysznicem, postanowił nie przyjmować drugi raz wynalazcy. Podczas obiadu w restauracji pomyślał o nim z przyjemnością i uznał, że jego wynalazek jest czymś wyjątkowym i że nie sposób mu się oprzeć.

Wróciwszy do domu, mimochodem powiedział Marcie, że planowane przedsięwzięcie spaliło na panewce. Miała na sobie swój beżowy kostium i chociaż w mieszkaniu było całkiem ciepło, otuliła się różowym szalem. Franz, którego uważał za zabawnego prostaczka, jak zwykle był nerwowy i ponury. Szybko sobie poszedł, tłumacząc się tym, że wypalił za dużo papierosów i boli go głowa. Kiedy tylko ich opuścił, Marta poszła do sypialni. Na trójnożnym stoliku w buduarze koło kanapy leżało otwarte srebrne pudełeczko. Dreyer wyjął z niego libidette'a i wybuchnął śmiechem.

„Przekładnia ściągająca! Ożywiona elastyczność! Nie, nie może być oszustem. Jego pomysł jest bardzo atrakcyjny”.

Kiedy i on się położył, Marta, jak się zdawało, już spała. Po upływie kilku wieków lampa na nocnej szafce zgasła. Marta natychmiast otworzyła oczy i zaczęła nasłuchiwać. Chrapał. Leżała na plecach, wpatrując się w mrok. Była na wszystko zła: na to chrapanie, na ten pobłysk w ciemności - prawdopodobnie lustro - i nawiasem mówiąc także na siebie.

„Źle się do tego zabrałam - myślała. - Jutro wieczorem podejmę ostateczne środki. Jutro wieczorem”.

Franz jednak nie pojawił się ani następnego wieczoru, ani w sobotę. W piątek poszedł do kina, a w sobotę do kawiarni ze swoim kolegą Schwimmerem. W kinie aktorka z czarnym serduszkem w miejscu ust i rzęsami jak druty parasolki odgrywała bogatą dziedziczkę odgrywającą ubogą urzędniczkę. Kawiarnia okazała się ciemna i nudna. Schwimmer cały czas mówił o zachowaniu chłopców na letnich obozach; jakaś uróżowana dziwka z odrażającym

złotym zębem patrzyła na nich i kołysała nogą, i lekko uśmiechała się do Franza za każdym razem, kiedy strzepywała popiół z papierosa.

„To było takie proste - myślał Franz - chwycić ją w objęcia, kiedy dotknęła mojego kolana. Co za męka... Czy powinienem odczekać trochę i nie widzieć się z nią przez kilka dni? Ale wobec tego nie ma po co żyć. Następnym razem - przysięgam, tak, przysięgam. Przysięgam na dusze matki i siostry”.

W niedzielę gospodarz przyniósł mu kawę jak zwykle o wpół do dziesiątej.

Franz nie ubrał się ani nie ogolił od razu, jak robił to w dni robocze, nałożył tylko na pizamę stary szlafrok. Potem usiadł przy stole i zaczął pisać swój cotygodniowy list: „Kochana Mamo! - napisał swym pełzliwym charakterem pisma. - Jak się czujesz?

Jak się czuje Emmy? Pewnie...”

Przerwał pisanie, przekreślił ostatnie słowo i zamyślił się, dłubiąc w nosie i patrząc na deszczową pogodę za oknem. Pewnie szły teraz do kościoła. Po południu będzie kawa z bitą śmietaną. Wyobraził sobie tłustą, rumianą twarz matki i jej farbowane włosy. Co on ją obchodzi? Zawsze bardziej kochała Emmy. Dawała mu jeszcze po uszach, kiedy miał siedemnaście, osiemnaście, nawet dziewiętnaście lat - w zeszłym roku. Kiedyś na Wielkanoc, kiedy był bardzo mały, chociaż nosił już okulary, kazała mu zjeść czekoladowego zajączka, którego przedtem dokładnie oblizala jego siostra. Za lizanie przeznaczonego dla niego przysmaku dała jej lekkiego klapsa w pupę, za to jego za odmowę dotknięcia czekoladowego okropieństwa poczęstowała takim wymierzonym na odlew policzkiem, że spadł z krzesła, uderzył głową o kredens i stracił przytomność. Nigdy zbyt mocno nie kochał matki, ale nawet biorąc to pod uwagę, miłość do matki była jego pierwszą nieszczęśliwą miłością, czy też raczej uważał matkę za szkic swojej pierwszej miłości, bo chociaż pragnął jej uczucia - ponieważ opowiadania z czytanek (*Mój syn jest żołnierzem, Hanna wraca do domu*) uczyły go, jak uczyły tego od niepamiętnych czasów, że matki zawsze szaleją za swoimi synami i córkami - w istocie nie mógł znieść jej wyglądu, manier i wydzielin, przygnębiającego, przygnębiająco znajomego odoru jej skóry i ubrań, brązowego, przypominającego pluskwę, tłustego znamienia na jej szyi, sposobu, w jaki drapała się drutem, którym coś tam dziergała, w nieapetyczny przedziałek rozdzielający jej kasztanowate włosy, jej monstrualnych obrzękłych kostek i wszystkich jej kuchennych min, po których mógł niezawodnie poznać, co właśnie gotuje - zupełnie piwną, bycze jądra czy okropny miejscowy przysmak, *Budenzucker*.

Być może - przynajmniej kiedy patrzyło się na to z perspektywy czasu - mniej cierpienia sprawiały mu jej obojętność, małostkowość, napady złego humoru niż zakłopotanie i odraza, jakie odczuwał, kiedy z udawaną tkliwością szczypała go w policzek w obecności

jakiegoś gościa, na ogół sąsiadarzyńnika, albo kiedy przy nim właśnie dla kaprysu i zabawy zmuszała go, żeby pocałował koleżankę siostry, Christine, którą uwielbiał z daleka i którą przepraszałyby za te okropne chwile, gdyby zwracała na niego choćby najmniejszą uwagę. Ale może, mimo wszystko, matka za nim tęskni? Nigdy nie pisała o uczuciach w swoich rzadkich listach.

W każdym razie przyjemnie jest się nad sobą użalić, gorące łzy napływają przy tym do oczu. A Emmy to dobra dziewczyna. Wyjdzie za chłopca pracującego u rzeźnika. Najlepszego rzeźnika w mieście. Niech diabli wezmą ten deszcz. Kochana Mamo! Co dalej? Może opisać pokój?

Poprawił prawy pantofel, który postarzał się szybciej niż lewy i zsuwał się z nogi, kiedy dyndała w powietrzu, i rozejrzał się dokoła.

„Jak już kiedyś wspominałem, mam wspianały pokój, nigdy Ci go jednak porządnie nie opisałem. Jest w nim lustro i umywalka. Nad łóżkiem wisi piękny obraz damy na orientalnym tle. Tapeta jest w brązowe kwiaty. Przede mną przy ścianie stoi komoda”.

W tej chwili rozległo się lekkie pukanie, Franz odwrócił głowę, drzwi się uchyliły. W szczelinę wsunął głowę stary Enricht, mrugnął, zniknął i powiedział do kogoś po drugiej stronie drzwi:

- Tak, jest w domu. Proszę wejść.

Miała na sobie piękne futro z kretów, rozpięte i szeroko rozchylone, a pod nim przejrzystą, przypominającą mgielkę sukienkę; deszcz, który złapał ją pomiędzy taksówką a bramą wejściową, zdążył pokryć ciemnymi plamkami jej perłowszary przypominający hełm kapelusz; stała mocno przyciskając do siebie pokryte morelowym jedwabiem nogi, jak gdyby była na defiladzie. Wciąż stojąc w ten sposób, sięgnęła za siebie i zamknęła drzwi. Zdjęła rękawiczki. Nie uśmiechała się, przyglądała się Franzowi uważnie, jak gdyby nie spodziewała się go tu zobaczyć. Zakrył dłońią swoje nagie jabłko Adama i wypowiedział długie zdanie, ale z zaskoczeniem stwierdził, że nie padły chyba żadne słowa, jak gdyby wystukał je na maszynie, zapomniawszy założyć taśmę.

- Przepraszam za wtargnięcie - powiedziała Marta - ale bałam się, że jest pan może chory.

Drząc i mrugając oczami, z obwisłą dolną wargą, zaczął pomagać jej uwolnić się od futra. Jedwabna podszewka była szkarłatna, równie szkarłatna jak usta i obdarte ze skóry zwierzęta, i pachniała niebem. Położył jej futro i kapelusz na łóżku i ostatni lojalny obserwator - szalejąca w jego świadomości burza rozproszyła wszystkie inne myśli - zauważył, że przypomina to zajmowanie sobie w przedziale miejsca, na którym pasażer

zamierza później usiąść.

Pokój był wilgotny i Marta, która pod sukienką nie miała nic prócz podwiązek i pończoch, zaczęła drzeć.

- O co chodzi? - spytała. - Myślałam, że moje odwiedziny sprawią panu przyjemność, a tymczasem nie odezwał się pan nawet słowem.

- Ależ nie, mówię - powiedział Franz, ze wszystkich sił starając się przekrzyczeć narastający wokół niego szum.

Stali teraz twarzą w twarz na środku pokoju, pomiędzy nie dokończonym listem i nie zaścielonym łóżkiem.

- Nie zachwycam się pańskim szlafrokiem - powiedziała - ale bardzo mi się podoba pańska piżama. Jaki ładny materiał - ciągnęła, ujmując go pomiędzy palec wskazujący i kciuk tuż przy rozpiętym kołnierzyku. - Proszę, proszę, nasz mały kupiec śpi z piórem w kieszonce na piersi, wcielenie człowieka interesu.

Zaczął od jej rąk, zanurzając usta w ciepłych dłoniach, pieścił jej zimne kłykcie, całował jej bransoletkę. Delikatnie zerwała mu okulary i jak gdyby sama była ślepa, po omacku zaczęła szukać kieszeni jego szlafroka, doprowadzając go tym do szaleństwa.

Jej twarz znajdowała się teraz wystarczająco blisko jego twarzy i wystarczająco daleko od niewidzialnego świata, by odważył się na następny krok. Ścisnął ją za biodra i przypiął się do jej wpełotwartych, ruchliwych ust. Uwolniła się z jego objęć, obawiając się, że jego młodzieńcza niecierpliwość może zbyt szybko doprowadzić go do spełnienia; wcisnął twarz w miękkie zagłębienie jej szyi.

- Proszę - mamrotał - proszę, zaklinam na wszystko.

- Głuptasie - powiedziała. - Oczywiście. Musimy się tylko najpierw dobrze zamknąć.

Ruszył do drzwi, machinalnie wkładając na nowo okulary i zostawiając przed nią, jako gwarancję szybkiego powrotu, swój prawy pantofel. Potem jego pożądanie wyraźnie się ujawniło, a oczy za silnymi szklami zrobiły się złe; spróbował pchnąć ją na łóżko.

- Zaczekaj, zaczekaj chwilkę, mój słodki - powiedziała, przytrzymując go jedną zimną ręką, a drugą zapamiętała grzebiąc w torebce. - Posłuchaj, musisz to nałożyć, daj, pomogę ci, mój ty kochany brutalu, mój ty niezgrabiaszu.

- Już - zawołała, kiedy był wreszcie wspaniale powleczoney; odsłoniła uda i nawet się nie kładąc i delektując się jego nieporadnością, naprowadziła na trop jego skierowane w górę pchnięcia, aż w końcu trafiły do celu, wykrzywiła przy tym twarz, odrzuciła w tył głowę i wbiła swych dziesięć paznokci w jego pośladki.

Kiedy było po wszystkim, zachwiała się i ciężko usiadła na krawędzi łóżka, przy

którym przed chwilą stała. Było tak cudownie, że nie od razu zdała sobie sprawę, że siedzi na swojej torebce z imitacji krokodylej skóry, a miała tylko jedną lepszą od niej.

Franz chciał natychmiast zacząć rzecz od nowa, ale powiedziała, że przede wszystkim musi zdjąć sukienkę i pończochy i wygodnie ułożyć się w łóżku. Futro i kapelusz przeniosły się na krzesło. To, co Marta nazywała „jego nieprzemakalnym płaszczkiem”, zostało wypłukane i znów nałożone. Zachwycali się sobą wzajemnie.

Jej piersi okazały się rozczarowująco małe, ale miały uroczy kształt.

- Nigdy bym nie pomyślała, że jesteś taki szczupły i taki owłosiony - powiedziała głaszcząc go przy tym. Jego słownictwo było jeszcze uboższe.

Po chwili łóżko ruszyło w drogę. Popłynęło, poskrzypując delikatnie jak wagon sypialny, kiedy opuszcza jakąś stację ze snów.

- Ty, ty, ty - wyjęczała Marta, lekko ściskając go kolanami przy każdym oddechu i wilgotnym wzrokiem odprowadzając cienie aniołów, powiewające na suficie chusteczkami; a sufit uciekał do tyłu coraz szybciej i szybciej.

Teraz pokój był pusty. Przedmioty leżały, stały i wisiały w niedbałych pozach, jaką rzeczy wytworzone przez człowieka przyjmują pod jego nieobecność.

Niby krokodyl leżał na podłodze. Niebieskawy korek, który niedawno wyciągnięto z małego kałamarza, kiedy trzeba było napisać pióro, przez chwilę się wahał, potem zatoczył półokrąg, doturlał się do krawędzi pokrytego ceratą stołu, znowu się zawahał i zeskoczył. Starając się pomóc zacinającemu deszczowi, wiatr spróbował otworzyć okno - bez powodzenia. W rozchwierutanej szafie niebieski krawat w czarne kropki spelzł z wieszaka jak wąż. Broszurowana mikropowieść na komodzie, otwarta na rozdziale piątym przewróciła kilka kartek.

Nagle lustro dało znak - ostrzegawczy błysk. Odbiło niebieskawą pachę i uroczą obnażoną rękę. Ręka się wyciągnęła i opadła bez życia. Powoli łóżko wróciło z Edenu do Berlina. Powitał je wybuch muzyki dobiegającej z radia gdzieś na górze, muzyka natychmiast zmieniła się w warkot podnieconego głosu, potem wróciła, tym razem jednak bardziej oddalona. Marta leżała z zamkniętymi oczami, uśmiech wydrążył dwie jamki w kształcie sierpów po obu stronach jej szczelnie zamkniętych ust. Niegdyś nieprzenikalne czarne pasma włosów były teraz odrzucone ze skroni, Franz leżał obok, wsparty na łokciu i obserwował jej delikatne nagie ucho i czyste czoło, i nareszcie odnajdywał to coś, co upodobało tę twarz do wizerunku madonny, a co - był łasy na tego rodzaju porównania - dostrzegł już przed trzema miesiącami.

- Franz - powiedziała Marta, nie otwierając oczu - Franz, było jak w raju, jeszcze

nigdy, nigdy...

Wyszła godzinę później, obiecawszy swojemu biednemu maleństwu, że następnym razem podejmie nie tak okrutne środki ostrożności. Zanim wyszła, dokładnie przyjrzała się wszystkim kątom pokoju, podniosła z podłogi piżamę Franza, wyjęła z kieszonki pióro i położyła je na nocnym stoliku, zmieniła ustawienie krzesła, zauważyła, że w skarpetkach były dziury i że tu i ówdzie brakuje guzików, i oznajmiła, że w ogóle trzeba upiększyć pokój - może położyć haftowane serwetki, a w każdym razie postarać się o kanapę z kilkoma kolorowymi poduszkami. Przypomniała o kanapie gospodarzowi, który jak się przekonała, bardzo cicho chodził tam i z powrotem po korytarzu, chcąc wsunąć się do pokoju i zabrać przybory do kawy.

Uśmiechając się to do niej, to do Franza i pocierając sucho szeleszczące dłonie, powiedział, że kiedy tylko wróci jego żona, kanapa także wróci na swoje miejsce. A ponieważ, prawdę mówiąc, nigdy nie oddawał żadnej kanapy do naprawy (puste miejsce zajmowało pianino poprzedniego lokatora), z dużym zadowoleniem odpowiadał na szczegółowe pytania Marty. W ogóle siwy Enricht, staruszek w filcowych kapciach, był w zupełności zadowolony ze swojego życia, zwłaszcza od dnia, kiedy odkrył, że posiada niezwykłą umiejętność przemieniania się w rozmaite stworzenia - w konia, w wieprza albo w sześciolletnią dziewczynkę w marynarskiej czapeczce. Albowiem w istocie (co naturalnie było tajemnicą) był słynnym iluzjonistą i magikiem imieniem ManethekElPhares.

Marcie podobała się jego uprzejmość, ale Franz przestrzegł ją, że gospodarz jest trochę dziwny.

- Ależ, kochanie - powiedziała, schodząc po schodach - wszystko w porządku. Ten cichy staruszek jest znacznie bezpieczniejszy niż jakaś wścibska stara baba. *Au revoir*, skarbie. Możesz mnie pocałować - tylko szybko.

Ulica była zdecydowanie nędzna. Może kiedy skończą „Cinépalace”, będzie wyglądać lepiej. Tablica w drewnianej ramie, ustawiona w strategicznym punkcie przodem do chodnika, przedstawiała iluzoryczną przyszłość - wysoki budynek z błyszczącego szkła stał samotnie w przestrzeni wypełnionej tylko błękitnym powietrzem, chociaż naprawdę obrzydliwe kamienice czynszowe wręcz tuliły się do jego bardzo powoli wznoszonych murów. Na otoczonych rusztowaniami, na wpół wykończonych piętrach nad obiecany kinem miały się znajdować wynajmowana sala wystawowa, salon piękności, atelier fotograficzne i wiele innych wspaniałości.

Z jednej strony ulica była ślepa, z drugiej dochodziła do niedużego placu, na którym we wtorki i piątki był skromny targ pod odkrytym niebem. Po przeciwnej stronie placu

wypuszczał dwie gałęzie: w lewo biegł zakrzywiony zaułek, w którym w dniach politycznych uroczystości dumnie powiewały czerwone flagi, w prawo ciągnęła się długa i ludna ulica; można było na niej wypatrzeć duży sklep, w którym każdy przedmiot kosztował ćwierć marki, niezależnie od tego, co to było: popiersie Schillera czy jakiś rondel. Martę przenikało zimno, ale i szczęście. Ulica kończyła się kamiennym portykiem z białym „U” na niebieskim szkle - stacją metra. Potem skręcało się w lewo w dosyć przyjemną szeroką aleję. Po chwili rząd kamienic się kończył; tu i ówdzie budowano willę, tu i ówdzie rozciągał się ugór podzielony na ogródki warzywne. Potem znowu pojawiały się domy, duże, nowe budynki, różowe i pistacjowozielone. Marta skręciła za ostatnim z nich i znalazła się na swojej ulicy.

Niedaleko od jej willi biegła szeroka aleja, którą jeździły dwa tramwaje - 113 i 108 - oraz autobus.

Szybko przeszła wysypaną żwirem dróżkę, wiodącą do ganku. W tej chwili słońce przetoczyło się po miękkim spodzie białych chmur, znalazło szczelinę i promiennie się przez nią przedarło. Drzewka rosnące wzdłuż ścieżki natychmiast odpowiedziały wilgotnymi kroplami światła. Z kolei zaiskrzył się trawnik. Przeleciał wróbel, błysnęło jego krystaliczne skrzydło.

Kiedy Marta weszła do domu, różowe plamki zamigotały jej przed oczami w stosunkowo mrocznym holu. Stołu w jadalni jeszcze nie nakryto. W sypialni niespodziewane słońce było już starannie złożone na dywanie i na niebieskiej kanapie.

Zaczęła się przebierać, uśmiechając się, wzdychając radośnie i z wdzięcznością patrząc na swoje odbicie w lustrze.

W chwilę później, kiedy w ciemnoczerwonej sukni, z gładkimi skroniami i zaledwie śladem makijażu stała na środku pokoju, usłyszała idiotycznie liryczne szczeknięcie Toma na dole, a potem donośny głos kogoś obcego. Schodząc po schodach, spotkała na ich zakręcie wchodzącego do góry kogoś obcego, kto wyminął ją szybko, pogwizdując i uderzając poręcz pejczem.

- Witaj, najdroższa - powiedział, nie zatrzymując się. - Będę na dole za dziesięć minut.

I biorąc jednym niezgrabnym susem kilka ostatnich stopni, chrząknął wesoło i spojrzał w dół na jej oddalające się rozdzielone przedziałkiem włosy.

- Pośpiesz się - powiedziała, nie oglądając się za siebie - i bądź łaskaw zrobić coś z tym zapachem stajni.

Podczas obiadu, otoczona błahą rozmową i brzękiem - tym szczególnym na wpół szklanym, na wpół metalowym brzękiem właściwym procesowi ludzkiego odżywiania się -

nadal nie poznawała właściciela domu, mężczyzny z ruchliwym przyciętym wąsikiem, i sposobu, w jaki szybko wpychał sobie do ust to rzodkiewkę, to znów kawałek bułeczki, którą gniótł na obrusie, kiedy mówił. Nie żeby odczuwała jakieś szczególne skrępowanie. Nie była ani Emmą, ani Anną. W ciągu siedmiu lat małżeńskiego pożycia przywykła udzielać bogatemu opiekunowi swych względów z taką zręcznością, z takim wyrachowaniem i z taką cielesną wprawą, że ona, która - jak sądziła - dojrzała do zdrady, już dawno była gotowa do nierządu.

Po jej prawej stronie siedział utytułowany starszy pan o nieco prostackim wyglądzie, po lewej - Willy Wald z wielkimi czerwonymi policzkami i potrójną fałdą tłuszczu z tyłu nad kołnierzykiem. Przy nim siedziała jego hałaśliwa matka, także korpulentna, z takimi samymi jak u syna wyłupiastymi, ciemnymi i wilgotnymi oczami. Jej zgrzytliwy głos nagle przechodził w zawieszony bulgoczący rechot, tak różny od tonu, jakim mówiła, że ślepiec mógłby się pomylić i wziąć ją za dwie różne osoby. Obok starego hrabiego rzucała iskry młoda pani Wald, która pudrowała się do śmiertelnej bledkości, miała nienaturalnie sklepienie brwi i jeśli o nas chodzi, mogła sobie zatrzymać swoich trzech żigolaków. A wśród nich, naprzeciw Marty, ukrytej to za mięsistą dalią, to za fasetami kryształu, rozmawiał i śmiał się absolutnie zbędny pan Dreyer. Oprócz niego wszystko było świetne: jedzenie, zwłaszcza gęś, i ciężki profil dobrodusznego tysonia Willy'ego, i rozmowa o samochodach, i ostry dowcip hrabiego, i opowiedziany przezeń *sotto voce* kawał o operacji plastycznej starzejącej się gwiazdy filmowej, po której to operacji jej podbródek zdobył nowy dołeczek, poprzednio będący jej pępkiem. Sama Marta nie mówiła wiele. Ale jej milczenie było tak rozwibrowane, tak wrażliwe, jej na wpół otwarte błyszczące usta zdobył tak ożywiony uśmiech, że wydawała się niezwykle rozmowna. Dreyer nie mógł się powstrzymać, żeby nie rozkoszować się nią, zaglądając za grube różowe rogi dali. A wrażenie, że jest z nim jednak szczęśliwa, niemal wynagradzało mu rzadkość jej pieścizot.

- Jak można kochać człowieka, którego samo dotknięcie przyprawia cię o mdłości? - wyznała Franzowi przy jednym z ich następnych spotkań, kiedy zaczął domagać się, żeby mu powiedziała, czy kocha męża.

- A więc ja jestem pierwszy? - spytał chciwie. - Pierwszy?

W odpowiedzi odsłoniła swoje błyszczące zęby i powoli uszczypnęła go w policzek. Franz objął jej nogi i patrzył na nią w górę, obracając głowę i starając się chwycić ustami jej palce. Siedziała w fotelu, już ubrana i gotowa do wyjścia, nie mogąc się jednak na nie zdecydować, a on kulił się przed nią na kolanach, rozczochrany, w mrugających okularach i nowych białych szelkach. Właśnie włożył jej buty na nogi, jako że odwiedzając go nosiła



pantofle ze szkarłatnymi pomponami. Parę tych kapci (skromny, ale dobrze przemyślany prezent od niego) nasi kochankowie trzymali w dolnej szufladzie stojącej w rogu komody, bo życie nie tak rzadko naśladuje fikcję francuskich powieściopisarzy. W szufladzie był także niewielki arsenał środków antykoncepcyjnych, stale pomnażany przez Martę, u której po poronieniu w pierwszym roku małżeństwa wystąpił chorobliwy lęk przed ciążą. Kiedy Franz odkładał piękne pantofle, żeby czekały na następny raz, myślał o tym, jaki uroczo kobiecy akcent nadało to wszystko pokojowi, który również pod innymi względami nabrał urody. Na stole w granatowym wazonie z pojedynczym podłużnym odbiciem stały na ostatnich nogach trzy różowe dalie. Tu i ówdzie pojawiły się ozdobne koronkowe serwetki, a wkrótce ciężko miała się wtoczyć wytrwale zapowiadana kanapa; z myślą o niej Marta postarała się już o dwie poduszki pawiego koloru.

Okrągłe beżowe mydło o zapachu fiołków, którego używała, leżało w celuloidowym pudełeczku i zdobiło umywalkę. Środki toaletowe młodego człowieka wzbogaciły się o butelkę anticapryny i płyn do skóry z pokrytą plamkami twarzą na etykietce.

Wszystkie jego rzeczy sprawdzono i policzono; jego bielizna miała teraz wyhaftowane urocze monogramy; pewnego niezapomnianego ranka wśliznęła się do sklepu, kazała sobie pokazać najelegantsze krawaty, wybrała trzy i znikła, przeszedłszy przez jego dział, tonąc w coraz to nowych lustrach; to, że nawet na niego nie spojrzała, dodało osobliwego blasku tej krystalicznej schadzce. Teraz krawaty jak trofea wisiały w jego szafie. Powoli rozkwitał jeszcze pewien oszałamiający zamiar: smoking!

Miłość pomogła Franzowi dojrzeć. Pierwszy romans przypominał dyplom, z którego można być dumnym. Przez cały dzień dręczyło go pragnienie pokazania tego dyplomu koledze sprzedawcy, ale ostrożność powstrzymała go nawet od najmniejszych aluzji do niego. Około wpół do szóstej (Piffke, myśląc, że ucieszy to szefa, pozwalał mu wyjść odrobinę wcześniej niż innym) wpadał bez tchu do swojego pokoju. Wkrótce potem przychodziła Marta, przynosiła kilka kanapek z pobliskich delikatesów. Dosyć zabawny kontrast między jego chudym ciałem i jedną jego sterczącą częścią, krótką, ale wyjątkowo grubą, kazał jego kochance pisać hymny pochwalne na cześć jego męskości:

- Grubasek jest głodny! O, jaki głodny!...

Kiedy indziej mówiła:

- Założę się (uwielbiała zakłady), założę się o nowy sweter dla ciebie, że nie zdołasz tego zrobić jeszcze raz.

Czas jednak nie jest przyjacielem kochanków. Trochę po siódmej musiała odejść. Była równie punktualna, jak namiętna. A koło dziewiątej Franz na ogół szedł do wujostwa, żeby

zjeść u nich kolację.

Ciepłe, płynące ciepłą strugą szczęście wypełniało ciało Franza po brzegi, pulsowało w nadgarstku i w skroni, biło w piersi, to ono wypłynęło z jego palca rubinową kropelką, kiedy przypadkiem ukłuł się w sklepie szpilką: często miał w swoim dziale do czynienia ze szpilkami (choć nie tak często, jak robiący poprawki krawiec, Kottmann, który przypominał - kiedy z kolczastymi ustami krążył wokół poznaczonego kredą klienta - rybę „drucikowca”, znaną niegdyś w odległej rzece skasowanego już dzieciństwa). Lecz ogólnie rzecz biorąc, jego ręce stały się teraz zwinniejsze i wywoływały u Marty pomruk rozkoszy, gdyż szczególnie lubiła jego górne kończyny, a kochała je najbardziej, kiedy rytmicznymi, ekstatycznymi ruchami przebiegały po całym jej mlecznobiałym ciele. Lada sklepowa była więc niemą klawiaturą, na której Franz ćwiczył swoje szczęście.

Lecz kiedy tylko Marta odchodziła, kiedy tylko zbliżał się czas kolacji i nieuniknionego spotkania z Dreyerem, wszystko się zmieniało. Jak w snach, w których całkowicie nieszkodliwy przedmiot budzi nasz lęk, toteż przeraża nas za każdym razem, gdy o nim śnimy (i nawet na jawie zachowuje niepokojące zabarwienie), obecność Dreyera stała się dla Franza wyrafinowaną torturą, nieubłaganą groźbą. Kiedy po raz pierwszy po wizycie Marty, pokonywał niewielki dystans między furtką i gankiem (nerwowo poziewując i miętosząc okulary), kiedy po raz pierwszy w charakterze tajnego kochanka pani domu przestąpił próg i pocierając mokre od deszczu dłonie, spojrzawszy spode łba na Bogu ducha winną Friedę, opanowało go takie niesamowite uczucie, że przerażony i zmieszany wymierzył kopniaka Tomowi, który witał go w salonie z niespodziewaną wylewnością. Czekał na gospodarzy, Franz zabobonnie szukał w jasnych oczach poduszek zapowiedzi katastrofy. Będąc w kwestiach uczucia przewrażliwionym i nikczemnym tchórzem (tacy są podwójnie nieszczęśliwi, jako że jasno zdają sobie sprawę ze swego tchórzostwa i obawiają się go), nie mógł się nie skulić, kiedy z hałasem zatraskujących się w dramatycznym przeciągu drzwi Marta i Dreyer weszli jednocześnie z dwu różnych pokojów, wkraczając jak gdyby na oblaną zbyt ostrym światłem scenę. Potem stanął na baczność i zdawało mu się, że w tej pozie, przebijając sufit i dach, wzlatuje do czarnobrazowego nieba, podczas gdy w istocie, wypatroszony i pusty, ścisnął dłonie Marty i Dreyera. Wrócił z tego mrocznego niebytu, z tych nieznanych i dość głupich wysokości i wylądował na nogach pośrodku pokoju (bezpieczny, bezpieczny!), kiedy promieniejący serdecznością Dreyer, zatoczywszy palcem wskazującym krąg, dziabnął go w pępek; Franz udał, że traci oddech i zachichotał. Marta była jak zwykle zimna i promienna. Lęk Franza bynajmniej nie przeszedł, tylko na chwilę przycichł: jedno nieostrożne spojrzenie, jeden wymowny uśmiech, a wszystko się wyda i

niewyobrażalna katastrofa zrujnuje mu karierę.

Później, ilekroć wchodził do tego domu, wyobrażał sobie, że katastrofa już się wydarzyła, że Martę przyłapano albo że w ataku szaleństwa czy religijnej ekspiacji wyznała wszystko mężowi; kandelabr w salonie niezmiennie witał go złowróżbnym błyskiem.

Z dygotem ważył w myślach każdy żart Dreyera, opukiwał go ze wszystkich stron, obwąchiwał, szukał jakiejś chytrej aluzji, ale nic tam nie było. Na szczęście dla Franza zainteresowanie jego spostrzegawczego wuja jakimkolwiek obiektem - ożywionym czy nie - którego cechy charakterystyczne dostrzegał natychmiast (lub sądził, że je dostrzega), którym napawał się i który cyzelował, słabło przy każdym kolejnym pojawieniu się tego obiektu. Jasne spostrzeganie stawało się rutyną i abstrakcją. Natury takie, jak on, wydatkowały tyle energii na zmaganie się - za pomocą całego oręża umysłu i przy wykorzystaniu wszystkich jego naczyń - z narzucającymi się obrazami bytu, że z wdzięcznością przyjmowały szarą błonę owego „to już znam”, która szybko formuje się pomiędzy nowością a jej użytkownikiem.

Myśleć, że obiekt może się samorzutnie zmienić i nabrać nieprzewidzianych cech - to było zbyt nudne. Znaczyłoby to bawić się nim raz jeszcze, a Dreyer nie był już młody.

Dostrzegł i w pełni docenił prostoduszność i prostactwo tego biedaka niemal przy pierwszym anonimowym *rendezvous* w pociągu. Później, od pierwszej chwili rzeczywistej znajomości, myślał o Franzu jako o zabawnym zbiegu okoliczności w ludzkiej postaci: była to postać nieśmiałego siostrzeńca z prowincji, charakteryzującego się trywialnym umysłem i ograniczonymi ambicjami. Podobnie Marta - już od ponad siedmiu lat pozostawała tą samą powściągliwą, gospodarną i zimną żoną, a jej urodę ożywiały momentami rajski uśmiech, w którym się zakochał. Żaden z tych obrazów nie zmieniał się w sposób zasadniczy, po prostu coraz szczelniej wypełniały je pasujące do stosownego wzoru cechy. Tak właśnie patrzy doświadczony artysta - widzi tylko to, co zgadza się z jego pierwotną koncepcją.

Z drugiej strony Dreyer czuł coś w rodzaju poniżającego świerzbienia, kiedy obiekt nie od razu poddawał się jego żarłocznemu oku, jeśli nie przyjmował posłusznie takiej postawy, która pozwoliłaby patrzacemu wziąć się z nim za bary. Od wypadku samochodowego minęło kilka miesięcy. Miał wystarczająco dużo czasu, by sporządzić testament: zawsze zamierzał sporządzić go na swoje pięćdziesiąte urodziny, które dzięki chłodnemu sercu jego jedynej spadkobierczynie przeszły bez cienia jubileuszu. Ciągle jednak nie zdołał ustalić, czyjego szofer odznacza się, czy nie pewną małą cechą, która - gdyby się nią odznaczał - musiałaby wcześniej czy później doprowadzić do następnego wypadku. Pociągając nosem próbował w odorze tytoniu, bijącym z ust kierowcy, wysledzić inną,

weselszą woń; przyglądał się mu, kiedy na swoich krzywych nogach kręcił się wokół samochodu; w najbardziej sprzyjającym momencie - w sobotę wieczorem - niespodziewanie wzywał go do siebie i pracowicie wiódł z nim banalną konwersację, sprawdzając, czyjego rozmówca nie zachowuje się nazbyt swobodnie. Miał nadzieję, że któregoś dnia usłyszy: niestety, w tej chwili szofer nie może przyjść - ale taki dzień, niestety, nie nadszedł. Czasami zdawało mu się, że ikar bierze zakręty troszeczkę szybciej, troszeczkę weselej niż zwykle. Właśnie w jednym z takich dni beztroskich zakrętów, w dniu szczególnie interesującym przez to, że poprzedniego wieczoru spadł pierwszy śnieg, który zdążył się stopić i zmienić w śliską papkę, zobaczył przez okno mężczyznę bez kapelusza, który wyglądał dokładnie tak, jak gdyby zamiast stawów miał zawiasy: drobnymi kroczkami przechodził przez ulicę. Zdarzenie to przypomniało mu o rozmowie z miłym wynalazcą. Kiedy dotarł do biura, natychmiast kazał zadzwonić do niego do „Montevideo” i był bardzo zadowolony, kiedy wiekowa Sara Reich, jego sekretarka, powiedziała mu, że wynalazca zaraz przyjdzie. Ani jednak Dreyer, ani panna Reich (która miała swoje własne okropne kłopoty), ani nikt inny na całym świecie nie dowiedział się nigdy, że samotny, cierpiący na nostalgię wynalazca mieszkał przez przypadek w pokoju, w którym noc po swoim przyjeździe spędził Franz, pokoju, przez którego okno widać było wielki jesion, obecnie bezlistny, w pokoju, w którym można było zauważyć, jeśli patrzyło się bardzo uważnie, że w szczeliny linoleum koło umywalki wcisnęła się odrobina szklanego pyłu. Jest rzeczą znamionną, że Los umieścił wynalazcę właśnie tam. Tą drogą podążał Franz i nagle Los przypomniał sobie o tym i posłał w pogoń tego praktycznie bezimiennego człowieka, który, rzecz jasna, nie miał najmniejszego pojęcia o swoim jakże istotnym zadaniu i nigdy niczego się o nim nie dowiedział, prawdę powiedziawszy, nie dowiedział się o nim nikt, nawet stary Enricht.

- Dzień dobry - powiedział Dreyer - niech pan siada.

Wynalazca usiadł.

- A więc? - spytał Dreyer, bawiąc się swoim ulubionym ołówkiem.

Wynalazca wisiąkał nos, starannie zawinał rezultaty tej czynności i długo chował chusteczkę - rzecz, którą już dawno powinien był zastąpić jakiś nowy wynalazek - do kieszeni.

- Przychodzę do pana z tą samą propozycją - powiedział wreszcie.

- Może jakieś nowe szczegóły? - napomknął Dreyer, kreśląc na bibułce koncentryczne niebieskie kręgi.

Wynalazca kiwnął głową i zaczął mówić. W tym momencie na biurku zadzwonił telefon. Dreyer obdarzył gościa subtelnym uśmiechem i energicznie przyłożył słuchawkę do

ucha.

- To ja. Zapomniałam - czy mówiłeś, że nie przyjdiesz dziś na kolację?

- Tak, najdroższa.

- I wrócisz późno?

- Po północy. Posiedzenie rady nadzorczej i jakieś uroczystości. Zajmij się czymś, idź z Franzem do restauracji czy coś takiego.

- Nie wiem, może tak zrobię.

- Świetnie - powiedział Dreyer. - Do widzenia. Zaraz, zaczekaj... jeśli chcesz wziąć samochód... Halo!

Ale słuchawka po drugiej stronie była już odłożona.

Wynalazca udawał, że nie słucha. Dreyer to zauważył i z nieśmiałym chichotem powiedział:

- To była moja mała przyjaciółeczka.

Wynalazca w odpowiedzi pobłażliwie się uśmiechnął i wrócił do swoich wyjaśnień. Dreyer rozpoczął nową serię koncentrycznych kręgów, panna Reich przyniosła plik listów i znikła w milczeniu. Wynalazca nadal mówił. Dreyer odrzucił ołówek, miękko rozparł się w fotelu i poddał się czarowi.

- Jak pan to powiedział? - przerwał rozmówcy. - Szlachetna powolność kroków lunatyka?

- Tak, jeśli tego się chce - powiedział wynalazca. - Albo, na drugim biegunie, powściągliwa zwinność ozdowieńca.

- Niech pan mówi dalej - powiedział Dreyer, przymykając oczy. - To czyste czarnoksiężstwo.

## VI

Nieprzyjemna, ponura knajpka niedaleko domu, w którym mieszka Franz.

Trzech milczących mężczyzn pogrążonych w partii skata. Żona jednego z nich, w ciąży, obrzydliwie blada, sennie śledząca grę. Nieładna dziewczyna z nerwowym tikiem, kartkująca stary magazyn ilustrowany i zatrzymująca się przy niechlujnej śmierci zagadki: nie dający się zmasać ołówek zachłannie wypełnił większość pustych kwadratów krzyżówki. Dama w futrze z kretów (które zrobiło wrażenie na właścicielce lokalu) i młody człowiek w szylkretowych okularach, sączący likier wiśniowy i patrzący sobie wzajem w oczy. Pijak w czapce z daszkiem, typowej dla bezrobotnych, stukający w grubą szybę, za którą, tworząc metalową kielbaskę, gromadzą się monety - przegrane tych wszystkich, którzy wsunęli w otwór pieniędzy i poruszali rączką, by rozruszać blaszanego zonglera, podczas gdy jego

drobniutkie kolorowe piłeczki toczyły się po krętych rowkach. Szynekwas, zmrożony piwną pianą, mieni się rybim blaskiem. Właścicielka zamiast piersi ma dwie zielone, wełniane piłki futbolowe.

Ziewa, wpatrując się w ciemny kąt, gdzie kelner, zasłonięty parawanem, pożera górę *purée*. Na ścianie za nią drewniany rzeźbiony zegar z kukułką, zwieńczony jelenimi rogami, robi „toktok”, a obok niego wisi oleodruk przedstawiający spotkanie Bismarcka z Napoleonem III. Karciarze szeleszczą coraz ciszej i ciszej. Teraz szelest całkiem ustał.

- Dobrze wybrałeś, możemy być pewni, że nikt nas tu nie zobaczy.

Pieszczotliwie dotknął jej ręki spoczywającej na stoliku.

- Tak, ale robi się późno, kochanie, czy nie trzeba już iść?

- Twój wujek wróci o północy, może nawet później. Mamy mnóstwo czasu.

- Wybacz, że zaciągnąłem cię w takie plugawe miejsce.

- Nie, nie, wcale nie. Już ci mówiłam, wybór jest bardzo dobry.

Wyobraźmy sobie, że jesteś studentem z Heidelbergu. Jak ładnie wyglądałbyś w *zerevisie*.

- A ty jesteś księżniczką *incognito*? Chciałbym pić szampana i żeby tańczyło wokół nas wiele par i żeby grała piękna węgierska muzyka.

Wsparała się łokciem na stoliku, pięścią ściągając do tyłu skórę policzka.

Milczenie.

- Nie zjadłbyś jeszcze czegoś? Boję się, że jeszcze schudłeś.

- Och, czy to nie wszystko jedno? Przez całe życie byłem nieszczęśliwy, a teraz ty jesteś ze mną.

Nieporuszeni gracze wpatrywali się w karty. Otyła kobieta oparła się, wyczerpana, na ramieniu męża. Dziewczyna zamyśliła się i twarz przestała jej drgać. Strony ilustrowanego magazynu obwisły na kiju jak flaga, kiedy nie ma wiatru. Cisza.

Odrętwienie.

Marta poruszyła się pierwsza, Franz także spróbował zrzucić z siebie tę dziwną senność, zamrugał, obciągnął klapy marynarki.

- Kocham go, ale on jest biedny - powiedziała żartem. I nagle wyraz jej twarzy się zmienił. Wyobraziła sobie, że ona też jest bez grosza i że oboje w sobotni wieczór z lepkiem kieliszkiem w dłoni zabijają czas w tej nędznej knajpce, wypełnionej ogłuszającą ciszą, w której słychać tylko cmokanie zegara, pośród zamroczonych alkoholem robotników i tanich dziwek.

Z przerażeniem wyobraziła sobie, że ten subtelny nędzarz naprawdę jest jej mężem,

jej młodym mężem, którego ona nigdy, przenigdy nikomu nie odda.

Pocerowane pończochy, dwie skromne sukienki, połamany grzebień, jednopokojowe mieszkanie z opuchłym lustrem, ręce szorstkie od prania i gotowania, knajpa, w której za jedną markę dostanie się prawdziwie królewski napitek...

Przeraziła się tak bardzo, że zaryła się paznokciami w jego dłoni.

- Co się stało? Kochanie, nie rozumiem...

- Wstawaj - powiedziała. - Zapłać i chodźmy stąd. Tak tu duszno, nie mogę złapać tchu.

Kiedy wciągnęła w płuca trzeźwy chłód nocy, natychmiast odzyskała całe swoje bogactwo i przyciskając się do Franza, szybko zmieniła krok, żeby iść z nim w nogę; w fałdach futra namacał jej ciepły nadgarstek.

Następnego ranka, leżąc w łóżku w swoim ślicznym jasnym pokoju, przypomniała sobie swoje dziwaczne lęki z uśmiechem. „Bądźmy realistami - uspokajała się.

- To wszystko jest proste jak drut. Najzwyczajniej w świecie mam kochanka. Ten fakt powinien zdobić, a nie komplikować życie. I tak to właśnie jest: przyjemna ozdoba. A gdyby przypadkiem...” Dziwne jednak: nie mogła znaleźć dla swoich myśli określonego kierunku; ulica Franza była ślepa, jej umysł natrafiał niezmiennie na jej koniec.

Nie mogła sobie wyobrazić, że - powiedzmy - Franz nie istnieje czy że jakiś inny adorator wynurza się z mgły z różą w dłoni, ponieważ kiedy podchodziła bliżej, zawsze okazywało się, że to Franz. Ten dzień, jak wszystkie dni, które miały jeszcze nadejść, zabarwiony był jej namiętnością do Franza. Próbowwała myśleć o przeszłości, o tych nieprawdopodobnych latach, kiedy go jeszcze nie знаła, ale wyczarowywała przed swoimi oczami nie własną przeszłość, lecz jego: jego miasteczko, w którym przez zupełny przypadek zatrzymała się kiedyś przejazdem, wyrosło w niej i oto we mgle majaczył biały dom z zielonym dachem, którego nigdy na własne oczy nie widziała, ale który on wielokrotnie jej opisywał, i ceglany budynek szkoły za rogiem, i chudziutki chłopczyk w okularach. To, co o swoim dzieciństwie opowiadał jej Franz, okazywało się bardziej istotne niż cokolwiek z tego, co przeżyła sama. Nie mogła zrozumieć, czemu tak się dzieje, i spierała się sama ze sobą, próbując unieważnić to, co tak bardzo kolidowało z jej poczuciem stosowności i jasności.

Szczególnie bolesna była wewnętrzna niezgoda, z jaką zajmowała się czynnościami domowymi lub zastanawiała się nad jakimś poważnym zakupem, nie mającym nic wspólnego z Franzem. Na przykład w wolnych chwilach przebłyskiwał pomysł nabycia nowego samochodu, ale chociaż od dawna marzyła o zastąpieniu już lekko sfatygowanego ikara jakąś elegancką limuzyną, cały urok takiego przedsięwzięcia wziął w łeb. Sukienka, którą włoży

dla Franza, albo niedzielny obiad, którego jadłospis ułoży, pamiętając o jego ulubionych daniach - to było coś całkiem innego.

Początkowo wszystkie te obawy i przyjemności dziwiły ją, jakby odmłodziła o dziesięć lat i uczyła się żyć inaczej, i jakby potrzebowała czasu, żeby się do tego życia przyzwyczaić.

Innym zdumiewającym faktem było to, że w domu, który polubiła nawet jeszcze bardziej, odkąd Franz stał się właściwie członkiem rodziny, znajdował się poza nią i nim jeszcze ktoś inny. A był tu, absurdalnie sterczał - rudowąsy i rumiany; jadł z nią przy jednym stole, spał na sąsiednim łóżku i stale na różne sposoby domagał się uwagi. Jego przychody i rozchody interesowały ją nawet jeszcze bardziej niż w owym tak już odległym roku, kiedy sporo balastu wyrzuconego z gondoli balonu inflacji dostało się do jego kieszeni, w których zmieniał się on w marzenie alchemików - walutę. Podobnie jak dawniej, mówił jej niewiele. Zainteresowanie transakcjami Dreyera nie wiązało się organicznie z nowym, przejmującym, jęklwym i pulsującym sensem jej życia. Czowała, że nie może być całkiem szczęśliwa bez tego połączenia łóżka i banku, ale jednocześnie nie wiedziała, jak osiągnąć harmonię, jak pozbyć się dysonansu. Dreyer pokazał jej kiedyś kartkę papieru, na której, by jej dogodzić, w okrągłych liczbach przedstawił swój majątek.

- Starczy? - spytał z uśmiechem. - Jak uważasz?

Było tam siedemset tysięcy nietykalnych dolarów, które leżały w sejfie w Hamburgu. Były tam spore pieniądze, tkwiące w zakupionych towarach. Były znaczne sumy o bardziej płynnej i zmiennej naturze, tworzące układ krwionośny jego przedsiębiorstwa. Był wreszcie testament, który Dreyer sporządził niedawno i który kosztował ją dwie noce zmudnych igraszek miłosnych: dzięki Bogu całkowicie pominięty w nim został krnąbrny młodszy brat, mieszkający w Afryce Południowej, który - jak podejrzewała - niecierpliwie czekał na swoją dolę.

- A więc praktycznie jesteśmy milionerami - powiedziała ze szczególnie radosnym wyrazem twarzy, za który gotów był zapłacić znacznie więcej, niż miał.

- Jesteśmy ustawieni, jesteśmy ustawieni, najdroższa - odrzekł.

„Niezależnie od tego, co się stanie na giełdzie - myślała - i co wyniknie z jego lekkomyślnych transakcji, i tak pozostanie wystarczająco dużo na całe lata próżniaczego życia - do czasu, kiedy ona będzie miała sześćdziesiątkę lub, powiedzmy, pięćdziesiąt osiem lat, Franz będzie wtedy nadal ognistym czterdziestopięciolatkiem.

Jednakże, póki pan Dreyer chodzi po tym świecie, musi dalej zarabiać. Toteż wahając się między entuzjazmem a wyrazem posępnego niepokoju, powiedziała mu, że powinien



więcej zgromadzić w Hamburgu i mniej ryzykować w Berlinie, i chłodno oddała mu karteczkę. Stali przy biurku, na którym Parsifal trzymał swoją zapaloną latarnię, willę opatulą szczególnego rodzaju cisza, można więc było zgadnąć, że pada śnieg i miękką białą ciemnością pokrywa ogród. Grudzień okazał się chłodniejszy niż zwykle, a wyjątkowo niskie temperatury z lubością odnotowywali w gazetach zapominalscy „najstarsi górąle”, którzy to samo paplali kilka lat wcześniej. Dreyer rzucił niespokojne spojrzenie na zegarek. Cała trójka wybierała się do *variétés*. Jak dziecko bał się spóźnić. Marta sięgnęła po leżący na stole dziennik i przebiegła wzrokiem ogłoszenia i wiadomości lokalne, dowiadując się, że ktoś za pięćset tysięcy marek chce sprzedać luksusową willę i że wydarzył się wypadek - przekoziołkował samochód i zginął w nim pasażer, znany aktor Hess, który śpieszył do łóżka swojej chorej żony.

- Dobry Boże - zawołała - to niesłychane.

W sąsiednim buduarze Franz bez specjalnego zainteresowania słuchał szczegółów wydarzenia.

Wielki teatr wypełniony był po brzegi. Olbrzymią scenę wciąż zakrywała kurtyna. Byli ściśnięci w jednej z owych szczególnie wąskich łóż, w których człowiek z wyjątkową ostrością zdaje sobie sprawę z tego, jak niewiarygodnie niewygodne, poplątane i mrowiące są ludzkie nogi. Było to szczególnie bolesne doświadczenie, zwłaszcza dla kościstego Franza. Nie dość, że jego kończyny dolne groteskowo się wydłużyły, Marta, trzymając się wszelkich zasad cudzołóstwa, przycisnęła bok swego jedwabnego kolana do jego niezgrabnie zgiętej nogi, a Dreyer, który siedział po jego lewej stronie, trochę z tyłu, lekko wspierał się na jego ramieniu i rogiem przeglądanego programu łaskotał mu ucho. Nieszczęsny Franz rozdarty był między lękiem, że mąż może coś zauważyć, i rozkoszą, jaką sprawiały mu przebiegające ciało jedwabne iskierki.

- Taki wielki teatr - wymamrotał, lekko przesuwając ramię, aby uniknąć dotknięcia ręki Dreyera, pokrytej odrażającymi złotymi włoskami.

- Wyobrażam sobie, ile wyciągają każdego wieczoru. Miejsc jest, powiedzmy, dwa tysiące...

Dreyer, po raz drugi lub trzeci przebiegając wzrokiem program, zawołał: - O, to będzie dobre: akrobaci na rowerach.

Światła powoli przygasały. Ucisk kolana Marty lekkomyślnie narastał, potem jednak osłabł, kiedy orkiestra zaczęła grać *potpourri z Łucji z Lammermooru* (co w tych okolicznościach było całkiem na miejscu, choć uszło to uwadze naszej publiczności).

Pokazano im wiele zabawnych numerów. Marta uznała program za godzinę uznania,

Dreyer stwierdził, że jest świetny, Franz zachwycił się nim bez reszty.

Jegomość w cylindrze zonglował atrapami butelek, do których dodał nagle swój kapelusz; czterech Japończyków fruwało to tu, to tam na rytmicznie poskrzypujących trapezach, w przerwach między saltami rzucali sobie jaskrawą chusteczkę, którą dokładnie wycierali dłonie; klaun, któremu nieustannie już, już miały spaść workowate spodnie, przewracał się w różnych miejscach sceny: pośliznąwszy się wydawał z siebie przenikliwy gwizd i padał na twarz; biały, jak gdyby upudrowany koń delikatnie przestawiał nogi w takt muzyki; zwariowana rodzinka rowerzystów wycisnęła wszystko, co w ludzkiej mocy, a nawet więcej, z możliwości, jakie daje koło; czarna połyskliwa foka gardłowo krzyknęła parę razy jak tonący pływak, a potem gładko i zgrabnie, jakby była wysmarowana tłuszczem, ześliznęła się po desce do zielonej wody basenu, gdzie na wpół naga dziewczyna powitała szczęśliwe zwierzę całusem w nos. Dreyer co chwila chrząkał z zadowoleniem i trącał łokciem Franza.

Kiedy foka otrzymała ostatnią nagrodę, żywą makrelę, którą soczyście złapała w powietrzu, i galopem wybiegła na swych płetwach z areny, zasunięto kurtynę, żeby publiczność, jak mówią Francuzi, mogła się przetasować; kiedy kurtyna znowu się rozsunęła, na środku tonącej w ciemnościach sceny, skąpana w świetle, stała kobieta w srebrnych butach i mieniącej się sukni wieczorowej, ze świetlistymi skrzypcami, po których pociągała błyszczącym jak gwiazdy smyczkiem. Światło reflektorów pracowicie oblewało ją to różem, to zielenią, na jej czole iskrzył się diadem. Grała tęsknie i naprawdę cudownie, i Martę ogarnęło takie wzburzenie, taki rzewny smutek, że przymknęła oczy i odnalazła w mroku rękę Franza; on czuł to samo, co ona - przesywające uniesienie, współbrzmiające z ich miłością. Muzyczna fantasmagoria, jak nazywał to program, skrzyła się i zamierała, skrzypce śpiewały i jęczały, do różowej i zielonej dołączyła barwa niebieska i fioletowa - Dreyer nie mógł już tego znieść.

- Zamykam oczy i uszy - powiedział płaczącym szeptem - dajcie mi znać, kiedy ten obrzydliwy koszmar się skończy.

Marta wzdrygnęła się, Franz pomyślał, że wszystko przepadło, że Dreyer zobaczył, jak trzymają się za ręce. W tej samej chwili scena całkiem pociemniała i przez salę przetoczyła się lawina oklasków.

- Nie masz zielonego pojęcia o sztuce - powiedziała Marta sucho. - Tylko przeszkadzasz innym słuchać.

Dreyer głośno odetchnął z ulgą. Potem, zaaferowany, gwałtownie poruszając brwiami jak człowiek, który czym prędzej chce o czymś zapomnieć, poszukał w programie następnego numeru.

- O, to coś lepszego, Ela Styczna, kimkolwiek by była ta Ela, a potem światowej sławy iluzjonista.

„Mało brakowało - myślał w tej chwili Franz. - Tym razem naprawdę mało brakowało. Uf!... Musimy być bardzo ostrożni... Oczywiście to cudownie siedzieć tu i wiedzieć, że ona należy do mnie, kiedy on siedzi przy nas i nie wie o niczym. Ale to takie niebezpieczne...”

Spektakl zakończyła projekcja filmowa, jak było to przyjęte w cyrkach i musichallach, odkąd pierwszy „bioskop” pojawił się w nich jako fascynująca osobliwość. Na migoczącym ekranie, dziwnie płaskim po widowisku scenicznym, szympansy w poniżających ludzkich szatach wykonywał poniżające dla zwierzęcia ludzkie czynności. Marta uśmieła się serdecznie i powiedziała: - Popatrz tylko, jaki spryciarz!

Franz cmokał zdumiony i z całą powagą upierał się, że to przebrany karzeł.

Kiedy wyszli na mroźną ulicę, jak na jeszcze jedną scenę, oświetloną neonami teatru, i kiedy wierny ikar podjechał z jakimś błazeńskim zapalem, Dreyer zaczął sobie wyrzucać, że zaniedbał ostatnimi czasy obserwacje nad zachowaniem szofera.

Teraz była odpowiednia chwila, żeby sprawdzić to i owo. Kiedy szofer pośpiesznie wkładał futrzane rękawice, Dreyer próbował pochwycić nosem parę, dobywającą się z jego ust. Ich spojrzenia spotkały się i szofer, wyszczerzając swoje popsute zęby, niewinnie uniósł brwi.

- Zimno, zimno, co? - powiedział szybko Dreyer.

- Nie tak bardzo - odrzekł szofer - nie tak bardzo.

„Nic nie czuję - pomyślał Dreyer. - A jednak jestem pewien, że kiedy na nas czekał... Zarumieniona twarz, wesołe oczka. No, dobrze, zobaczymy, jak będzie prowadził”.

Szofer prowadził wyjątkowo dobrze. Franz, z szacunkiem przycupnąwszy na brzeżku jednego z dwu rozkładanych siedzeń luksusowego pojazdu, wsłuchiwał się w gładki szum prędkości, obserwował sztuczne stokrotki w srebrnym wazoniku, wewnętrzny „telefon”, wiszący na stalowym haku, zegar, który miał swoją własną koncepcję czasu, i popielniczkę z niedopałkiem papierosa ze złotym ustnikiem.

Śnieżna noc, otaczająca latarnie aureolami, przesuwała się za oknami.

- Wsiądę tutaj - powiedział, poznając plac i statuę. - Stąd mam blisko do siebie, pójdę piechotą.

- Ależ podwiozę cię - odpowiedział Dreyer, lekko ziewając. - Jaki jest twój dokładny adres?

Marta pochwyciła wzrok Franza i pokręciła głową. Zrozumiał. Dreyer, przyzwyczajony prawie codziennie widywać siostrzeńca w swoim domu, nigdy nie zadał

sobie trudu, żeby spytać, gdzie chłopak właściwie mieszka, i dobrze: powinno to pozostać cichą i wielce korzystną tajemnicą. Franz odchrząknął nerwowo i powiedział: - Nie, naprawdę, mam ochotę trochę rozprostować nogi.

- Jak chcesz - powiedział Dreyer, szeroko ziewając, i oparłszy się o Franza, stuknął pięścią w dzielącą ich od szofera szybę.

- Po co stukać? - ze złością spytała Marta. - Mamy przecież od tego telefon.

Franz znalazł się na pustym białym placu. Podniósł kołnierz deszczowca, wsunął ręce do kieszeni i zgarbiwszy się ruszył szybko w kierunku domu. W niedzielę na eleganckiej ulicy w zachodniej części miasta chodził zupełnie inaczej, no i nosił tam swój nowy płaszcz. Teraz jednak chwila temu nie sprzyjała - mróz przejmował do kości. Nie było łatwo przyswoić sobie niedzielny krok wielkomiejski. Chodziło o to, żeby wyciągnąwszy ramiona w dół i skrzyżowawszy ręce (koniecznie w dobrych rękawiczkach) poniżej ostatniego guzika płaszcza, jakby się go przytrzymało, sunąć powoli i wyniośle, tak stawiając stopy, by czubki butów kierowały się w różne strony.

W ten właśnie przechadzali się dandysi z Kurfürstendamm, niekiedy po dwóch, od czasu do czasu oglądali się za jakąś dziewczyną, nie zmieniając przy tym położenia rąk, a jedynie lekko wykręcając ramię.

Mimo mrozu Franz czuł się jakoś zwielokrotniony i wyolbrzymiony, jak to po spektaklu, i zaczął nawet pogwizdywać. „Do diabła z jej mężem. Trochę więcej odwagi.

Taką rozkosz nie każdy dostaje. Co ona teraz może robić? Jest już pewnie w domu i rozbiera się. Ten prosiak z żółtą szczecina. Nie daje jej spokoju, na pewno. Do diabła z nim! Teraz siedzi na łóżku i zdejmuje pończochy. Jeszcze trzy albo cztery domy i będzie naga. Muszę jej kupić koronkową koszulę nocną. Będę ją trzymał wśród swoich piżam. Kiedy dojdę do tamtej latarni przytulę głowę do poduszki. Przejdę przez ulicę, a ona zgasi światło. Śpią w tej samej sypialni. Nie, starzeje się, zostawi ją w spokoju.

Nim dojdę do następnej przecznicy, będzie już spała. O, jest moja ulica. Wspaniała skrzypaczka i tak ładnie to pokazali, było w tym naprawdę coś niebiańskiego.

Iluzjonista także był dobry. Proste sztuczki, nie ma wątpliwości: zbija niezłą forszę nabierając ludzi. Teraz już mocno śpi. Widzi we śnie mój dom i słyszy boskie skrzypce. Niech diabli wezmą ten klucz. Zawsze na początku wydaje się, jakby nigdy przedtem nie tkwił w tym zamku. Światło na schodach znowu nie działa. Naprawdę można by sobie rozbić głowę, gdyby się człowiek potknął. I ten klucz się tu wygłupia”.

W mrocznym korytarzu przy nieco jaśniejszych drzwiach do swego pokoju stał stary Enricht i z dezaprobatą kręcił głową. Miał na sobie mysioszary szlafrok i bambosze w kratkę.

- Ajajaj - powiedział - więc idzie się spać po północy. Wstydź się pan.

Franz chciał przejść koło niego, ale staruszek uczeplił się jego rękawa.

- Nie umiem się dzisiaj gniewać - powiedział wzruszony. - To dla mnie radosny dzień: moja żona wróciła!

- Winszuję panu - powiedział Franz.

- Ale nie ma radości bez skazy - ciągnął Enricht, nie wypuszczając rękawa Franza. - Żona przyjechała chora.

Franz chrząknął ze współczuciem.

- Jest tam - zawołał gospodarz. - Siedzi w fotelu. Niech pan spojrzy.

Otworzył drzwi szerzej i ponad oparciem fotela Franz ujrzał siwą głowę, do jej wierzchołka przyszpilone było coś białego.

- Widzi pan? - spytał staruszek, płonącymi oczami patrząc na Franza. - A teraz dobranoc - dodał, wśliznął się do pokoju i zamknął drzwi.

Franz ruszył dalej, ale nagle się zatrzymał i zawrócił.

- Proszę pana - powiedział przez drzwi - a co z kanapą?

Chrapliwy, wysilony, starczy głos kobiecy odpowiedział: - Kanapa jest już w pańskim pokoju. Dałam panu swoją.

„Dwoje starych pomyleńców” - pomyślał Franz z miną człowieka, którego mdli. Rodzina mebli w jego pokoju istotnie się powiększyła - o mocno zniszczoną kanapę, brudnobrunatną, z niezapominajkowym deseniem. Jednakże była to kanapa. Kiedy Marta przyszła następnego dnia, zmarszczyła nos i stale ze zmarszczonym nosem, pomacała wyściółkę, zlokalizowała chorą sprężynę i uniosła wytarte frędzle.

- No cóż, nic się nie da zrobić - powiedziała w końcu.

- Nie mam ochoty kłócić się z jego starą. Szkoda, że wróciła. Jeszcze jedna para uszu. Połóż tu te dwie poduszki. Teraz wygląda to lepiej.

Wkrótce przyzwyczaili się do kanapy, do jej skromnych barw i do pełnych dezaprobaty skrzypnięć, jakie wydawała z siebie, gdy z zapałem uprawiali miłość.

Nie tylko jednak kanapa wzbogaciła pokój Franza. Kiedyś, w chwili szczególnego przyływu życzliwości, Dreyer wyjął z kieszonki kamizelki i dał mu dodatkowe pieniądze (prawdziwe zielone dolary!) i w dwa tygodnie później, tuż przed Bożym Narodzeniem, w szafie Franza pojawił się nowy lokator: długo oczekiwany smoking.

- Świetnie - powiedziała Marta - ale to nie wszystko. Musisz nauczyć się tańczyć. Jutro po kolacji nastawimy jakąś ładną płytę i dam ci pierwszą lekcję.

Zabawne będzie robić to na oczach wujka.

Franz przyszedł w nowym smokingu. Skarciła go za to, że nosi go bez potrzeby, ale uznała, że bardzo mu w nim do twarzy. Była dziewiąta. Dreyer miał przyjechać lada chwila. Był pod tym względem bardzo skrupulatny, zawsze telefonował, żeby zawiadomić, że będzie tyle a tyle minut wcześniej czy później, ogromnie bowiem lubił słyszeć przez telefon miękki, spokojny i oficjalny głos żony - jej głos przypominał coś w rodzaju perspektywy wczesnoflorentyńskiej, tak był odległy od trzeźwej rzeczywistości. Martę zawsze zaskakiwało, że dzwoni, żeby poinformować ją o tych głupich paru minutach i sekundach i mimo że sama z dużą skrupulatnością odnosiła się do odmierzanego czasu, punktualność męża w tym względzie zbijała ją z tropu i irytowała. Tego wieczoru nie zatelefonował, a jednak był już spóźniony niemal o pół godziny. Z powodu naturalnego szacunku, jaki żywił dla każdego z kantów spodni, Franz unikał siedzenia i przechadzał się po pokoju, mijając fotel Marty, ale nie ośmielając się jej pocałować - z uwagi na kręcącą się w pobliżu służącą.

- Głodna jestem - powiedziała Marta. - Nie rozumiem, dlaczego jeszcze go nie ma.

- Nakręćmy gramofon. Da mi pani małą lekcję, póki się nie zjawi.

- Nie jestem teraz w nastroju. Mówiłam, że po kolacji. Przeszło następnych dziesięć minut. Gwałtownie się podniosła i przywołała Friedę.

Pulchny omlet i kawałek wątróbki tchnęły w nią życie.

- Niech pan zamknie - powiedziała do Franza, wskazując na drzwi, które Frieda, od rana udręczona bólem zębów, zostawiła otwarte. Kiedy wrócił na swoje miejsce, Marta posłała mu uśmiech pełen zadowolonego uwielbienia. Pierwszy raz jadła w domu kolację tylko z Franzem. Tak, smoking leży jak ulał. Musi mu podarować jakieś ładne spinki do mankietów, które zastąpiłyby te okropieństwa, bardziej przypominające gwoździe.

- Moje duże, słodkie kochanie - powiedziała cicho i po obrusie wyciągnęła do niego rękę.

- Ostrożnie - szepnął Franz, rozglądając się dokoła. Nie ufał portretom na ścianie - stary baron w surducie i jego apoplektyczny sobowtór patrzyli uważnie, gotowi się na niego rzucić. Połyskliwy kredens był jednym wielkim okiem. Szpicle w płaszczach czaili się w fałdach zasłony. Słynny żartowniś, Curtius Dreyerson, mógł przycupnąć pod stołem. Dobrze, że przynajmniej Tom został w holu. Służąca mogła w każdej chwili wrócić. W tym zamku na nic nie wolno sobie pozwolić. Mimo to, nie będąc w stanie oprzeć się jej uśmiechniętemu pożądaniu, pogładził jej nagie ramię.

Powoli dotknęła pieszczotliwie jego nosa, promieniejąc i oblizując usta. Miał okropne wrażenie, że lada chwila Dreyer wyjdzie zza zasłony: trefniś okaże się katem.

- Jedz i pij, mój władco. Jesteśmy *chez nous* - powiedziała Marta ze śmiechem.

Miała na sobie czarną suknię z tiulu, usta były umalowane, zielone kolczyki pałały, a jej włosy, rozdzielone matematycznie czystą linią przedziałka, lśniły silniej niż kiedykolwiek - ich melanitowy połysk był jednym z klejnotów jej urody. Niska lampa z pomarańczowym abażurem rzucała na stół lubieżne światło. Franz, błyskając ku Marcie pełnymi uwielbienia okularami, wysysał nogę zimnego kurczęcia. Pochyliła się ku niemu, wyjęła mu z ręki na wpół obnażoną kostkę z lśniącą główką i śmiejąc się samymi oczyma, zaczęła ją ze smakiem obgryzać, trzymała ją wytwornie, odchylając mały palec, jej rzęsy trzepotały, jej usta robiły się pełniejsze i jaśniejsze.

- Jesteś porywająca - szepnął Franz - uwielbiam cię.

- Gdybyśmy tylko mogli jeść tak kolację codziennie, tylko ty i ja - powiedziała Marta. Na chwilę nachmurzyła się, potrząsnęła głową i z lekka fałszywym tonem zawołała - Czy byłby pan łaskaw nalać mi tego znakomitego koniaku, wypijmy za nasz związek.

- Chyba nie będę pił. Boję się, że nie zdołałbym się później nauczyć tańczyć - powiedział Franz, ostrożnie przechylając malutką karafkę.

Ale co ją teraz obchodziły tańce... Chciała trwać w tym owalnym jeziorku światła, wygrzewając się w pewności, że tak samo będzie jutro i pojutrze, i w następne dni aż do końca ich życia. Moja jadalnia, moje kolczyki, moje srebra, mój Franz.

Nagle chwyciła się za lewy nadgarstek i przekręciła malutki cyferblat zegarka, który zawsze umiał zsunąć się ku miejscu, gdzie niebieska żyłka rozwidlała się w trzech kierunkach.

- Spóźniony ponad godzinę. Coś się musiało stać. Niech pan z łaski swojej naciśnie dzwonek - wisi nad panem.

Podrażniło go to, że zaniepokoiła ją nieobecność męża. Co z tego, do diabła, że się spóźnia? Tym lepiej. Nie ma prawa się niepokoić.

- Dlaczego mam dzwonić? - spytał, wkładając ręce do kieszeni.

Marta szeroko otworzyła oczy.

- Zdaje się, że prosiłam, żeby pan nacisnął dzwonek.

Pod długim promieniem jej spojrzenia jak zwykle się poddał i zadzwonił.

- Jeśli zjadł pan już wszystko, na co miał pan ochotę, możemy przejść do salonu. Ale proszę spróbować winogron. O, tu, proszę wziąć tę kiść.

Zabrał się do winogron, które były duże i wyglądały na drogie, ale daleko im było do prostackich „kulek” z jego rodzinnego miasteczka. Cień elektrycznego dzwonka, kołyszącego się na sznurze, przesuwiał się po obrusie jak widmowe wahadło.

Weszła Frieda, była blada, wyglądała na oszołomioną.

Marta spytała:

- Czy mój mąż nie dzwonił, kiedy mnie nie było?

Frieda na chwilę zamarła, potem chwyciła się za skronie.

- O Jezu - powiedziała - *Herr Direktor* telefonował koło ósmej, powiedział, że właśnie wyjeżdża i żeby podawać kolację. Przepraszam bardzo.

- Zapalenie okostnej to nie powód, żeby tracić rozum.

- Przepraszam bardzo - bezradnie powtórzyła służąca.

- Całkiem tracić rozum - powiedziała Marta.

Frieda milczała i podejrzenie często mrugając oczami, zaczęła zbierać ze stołu brudne talerze.

- Później - warknęła Marta.

Służąca wybiegła, nie mogąc się już powstrzymać od płaczu.

- Straszna baba - mruknęła ze złością Marta, opierając łokcie na stole i kładąc policzek na dwu złączonych pięściach. - Czy nie widziała, jak siadamy do stołu? Czy sama nie przyniosła omletu? Zaraz - nie zauważyłam, czy go rzeczywiście podała. - Błyszczący palec Marty wskazał na przycisk. - Niech pan z łaski swojej zadzwoni jeszcze raz.

Franz posłusznie uniósł rękę.

- Nie, nie ma sensu - powiedziała. - Porozmawiam sobie z nią, zanim pójdzie spać.

Martę opanowało jakieś niezwykle podniecenie.

- Jeśli mój zegarek i ten zegar nie są równie zbzikowane jak ona, jest teraz wpół do dwunastej. Wujek najwyraźniej nie śpieszy się do domu.

- Coś go musiało zatrzymać - ponuro odpowiedział Franz. Mocno uraziło go jej podniecenie.

Zgasiła światła w jadalni. Przeszli do salonu. Marta podniosła słuchawkę, chwilę słuchała i rzuciła ją na widełki.

- Nie jest popsuty - powiedziała. - Nic nie rozumiem. Może by do kogoś zadzwonić...

Franz przechadzał się tam i z powrotem po pokoju, założywszy ręce za plecy.

Piekły biedaka oczy. Zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby wyjść, trzaskając drzwiami.

Marta przekartkowała notatnik z telefonami („świetnie wchodzi pod aparat, można w nim zmieścić pięćset numerów”) i znalazła numer sekretarki męża.

Sara Reich właśnie zasnęła, a teraz pierwsza pastylka tej nocy została zmarnowana.

- To rzeczywiście dziwne - odpowiedziała. - Sama widziałam, jak odjeżdża.

Tak, ikarem. To było, chwileczkę... tak, to było koło ósmej, a teraz jest dopiero



północ... To znaczy prawie północ.

- Dziękuję - powiedziała Marta i widelki telefonu brzęknęły.

Podeszła do okna i uchyliła niebieską zasłonę. Noc była jasna. Za dnia zaczęła się odwilż, ale teraz mróz chwycił znowu. Tego ranka idący przed nią kaleka pośliznął się na lodzie. To było strasznie śmieszne - ten wyprostowany drewniany kikut, kiedy facet leżał na tych swoich głupich plecach. Nie otwierając ust, Marta wybuchnęła konwulsyjnym śmiechem. Franz pomyślał, że płacze, i podszedł do niej skonfundowany. Chwyliła go za ramię, jej policzek otarł się o jego twarz.

- Ostrożnie, okulary - wymamrotał Franz, nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich dwu tygodni.

- Włącz muzykę - zawołała, puszczając jego ramię. - Potańczymy, zabawimy się. I nie wolno ci się bać - będę do ciebie mówić tak czule, jak będę chciała i kiedy będę chciała, słyszysz?

Franz z szacunkiem zakręcił korbą wystającą z dużego lakierowanego pudła - musiało kosztować więcej niż wszystkie płyty, które kiedykolwiek przetrawi. Kiedy podniósł głowę, Marta siedziała na sofie i patrzyła na niego z dziwnym, posępnym wyrazem twarzy.

- Myślałem, że tymczasem wybierze pani płytę - powiedział.

Odwróciła się.

- Nie, stanowczo nie mam ochoty tańczyć.

Franz westchnął. Widział ją w różnych nastrojach, czasem bywała przykra, ale tym razem to było coś szczególnego.

Usiadł przy niej na sofie. Gdzieś zamknęły się drzwi. Czy to Frieda idzie spać?

Wciąż uważnie nad słuchując, pocałował Martę, najpierw we włosy, potem w usta.

Szczękała zębami.

- Podaj mi szal - powiedziała. Ze stojącego w rogu podnóżka wziął różowy wełniany szal. Spojrzała na zegarek.

Franz podniósł się gwałtownie.

- Idę do domu - powiedział.

- Co robisz?

- Idę do domu. Muszę wstać dużo wcześniej niż stare sekretarki i grube służące.

- Zostaniesz - powiedziała Marta.

Spojrzał na nią, mętnie czując, że coś się za tym wszystkim kryje. Ale co?

- Wiesz, co mi się w tej chwili przypomniało? - spytała nagle Marta, kiedy podciągał w kolanach nogawki spodni i siadał. - Przypomniało mi się, jak pisał raport ten gburowaty

policjant. Daj mi swój czerwony notes. I ołówek. O! - ciągnęła, podnosząc się i stojąc sztywno jak słup. - Właśnie tak trzymał przed sobą notatnik.

Trząśnięty ze wściekłości i pisał.

- Jaki policjant? O czym ty mówisz?

- Racja, nie było cię tam przecież. Przywykłam w retrospekcji, jeśli wiesz, co mam na myśli, włączać cię do wszystkiego, co się kiedykolwiek wydarzyło.

- Przestań - powiedział Franz. - Przerażasz mnie.

- Nie obchodzi mnie, że jesteś przerażony. Tak, nie obchodzi mnie, że...

Wybacz mi, kochanie. Głupstwa plotę. Jestem chyba zbyt niecierpliwa.

Znowu usiadła na sofie, trzymając na kolanach notes. Machinalnie narysowała kilka linii. Potem napisała swoje nazwisko i powoli je przekreśliła. Spojrzała na Franza spode łba i znowu napisała - teraz dużymi literami - „Dreyer”, zmrużyła oczy i zaczęła to nazwisko zaczerpnąć. Złamał się koniuszek grafitu. Rzuciła mu notes i ołówek i wstała.

Zegar nie tykał, lecz raczej stukał, turkotał i potakiwał. Marta stała przed Franzem, jak gdyby próbując go zahipnotyzować, przekazać jego tępemu młodemu umysłowi jakąś prostą myśl.

W nieznośnej ciszy trzasnęły nagle drzwi wejściowe i gruchnął radosny głos Toma.

- Moje zaklęcia nie skutkują - powiedziała Marta i osobliwy skurcz wykrzywił jej piękną twarz.

Dreyer wszedł mniej lekkim krokiem niż zwykle. Nie powitał też Franza żadnym żartem.

- Dlaczego tak późno? - spytała Marta. - Dlaczego nie zadzwoniłeś?

- Tak wyszło, najdroższa, tak wyszło - spróbował się uśmiechnąć, ale mu się nie udało. Spojrzał na strój siostrzeńca: spodnie były o wiele za wąskie, kłapy za błyszczące.

- Czas już na mnie - zachrypłym głosem zawołał Franz.

Wpadł w takie idiotyczne przerażenie, że później nie mógł sobie przypomnieć, jak się żegnał, wkładał płaszcz, wychodził na ulicę.

- Nie mówisz prawdy - powiedziała Marta. - Coś się stało. Co?

- Nieprzyjemna historia, najdroższa. Zginął człowiek.

- Znowu te żarty, ciągle tylko żarty i żarty - jęknęła Marta.

- Nie tym razem - cicho powiedział Dreyer. - Wpadliśmy na tramwaj. Na pełnej szybkości. Siedemdziesiątka trójka. Mnie tylko zginął kapelusz, no i zdrowo w coś walnąłem. W takich wypadkach zawsze największe obrażenia odnosi szofer.

Ludzie z pogotowia byli wspaniali, prawdziwe anioły. Zabraliśmy go do szpitala,

jeszcze żył. Umarł w szpitalu. Prawdziwe anioły. Lepiej nie pytaj o szczegóły.

Siedzieli w jadalni, patrząc na siebie ponad stołem. Dreyer kończył to, co zostało z zimnego kurczęcia. Twarz Marty była blada i lśniąca, nad wargą, gdzie czerniały drobne włoski, zebrały się krople potu. Przycisnęła ręce do skroni i patrzyła na biały, biały, nieznosnie biały obrus.

## VII

W chwili gdy nieunikniony wybuch (czuło się, że jest nieunikniony zanim cokolwiek się stało) już, już miał przerwać zajmującą, chociaż chaotyczną rozmowę z nie ogolonym Węgrem czy Baskiem o chirurgicznym - z wiadrami krwi - zoperowaniu ogona fokii, w wyniku czego miała ona uzyskać zdolność poruszania się w pozycji pionowej, Dreyer gwałtownie powrócił do śmiertelności zimowego poranka i z desperackim pośpiechem, jak gdyby miał do czynienia z machiną piekielną, wcisnął guzik budzika, który właśnie miał zacząć dzwonić.

Łóżko Marty było już puste. Okropne swędzenie lewego ramienia jak elektryczny brzęczyk połączyło poprzedni dzień z dzisiejszym. Po korytarzu, głośno płacząc, człapała wrażliwa na ludzką niedolę Frieda. Z westchnieniem przyjrzał się ogromnemu fioletowemu siniakowi na swym grubym ramieniu.

Leżąc w wannie, słyszał, jak Marta dysząc, chrzęszcząc i tłukąc się wykonuje w sąsiednim pokoju modne w tym roku ćwiczenia gimnastyczne. Zjadł szybko śniadanie, zapalił cygaro, uśmiechnął się z bólu wkładając płaszcz, i wyszedł.

Ogrodnik, który był także stróżem, stał przy ogrodzeniu i widząc go Dreyer pomyślał, że może nie od rzeczy byłoby, nawet teraz, odsłonić za pomocą zadanego wprost pytania tajemnicę, która tak długo nie dawała mu spokoju.

- To nieszczęście, prawdziwe nieszczęście - stwierdził poważnie ogrodnik. - I pomyśleć, że w swojej wsi zostawił stosunkowo młodego ojca i cztery małe siostry.

Lód, poślizg i - *kaputt*. Tak chciał jeździć kiedyś na dużej ciężarówce.

- Tak - potwierdził Dreyer. - Rozwaliło mu czaszkę, klatkę piersiową...

- Dobry był chłopak, taki wesoły - powiedział ogrodnik z uczuciem. - A teraz nie żyje.

- Niech pan posłucha - zaczął Dreyer - czy nie ma pan przypadkiem wrażenia, że...

Widzi pan, podejrzwam...

Zawahał się. Powstrzymał go drobiazg, czas gramatyczny. Zamiast: „Czy on nie pije?” - musiałby spytać: „Czy on nie pił?” Ta zmiana czasu powodowała jakies zachwianie logiki.

-...a więc, czy nie ma pan wrażenia, że klamka dużego okna w salonie nie działa jak

należy? To znaczy popsuł się chyba zatrząsk, ktoś mógłby się dostać tamtędy do środka.

„*Finis* - pomyślał, kiedy sadowił się w taksówce, trzymając się uchwyty dla pasażerów. - Koniec życia, koniec wica. Sprzedam ikara, nie próbując go naprawić.

Marta nie chce nowego samochodu i chyba ma rację. Lepiej odczekać jakiś czas, żeby Los zdążył zapomnieć”.

Przyczyna, dla której Marta nie chciała nowego samochodu, miała mniej metafizyczne korzenie. Wyglądałoby trochę dziwnie i podejrzanie, gdyby nie posługiwała się swoim samochodem, dwa lub trzy razy w tygodniu jeżdżąc późnym popołudniem na lekcje rytmicznych skłonów i gestów („Przyjmij te lilie, Floro...” albo „Niechże nasze woale powiewają na wietrze...”), a nie mogła się nim posługiwać, ponieważ musiałyby zapłacić szoferowi za milczenie o prawdziwym celu jej wyjazdów.

Musiała więc zwrócić się ku innym środkom komunikacji, bardzo zresztą różnym, należało do nich nawet metro, przenoszące cię bardzo wygodnie z dowolnej części miasta (droga okrężna była niezbędna, chociaż piechotą można było dojść na miejsce w kwadrans) do pewnego rogu ulic, na którym powoli budowano dość fantastyczny budynek. Mimochodem wspomniała Dreyerowi, że lubi jeździć autobusem lub tramwajem ilekroć ma po temu okazję, byłoby bowiem głupio nie korzystać z tanich, śmiesznie tanich sposobów przemieszczania się z miejsca na miejsce, jakimi służy obywatelom szczodre miasto. Dreyer odpowiedział na to, że on sam jest szczodrym obywatelem i woli taksówkę lub własny samochód. Marta podjęła te środki ostrożności, by nikt się nigdy nie domyślił, że przeniosła na inny termin, przerwała lub opuszczała lekcje uroczych wygibasów i rozrzucania niewidocznych kwiatów w uroczym towarzystwie innych bosych dam w mniej lub bardziej komicznych tunikach.

W dniu, kiedy znany handlowiec, właściciel domu towarowego „Dandy”, pan Dreyer, oraz jego szofer mignęli na kolumnie wiadomości lokalnych jej gazety, Marta przyszła trochę wcześniej niż zwykle. Franza jeszcze nie było. Usiadła na kanapie, zdjęła kapelusz i wolno ściągnęła rękawiczki. Tego dnia jej twarz była szczególnie blada. Marta miała na sobie beżowy kostium z wysokim kołnierzem i małymi guzikami z przodu. Na korytarzu rozległy się znajome kroki, kiedy po chwili Franz wszedł (z gwałtowną bezceremonialnością, z jaką wkraczamy do swojego własnego pokoju, przekonani, że nikogo tam nie ma), Marta nie uśmiechnęła się do niego.

Wydał z siebie okrzyk radosnego zaskoczenia i nie zdejmując kapelusza, zaczął obsypywać jej kark i ucho gradem szybkich pocałunków.

- Wiesz już? - spytała, a jej oczy przybrały dziwny wyraz - miał przedtem nadzieję, że

nigdy go już nie zobaczy.

- A jakże - odpowiedział, wstając z kanapy, zrzucił z siebie deszczowiec i zdjął szalik w wielobarwne pasy. - Nikt w sklepie nie mówi o niczym innym. Koledzy zadawali mi wszelkie możliwe pytania. Byłem naprawdę przerażony, kiedy zjawił się wczoraj taki ponury. Co za okropna historia.

- Co jest okropne, Franz?

Nie miał już na sobie marynarki ani kołnierzyka i głośno mył ręce.

- No, wszystkie te wyszczerbione kawałki szkła, które uderzają człowieka w twarz, zgrzyt metalu, trzask łamanych kości, krew, ciemność. Nie wiem dlaczego, ale bardzo wyraźnie wyobrażam sobie takie rzeczy. Robi mi się od tego niedobrze.

- To tylko nerwy, Franz, nerwy. Chodź tu.

Usiadł przy niej i próbując nie dostrzegać, że jej ponure myśli błądzą gdzieś daleko, spytał cicho:

- Nie będzie dzisiaj pomponów?

Nie usłyszała tego słodkiego eufemizmu albo udała, że nie słyszy.

- Franz - powiedziała, głaszcząc go po ręce, którą zarazem powstrzymywała - czy zdajesz sobie sprawę, jaki to był cud? Miałam wczoraj przecucie, które się nie spełniło.

„Znowu to samo - pomyślał - jak długo będzie mnie zamęczać tą troską o niego?”

Odwrócił się i spróbował zagwizdać jakąś melodię, ale z ust nie wydobył się ani jeden dźwięk - zadumał się z wysuniętymi do przodu wargami.

- Co się z tobą dzieje, Franz? Nie zachowuj się jak idiota. Dzisiaj zamknięte z powodu remontu (inny słodki eufemizm).

Objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie; opierał się, ale cięło go jej diamentowe spojrzenie i zrobił się nagle słaby i uległy - tak z żalnym piskiem kurczy się dziecinny balonik. Łzy urazy zamglily mu okulary. Przycisnął głowę do jej ramienia.

- Dłużej tak nie mogę - powiedział płaczącym głosem. - Już wczoraj wieczorem zastanawiałem się, czy twoje uczucie do mnie jest prawdziwe. Tak martwiłaś się o tego mojego starego wuja. To znaczy że ci na nim zależy! To takie bolesne...

Marta zamrugnęła oczami, a potem pojęła jego pomyłkę.

- A więc o to chodzi - powiedziała przeciągle, śmiejąc się wesoło. - Moje biedactwo.

Wzięła w dłonie jego głowę, uważnie i surowo spojrzała mu w oczy, a potem, z na wpół rozchyłonymi ustami, jakby zamierzała go delikatnie ugryźć, przysunęła się wolno do jego twarzy i zawładnęła jego wargami.

- Wstydź się - powiedziała, powoli zwalnając uścisk. - Wstydź się - powtórzyła

kiwając głową. - Nigdy bym nie przypuszczała, że z ciebie taki głuptas.

Nie, zaczekaj... Chcę, żebyś zdał sobie sprawę ze swojej głupoty. Nie, stój. Nie możesz mnie dotknąć, ale ja mogę dotknąć ciebie i mogę cię possać, i nawet całego wypić, jeśli chcesz.

- Pomyśl - powiedziała parę chwil później, kiedy zupełnie nowe dla Franza przedsięwzięcie dobiegło zadowalającego końca. - Pomyśl, Franz, jak cudownie by było, gdybym nie musiała dzisiaj odchodzić. Dzisiaj ani jutro, ani nigdy. Oczywiście nie mieszkalibyśmy w takim małym pokoiku.

- Wynajęlibyśmy większy i bardziej słoneczny pokój - powiedział z przekonaniem Franz.

- Tak, możemy sobie trochę pomarzyć. Większy i znacznie bardziej słoneczny.

Może nawet dwa pokoje, jak myślisz? A może trzy? Oczywiście z kuchnią.

- Z mnóstwem wspaniałych noży - powiedział Franz - tasaków, siekaczy i krajalnic do sera; ale ty nie będziesz gotować. Masz takie drogocenne paznokcie.

- Naturalnie, mielibyśmy kucharkę. Na co zdecydowaliśmy się - trzy pokoje?

- Nie, cztery - powiedział Franz, pomyślawszy chwilę. - Sypialnia, salon, gabinet, jadalnia.

- Cztery. Świetnie. Czteropokojowe mieszkanie. Z kuchnią. Z łazienką. A sypialnia cała będzie biała, prawda? A pozostałe pokoje niebieskie. A w salonie będzie pełno kwiatów. A na górze będzie jeszcze dodatkowy pokój, na wszelki wypadek, na przykład dla gości... Może dla pewnego malutkiego gościa.

- Jak to „na górze”?

- Ależ to będzie willa.

- Aha - skinął głową Franz.

- Co dalej, kochanie? Tak więc, willa. Z pięknym holem. Wchodzimy. Dywany, obrazy, srebro stołowe, haftowane narzuty. Prawda? No i ogród - drzewa owocowe.

Magnolie. Prawda, Franz?

Westchnął.

- Trzeba na to wszystko dziesięciu lat albo i więcej. Dużo czasu upłynie, zanim zarobię dla ciebie tyle, żebyś się mogła z nim rozwieść.

Marta umilkła, zdawało się, że nie ma jej w pokoju. Franz z uśmiechem obrócił się do niej, gotów bawić się dalej, ale uśmiech zastygł mu na twarzy. Patrzyła na niego zwięzonymi oczami, gryząc wargę.

- Dziesięć lat - powiedziała z goryczą. - Ty głuptasie! Naprawdę chcesz czekać

dziesięć lat?

- Tak mi się wydaje - odpowiedział Franz. - Nie wiem. Może, gdybym miał dużo szczęścia... ale weź na przykład takiego pana Piffke, jest w sklepie od samego początku, wiesz, ile to lat. Ale żyje bardzo skromnie. Nie wyciąga więcej niż czterysta pięćdziesiąt na miesiąc. Jego żona także pracuje. Mają małe mieszkanie, pełne skrzynek i różnych rzeczy.

- Dzięki Bogu, zrozumiałeś - powiedziała Marta. - Widzisz, najdroższy, w banku nie można złożyć marzeń. Nie są żadnym zabezpieczeniem i przynoszą zero procent dywidendy.

- To co zrobimy? - spytał przerażony Franz. - Wiesz przecież, że gotów jestem ożenić się z tobą choćby dziś. Nie mogę żyć bez ciebie. Bez ciebie jestem jak pusty rękaw. Ale nie mogę sobie pozwolić nawet na jeden z tych ślicznych nowych chodników, które sprzedajemy w sklepie, a co tu mówić o dywanach. Poza tym, ma się rozumieć, będę musiał rozejrzeć się za inną pracą - a nic nie umiem (zmarszczył twarz), nie mam żadnego doświadczenia. To znaczy, że trzeba będzie się wszystkiego uczyć od początku. Będziemy musieli mieszkać w nędznym wilgotnym pokoiku, oszczędzając na jedzenie i ubrania.

- Tak, nie będzie już wujaszka, który by ci pomagał - powiedziała sucho Marta. - Nie będzie i koniec.

- To w ogóle nie do pomyślenia - powiedział Franz.

- Absolutnie nie do pomyślenia - powiedziała Marta.

- Dlaczego się na mnie złościysz? - spytał po chwili milczenia. - Jakby cokolwiek zależało ode mnie. To naprawdę nie moja wina. Dobrze, pomarzymy trochę, jeśli chcesz. Tylko się nie złość. Mam siedemnaście garniturów, jak wujek... Chcesz, żebym ci je opisał?

- Za dziesięć lat - powiedziała ze śmiechem - za dziesięć lat, kochanie, moda męska zmieni się gruntownie.

- No proszę, znowu się złościysz.

- Tak, jestem zła, ale nie na ciebie, tylko na Los. Widzisz, Franz... Nie, ty nic nie zrozumiesz.

- Zrozumiem - powiedział Franz.

- Więc dobrze. Jak wiesz, ludzie zwykle robią różne plany, bardzo dobre plany, ale w ogóle nie biorą pod uwagę jednej z możliwości: śmierci. Jak gdyby nikt nie mógł umrzeć. No, nie patrz na mnie, jakbym powiedziała coś nieprzyzwoitego.

Miała teraz dokładnie taki sam dziwny wyraz twarzy, jak poprzedniego dnia, kiedy próbowała odegrać policjanta.

- Czas już na mnie - powiedziała, marszcząc brwi. Wstała i przejrzała się w lustrze.

- Sprzedają już na ulicach choinki - powiedziała, unosząc łokcie, kiedy wkładała

kapelusz. - Chciałabym kupić drzewko, olbrzymią i bardzo drogą jodłę, i mnóstwo prezentów pod nią. Daj mi czterysta dwadzieścia marek. Wszystko wydałam.

- Jesteś też bardzo niemiła - westchnął Franz.

Zszedł z nią po ciemnych schodach. Odprowadził ją do placu. Robotnicy zaczęli prace przy fasadzie nowego kina. Było bardzo ślisko, gładka powierzchnia lodu połyskiwała w świetle ulicznych latarni.

- Wiesz co, skarbie? - powiedziała, żegnając się z nim na rogu. - Mogłabym być dzisiaj w ciężkiej żałobie. I bardzo by mi w niej było do twarzy. To przypadek, że nie jestem w żałobie. Pomyśl o tym, mój mały siostrzeńcze.

Rezultat był dokładnie taki, jakiego chciała: Franz spojrzął na nią, otworzył usta i nagle wybuchnął śmiechem. Marta też zatrzęsała się od śmiechu. Jakiś mężczyzna z foksterierem, czekający niedaleko, aż pies zdecyduje się, jak potraktować latarnię, z aprobatą i zazdrością popatrzył na wesołą parę.

- W żałobie - powiedział Franz, dusząc się ze śmiechu. Śmiejąc się, kiwnęła głową. - W żałobie - powiedział Franz, tłumiąc dłonią potężne parsknięcie.

Mężczyzna z foksterierem pokręcił głową i odszedł. - Uwielbiam cię - słabym głosem powiedział Franz i dłuższą chwilę mokrymi oczami patrzył w ślad za nią.

Ale jak tylko się odwrócił i ruszył z powrotem, twarz Marty znowu zrobiła się surowa. Franz tymczasem przetaił chusteczką okulary i spokojnym krokiem skierował się do domu, dalej do siebie chichocząc. „Tak, to rzeczywiście kwestia przypadku.

Gdyby tylko właściciel samochodu siedział koło kierowcy. Przypuśćmy, że wziął i usiadł z przodu. W takim wypadku byłaby dzisiaj wdową. Bogatą wdową, rozkoszną kochanką i cudowną żoną. Jak zabawnie to kiedyś powiedziała: dla ciebie jest miód, dla niego - trucizna. Po co zresztą obmyślać skomplikowane plany z samochodem.

Zresztą nie wszystkie wypadki samochodowe kończą się śmiercią, bardzo często człowiek wykręca się stłuczeniami, złamaniami, ranami, nie można stawiać losowi zbyt wygórowanych żądań: dokładnie tak, proszę, żeby mózg się rozbryzgał. Są inne możliwości: na przykład choroba. Może ma słabe serce i wcale o tym nie wie? A pomyśleć tylko o tych wszystkich ludziach, których wykańcza zwyczajna grypa. O, wtedy to dopiero zaczęlibyśmy żyć. Sklep przynosiłby dalej zyski. Forsa płynęłaby strumieniem. Ale jest bardziej prawdopodobne, że przeżyje żonę i dociągnie do XXI wieku. Było przecież coś w gazetach o jakimś Turku, który ma sto pięćdziesiąt lat i ciągle majstruje dzieci, sprośne stare bydło”.

Tak sobie dumał, mętnie i ordynarnie, nieświadom faktu, że jego myśli puściła w ruch po tej trasie Marta. Myśl o małżeństwie także podpowiedziała ona. Ale to całkiem dobry



pomysł. Skoro taką przyjemność czerpie ze związku z Martą, kiedy zaspokaja go ona dwakroć w ciągu godziny trzy lub cztery razy w tygodniu, to jakie różnorodne ekstazy zapewniłaby mu, gdyby była dostępna codziennie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę! Posłużył się tą metodą szacunku szczęścia całkiem naiwnie, jak żarłoczne dziecko, który wyobraża sobie krainę z czekoladowym błotem i śniegiem z lodów.

W tym okresie - który, po latach, jako bardzo stary i bardzo schorowany człowiek, winien gorszych grzechów niż zabójstwo dobrego wujaszka, wspominał z pogardliwym uśmiechem - młody Franz nie zauważał żrących właściwości przyjemnych marzeń o tym, jak Dreyer pada trupem. Weszło i beztrzesko pogrążał się w majaczeniach. Jego następne spotkania z Martą wydawały się równie naturalne i czułe, jak poprzednie, ale podobnie jak skromny pokój z bezpretensjonalnymi starymi meblami i naiwnie ciemnym korytarzem miał za właściciela osobę (lub osoby) nieuleczalnie, choć trudno uchwytne chorą psychicznie, tak w ich schadzkiach czaiło się teraz coś dziwnego - początkowo trochę niesamowitego i wstydlivego, ale już urzekającego, już wszechpotężnego. Cokolwiek Marta mówiła, jakkolwiek czarująco się uśmiechała, Franz czuł w każdym jej słowie i spojrzeniu nieodpartą aluzję. Byli jak spadkobiercy, siedzący w półmroku salonu, podczas gdy w sypialni skazany na śmierć bogacz błaga o lekarza i przeklina księdza; mogli rozmawiać o głupstwach, o zbliżających się świętach, o rosnącym zainteresowaniu nartami i wyrobami z wełny w sklepie; tak, można mówić o wszystkim, choć zapewne trochę poważniej niż dawniej, bo słuch jest natężony, w oczach migoczą zmienne błyski, skrywana niecierpliwość nie daje spokoju, czeka się i czeka, aż ponury lekarz z wymownym westchnieniem wyjdzie na palcach z sypialni i proszę - przez szczelinę w uchylonych drzwiach widać długie plecy duchownego, przedstawiciela bezgranicznie miłosiernego Kościoła, pochylające się nad białym, bardzo białym łóżkiem.

Czuwali na próżno. Marta doskonale wiedziała, że Dreyer nigdy nie zdradzał najmniejszych objawów choćby przeziębienia lub bólu zębów. Toteż szczególnie zirytowała ją, gdy tuż przed świętami złapała katar, zaczęła biedaczka sucho kaszłać, w oskrzelach kłuło i charczało, nocami pociła się jak mysz, a za dnia pogrążona była w tępym odrętwieniu, oszołomiona tak zwaną *Grippe*, głowę miała ciężką, a w uszach szumiało. Gdy nadeszło Boże Narodzenie, nie czuła się lepiej. Mimo to włożyła w wigilijny wieczór lekką, płomiennoczerwoną suknię z głębokim wycięciem na plecach i ogłuszona aspiryną, próbując przegnać chorobę siłą woli, nadzorowała przygotowywanie ponczu, nakrywanie stołu, rumianą, dymiącą pracę kucharki.

W salonie, dotykając srebrzystym zwieńczeniem sufitu, cała przybrana kruchymi

błyskotkami, cała usiana jeszcze nie zapalonymi czerwonymi i niebieskimi żaróweczkami, stała świeża, wybujała jodła, obojętnie znosząc swoje błazeńskie szaty.

W nieprzytulnym kącie między salonem a wejściem, miejscu jasnym i pustawym, nazywanym, nie wiedzieć czemu, holem, gdzie pośród wiklinowych mebli rosły i kwitły rośliny doniczkowe - cyklameny, siedem karłowatych kaktusów i pieprznica z malowanymi liśćmi - i gdzie mandarynkowy żar elektrycznego kominka nie potrafił pokonać zimnego powiewu ciągnącego od okna z szybą ze szkła lustrzanego, czekając na gości, siedział Dreyer w wieczorowym stroju i czytał angielską książkę. Miejscem akcji było Capri. Czytając poruszał ustami i dosyć często zerkał do grubego słownika, który wahadłowo kursował między jego kolanami a stolikiem ze szklanym blatem. Nie wiedząc, co ze sobą począć w przedłużającej się ciszy przed pierwszym dzwonkiem, Marta siadła nie opodal niego na kozetce, uniosła nieco stopę i ze wszystkich stron przyglądała się ostro zakończonemu pantofelkowi. Panowała nieznośna cisza. Dreyer przypadkiem upuścił słownik i zachrzącąc mocno nakrochmaloną koszulą, podniósł go, nie odrywając oczu od książki. Co miała robić z tym uciskiem, z tym napięciem w piersiach? Sam kaszel nie mógł jej od niego uwolnić; tylko jedna rzecz była w stanie wszystko naprawić: nagle i zupełne zniknięcie tego zadowolonego z siebie zwalistego mężczyzny z lwimi brwiami i piegowatymi dłońmi. Jej nienawiść doszła do takiego stopnia, że przez chwilę Marta uległa złudzeniu: fotel był pusty. Ale nagle jego spinka zakreśliła płomienny łuk, kiedy zamykał słownik, i zaraz potem powiedział mającym nieść pociechę głosem:

- Mój Boże, ależ ty jesteś zaziębiona. Słyszę stąd prawdziwą orkiestrę, strojącą w tobie instrumenty.

- Oszczędź mi swoich metafor i odłóż książkę - powiedziała Marta. - Goście przyjdą lada chwila. I weź ten słownik. Nic nie sprawia wrażenia większego bałaganu niż słownik na fotelu.

- *All right, my treasury* - powiedział i wyszedł zabierając książki, biadał przy tym w myśli nad swoją niepewną wymową i ograniczonym chociaż precyzyjnym zasobem wyrazów.

Fotel przed rozżarzoną kratą był teraz pusty, ale to nic zgoła nie pomogło. Całą swoją istotą czuła obecność męża - tam, za drzwiami, w przyległym pokoju i w następnym, i w jeszcze następnym; dom się nim dusił, zegary tykały z trudem, a zimne zwinięte serwetki ledwie zipiąc stały na świątecznym stole, przybranym uduszonymi różami, z których każda tkwiła w osobnym wazonie. Ale jak go z siebie wykaszleć, jak znowu zacząć swobodnie oddychać? Wydawało jej się teraz, że tak było zawsze, że beznadziejnie go nienawidziła od pierwszych dni i nocy ich małżeństwa, kiedy w zamkniętym na klucz pokoju hotelowym w

białym Salsborgu obmacywał ją i lizał jak zwierzę. Stał jej teraz na drodze, na prostej i jasnej drodze, stał jak ciężka przeszkoda, którą trzeba jakoś usunąć, by dało się wrócić do prostego i jasnego życia.

Jak śmiał zmuszać ją do wszystkich tych komplikacji związanych ze zdradą małżeńską? Jak śmiał stanąć przed nią w kolejce? Najokrutniejszego wroga nie nienawidzimy bardziej niż barczystego nieznajomego, którego spokojne plecy nie pozwalają nam się precyzyjnie do kasy biletowej albo do lady sklepu z wędlinami.

Chodziła tam i z powrotem, bębniła palcami w okno. Oderwała chory liść cyklamenu, poczuła, że za chwilę się udusi. W tym momencie odezwał się dzwonek u drzwi. Marta poprawiła fryzurę i ruszyła szybkim krokiem - nie do drzwi wejściowych, ale w drugą stronę, do drzwi salonu, aby mogła elegancko wynurzyć się z głębi mieszkania i powitać gości.

Przez następne pół godziny dzwonek dzwonił raz po raz. Pierwsi przybyli nieuniknieni Waldowie w swojej limuzynie marki Debler; potem przyszedł trzęsący się z zimna Franz; potem, niemal jednocześnie, zjawili się hrabia z bukietem lichych goździków i właściciel papierni z żoną; potem - dwie hałaśliwe, półnagie, źle ubrane i źle umalowane dziewczyny, których ojciec nieboszczyk w szczęśliwszych czasach był współnikiem gospodarza domu; potem - obdarzony zadartym nosem, chudy i małowówny dyrektor towarzystwa ubezpieczeniowego „Fatum” i różowy inżynier budowlany w trzech osobach, to znaczy z siostrą i synem, którzy byli komicznie do niego podobni. Całe to towarzystwo stopniowo rozgrzewało się i łączyło w jedno stworzenie z wieloma kończynami, ale poza tym niezbyt skomplikowanej budowy, które robiło dużo radosnego hałasu, piło i wirowało dokoła swej osi. Tylko Marta i Franz nie byli w stanie wtopić się, do czego winny ich nakłonić prawidła pełnych serdeczności świąt - w tę ożywioną, zarumienioną, pulsującą życiem masę. Miło jej zauważyć, że jak wielkim brakiem odzewu spotykają się u Franza praktycznie obnażone wdzięki tych dwu praktycznie identycznych, wulgarnych młodych istot o odrażająco chudych ramionach i zmijowatych plecach i małych tyłkach, których nie sprano jak należy. Życie jest niesprawiedliwe - za dziesięć lat będą jeszcze trochę młodsze niż ja teraz, prawdę powiedziawszy, cała trójka.

Co chwila jej oczy spotykały się z oczami Franza, ale nawet nie patrząc na siebie zarówno on, jak i ona ciągle wyraźnie czuli zmienne kombinacje swego położenia względem siebie: kiedy on po przekątnej przecinał salon, niosąc szklaneczkę ponczu dla Idy lub Izoldy, nie - dla starej pani Wald, Marta w drugim końcu pokoju ozdabiała łysą głowę Willy'ego Walda kapelusikiem z szeleszczącego papieru; kiedy Franz siadał i słuchał, co ma do powiedzenia różowa i nieładna siostra inżyniera, Marta łącząc linię krzywą i prostą szła od

Willy'ego do drzwi, a potem do stołu w jadalni, uginającego się pod ciężarem zakąsek. Franz zapalał papierosa, Marta kładła na talerzyk mandarynkę. Tak szachista, który gra bez szachownicy, czuje, jak jego schwyty w pułapkę goniec i obrotna królowa przeciwnika poruszają się, pozostając przez cały czas w nieubłaganych wzajemnych relacjach. W tych układach ustalił się jakiś niejasny, regularny rytm. I ani na moment rytm ten się nie przerywał.

Zarówno ona, jak i szczególnie Franz czuli istnienie tej niewidzialnej figury geometrycznej; byli dwoma punktami, poruszającymi się po jej obwodzie, a wzajemne relacje tych dwu punktów można było w każdej chwili nakreślić; i chociaż zdawało się, że poruszają się swobodnie, byli bezpiecznie ograniczeni niewidzialnymi, nieubłaganymi liniami tej figury.

Parkiet pokrywała już pstrokaczna papierowych odpadków, ktoś zdążył rozbić kieliszek - stał teraz niemy, rozczapierzając lepkie palce. Willy Wald, już nieźle podochocony, w złotym kapelusiku, obwieszony serpentynami, szeroko otwierając swoje niebieskie niewinne oczy, opowiadał hrabiemu o niedawnej podróży do Rosji, gorliwie wychwalał przy tym Kreml, kawior i komisarzy. W chwilę potem Dreyer, bez marynarki, zarumieniony, wciąż trzymając w ręce nóż szefa kuchni i wciąż w czapce kucharskiej na głowie, odciągnął Willy'ego na bok i zaczął mu coś szeptać, a różowy inżynier opowiadał pozostałym gościom o trzech zamaskowanych indywiduach, które pewnej nocy wigilijnej włamały się do domu i obrabowały całe towarzystwo. W sąsiednim buduarze wybuchnął piosenką gramofon. Dreyer zaczął tańczyć z jedną z ładnych siostr, potem pochwycił drugą i dziewczęta chichotały i wyginały swoje giętkie obnażone plecy, a on próbował tańczyć z nimi obiema naraz. Franz stał koło zasłony na oknie i żałował, że ciągle nie miał czasu nauczyć się tańczyć. Zobaczył białą rękę Marty na czyimś czarnym ramieniu, potem jej profil, potem znamię pod jej lewą łopatką i czyjś kciuk na nim, potem znowu ten profil madonny i znowu rodzynek w kremie, i jej połyskujące jedwabiem nogi, które rąbek jej krótkiej sukni odsłaniał aż do kolan - ruszały się tu i tam i zdawały się (jeśli patrzyło się tylko na nie) należeć do kobiety, która nie wie, co ze sobą począć i pełna jest niepokoju i oczekiwania: stawia stopę to powoli, to szybko, i tak, i siak, gwałtownie się odwraca, znowu stawia stopę, dręczona nieznośną niecierpliwością. Marta tańczyła machinalnie, czując nie tyle rytm muzyki, ile synkopowe zmiany odległości pomiędzy sobą i Franzem, który stał koło zasłony z założonymi rękami i ruchliwymi oczami. Zobaczyła, jak Dreyer sięga za zasłonę; musiał uchylić okno, bo w pokoju zrobiło się chłodniej. Tańcząc, sprawdzała położenie Franza: był na miejscu, ukochany wartownik. Poszukała wzrokiem męża, nie było go w pokoju,

powiedziała sobie, że nagły chłód i lekkość związane są właśnie z jego nieobecnością. Przemknawszy blisko Franza, obrzuciła go takim znajomym i znaczącym spojrzeniem, że stracił kontenans i uśmiechnął się do inżyniera, którego twarz podsunął mu kaprys rozwirowania. Wciąż na nowo nakręcano gramofon i pomiędzy wieloma parami zwyczajnych nóg błyskały te jedne - mocne, pełne wdzięku, zachwycające - i Franz, odurzony winem i obrotami tańczących, zdał sobie sprawę z tanecznego rwetesu w swojej biednej głowie - jakby wszystkie myśli uczyły się tańczyć fokstrota.

Nagle coś się stało. W trakcie tańca Izolda krzyknęła: - Patrzcie! Zasłona!

Wszyscy spojrzeli w tym kierunku i okazało się, że rzeczywiście zasłona na oknie dziwnie się poruszyła, zmienił się układ fałd, materiał zaczął nabrzmiewać.

Jednocześnie zgasły wszystkie lampy. W ciemności widać było, jak po pokoju błąka się owalne światelko, zasłona się rozchyliła i w nikłym blasku pojawił się nagle jakiś zamaskowany mężczyzna, ubrany był w stary płaszcz wojskowy, w rękę trzymał przerażającą latarkę. Ida przenikliwie krzyknęła. Głos inżyniera spokojnie odezwał się w ciemności:

- Przypuszczam, że to nasz wesoły gospodarz.

Potem, po osobliwej pauzie, wypełnionej muzyką obowiązkowego gramofonu, który nadal pilnie grał w mroku, rozległ się pełen tragizmu głos Marty. Wydała z siebie taki ostrzegawczy skowyt, że obie dziewczyny i stary hrabia cofnęli się do drzwi, które zagradzał rozbawiony Willy. Zamaskowana postać zachrypiała i wycelowawszy w Martę latarkę, ruszyła do przodu. Całkiem możliwe, że dziewczyny były naprawdę przerażone. Niewykluczone również, że kilku mężczyzn nie było do końca pewnych, czy to żart. Marta, która dalej wołała o pomoc, z chłodnym uniesieniem zauważyła, że stojący obok niej inżynier sięgnął pod smoking, do tyłu, i wyjął coś z tylnej kieszeni spodni. Wtedy zrozumiała, co znaczy jej krzyk, co im podpowiada, do czego usiłuje ich skłonić, i pewna swojej roli, krzyknęła jeszcze głośniejsze, ponaglając, szczując.

Franz nie mógł już tego wytrzymać. Ze wszystkich osób stał najbliżej nieproszonego gościa i natychmiast poznał go po szytych na zamówienie spodniach smokingu - zwinne palce zerwały maskę z twarzy intruza. Tymczasem pan Fatum przemógł wreszcie sapiącego Willy'ego i zapalił światło. Na środku pokoju stał ubrany w kostium złożony z apaszki i żołnierskiego szynela Dreyer i ryczał ze śmiechu, to kołysząc się, to przysiadając, cały czerwony i rozczochrany, i wskazywał palcem na Martę. Szybko zdecydowawszy, jak ma postąpić ze swoim udawanym przerażeniem, odwróciła się do męża plecami, poprawiła ramiączko na nagim ramieniu i spokojnie podeszła do jękającego się gramofonu. Ciągle się śmiejąc, pobiegnął za nią, objął ją i pocałował.

- Cały czas wiedziałam, że to ty - powiedziała Marta, co istotnie odpowiadało prawdzie.

Franz już od dłuższej chwili walczył z przyływem nudności, teraz jednak poczuł, że za chwilę zwymiotuje i szybko wyszedł z pokoju. Za sobą ciągle słyszał wrzawę, wszyscy śmiali się, krzyczeli i prawdopodobnie gromadzili się wokół Dreyera, ściskając zarówno jego, jak i wyslizgującą się z objęć Martę. Z chusteczką przyciśniętą do ust Franz skierował się do holu i gwałtownie szarpnął drzwi toalety. Stara pani Wald wypadła stamtąd jak bomba i zniknęła za załomem muru. „Mój Boże, mój Boże”

- mamrotał zgięty we dwoje. Wydawał z siebie okropne dźwięki, rozpoznając w przerywanym strumieniu, który wylewał mu się z ust, mieszaninę jedzenia i trunków: tak potępieniec na nowo smakuje w piekle przemieloną miazgę swojego życia. Dysząc ciężko, z obrzydzeniem wycierając usta kawałkiem papieru toaletowego, poczekał na właściwą chwilę i pociągnął za łańcuszek. Wracając, zatrzymał się w holu i zaczął nadśluchować. Lustro odbijało wskroś uchylonych drzwi złowroźnie płonąca choinkę.

Gramofon śpiewał znowu. Nagle Franz zobaczył Martę.

Szybko podeszła do niego, oglądając się za siebie, jak konspirator w sztuce teatralnej. Byli sami w jasno oświetlonym holu, zza drzwi dobiegał hałas, śmiech, kwik bezradnej świni, gulgot torturowanego indyka.

- Pech - powiedziała Marta. - Niestety, kochanie.

Jej przenikliwe oczy były jednocześnie przed nim i wszędzie wokół niego. Nagle zaczęła kaszleć, chwyciła się za bok i opadła na fotel.

Spytał:

- O co ci chodzi - z tym pechem?

- Dłużej tak nie mogę - mamrotała w przerwach pomiędzy atakami kaszlu. - Po prostu nie mogę. Ojej, spójrz na siebie, jesteś blady jak śmierć.

Hałas w domu nabrzmiewał i przybliżał się, zdawało się, że olbrzymia choinka ryczy wszystkimi swoimi lampkami.

-...jak śmierć - powiedziała Marta.

Franz poczuł następny przyływ nudności, głosy chlusnęły do przodu, spocony Dreyer przemknął obok, uciekając przed Waldem i inżynierem, a po tej trójce zjawili się pozostali, śmiejąc się rubasznie i szwargocząc, a zamknięty w garażu Tom czekał jak oszalały. Odgłosy polowania zdawały się ścigać Franza, kiedy wymiotował na pustej ulicy i włókł się do domu. Na rogu placu rusztowania, które owijały kokonem przyszłe kino „Palazzo”, zwieńczone były jasną choinką. Jej koniuszek można było także zobaczyć z okna sypialni

Dreyerów, ale tylko jako malutką barwną plamkę na gwiazdzistym niebie.

- Każda z nich byłaby cudowną żoneczką dla naszego poczciwego Franza - rozbierając się powiedział Dreyer.

- To ty tak myślisz - powiedziała Marta, wpatrując się w lustro na toaletce.

- Ida jest oczywiście ładniejsza - ciągnął pijany Dreyer - ale Izolda z tymi puszystymi, matowymi włosami i z tym, swoim niepohamowanym śmiechem - nie może złapać tchu, kiedy opowiada się jej co zabawnego...

- Dlaczego jej nie spróbujesz? Albo obu naraz?

- Bo ja wiem - zadumał się Dreyer, zdejmując kalesony. Zaśmiał się i dodał: - A co ty na te rzeczy dzisiaj, najdroższa? W końcu mamy święta.

- Po tym idiotycznym żarcie? Nie - powiedziała Marta - i jeśli nie dasz mi spokoju ze swoimi sprośnymi zalotami, pójdę spać do pokoju gościnnego.

- Bo ja wiem - powtórzył Dreyer, kiedy wsunął się do łóżka, i zaśmiał się znowu. Nigdy nie próbował ich naraz. To mogłoby być zabawne!

Osobno miał je tylko dwukrotnie: Idę całkiem niespodziewanie podczas letniego pikniku przed trzema laty w lasach koło Spandau, Izoldę trochę później w hotelu w Dreźnie. Okropne stenografki, jedna i druga.

Franz jeszcze nigdy nie kładł się o wpół do piątej rano. Obudził się po południu, był głodny, zdrowy i zadowolony. Z przyjemnością przypominał sobie, jak zerwał tę maskę. Rycząca ciemność, która prześladowała go jak koszmar senny, teraz, kiedy się jej poddał, uległa przemianie w szum euforii.

Obiad zjadł w pobliskiej restauracyjce, po czym wrócił do domu, żeby czekać na Martę. Dziesięć po siódmej jeszcze jej nie było. Za dwadzieścia ósma wiedział, że już nie przyjdzie. Czy ma czekać do jutra? Brakowało mu odwagi, żeby do niej zadzwonić.

Marta zabroniła mu i sobie samej telefonować, bo stałoby się to pewnie miłym przyzwyczajeniem i jakieś nieostrożne pieszczotliwe zdanie mogłoby się w efekcie dostać do niepowołanych uszu. Pragnienie, żeby powiedzieć jej, jak dobrze się czuje, mimo całego tego wina i całej tej dziczyzny, i muzyki, i trwogi, było nawet silniejsze niż chęć dowiedzenia się, czy przeziębienie jej przechodzi.

Kiedy dotarł do ich ulicy, minęła go pusta taksówka i zatrzymała się przed willą. Uznał, że przyszedł nie w porę, prawdopodobnie dokądś się wybierali.

Zatrzymał się przy ogrodzeniu, sądząc, że wynurzą się z drzwi - ona w swym uroczym futrze, on w płaszczu z wielbłądziej wełny. Ostatecznie raz jeszcze zmienił zdanie i żwawo ruszył w kierunku ganku.

Drzwi frontowe były otwarte. Frieda trzymała za obrożę na wpół uduszonego Toma i ciągnęła go na górę. W holu Franz dostrzegł wypchaną walizkę z prawdziwej skóry i wspaniałą parę nart z amerykańskiego orzecha - takiej nie mieli u siebie w sklepie. Mąż i żona stali w salonie i patrzyli na siebie. On mówił coś szybko, a ona uśmiechała się jak anioł i w milczeniu kiwała potakująco głową.

- A, Franz - powiedział obracając się i chwycił siostrzeńca za wypchane ramię. - Nie mogłeś przyjść w lepszej chwili. Wyjeżdżam na jakieś trzy tygodnie.

- Co robią tam te narty? - spytał Franz i z zaskoczeniem stwierdził, że przestał się bać Dreyera.

- To moje. Jadę do Davos. Trzymaj (pięć dolarów).

Pocałował żonę w policzek.

- Lecz swoje przeziębienie, najdroższa. Baw się dobrze w czasie świąt.

Niech Franz weźmie cię do teatru. Nie bądź na mnie zła, kochanie, że cię zostawiam. Śnieg jest dla mężczyzn i niezamężnych dziewcząt. Nie zmienisz tego.

- Spóźnisz się na pociąg - powiedziała Marta, patrząc na niego i mrużąc oczy.

Spojrzał na swój złoty zegarek, udął przerażenie i chwycił walizkę. Taksówkarz pomógł wynieść narty. Wujek, ciotka i siostrzeniec przeszli przez ogród. Po okresie silnych mrozów teraz mżyło! Marta, bez kapelusza, w futrze z kretów, szła ku furtce, leniwie kołysząc biodrami, jej niewidoczne ręce splotły się w złączonych ze sobą rękawach. Ułożenie długich nart na dachu taksówki zajęło sporo czasu. W końcu trzasnęły drzwiczki. Taksówka odjechała. Franz machinalnie przeczytał jej numer rejestracyjny: 22221. Dziwnie wyglądała niespodziewana jedyńska po wszystkich tych dwójkach. Powoli ruszyli po chrzęszczącej, wysypanej żwirem ścieżce z powrotem do domu.

- Znowu odwilż - powiedziała Marta. - Dzisiaj kaszle mi się znacznie łżej.

Franz myślał chwilę, a potem powiedział:

- Tak. Ale czekają nas jeszcze zimne dni.

- Być może - powiedziała Marta.

Kiedy weszli do pustego domu, Franz miał wrażenie, że wrócili z pogrzebu.

## VIII

Zacząła go uczyć z uporem i gorliwie.

Po pierwszych przejawach zmieszania, potknięciach i wprawiających w zakłopotanie pomyłkach zaczął stopniowo rozumieć, co chce mu przekazać - czyniła to niemal bez słów, bez wyjaśnień, posługując się prawie wyłącznie pantomimą. Całą swoją uwagę kierował zarówno na nią, jak i na zawodzące dźwięki, które, to wznosząc się, to opadając,



towarzyszyły mu nieustannie; i czuł już w nich rytmiczne żądanie, neodparty sens, regularne pauzy i uderzenia. To, czego Marta od niego wymagała, okazywało się takie proste. Jak tylko coś sobie przyswajał, w milczeniu potakiwała głową, przez chwilę z baczным uśmiechem patrząc w dół, jak gdyby śledząc ruchy i narastanie wyraźnego już cienia. Jego niezdarność, wrażenie, że ma się kulawą nogę i garb, które dręczyły go z początku - to wszystko wkrótce znikło. Natomiast całkowicie zniewoliły go - wyprostowana postawa, zwodniczy wdzięk i kroki, których go uczyła: nie mógł już teraz nie słuchać rozkazów dźwięku, którego zagadkę rozwiązał. Zawrót głowy stał się zwyczajnym i przyjemnym stanem, somnambuliczne rozmarzenie automatu - regułą jego egzystencji. Marta promieniowała radością i przyciskała skroń do jego skroni, wiedząc, że stanowią teraz jedność, że zrobi to, co trzeba. Ucząc go powściągała niecierpliwość, którą dostrzegł kiedyś w blasku i migotaniu jej eleganckich nóg. Stała teraz przed nim i dwoma palcami podciągając plisowaną spódnicę, powtarzała w zwolnionym tempie kroki, żeby jakby w powiększeniu mógł zobaczyć obrót na nosku buta i na obcasie. Próbował czasem przygarnąć ją i popieścić, ale zawsze trzepała go po palcach i odsuwała jego rękę, by kontynuować lekcję. A kiedy pod naciskiem jej silnej dłoni nauczył się, jak się obracać i jak wirować, kiedy jego kroki wreszcie zaczęły pokrywać się z jej krokami, kiedy odbicie w lustrze powiedziało jej, że niezgrabne szkolne wprawki zmieniły się w harmonijny taniec, przyspieszyła tempo i podporządkowała swoje podniecenie myśli i woli, jej szybkie okrzyki zdradzały głęboką satysfakcję z posłusznego ruchu tłoka.

Poznał wirujące obszary parkietów w ogromnych salach otoczonych łożami; wspierał się łokciem na wypłowiałym pluszu ich barierek; strzepywał jej puder ze swego ramienia; widział siebie i ją w przeszyconych obrazami lustrach; płacił łupieżczym kelnerom pieniędzmi z jej czarnej jedwabnej torebki; jego makintosh i jej ulubione futro z kretów godzinami obejmowały się, stercząc w mroku obładowanych wieszaków pod dozorem sennych szatniarek; dźwięczne nazwy wszystkich tych eleganckich sal balowych i kawiarni - tropikalnych, kryształowych, królewskich - stały mu się równie dobrze znane, jak nazwy ulic miasteczka, w którym mieszkał w poprzednim życiu. A potem, wciąż dysząc od miłosnych wysiłków, przesiadą przy sobie kolejny taniec na brudnobrunatnej kanapie w jego obskurnym pokoju.

- Szczęśliwego Nowego Roku - powiedziała Marta. - To nasz rok.

Napisz swojej matce, którą oczywiście chciałabym poznać, że jest ci wspaniale.

Pomyśl tylko, jaka zaskoczona będzie później... potem... kiedy się z nią poznam.

Spytał:

- Kiedy? Czy ustaliłaś termin?

- Jak najszybciej. Im szybciej, tym lepiej.

- Tak, nie możemy marnować czasu.

Oparła się na poduszkach, ręce założywszy za głowę.

- Miesiąc - może dwa. Musimy to zaplanować bardzo starannie, najdroższy.

- Oszalałbym bez ciebie - powiedział Franz. - Wszystko mnie tutaj denerwuje - te tapety, ci ludzie na ulicy, mój gospodarz. Jego żona nigdy się nie pokazuje. To takie dziwne.

- Musisz się uspokoić. Inaczej nic nam nie wyjdzie. Chodź tu...

- Wiem, że wszystko pójdzie jak z płatka - powiedział przytulając się do niej.

- Tylko musimy działać na pewniaka. Najdrobniejszy błąd...

- Och, jakże możesz wątpić, ty, taki silny i odważny.

- Nie, skądże. Mój Boże, nie. Dobry Boże, gdzie tam. Chodzi tylko o to, że musimy znaleźć jakiś całkiem pewny sposób.

- Szybciej, kochanie, znacznie szybciej - nie słyszysz rytmu?...

Nie siedzieli już na kanapie, tylko tańczyli fokstrota pośród połyskliwych białych stolików na jasno oświetlonym parkiecie kawiarni. Orkiestra grała, tracąc oddech. Pomiędzy tańczącymi był wysoki Murzyn, Amerykanin, który uśmiechnął się wyrozumiale, kiedy jakaś namiętna para wpadła na niego i jego jasnowłosą partnerkę.

- Znajdziemy, na pewno znajdziemy - ciągnęła Marta, szybko, w takt muzyki wymawiając słowa - w końcu to nasze święte prawo.

Zobaczył jej podłużne, rozkoszne, pałające oko i płatek małego ucha w kolorze pelargonii, wychylający się spod gładko zaczesanych włosów. Gdybyż mógł tak sunąć zawsze, jak wiecznotrwały tłok w próżni rozkoszy, i nigdy, nigdy się od niej nie odrywać... Ale był jeszcze sklep, gdzie kłaniał się i kręcił jak wesoła lalka, i były jeszcze noce, kiedy jak martwa lalka leżał na wznak na swoim łóżku i nie wiedział, czy śpi, czy czuwa, ani kto to taki szura nogami i w takcie na dwa człapie po korytarzu, i szepcze, ani dlaczego budzik brzęczy mu prosto w ucho. Powiedzmy jednak, że zbudziliśmy się i że oto wchodzi do pokoju stary Enricht o krzaczastych brwiach, niosąc dwie filiżanki kawy - dlaczego właściwie dwie? I jakie przygnębiające są te podarte jedwabne skarpetki na podłodze.

Jednego z takich zamglonych poranków, w niedzielę, kiedy z ubraną na beżowo Martą godnie spacerowali po przyprószonym śniegiem ogrodzie, bez słowa pokazała mu zdjęcie, które właśnie dostała z Davos. Był na nim uśmiechnięty Dreyer w skandynawskim stroju narciarskim - kurczowo ścisnął kijki; jego narty ułożone były idealnie równolegle, dokoła leżał jasny śnieg, na którym można było dostrzec wąski w ramionach cień fotografa.

Kiedy fotograf (także członek narciarskiej braci, a ponadto nauczyciel angielskiego,

pan Vivian Badlook) pstryknął i wyprostował się, Dreyer, nadal promienny, przesunął lewą nartę do przodu, ponieważ jednak stał na niewielkiej pochyłości, narta powędrowała dalej, niż zamierzał, i machnąwszy szeroko kijkami, ciężko upadł do tyłu, a obie dziewczyny z piskiem i śmiechem przemknęły obok niego.

Przez chwilę nie mógł rozplątać przeklętych nart, a ramię zaryło mu się w śniegu aż po łokieć. Kiedy wreszcie się podniósł, cały oblepiony śniegiem, naciągnął pokryte białą skorupą rękawice i zaczął ostrożnie zjeżdżać, na twarzy miał już wyraz powagi. Marzył o tym, żeby wykonywać wszelkiego rodzaju krystianie i telemarki, pędzić w dół, skręcać gwałtownie w obłoku śnieżnego pyłu, ale najwyraźniej Bóg tego nie chciał. Ale na fotografii wyglądał jak prawdziwy narciarz i przed wsunięciem jej do koperty patrzył na nią z upodobaniem. Następnego ranka jednak, stojąc w swojej żółtej piżamie przy oknie i patrząc na zielone modrzewie i kobaltowe niebo, pomyślał, że jest tu już dwa tygodnie, a jego umiejętności narciarskie i jego angielski są nawet gorsze niż poprzedniej zimy. Z niebieskiej od śniegu drogi dobiegł głos dzwoneczków przy saniach; Izolda i Ida chichotały w łazience, ale co za dużo, to niezdrowo. Z przeszywającą przyjemnością przypomniał sobie wynalazcę, który musiał już teraz pracować w urzędzonym dlań laboratorium; przypomniał sobie także parę innych zabawnych projektów, związanych z powiększeniem „Dandy’ego”; podumał nad tym wszystkim, spojrzął na śnieżysty stok pocięty połyskliwymi trasami narciarskimi i zdecydował się na wyjazd do domu przed ustalonym uprzednio terminem i pozostawienie swych przyjaciółek samym sobie, by musiały polegać na własnej pomysłowości, która zresztą była niemała. Gdzieś z tyłu mózgu kryła się jeszcze jedna przyjemna myśl, której specjalnie nie przepuszczał do przodu: zabawnie będzie wrócić do domu niespodziewanie i znienacka zaskoczyć duszę Marty, i zobaczyć, czy pozwoli wymknąć się promiennemu uśmiechowi zaskoczenia, czy też przywita go ze swą zwykłą posępną ironią, co uczyniłaby bez najmniejszej wątpliwości, gdyby uprzedził ją o swoim przybyciu. Mimo wyostrzonego poczucia humoru był zbyt naiwny i egocentryczny żeby zdać sobie sprawę z tego, jak gruntownie rozmaite sprośne opowiadki wyeksploatowały takie nagłe powroty.

Franz podarł zdjęcie na drobne kawałeczki, które wiatr rozniósł po wilgotnym trawniku.

- Głupi - powiedziała Marta - po co to zrobiłeś? Na pewno spyta mnie, czy wkleiłam je do albumu.

- Któregoś dnia podrę także album - powiedział Franz.

Podbiegł do nich pełen entuzjazmu Tom: miał nadzieję, że Franz rzucił piłeczkę lub kamyk, ale pośpieszne poszukiwania na nic się zdały.

Parę dni później Frieda otrzymała pozwolenie spędzenia soboty i niedzieli z rodziną brata, będącego strażakiem w Poczdamie i najjaśniejszym rembrandtowskim blikiem w mrocznym świetle, jakie ją otaczało. Toma zmuszono, by spędzał więcej czasu niż zwykle w służbówce ogrodnika obok pustego garażu. Marta i Franz poddali się dręczącemu ich pragnieniu: postawić się, być wolnymi, cieszyć się wolnością, i postanowili choćby przez jeden wieczór żyć tak, jak chcieli - miała to być próba generalna spektaklu przyszłego szczęścia.

- Dzisiaj jesteś tu panem - powiedziała. - Oto twój gabinet, twój fotel, a tu, jeśli chcesz, jest gazeta: sytuacja ekonomiczna poprawiła się.

Zrzucił z siebie marynarkę i powoli przechadzał się po wszystkich pokojach, jakby robił przegląd po powrocie do własnego wygodnego domu z długiej i trudnej podróży.

- Wszystko w porządku? Czy mój pan jest zadowolony?

Otoczył ją ramieniem i stanęli razem przed lustrem. Był tego wieczora nie ogolony i zamiast kamizelki włożył dość niechlujny ciemnoczerwony sweter; w Marcie też kryło się coś domowego i spokojnego. Umyte niedawno włosy nie leżały gładko, a miała na sobie wełnianą bluzkę, niezbyt twarzową, ale będącą w jakimś sensie jak najbardziej na miejscu.

- Państwo Bubendorf. Wiesz, kiedyś staliśmy tak samo jak teraz, byłam pewna, że mnie pocałujesz, pierwszy raz, ale nie zrobiłeś tego.

- Urosłem o parę centymetrów - powiedział ze śmiechem. - Patrz, jesteśmy prawie tego samego wzrostu.

Zagłębił się w fotelu klubowym, usiadła mu na kolanach, a to, że przybrała na wadze i miała wcale ciężki tyłeczek, jeszcze dodawało wszystkiemu atmosfery przytulności.

- Uwielbiam twoje ucho - powiedział i końskim ruchem zmarszczonego nosa uniośł kosmyk włosów.

W sąsiednim pokoju zaczął delikatnie i melodyjnie bić zegar. Franz cicho się roześmiał.

- Pomyśl tylko, gdyby tak wszedł w tej chwili...

- Kto? - spytała Marta. - O kim ty właściwie mówisz?

- Ależ o nim. Gdyby tak nagle wrócił do domu. Zawsze w taki specjalny sposób otwiera drzwi, cichcem.

- Aha, mówisz o moim świętej pamięci mężu - przydymionym głosem powiedziała Marta. - Nie, nieboszczyk był zawsze bardzo akuratywny. Uprzedziłby mnie - nie, Franz, nie teraz, może po kolacji. Myślę, że chciał swojej zoneczce świecić przykładem, bo inaczej mogłaby bez ostrzeżenia złożyć mu - powiedziałam, że nie - wizytę w pokoiku na tyłach

biura, pokoiku z kanapą.

Milczenie. Szczęście małżeńskie.

- Nieboszczyk - zachichotał Franz - nieboszczyk.

- Dobrze go pamiętasz? - ledwie zrozumiale spytała Marta, pocierając nosem jego szyję.

- Nie, mgliście. A ty?

- Czerwoną sierść na jego podbrzuszu i...

Ohydnyimi, uwłaczającymi i mającymi niewiele wspólnego z prawdą słowami opisała genitalia umarłego.

- Pfu! - powiedział Franz. - Daj spokój, niedobrze mi się robi.

- Franz - powiedziała, a jej oczy płonęły - nikt nigdy niczego nie odkryje!

Już przyzwyczajony do tego pomysłu, już całkiem oswojony i żądny krwi, w milczeniu pokiwał głową. Jego dolne kończyny ogarniało jakieś odrętwienie.

- Zrobiliśmy to tak prosto, tak elegancko - powiedziała Marta, mrużąc oczy, jak gdyby coś sobie niewyraźnie przypominała - nie mógł się zrodzić nawet cień podejrzenia. Nic. I dlaczegoż to, łaskawy panie? Bo los jest po naszej stronie. Inaczej być nie mogło. Pamiętasz pogrzeb? Tulipany od Piffkego? Fiołki od Izoldy i Idy, kupione u ulicznej żebraczki?

Znow milcząco przytaknął.

- Była wtedy odwilż, śnieg topniał na dobre. W oknie wykuszu mieliśmy forsycje. Pamiętasz? Jeszcze trochę kaszlałam, ale to był już lekki, wilgotny, wspaniały kaszel. Co za ulga, pozbyć się resztek flegmy.

Franz skrzywił się. Znowu chwila milczenia.

- Wiesz, trochę zdrętwiały mi kolana. Nie, czekaj, nie wstawaj. Tylko trochę się przesun. O, tak.

- Mój skarbie, moje wszystko - zawołała - mój kochany mężusiu. Nigdy nie myślałam, że mogą istnieć takie małżeństwa, jak nasze.

Przesunął wargami po jej cieplej szyi i powiedział: - Już późno. Nie położylibyśmy się na chwilę, co?

- A co byś powiedział na trochę pieczeni na zimno i piwo? Nie?

Dobrze, możemy zjeść potem.

Wstała, ciężko się o niego oparłszy. Przeciągnęła się.

- Chodźmy na górę - powiedziała, ziewając z satysfakcją - do naszej sypialni.

- Sądysz, że możemy? - spytał Franz. - Myślałem, że zrobimy to tutaj.

- Oczywiście, że nie. No chodź, wstawaj. Już po dziesiątej.

- Bo widzisz... ciągle trochę się boję nieboszczyka - powiedział Franz, przygryzając wargę.

- Ależ wróci dopiero za tydzień. Nic prócz śmierci nie jest równie pewne.

Czego tu się bać? Ty głuptasie. A może nie masz na mnie ochoty?

- Mam, jasne, że mam - powiedział Franz - ale musisz zakryć jego łóżko. Nie chcę go widzieć. To by mnie załatwiło.

Zgasiła światło w salonie i weszła na wewnętrzne schody, krótkie i skrzypiące, a on za nią; potem przeszli przez błękitny korytarz.

- Dlaczego u licha chodzisz na paluszkach? - zawołała Marta z głośnym śmiechem. - Nie możesz zrozumieć - jesteśmy małżeństwem, małżeństwem!

Pokazała mu pusty pokój (pierwotnie przeznaczony na magiel), którego używała do kiczowatych hinduskich ćwiczeń gimnastycznych, swoją garderobę, swoją łazienkę, jego łazienkę i wreszcie wspólną sypialnię.

- Nieboszczyk spał na tamtym łóżku - powiedziała - ale oczywiście zmieniono pościel. Chyba narzucę na nie ten tygrysi pled, dobrze? Już. Chciałbyś się umyć czy coś w tym rodzaju?

- Nie, zaczekam na ciebie tutaj - powiedział Franz, oglądając szmacianą lalkę na nocnej szafce.

- Zgoda. Rozbierz się szybko i wskakuj do mojego łóżka. Bardzo mi tego potrzeba.

Drzwi została uchylona. Jej plisowana spódnica i bluzka leżały już na krześle.

Z toalety po drugiej stronie korytarza dobiegał równomierny, mocny i rześki dźwięk: odgłos siusiania jego siostry. Umilkł. Marta przeszła do łazienki.

Nagle poczuł, że w tym zimnym, nieprzyjaznym, nie do wytrzymania białym pokoju, gdzie wszystko przypominało mu o umarłym, nie jest w stanie się rozebrać, nie mówiąc już o uprawianiu miłości. Ze wstrętem i lękiem patrzył na sąsiednie łóżko.

Potem nadstawił ucha. Zdawało mu się, że słyszy trzaśnięcie drzwi na dole i czyjeś skradające się kroki. Wybiegł na korytarz. W tej samej chwili wyszła z łazienki Marta, zupełnie naga.

- Coś się stało - powiedział mokrym od śliny szeptem. - Nie jesteśmy już sami. Posłuchaj tylko...

Marta zmarszczyła brwi. Owinęła się szlafrokiem, poszła w głąb korytarza i nachyliła głowę.

- Mówię ci... Słyszałem.

- Ja też miałam dziwne uczucie - niskim głosem powiedziała Marta.

- Wiem, kochanie, że będziesz strasznie rozczarowany, ale nie powinniśmy ciągnąć tego szaleństwa. Przecież nie trzeba będzie długo czekać. Lepiej idź. Przyjdę jutro jak zwykle.

- A jeśli spotkam kogoś na dole?

- Nie ma tam nikogo, Franz. Masz, weź moje klucze. Oddasz mi jutro.

Towarzyszyła mu do głównych schodów, cały czas nasłuchując. Była teraz równie zbита z tropu i podenerwowana, jak on.

Och! Na dole, w holu coś głośno trzasnęło. Franz zatrzymał się, chwytając się kurczowo poręczy, ale Marta wybuchnęła pełnym ulgi śmiechem.

- Wiem, co to takiego - powiedziała. - To toaleta na dole. Jej drzwi trzaskają czasem w nocy, kiedy jest duży wiatr i kiedy nie zamknie się ich dobrze.

- Muszę przyznać, że trochę się przestraszyłem - powiedział Franz.

- Tak czy owak, lepiej idź, kochanie. Nie wolno nam ryzykować. Zamknij drzwi, jak będziesz przechodził, dobrze?

Objął ją. Pozwoliła pocałować się w nagie ramię, odciągając koronki szlafroka, by ofiarować mu ten pożegnalny dar. Stała na podeście teatralnie oświetlonych niebieskich schodów tak długo, aż wyszedł, zrobił to zresztą w mgnieniu oka.

Mocny, czysty wiatr uderzył go w twarz. Wysypana żwirem ścieżka przyjemnie chrzęściła pod nogami. Franz wziął głęboki oddech, potem zaklął. Była taka grzeszna i piękna! Znowu poczuł się mężczyzną. Dlaczego był z niego taki tchórz? Pomyśleć tylko: upiór, trup wypędził go z domu, w którym był prawdziwym gospodarzem!

Mamrocząc do siebie (ostatnio przytrafiało mu się to dość często), szedł szybko po ciemnym chodniku, a potem, nie spojrzawszy ani w prawo, ani w lewo, zaczął na ukos przechodzić ulicę w miejscu, gdzie idąc do domu przechodził ją zawsze.

Klakson taksówki, nosowy i wstrętny, zmusił go do uskoku z powrotem na chodnik. Ciągle mamrocząc, skręcił za róg. Tymczasem taksówka zahamowała i niepewnie zatrzymała się przy krawężniku. Kierowca wysiadł i otworzył drzwiczki.

- Mówił pan, że jaki numer? - spytał.

Żadnej odpowiedzi. Kierowca wyciągnął rękę w ciemność i szarpnął pasażera za ramię. Ten wreszcie otworzył oczy i pochylił się do przodu.

- Numer pięć - odpowiedział na pytanie kierowcy. - Trochę minął pan cel.

Okno sypialni było oświetlone. Marta cesała włosy przed położeniem się do łóżka. Nagle zamarła - z uniesionymi łokciami. Tym razem całkiem wyraźnie usłyszała głośny stuk, jak gdyby coś upadło. Rzuciła się do schodów. Z holu doleciały obierzyny śmiechu, niestety dobrze znanego śmiechu. Śmiał się, ponieważ niezgrabnie obróciwszy się z parą długich nart

na ramieniu, upuścił jedną z nich, drugą strącił z półki pod lustrem białą szczotkę, która wleciała jak ptak, a potem potknął się o własną walizkę.

- *Jestem obiezwat* - powiedział swoją najlepszą angielszczyzną - *wróciłem z podróży!*

W następnej chwili doznał uczucia doskonałego szczęścia. Na twarzy Marty pojawił się cudowny uśmiech. No cóż, nie ma wątpliwości, musiał wyglądać świetnie: opalony, w idealnej symbiozie z siłą przyciągania, szczuplejszy przynajmniej o trzy kilogramy (jak gdyby Marta i Franz już go zaczęli rozmontowywać). Ona jednak nie patrzyła na męża, patrzyła gdzieś ponad jego głowę, uśmiechając się nie do niego, lecz do mądrego losu, który w tak prosty i uczciwy sposób zapobiegł prostackiej, śmiesznej, potwornie oklepanej katastrofie.

- Uratował nas cud - powiedziała potem Franzowi (bo ludzie przy lada okazji mówią o cudach) - ale niech to będzie dla nas nauką. Sam widzisz, nie można dłużej czekać. Szczęście dopisze raz, dwa razy, a potem - kłapa. I czego w takim wypadku możemy oczekiwać? Przypuśćmy, że da mi rozwód. Przypuśćmy nawet, że uda mi się przyłapać go ze stenografką.

Nie będzie mnie utrzymywał, jeśli wyjdę znowu za mąż. Co dalej? Jestem równie biedna jak ty. Krewni w Hamburgu na pewno mi nie pomogą.

Franz wzruszył ramionami.

- Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę - powiedziała - że wdowa po nim odziedziczy fortunę.

- Dlaczego mi to wszystko mówisz? Omawialiśmy to już wystarczająco wiele razy. Dobrze wiem, że jest tylko jedno rozwiązanie.

Spojrzała badawczo poprzez śliski błysk okularów wprost w błotnistą kałużę jego zielonkawych oczu i zrozumiała, że osiągnęła swój cel, że Franz jest już całkowicie dojrzały, i że teraz czas na działanie. Miała rację. Franz nie miał już własnej woli, mógł co najwyżej na swój własny sposób załamywać promienie jej zamiarów.

Łatwe spełnienie dwu splecionych ze sobą marzeń dzięki bardzo prostej grze uczuć było mu doskonale znane. Do tej pory zabili już i pogrzebali Dreyera wiele razy. Na ogołoconej scenie przed ciemną i pustą widownią odbywali próbę nie tyle spektaklu przysłego szczęścia, ile spektaklu przysłego wspomnienia. Z oszałamiającą, nieoczekiwaną nagłością trup powracał nie wiadomo skąd, wkraczał do domu jak sztucznie ożywiony bałwan ze śniegu i zaczynał mówić, jak gdyby żył. Ale co z tego?

Łatwo było teraz - i bynajmniej nie straszno - dać sobie radę z tym oszukańczym istnieniem, raz jeszcze utrupić trupa, już na dobre.



Pytanie, jak dokonać morderstwa, stało się codziennym tematem ich rozmów.

Nie czuli przy tym najmniejszego zakłopotania, nie towarzyszył im wstyd, nie odczuwali także mrocznego dreszczu, który dobrze znają hazardziści, ani luksusowej zgrozy, jakiej radośnie doznaje solidny ojciec rodziny, kiedy w rodzinnej gazecie czyta opis unicestwienia innej rodziny - opis barwny i pełen krwawych szczegółów. Słowa „naboje” i „arszenik” zaczęły brzmieć równie naturalnie, jak „napoje” czy „farsz”, a „pistolet” tak samo zwyczajnie, jak zapisana przez lekarza „pastylka”. Sposób dokonania zabójstwa człowieka omawiano równie spokojnie jak przepisy z książki kucharskiej i niewątpliwie Marta pomyślała przede wszystkim o truciznie - z powodu wrodzonego kobiecie zamiłowania do zajęć domowych i instynktownej znajomości przypraw i ziół, tego, co leczy, i tego, co zabija.

Wertując kiepską encyklopedię, dowiedzieli się o istnieniu rozmaitego rodzaju ponurych Lukrecji i Locust. Wyobraźnię Franza dręczył wydrążony pierścień z brylantem pełen tęczowej trucizny. Nocą śnił o zdradzieckim uścisku dłoni. Na w pół rozbudzony, kulił się i zamierał z trwogi, nie mając odwagi się poruszyć, bo gdzieś pod niego, na prześcieradło potoczył się właśnie kolczasty pierścień i mógłby go użądlić.

Ale za dnia, w spokojnym świetle Marty, wszystko znowu było proste. Tofana, młoda Sycylijka, która wyprawiała na tamten świat sześćset trzydzieści dziewięć osób, sprzedawała swoją „aqué” we flaszeczkach z fałszywą etykietą, przedstawiającą niewinną podobiznę jakiegoś świętego. Metoda lorda Leicestera była przyjemniejsza: jego ofiara błogo kichała, wciągnąwszy w nos szczyptę śmiercionośnej tabaki. Marta niecierpliwie zamykała tom „TW” i zaczynała poszukiwania w innym. Z całkowitym brakiem zainteresowania przeczytali, że toksemia prowadzi do anemii i że prawo rzymskie widziało w otruciu z premedytacją mieszaninę morderstwa i zdrady.

- Mądrale - zauważyła Marta z przypominającym warczenie śmiechem, gwałtownie odwracając stronę.

Ciągle nie mogła dotrzeć do sedna sprawy. Sardoniczne „zob.” odsyłało ją do tak zwanych „alkaloidów”. Inne „zob.” prowadziło ją do szczękonoży parecznika, ależ proszę, powiększonych. Franz, nie przyzwyczajony do wielkich encyklopedii, dyszał ciężko, kiedy zaglądał jej przez ramię. Przedzierając się przez druty kolczaste wzorów chemicznych, długo czytali o stosowaniu morfiny, aż wreszcie, posuwając się po krętej drodze, dotarli do pewnego szczególnego przypadku włóknikowego zapalenia płuc.

Marta nagle pojęła, że omawiana toksyna należy do gatunku udomowionych.

Przeszedłszy do kolejnej litery, odkryli, że strychnina wywołuje skurcze u żab i ataki śmiechu u przedstawicieli pewnego wyspiarskiego ludu. Marta bliska była wybuchu

wściekłości. Dalej brutalnie wyciągała z biblioteczki i jak popadnie wciskała z powrotem opasłe tomy. Migały kolorowe plansze: ordery i odznaczenia wojskowe, wazy etruskie, jaskrawe motyle...

- O, to już lepiej - powiedziała i przeczytała niskim, uroczystym głosem -...wymioty, depresja, szum w uszach - czy musisz tak sapać? - występuje wrażenie świerzbienia i pieczenia na całej powierzchni skóry, źrenice zwężone, wielkości główki od szpilki, jądra powiększają się do rozmiarów pomarańcz...

Franz przypomniał sobie, że jako podrostek znalazł w szkole w znacznie mniejszej encyklopedii hasło „onанизm” i potem prawie przez tydzień chodził przerażony i żył w cnocie.

- Cjaa - powiedziała Marta, cmoknąwszy językiem - to wszystko medyczne bzdury. Kogo interesują sposoby leczenia albo ślady arszeniku wykryte w cuchnącej dupie jakiegoś umarlaka. Potrzebne są nam chyba jakieś prace specjalistyczne. O, tu w nawiasie wymieniają jakiś traktat, ale napisany w XVI wieku po łacinie. Dlaczego ludzie mieliby czytać po łacinie - to przechodzi moje pojęcie. Podciągnij się, Franz - przyjechał.

Niespiesznie odstawiła tom i niespiesznie zamknęła szklane drzwiczki biblioteczki. Z prastarego świata umarłych przybył Dreyer; pogwizdując, podszedł do pełnego werwy psa. Marta nie porzuciła jednak idei trucizny. Rano, kiedy była sama, znowu przejrzała wykrętne hasła w encyklopedii, starając się znaleźć prosty, nowoczesny, skromny, rzeczowy napój czy proszek, który tak jasno sobie wyobrażała.

Przypadkiem odkryła na końcu jednego z akapitów krótką bibliografię współczesnych prac, wyglądających na przydatne. Poradziła się Franza, czy nie powinni nabyć jednej z nich. Spojrzał na nią z zakłopotaniem, ale powiedział, że jeśli to konieczne, pójdzie i kupi ją. Marta obawiała się jednak puścić go samego. Być może powiedzą mu, że książkę trzeba zamówić albo praca okaże się dziełem złożonym z dziesięciu tomów po dwadzieścia pięć marek każdy. Mógłby stracić głowę i zostawić swój adres. Gdyby mu towarzyszyła, zachowywałby się oczywiście wspaniale - naturalnie i nonszalancko, jakby był studentem medycyny albo chemii. Ale pójść razem byłoby niebezpiecznie.

Niebezpieczne byłyby też biblioteki publiczne, nie wchodziły więc w rachubę. A jak już raz człowiek wplata się w awanturę z książkami i zacznie biegać z księgarni do księgarni, czort wie, co z tego wyniknie. Robiła w myśli przegląd tych niewielu wiadomości - tych, które miała przedtem, i tych, które udało jej się wygrzebać ostatnio - o technikach stosowanych przez trucicieli. Dwie rzeczy były jasne: po pierwsze to, że każda trucizna ma swoje echo, antidotum, i po drugie to, że po gwałtownym zgonie zawsze robi się wścibską i

ochoczą sekcję zwłok. Mimo wszystko jeszcze przez pewien czas przy posłusznej współpracy Franza (który kiedyś, z własnej inicjatywy - moje sumienne kochanie - kupił u bukinisty Prawdziwą historię markizy de Brinvilliers) Marta nadal snuła myśli o truciznie. Najbardziej atrakcyjny wydawał się cyjanek. Miał w sobie coś energicznego i pozbawiony był romantycznych ozdóbek: mysz, która połknie drobną cząstkę jednego grama tej trucizny, pada trupem nim zdoła przebiec osiemdziesiąt centymetrów. Wyobrażała go sobie w postaci szczypty bezbarwnego proszku, który niepostrzeżenie można wprowadzić z kostką cukru do filiżanki herbaty.

- Piszą tu, że w niektórych wypadkach cyjanku nie da się wykryć w zwłokach.

Co to za wypadki? No, mówcie! Och to byłoby takie proste - powiedziała do Franza.

- Pilibyśmy wieczorem herbatę i zjadali te świetne małe ptysie, które robi Menzel, pochłonałby swoją słodką herbatkę i krem, wiesz jak szybko wszystko łyka, i nagle - klap!

- Zdobądźmy ten proszek - odrzekł. - Zdobyłbym go, gdybym tylko wiedział, jak i gdzie. Mam iść do apteki, czy co?

- Ja też nie wiem - powiedziała Marta - w kryminałach czytałam o podejrzanych knajpkach, w których można skontaktować się z handlarzami kokainą.

Ale to zupełnie nie to, czego potrzebujemy.

Obawiam się, że trucizna nie wchodzi w grę, chyba że zdołalibyśmy przekupić lekarza, żeby nie robił sekcji, ale to zbyt ryzykowne. Nie wiem dlaczego, ale byłam absolutnie pewna, że istnieją te absolutnie bezpieczne trucizny. Jakie to głupie, że ich nie ma. Jaka szkoda, Franz, że nie studiujesz medycyny, mógłbyś znaleźć coś takiego, mógłbyś zdecydować...

- Jestem gotów zrobić wszystko - powiedział zduszonym głosem, gdyż w tym momencie, schylony, ściągał buty - były nowe i cisnęły. - Odważę się na wszystko.

- Straciliśmy dużo czasu - westchnęła Marta. - Nie jestem oczywiście naukowcem, jestem tylko kobietą.

Starannie złożyła na krześle sukienkę, którą zdjęła. Lutowy wiatr łomotał w szybę, zadrzała, kiedy wysunęła nogę z majtek. Na początku zimy zaczęła przychodzić do niego w cieplej bieliźnie, ale on nie znosił jej niestosownego wyglądu w tych przypominających owsiankę trykotach, które były niemal równie długie i równie nieprzyjemne przy rozbieraniu, jak jego własne rzeczy, i w których jej biodra i biust wyglądały jak biodra i biust szczególnie obrzydliwego, słabo zaokrąglonego manekina w sklepie, stojącego naprzeciw windy dla pracowników. Toteż po jakimś czasie przestała nosić cokolwiek prócz jego ulubionych ozdobnych fintifluszek naciągniętych na gęsią skórę.

- Trucizny trzeba studiować latami - powiedziała, zsuwając ostrożnie pończochy, które chciała zostawić na sobie, ale których nie chciała podrzeć. - To beznadziejne - westchnęła, obluzowując kapę (cieplej byłoby dzisiaj w pościeli, ale wiedziała, że on woli kanapę). - Byłbyś genialnym chemikiem z długą siwą brodą, kiedy podalibyśmy mu w końcu tę filiżankę herbaty!

Tymczasem Franz powoli i skrupulatnie układał marynarkę na szerokich ramionach specjalnego wieszaka (podwędzonego ze sklepu), przedtem wyjął i starannie położył na stole portfel, w którym znajdował się banknot pięciodolarowy, siedem marek i sześć znaczków pocztowych, notesik, wieczne pióro, dwa ołówki, klucze i list do matki, który zapomniał wysłać. Zadumany, nagi, markotny, powąchał swoją pachę i cisnął podkoszulek pod umywalkę. Podkoszulek wylądował na podłodze koło gumowej miski z dość przygnębiającymi przyborami Marty. Franz kopnął w kąt kamizelkę - mogłaby wyprać mu ją pojutrze razem ze stosunkowo jeszcze czystymi skarpetkami. No, do dzieła, stary wiarusie. Ponieważ nawet uprawiając miłość nosił okulary, przypominał jej młodego, przystojnego, włochatego poławiacza pereł, gotowego wyrwać żywą perłę z różowej muszli, takiej jak ta, którą widzieli razem na rosyjskim balecie, albo ta na zatytułowanej „Muschle” tablicy przed ostatnią stroną tomu „M”. Zdjął zegarek, przyłożył go do ucha i położył obok budzika na nocnym stoliku. Nie pozostało nawet pół godziny, za długo zajmowali się cyjankiem.

- Pośpiesz się, kochanie - powiedziała Marta spod kocy.

- O Boże, ale odcisk mi się zrobił - mruknął, stawiając nagą stopę na krawędzi krzesła i przyglądając się twardej żółtej wypukłości na piątym palcu. - A przecież to mój numer. Nie wiem, może ciągle rosną mi stopy?

- Franz, chodź tu, najdroższy. Możesz obejrzyć to później.

W odpowiednim czasie istotnie zbadał dokładnie swój odcisk. Marta po krótkich ablucjach położyła się znowu, przepełniona fizyczną błogością. Zgrubienie było twarde jak kamień. Nacisnął je palcem i pokręcił głową. Swego rodzaju apatyczna powaga towarzyszyła wszystkim jego ruchom. Odął wargi i podrapał się po głowie.

Potem z tą samą apatyczną dokładnością zaczął zajmować się drugą stopą, która wyglądała na mniejszą i inaczej pachniała. Nie mógł po prostu pogodzić się z myślą, że rozmiar jest dobry, a jednak buty cisną. Stały tam, łajdaki, jeden przy drugim.

Amerykański fason, wypukłe noski, ładny kolor: czerwonawobrazowe. Spojrzał na nie podejrzliwie - kosztowały sporo, nawet z rabatem. Powoli odpiął okulary, chuchnął na szkła (jego usta ułożyły się w małe „o”) i przetarł je rogiem prześcieradła. Po czym, równie powoli, włożył je z powrotem.

Marta spojrzała na zegar. Tak, czas już było się ubrać i pójść.

- Koniecznie musisz przyjść dzisiaj na kolację - powiedziała podciągając pończochę i zapinając podwiązki. - Nie jest tak źle, kiedy są goście, ale siedzieć z nim sam na sam - nie mogę już tego wytrzymać...

Tylko włóż swoje stare buty. Jutro pójdziesz i każesz rozbić te nowe.

Oczywiście bezpłatnie. Każdy dzień jest taki drogi, och, jaki drogi!

Siedział na łóżku, objąwszy kolana, i patrzył na świetlisty punkcik na karafce, która stała na umywalce. Ze swoją okrągłą głową i odstającymi uszami wydawał się jej taki szczególny, taki miły. W jego postawie, w jego utkwionym w jeden punkt wzroku było coś z hipnotycznego zniecieruchomienia. Przemknęło jej przez myśl, że jedno jej słowo, wypowiedziane w tej chwili, kazałoby mu się podnieść i pójść za nią - tak jak stał, goły jak mały chłopczyk - po schodach, ulicami... Uczucie szczęścia osiągnęło teraz taki stopień jasności, tak wyraźnie wyobraziła sobie regularny, dobrze zaplanowany, prosty bieg ich wspólnego życia po wyeliminowaniu Dreyera, że bała się naruszyć bezruch Franza, statyczny obraz przyszłego błogostanu. Szybko skończyła się ubierać, wsunęła się w futro, wzięła kapelusz, posłała Franzowi pocałunek i wyszła.

W przedpokoju, przed odrobinę lepszym lustrem niż w pokoju kochanka, przypudrowała sobie nos i włożyła kapelusz. Jak twarzowo płonęły jej policzki!

Z ubikacji wynurzył się gospodarz i głęboko się skłonił.

- Jak się czuje pańska żona? - spytała, chwytając gałkę u drzwi i oglądając się za siebie.

Znów się skłonił.

Pomyślała, że ten stary dziwak, mający w sobie coś z czarownika, z pewnością wie to i owo o sposobach trucenia ludzi. Ciekawe, co oni tam robią, on i ta jego niewidzialna baba. Jeszcze przez kilka dni nie mogła uwolnić się od marzeń o magicznych proszkach błyskawicznie rozwiewających człowieka w śmiertelną nicość, chociaż wiedziała, że nic z tego nie wyjdzie. Skomplikowany, niebezpieczny, przestarzały sposób! Tak, o to właśnie chodzi - przestarzały. „Podczas gdy w połowie minionego wieku co roku badano przeciętnie pięćdziesiąt przypadków otrucia, to statystyki wskazują, że obecnie...” Tak, o to właśnie chodzi. Dreyer podniósł filiżankę do ust. Franz mimowolnie napotkał spojrzenie Marty. Śnieżnobiały stół zatoczył powolny krąg wokół osi, którą stanowił kryształowy wazon. Dreyer odstawił opróżnioną do połowy filiżankę i stół przestał się obracać.

-...Światło nie jest tam najlepsze - ciągnął. - I jest zimno. To bardzo akustyczne pomieszczenie. Każdy podskok odbija się echem. Myślę, że była tam kiedyś szkoła konnej

jazdy. Ale oczywiście to jedyny sposób, żeby nie przestać trenować. Serw się człowiekowi nie rozregulowuje przez zimę. W każdym razie (ostatni łyk herbaty), chwała Bogu, czuje się już w powietrzu wiosnę i wkrótce będzie można grać pod gołym niebem. Mój nowy klub zaczyna działalność w kwietniu. A wtedy zapraszam cię. Co, Franz?

Poprzedniego dnia o dziewiątej rano wywołał pewną sensację, pojawiwszy się w dziale sportowym, który zimą odwiedzał rzadko. Zza pokrytej stiukami kolumny Franz widział, jak zatrzymał się, żeby porozmawiać z kłaniającym się z szacunkiem Piffkem. Ekspedientki i pan Schwimmer stali na baczność. Jakiś wczesny klient, który chciał kupić kolejną piłeczkę dla swojego psa, przez chwilę był ignorowany.

- Pozdrowienia dla pańskich karaluchów - tajemniczo i wesoło powiedział

Dreyer do Piffkego i podszedł do lady, za którą zdążył się tymczasem wsunąć Franz; udawał teraz, że jego uwagę pochłonęły bloczek papieru i ołówki.

- Pracuj, pracuj, mój chłopcze - powiedział Dreyer z roztargnioną jowialnością, z jaką zawsze zwracał się do siostrzeńca, którego w kartotece swojego umysłu dawno umieścił pod hasłem „kretyn” - z odsyłaczami do „oferma” i „sympathisch”. Potem z wyciągniętą dla żartu ręką podszedł do obojętnego na jego gest młodego człowieka z drewna, którego niedawno przebrano w strój tenisisty.

Ekspedientki nazwały go Ronald.

Dreyer przez dłuższą chwilę stał przed gamoniem w czerwonym swetrze, z pogardą przyglądając się jego postawie i oliwkowej twarzy, i z tklwym wzruszeniem rozmyślając o zadaniu, z którym zmagał się szczęśliwy wynalazca. Z tego, jak Ronald trzymał rakiety, widać było wyraźnie, że nie byłby w stanie odbić ani jednej piłki, nawet abstrakcyjnej piłki z jego drewnianego świata. Brzuch miał Ronald wciągnięty, twarz wyrażała jakieś bezmyślne samozadowolenie. Nagle Dreyer zauważył z przerażeniem, że Ronald nosi krawat. Namawiać ludzi, żeby wkładali krawaty do gry w tenisa!...

Odwrócił się. Inny młody człowiek (mniej więcej żywy, noszący nawet okulary) pilnie wysłuchał poleceń szefa.

- A, właśnie, Franz - dodał Dreyer - pokaż mi rakietę tenisową, te najlepsze.

Franz pokazał. Wzruszony Piffke zamglonym wzrokiem obserwował z daleka tę scenę. Dreyer wybrał rakiety angielską. Dał bursztynowym strunom parę brzęczących prztyczków. Zważył ją na palcu, by zobaczyć, co jest cięższe: rama czy uchwyt.

Machnął nią, naśladowując backhand dobrego gracza. Była bardzo wygodna, waga trzynaście i pół.

- Trzymaj ją w szafie - powiedział do Franza. Okulary młodego człowieka zaszły z

emocji mgłą.

- Dowód sympatii, maleńki podarunek - wyjaśniająco zatrajkotał Dreyer i rzuciwszy ostatnie niechętnie spojrzenie na wulgarnego Ronalda, ruszył do drzwi, obok niego truchtał Piffke.

Chociaż, ściśle rzecz biorąc, nie należało to do jego obowiązków służbowych, Franz objął drewnianego truposza i zaczął rozwiązywać mu krawat. Choć bardzo się starał, nie mógł przy tym nie dotknąć sztywnej, zimnej szyi. Potem rozpiął ciasno zapięty guzik, rozchylił kołnierzyk koszuli. Martwe ciało było brązowawozielone z ciemniejszymi plamami i bledszymi odbarwieniami. Z powodu rozpiętego kołnierzyka ciągły protekcyjnalny uśmiech Ronalda stał się jeszcze bardziej chamski i nieprzyzwoity. Pod jednym z oczu Ronalda była ciemna plama, jakby go ktoś tam uderzył. Ronald miał pstrokaty podbródek. W nozdrzach Ronalda uwiązał czarny pył.

Franz starał się przypomnieć sobie, gdzie widział tę okropną twarz wcześniej. Tak, oczywiście - dawno, dawno temu w pociągu. Tym samym pociągiem jechała piękna dama w czarnym kapeluszu z miniaturową brylantową jaskółką. Chłodna, pachnąca, przypominająca madonnę. Starał się odtworzyć w pamięci jej rysy, ale mu się to nie udało.

## IX

Na deszczach wycisnęła teraz piętno jakaś wyraźnie ukierunkowana wesołość, jakiś poryw podniecenia. Nie padały już bez celu; dyszały, mówiły. W deszczówce jak sole kąpielowe rozpuściły się fiołkowe kryształki. W kałużach stała już nie błotnista woda, ale czyste barwniki, które odbijając frontony domów, latarnie, ogrodzenia, białoniebieskie niebo, podbicie jakiejś nagiej stopy, jakiś pedał rowerowy, tworzyły wspaniałe obrazy. Dwóch otyłych taksówkarzy, śmieciarz w piaskowym fartuchu, służąca ze złością płonącymi w słońcu włosami, biały piekarz w połyskliwych kaloszach włożonych na bosc nogi, stary brodaty emigrant z menażką w dłoni, dwie kobiety z dwoma psami i mężczyzna w szarym garniturze i szarym borsalinie zgromadzili się na chodniku i wpatrywali w wieżyczkę na dachu domu naprzeciwko, na której, przenikliwie dyskutując, roilo się ze dwadzieścia jaskółek. Potem żółty śmieciarz potoczył swój żółty kosz w kierunku ciężarówki, taksówkarze wrócili do swoich samochodów, piekarz znowu wskoczył na swój rower, ładniutka służąca weszła do sklepu z materiałami piśmiennymi, kobiety pobiegły ciągnione przez swoje psy, wściekle zaaferowane nowymi zapachami; ostatni poruszył się ubrany na szaro mężczyzna i tylko stary brodaty cudzoziemiec ze swoją menażką i rosyjskojęzyczną gazetą nie wypadł z transu i dalej wpatrywał się w dach domu w dalekiej Tule.

Mężczyzna w szarym kapeluszu szedł powoli, mrużąc oczy z powodu

niespodziewanych błysków zygzakowatego światła, rzuconych przez przednie szyby przejeżdżających samochodów. W powietrzu było coś takiego, od czego człowiek miał zabawne uczucie, że kręci mu się w głowie, fale ciepła i chłodu przebiegały na przemian przez ciało pod jedwabną koszulą - śmieszna lekkość, zwiewny dreszcz, utrata tożsamości, imienia, zawodu.

Właśnie zjadł obiad i teoretycznie powinien był wrócić do biura; w pierwszy dzień wiosny jednak samo pojęcie biura cicho wyparowało.

Z przeciwka szła po słonecznej stronie chodnika szczupła, ostrzyżona na pazia kobieta w karakułowym futrze, obok niej na trójkołowym rowerku jechał czterolub pięcioletni chłopczyk w niebieskim ubranku marynarskim.

- Erika - zawołał mężczyzna i zatrzymał się, rozłożywszy ramiona.

Chłopczyk, energicznie pedałując, przejechał obok, ale jego matka stanęła, mrugając, oświetlona słońcem.

Była teraz elegantsza, rysy jej ruchliwej, inteligentnej, ptasiej twarzy wydawały się jeszcze delikatniejsze niż dawniej. Ale aura, żar jej dawnego czaru przeminęły.

Kiedy się rozstali, miała dwadzieścia sześć lat.

- Widziałam cię dwa razy w ciągu tych ośmiu lat - powiedziała znajomym, chrapliwym, szybkim głosikiem. - Raz przejechałeś obok mnie w kabriolecie, a raz zobaczyłam cię w teatrze - byłeś z wysoką brunetką. To twoja żona, prawda?

Siedziałam...

- Tak, tak - powiedział śmiejąc się z zadowolenia i wążąc na swojej wielkiej dłoni jej drobną rękę, ciasno obciążoną białą rękawiczką. - Jesteś ostatnią osobą, jaką spodziewałem się dziś spotkać, chociaż to świetny dzień na spotkanie. Myślałem, że wróciłaś do Wiednia. Ta sztuka nazywała się *Król, dama, walet*, robią teraz film na jej podstawie. Też cię widziałem. Co u ciebie - zamężna?

Mówili jednocześnie, toteż ich dialog trudno zapisać. Potrzebny byłby papier nutowy z dwiema pięcioliniami i dwoma kluczami na nich. Kiedy on mówił: „Jesteś ostatnią osobą...”, ona ciągnęła już swoje: „...jakieś dziesięć miejsc od ciebie. Nie zmieniłeś się, Kurt. Tylko wąsik masz teraz przycięty. Tak, to mój syn. Nie, nie wyszłam za mąż. Tak, na ogół w Austrii. Tak, tak, *Król, dama, walet*”.

- Siedem lat - powiedział starszek Kurt. - Przejdźmy się trochę tutaj (skierował trójkołowiec zachwyconego chłopczyka na skwerek). Wiesz, właśnie widziałem pierwsze... Nie, niezupełnie tyle...

-...miliony! Wiem, że zarabiasz miliony. Mnie także nieźle się powodzi („niezupełnie



tyłe - wtrącił Kurt - ale powiedz mi...”)...Jestem bardzo szczęśliwa.

Miałam po tobie tylko czterech kochanków, ale za to jeden był bogatszy od drugiego, a w tej chwili jestem wyjątkowo dobrze ustawiona. Ma żonę chorą na suchoty, córkę generała, która mieszka za granicą. Właśnie wyjechał, żeby spędzić z nią miesiąc w Davos („A to dopiero, byłem tam na Boże Narodzenie”). To starszy pan, bardzo elegancki. I uwielbia mnie. A ty, Kurt, jesteś szczęśliwy?

Kurt uśmiechnął się i lekko popchnął ubranego na niebiesko chłopczyka, który dotarł do rozwidlenia ścieżek; dziecko spojrzało na niego okrągłymi oczami, wyduło wargi i zatrąbiwszy popedałowało dalej.

-...nie, jego ojcem jest młody Anglik. Patrz, ostrzyżony jest tak, jak ja, ale włosy ma bardziej rude. Gdyby ktokolwiek powiedział mi, kiedy staliśmy na tych schodach...

Słuchał jej szybkiej paplaniny i przypominał sobie tysiące drobiazgów: stary wiersz, który lubiła powtarzać („Wszak jestem paziem królestwa Burgundii”), czekoladki z likierem („Nie, ta znowu jest z marcepanem - dla małej Eriki zawsze marcepan - chcę z curaçao, a przynajmniej z wiśniówką”), brzuchatych królów z zalanego blaskiem księżycy kamienia w Tiergarten, takich dostojnych wiosenną nocą, pośród puszystych szarych bzów w pełnym rozkwicie, pod lampami łukowymi i ruchomymi deseniami na białych schodach. Taki słodki zapach, mój Boże... te krótkie dwa szczęśliwe lata, kiedy Erika była jego kochanką, wyobrażał sobie jako nieregularne szeregi takich właśnie drobiazgów: obraz zrobiony ze znaczków pocztowych w jej przedpokoju, sposób, w jaki podskakiwała na kanapie albo siadała na swoich rękach, albo dawała mu szybką serię leciutkich policzków, i La Bohème, którą uwielbiała, ich wycieczki na wieś, podczas których pili na tarasie wino owocowe, broszka, którą tam zgubiła... Wszystkie te zamglone, lekkie, wzruszające wspomnienia ożyły w nim na nowo, podczas gdy Erika z maksymalną prędkością opowiadała mu o nowym mieszkaniu, fortepianie, interesach swojego kochanka.

- Jesteś w końcu szczęśliwy, Kurt? - spytała znowu.

- Pamiętasz... - powiedział i fałszując, ale z uczuciem zaśpiewał: „*Mi chiamano Mimi...*”

- Ach, nie należę już do bohemy - zaśmiała się, lekko wstrząsając głową. - Ale ty ciągle jesteś taki sam, Kurt: taki (jej wargi, już spokojniejsze, wymodelowały kilka słów po sobie, nie mogąc znaleźć właściwego) - taki pozbawiony zdrowego rozsądku.

- Taki skretyniały - powiedział i znowu popchnął chłopczyka, który czekał na to, zgarbiony nad kierownicą; chciał go pogłodzić po kędzierzawej czuprynie, ale mały był już za daleko.

- Nie odpowiedziałeś mi. Jesteś szczęśliwy? - upierała się przy swoim pytaniu Erika. -  
Powiedz, no, powiedz.

Rytm wiersza nieustannie wracał do niego i Kurt zacytował:

*Jej blade wargi, kiedy całowała,*

*Płonęły blaskiem zorzy karminowej,*

*Trzeba, by reszta milczeniem została,*

*Nie wolno zdradzać sekretów królowej.*

- Nie pamiętasz, Eriko, recytowałaś to z dworskim ukłonem, nie pamiętasz?

- Nie, nie pamiętam. Ale o coś cię pytałam, Kurt. Czy twoja żona cię kocha?

- No cóż, jak by to powiedzieć. Widzisz... Ona nie jest, jak to się mówi, kobietą  
namiętą. Nie uprawia miłości na ławce w parku albo na balkonie, jak jaskółka.

- Czy twoja królowa jest ci wierna?

- „*Ihr' blasse Lippe war rot im Kuss...*”

- Założę się, że cię zdradza.

- Ależ mówię ci przecież, że jest chłodna i rozsądna, i opanowana.

Kochanek! Przecież ona nie zna nawet pierwszej litery słowa „amory”.

- Nie jesteś chyba najlepszym świadkiem w tej sprawie - zaśmiała się Erika.

- Nawet nie podejrzewałaś, że cię zdradzam, dopóki nie zatelefonowała do ciebie jego  
narzeczona. Och, mogę się domyślić, jak postępujesz ze swoją żoną. Kochasz ją i nie  
dostrzegasz jej. Kochasz ją - o, gorąco - i nie obchodzi cię, co w niej tkwi w środku.

Całujesz ją i nadal jej nie dostrzegasz. Zawsze byłeś bezmyślny, Kurt, i ostatecznie  
zawsze będziesz tym, czym byłeś i jesteś - absolutnie szczęśliwym egoistą. O, poznałam cię  
dobrze.

- Ja też - powiedział.

*Tak mówi pazik królestwa Burgundii*

*I tren królowej trzyma w dłoni, blade,*

*Jej ust tamtata, jej ust tamtatunti Na schodach pośród świetnej kolumnady.*

- Szczerze mówiąc, Kurt, były chwile, kiedy czułam się przez ciebie po prostu  
nieszczęśliwa. Nagle zaczynałam rozumieć, że ty najzwyczajniej w świecie ślizgasz się po  
powierzchni. Stawiasz człowieka na półeczce i myślisz, że będzie tam stać zawsze.

Ale, widzisz, figurka się przewraca, spada, a ty sądzisz, że ciągle tam stoi, i nawet  
kiedy znika, nic sobie z tego nie robisz.

- Wprost przeciwnie, wprost przeciwnie - przerwał jej - jestem bardzo  
sposstrzegawczy. Byłaś blondynką, a teraz masz rudawe włosy.

Jak dawniej, trzepnęła go z udawanym rozdrażnieniem.

- Już dawno przestałam się na ciebie złościć, Kurt. Wpadnij do mnie na kawę, tylko niedługo. On nie wróci przed połową maja. Pogadamy trochę, powspominamy dawne czasy.

- Jasne, jasne - powiedział, czując nagłą nudę i doskonale wiedząc, że nigdy tego nie uczyni.

Dała mu wizytówkę (którą kilka minut później podarł i wcisnął do popielniczki w taksówce), zegnając się, kilka razy uściśnęła mu rękę, nadal przy tym bardzo szybko paplała. Zabawna ta Erika... Drobną twarzyczką, trzepoczące rzęsy, zadarty nosek, chrapliwe trajkotanie...

Chłopczyk na trójkołowcu także wyciągnął rękę i natychmiast odjechał, jego kolana migają i unoszą się wysoko w górę. Dreyer obejrzał się i kilkakrotnie pomachał kapeluszem, potem przeprosił niezgrabną latarnię, włożył kapelusz i poszedł dalej.

Ogólnie rzecz biorąc, niepotrzebne spotkanie. Teraz nie uda mi się już pamiętać Eriki takiej, jaką pamiętałem ją dotychczas. Pomiędzy nami zawsze będzie Erika numer dwa, taka elegancka i zupełnie niepotrzebna, z tym swoim niepotrzebnym małym Vivianem na trójkołowym rowerku. Po co było pozwalać jej się domyślić, że nie jestem całkiem szczęśliwy? I właściwie w czym jestem nieszczęśliwy? Po co mówić takie rzeczy? Dlaczego miałbym chcieć mieć w domu rozpaloną kurewkę? Być może cały jej urok tkwi w tym, że jest taka zimna. W końcu w doznaniu całkowitego szczęścia nie powinno zabraknąć dreszczu chłodu. Właśnie ona nim jest. Erika z tymi swoimi farbowanymi włosami nie rozumie, że chłód królowej jest najlepszą gwarancją jej wierności. Nie powinienem był tak odpowiadać. I w ogóle wszystko dokoła, te roziskrzone kałuże... dlaczego piekarze wkładają kalosze, nie wkładając przedtem skarpetek? Tego nie wiem, ale codziennie, w każdej chwili wszystko dokoła mnie śmieje się, łśni, błaga, żeby spojrzeć, pokochać. Świat jest jak pies, który prosi, żeby się z nim pobawić. Erika zapomniała tysiące powiedzonek i piosenek, i ten wiersz, i Mimi w różowym kapeluszu, i wino owocowe, i płamę księżycowego blasku na ławce, kiedy pierwszy raz... Chyba umówię się jutro na randkę z Izydą.

Nazajutrz Dreyer był szczególnie wesoły. W biurze podyktował pani Reich absolutnie szalony list do pewnej starej, szacownej firmy. Wieczorem, w dziwnie oświetlonym warsztacie, gdzie powoli rodził się cud, tak mocno klepał wynalazcę po plecach, że ten aż zginał się wpół. Zatelefonował, że spóźni się na kolację, a kiedy o wpół do jedenastej przyszedł do domu, zaczął żartować z biednego Franza, egzaminując go ze sztuki sprzedawania; zadawał mu pytania w rodzaju: „Co byś zrobił, gdyby moja żona przyszła do twojego działu i na twoich oczach ukradła RONALDA?” Franz, któremu humor, zwłaszcza

humor Dreyera, sprawiał niejake trudności, szeroko otwierał oczy i rozkładał ręce. To rozweseliło Dreyera, którego łatwo było rozweselić. Marta bawiła się łyżeczką do herbaty, co chwila uderzając nią szklankę i tłumiąc brzęczenie chłodnym palcem.

W ciągu tego miesiąca przeanalizowała z Franzem kilka nowych sposobów dokonania zabójstwa i podobnie jak poprzednio mówiła o tej czy innej metodzie z taką surową prostotą, że Franz nie odczuwał strachu ani zakłopotania, albowiem następowało w nim osobliwe przetasowanie emocji. Dreyer się rozdawał. Istniał zarówno groźny, nieprzyjemny Dreyer, który chodził, mówił, dręczył go i wybuchał śmiechem, jak i drugi - całkowicie schematyczny, oderwany od pierwszego, stylizowana karta do gry, znak herbowy, i właśnie tego drugiego należało się pozbyć.

Niezależnie od tego, o jakim sposobie unicestwienia się mówiło, odnosiło się to jedynie do owego schematycznego wizerunku. Bardzo łatwo było manipulować tym Dreyerem numer dwa. Był dwuwymiarowy i nieruchomy. Przypominał te figury bliskich, wycięte wzdłuż konturów z fotografii i usztywnione kartonem, które miłośnicy tanich efektów umieszczają na swoich biurkach. Franz nie był świadom szczególnej istoty ani stylizowanego wyglądu tej nieożywionej postaci, toteż nie kłopotał się rozmyślaniami, czemu te złowrogie rozmowy są takie łatwe i niewinne.

Właściwie Marta i on mieli na myśli dwie różne osoby: Marta mówiła o kimś ogłuszająco głośnym, nieznośnie krzepkim i pełnym życia; zagrażał jej fallusem, który raz już zadał jej niemal śmiertelną ranę, przyglądał swój plugawy wąsik srebrną szczoteczką i chrapał w nocy tak głośno, jakby tryumfalnie były gromy. Człowiek, o którym mówił Franz, był oklapły i płaski, można go było spalić albo podrzeć, albo po prostu wyrzucić jak uszkodzoną fotografię. To nieuchwytnie rozdwojenie zaczęło się już wtedy, kiedy Marta odrzuciła otrucie jako „zamach na ludzkie życie dokonany za pomocą nieodpowiednich środków” (odrobina wyrafinowanego szacunku dla norm prawnych, o którym szeroko rozpisywała się wszystko cierpliwie znosząca encyklopedia) i jako coś niezgodnego z trzeźwymi zwyczajami współczesnymi.

Poruszyła teraz temat broni palnej. Jej chłodna racjonalność, pomieszana niestety z niezdarną ignorancją, wiodła ją do dosyć osobliwych rezultatów. Podświadomie werbując rekrutów w najodleglejszych regionach pamięci, mimowolnie przypominając sobie opisy zawiłych i nonsensownych zabójstw przedstawionych w tanich powieściadłach, a więc dopuszczając się plagiatu w dziedzinie łajdactwa, czego w końcu uniknął jedynie Kain, Marta zaproponowała, co następuje: najpierw Franz postara się o rewolwer, potem („Nawiasem mówiąc, umiem strzelać” - wtrącił

Franz)... świetnie, to się przyda („Chociaż musisz jeszcze jednak poćwiczyć, kochanie, w jakimś spokojnym zaułku”). Plan był taki: do północy zatrzyma Dreyera na dole („Jak to zrobisz?” „Nie przerywaj, Franz, mam swoje kobiece sposoby”). O północy, kiedy Dreyer będzie opijał jej niespodziewaną uległość szampanem, ona podejdzie do okna w pokoju obok, odsunie zasłonę i postoi tam chwilę, trzymając w podniesionej dłoni wysoki kieliszek z musującym płynem. To będzie sygnał. Ze swego stanowiska koło ogrodzenia ogrodu Franz wyraźnie będzie widział płomienny prostokąt. Marta zostawi okno otwarte i wróci na otomanę w salonie, gdzie dołączy do Dreyera. Ten będzie prawdopodobnie siedział, rozchełstany, pijąc szampana i jedząc czekoladki.

Franz natychmiast przeskoczy w mroku przez furtkę („To łatwe, jest na niej wprawdzie kilka długich żelaznych kolców, ale ty jesteś przecież taki wysportowany”) i szybko przeszedłszy przez ogród - na palcach, żeby nie zostawić żadnych zdradzieckich śladów stóp - wejdzie przez uchylone okno. Drzwi do salonu będą otwarte. Z progu Franz odda jeden po drugim sześć strzałów, jak robi się to na amerykańskich filmach. Zanim zniknie, zabierze dla pozorów portfel właściciela salonu i może dwa stare francuskie srebrne lichtarze z kominka. Potem wróci tą samą drogą, którą przyszedł. Tymczasem ona pobiegnie na górę, rozbierze się i położy do łóżka. To wszystko.

Franz kiwnął głową.

Inny plan przedstawiał się następująco: Marta pojedzie sama z Dreyerem na wieś. Pójdą razem na długą pieszą wycieczkę. Dreyer uwielbia spacerować. Wcześniej Franz i Marta wybiorą jakieś dobre odludne miejsce („W lesie” - powiedział Franz, wyobrażając sobie mroczną gęstwinę sosen i dębów i ten stary loch na zalesionym pagórku, gdzie pojawiały się koboldy, strachy jego dzieciństwa). Będzie tam czekał z naładowanym rewolwerem, ukryty za drzewem. Kiedy znowu zabiją Dreyera, Franz przestrzeli jej rękę („Tak, kochanie, to konieczne, zawsze się tak robi, chodzi o to, żeby zdawało się, że napadli na nas bandyci”). Franz znowu zabierze portfel (który zwróci jej później razem z lichtarzami).

Franz kiwnął głową.

To były dwa główne plany. Inne stanowiły jedynie wariacje na zasadniczy temat. Wierząc, podobnie jak bardzo wielu powieściopisarzy, że jeśli szczegóły będą takie, jak trzeba, to fabuła i postaci same zatroszczą się o siebie, Marta starannie opracowywała temat rabunku w willi i napadu w lesie (tematy te wykazywały niestety tendencję do mylenia się i przeplatania). Okazało się przy tym, że Franz ma niespodziewany i nader użyteczny talent: z precyzją właściwą diagramom potrafił wyobrazić sobie wszystkie posunięcia swoje i Marty i z góry skoordynować je z czasem, przestrzenią i materią zdarzeń, które w danym wypadku

należało brać pod uwagę. Na tym przejrzystym i elastycznym modelu tylko jedna rzecz pozostawała zawsze nieruchoma, ale tego niedociągnięcia Marta nie zauważała. Słabym punktem była ofiara. Nie dawała żadnych oznak życia, nim została go pozbawiona. W gruncie rzeczy trup, którego trzeba było przetransportować i którym trzeba się było zająć przed pogrzebem, wydawał się bardziej ożywiony niż jego biologiczny poprzednik.

Myśli Franza kręciły się wokół tego nieruchomego punktu z akrobatyczną zręcznością.

Wszystkie konieczne posunięcia i ich następstwo zostały wspaniale skalkulowane.

Rzecz zwana w chwili obecnej Dreyerem będzie się różnić od przyszedłego Dreyera jedynie tak, jak linia pionowa różni się od poziomej. Kwestia kąta widzenia i perspektywy - nic więcej. Marta nieświadomie umacniała Franza w tym abstrakcyjnym podejściu, ponieważ zawsze przyjmowała za coś oczywistego, że Dreyer zostanie całkowicie zaskoczony i nie będzie miał czasu na obronę. Poza tym całkiem jasno i realistycznie wyobrażała sobie, jak uniesie brwi, widząc, że siostrzeniec celuje do niego z rewolweru, jak zacznie się śmiać, uznając, że broń jest zabawką, i jak skończy się śmiać już na tamtym świecie. Kiedy w celu usunięcia wszelkiego ryzyka zrobiła z Dreyera coś w rodzaju towaru, zapakowanego, związanego sznurkiem, gotowego do dostarczenia klientowi, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo ułatwia to sytuację Franzowi. „Mądry chłopiec - śmiała się, całując go w policzek - bystre, bystre kochanie”. Ośmielony jej pochwałą, przygotował coś w rodzaju kalkulacji (którą później trzeba będzie niestety spalić): liczba kroków od ogrodzenia do okna; liczba sekund potrzebna do pokonania tej odległości; odległość od okna do drzwi i od drzwi do fotela (gdzie w pewnym momencie przenieśli go z otomany), i odległość od lufy zawieszego w powietrzu rewolweru do potylicy wygodnie ustawionej głowy. I kiedy Dreyer rzeczywiście siedział w tym fotelu, w snopie kwietniowych promieni słonecznych czytając niedzielne gazety, Marta z jaskrawym grzebieniem wpiętym w kok, w nowej różowej sukni, szytej na miarę, i Franz bez marynarki, razem z chodzącym za nimi Tomem, który trzymał w zębach czarną piłeczkę, zaferowani chodzili to tu, to tam po ogrodzie i wzdłuż muru willi aż do okna salonu i z powrotem, do furtki, licząc kroki, zapamiętując wyniki, ćwicząc zbliżanie się do celu i odwrot; a Dreyer, podparłszy się pod boki, wychodził na taras, po czym schodził do ogrodu, przyłączał się do nich i pomagał w omawianiu nowego rozkładu wyłożonych płytami ścieżek oraz klombów, który Marta i Franz tak pilnie planowali.

Planowali potem dalej, już sami, w kochanym obskurnym pokoiku z ciągle nie sprzedaną niewolnicą z dużymi brodawkami sutkowymi, wiszącą nad łóżkiem, i nowiutką, drogą, niechcianą rakieta tenisową w pokrowcu. Nadszedł czas, by pomyśleć o zdobyciu

broni. Kiedy tylko dotarli do tego punktu, zaczęły się mnożyć groteskowe przeszkody. Oboje byli pewni, że na kupno rewolweru trzeba otrzymać pozwolenie. Ani Marta jednak, ani Franz nie mieli bladego pojęcia, jak takie pozwolenie otrzymać. Musieliby pytać, może chodzić na policję, a to oznaczało, że zapewne trzeba by napisać i podpisać jakieś podanie. Stało się jasne, że zdobycie broni jest czymś znacznie bardziej niewyraźnym niż obraz jej użycia. Marta nie mogła się pogodzić z takim paradoksem. Zlikwidowała go wyszukując trudności nie do pokonania także w realizacji samego planu. Pojawiła się na przykład kwestia ogrodnika, pełniącego również funkcję stróża (upić? przekupić?), opanowanego i silnego starego drania, który bystrym okiem wypatruje intruzów i - ze szczególnym młaśnięciem - rozgniała gąsienice szczególnym okropnym szarpnięciem uzbrojonego w żelazny pazur palca wskazującego i kciuka: kiedy Franz pierwszy raz zobaczył tę zieloną egzekucję, krzyknął jak dziewczyna. Był też policjant, który często, jak gdyby spacerował, chodził po ulicy. Błędy w obliczeniach i różne inne usterki ujawniły się także w planie leśnym: po wycieczce do Grunewaldu Franz oznajmił, że im dalej w tamtejszy las, tym więcej ludzi. Na przedmieściach było mnóstwo innych lasów, ale trzeba by wymyślić sposób zwabienia tam Dreyera. Kiedy kwestia realizacji tych planów trafiła na swoje właściwe miejsce, kwestia zdobycia broni przestała już się wydawać tak niebotycznie trudna: w północnej części miasta istnieli prawdopodobnie życzliwi handlarze, którzy nie kłopotali się takimi sprawami, jak pozwolenie na broń, a gdyby rewolwer się znalazł, to szczęście z pewnością byłoby po ich stronie i we właściwym czasie umieściłoby cel we właściwym miejscu. W ten sposób Marta mimochodem zaspokoila wrodzone sobie poczucie prawidłowych relacji (jej ulubionymi przysłowiami były: „Cierpliwością i pracą ludzie się bogacą” i „Kto na dwóch stołkach siada, ten na ziemię pada”). Nadszedł więc czas, by zaopatrzyć się w nieduży niezawodny rewolwer. Wyobraziła sobie, jak Franz - powolny, chudy, nieśmiały Franz - chodzi po sklepach z bronią, jak przyjazny sprzedawca nagle zaczyna zadawać mu podchwytliwe pytania, jak ten idiota zapamiętuje szylkretowe okulary Franza i wyjaśniające gesty smukłych, białych, niewinnych dłoni i jak później, kiedy broń już wypali i zostanie zakupiona, jakiś wścibski detektyw wszystko wyniucha... Z kolei gdyby to ona poszła go kupić... Może uznała, że Tom ma wściekliznę, i chciała go zastrzelić i nawet dla wprawy to zrobiła - kobiety także mogą się nauczyć dobrze strzelać. Nagle przepłynął obok jakiś uboczny obraz, zatrzymał się, obrócił, popłynął znowu, jak owe zgrabne przedmioty, które same z siebie poruszają się na reklamach w kinie. Zdała sobie sprawę z tego, czemu obraz rewolweru miał w jej myślach tak wyraźnie określony kształt i kolor, chociaż na broni zupełnie się nie znała. Z głębi pamięci wynurzyła się twarz Willy'ego: śmiał się swoim tłustym śmiechem i pochylony, czemuś się przyglądał i

odsuwał Toma, który myślał, że to zabawka dla niego. Zrobiła jeszcze jeden wysiłek i przypomniała sobie, że Dreyer siedział na biurku i pokazywał Willy'emu... co? Rewolwer! Willy ze śmiechem obracał go w dłoni, a pies szczekał. Nie mogła sobie przypomnieć nic więcej, ale to wystarczyło. Była mile zaskoczona, widząc, jak starannie i przezornie jej umysł przez kilka lat przechowywał ulotny, ale wręcz niezastąpiony obraz.

Jeszcze inna niedziela. Dreyer i Tom poszli na nieduży spacer. Wszystkie okna Willi były otwarte na oścież. Blask słoneczny rozgościł się w nieoczekiwanych zakamarkach pokoi. Na tarasie wietrzyk szarpał strony kwietniowego (już starego) numeru czasopisma z fotografią nowo odkrytych, naprawdę uroczych rąk Wenus.

Przede wszystkim Marta dokładnie sprawdziła szuflady biurka. Pośród niebieskich skoroszytów z dokumentami znalazła kilka laseczek złotawego laku, latarkę, trzy guldeny i jednego szylinga, zeszytik z angielskimi słówkami, roześmiany paszport Dreyera (kto śmieje się w oficjalnych sytuacjach?), fajkę, złamaną, którą dała mu dawno temu, stary albumik z wyblakłymi fotografiami, nową fotografię dziewczyny, która mogłaby być Izoldą Portz, gdyby nie miała na sobie eleganckiego stroju narciarskiego, pudełeczko pinezek, kawałki sznurka, szkiełko zegarka i inne drobne rupiecie, których gromadzenie doprowadzało Martę do wściekłości. Większość z tych przedmiotów, łącznie z zeszytikiem i reklamą zimowych artykułów sportowych, umieściła w koszu. Gwałtownie wsunęła szuflady z powrotem i nie troszcząc się o ogłuszone biurko, poszła do sypialni. Tam zaczęła przetrząsać dwie białe komody i między innymi rzeczami znalazła noszącą ślady zębów Toma twardą piłeczkę, która nie wiadomo jak trafiła do szuflady, gdzie w dwu równych rzędkach stało dziesięć par butów jej męża. Wyrzuciła piłeczkę przez okno. Zbiegła na dół. Mijając lustro, zauważyła, że z nosa starł jej się puder i że ma oczy wręcz nieprzytomne. Powinna pójść z wizytą do specjalisty od płuc, czy do kardiologa? A może do obu? Przejrzała kilka kolejnych szuflad w różnych pokojach, besztając siebie za to, że szuka w miejscach, gdzie nie ma to najmniejszego sensu, i w końcu uznała, że broń jest albo w sejfie, do którego nie miała klucza (był tam Testament, skarb, przyszłość!), albo w biurze. Wróciła do przeklętego biurka. Skuliło się i wstrzymało oddech, kiedy podchodziła rozsiewając grozę. Szuflady zaplaskały, przypominało to odgłosy wymierzanych z całej siły policzków. Tu nie! Tu nie! Tu nie! W jednej z szuflad zauważyła brązową teczkę. Uniosła ją ze złością. Pod nią, w głębi, ujrzała mały rewolwer z rękojeścią z macicy perłowej. Jednocześnie z niedużej odległości dobiegł głos jej męża, więc wcisnęła teczkę z powrotem i szybko wsunęła szufladę.

- Boski dzień - śpiewnym głosem mówił Dreyer. - Prawie jak w lecie.

Nie odwracając się powiedziała ponuro:



- Potrzebne mi jakieś tabletki. Miałeś gdzieś w biurku piramidon.

Głowa mi pęka.

- Nie wiem. Głowa nikomu nie powinna pękać w taki cudowny dzień.

Usadowił się na skórzanej poręczy fotela i wycierał sobie chusteczką czoło.

- Wiesz co, najdroższa? - powiedział. - Mam myśl. Zadzwoń do Franza - jaki jest jego numer? - i pojedziemy wszyscy na tenisa. Dobry pomysł? Uroczy, prawda?

- A kiedy chcesz zjeść obiad? Franz przychodzi na obiad. Zadzwoń do kogoś innego i zagrajcie sobie po obiedzie.

- Jest dopiero dziesiąta. Możemy zjeść o wpół do drugiej. Szkoda marnować taką pogodę. Pojedziesz także. Dobrze, dobrze, dobrze?

Zgodziła się pojechać tylko dlatego, że wiedziała, jak trudno byłoby Franzowi wytrzymać sam na sam z Dreyerem.

- Zadzwoń do niego - powiedziała.

Gospodarz spytał, kim jest i dlaczego chce rozmawiać z jego lokatorem. Ale Marta powiedziała mu, żeby pilnował swoich spraw. Franz, wzięty zniechęca, przyjechał w zwykłym garniturze, zmienił tylko buty na tenisówki. Dreyer, sapiąc z niecierpliwości i obawiając się, że w każdej chwili może się uformować na niebie chmura burzowa, zagonił go na górę i wyfasował mu parę flanelowych spodni, które kupił przed kilku laty w Londynie i które były teraz na niego za ciasne. Stał tam, podparłszy się pod boki, z wytrzeszczonymi oczami i przechyloną głową, i patrzył, jak Franz się przebiera. Nieszczęsny chłopak cuchnął jak kozioł. I jeszcze te długie kalesony - w taki dzień! Ktoś, kto wyszył na nich monogram, nie był zawodowcem, w każdym razie nie w tej dziedzinie. Franz, zdrętwiały ze zmieszania, w pełni świadom niestosowności swojej bielizny, a przy tym groteskowo przerażony, że cała sytuacja może w jakiś sposób zdradzić rozmamłane sekrety cudzołóstwa, miał trudności ze zmianą spodni, przestępował z nogi na nogę, podskakiwał, podnosił jeden giczoł i próbował wmówić sobie, że to tylko zły sen. Dreyer też zaczął przestępować z nogi na nogę. Koszmar ciągnął się dalej. Spodnie wydawały się za długie i za obszerne, podczas tego wyścigu w workach jakiś spazmatyczny ruch sprawił, że Franz wylądował na uszkodzonej półce na walizki, która nie powinna się była znaleźć w garderobie. Dreyer wykonywał nieokreślone gesty, jak gdyby chciał pomóc. Nie mniej koszmarne było zapinanie manekinowi rozporaka, którym to zadaniem obarczono jego samego. Potem krawiec dwoma palcami delikatnie podniósł stan, dopasował sprzączki, fachowo otoczył drewnianą talię paskiem z centymetrem - trzymał go tak, jak trzyma się tańczącego węża - przykleknął na jedno kolano. W końcu zachichotał z ulgą i aprobatą i poczęstował Franza tęgim klepnięciem w pośladki. Uderzenie

dość długo wibrowało w nerwach nieszczęśnika, podczas gdy jego doprowadzony do mdłości sobowtór szedł na ugiętych nogach, jakby wsuniętych w tyłek. Mrowienie nie ustało nawet w taksówce. Kiedy wysiedli, Dreyer znów zamaszycie go klepnął, tym razem jego własną rakieta, której Franz omal nie zapomniał w samochodzie.

- *Aber lass doch* - powiedziała Marta do swego ordynarnego męża.

Na kortach koloru terakoty raz po raz rzucały się pędem do przodu białe postaci, a odpowiednio opłacone dzieci, błyskawicznie podnosiły piłki. Na wysokim ogrodzeniu z siatki drucianej wszędzie zawieszony był zielony brezent. Przed budynkiem klubowym stały białe stoliki i wiklinowe fotele. Wszystko było bardzo czyste i miało wyraźne kontury. Marta wdała się w rozmowę z jakąś piękną kobietą o bladych oczach i nogach pokrytych jasnym puszkim, ubraną w białą spódniczkę, nie większą niż papierowy abażur. Zamówili coś do picia - lodowatą amerykańską miksturę, ciemną jak kawa. Dreyer wszedł do budynku, żeby się przebrać.

Ciemnowłosa Marta i platynowa dama mówiły głośno, ale Franz nie mógł rozróżnić ani jednego słowa. Zabłąkana piłka skoczyła obok niego na stolik, na fotel, na darń.

Podniósł ją i dokładnie się jej przyjrzał: była całkiem nowa i miała fioletowy znaczek firmy, której wyroby oferował „Dandy” w dużym wyborze. Położył piłkę na stoliku.

Przeszły dwie inne młode kobiety z nagimi ramionami i nogami, tak płasko stawiając na trawniku czerwone podeszwy białych butów z jedwabnymi sznurowadłami (Mercury... nie, Loveset), jak gdyby szły na bosaka. Oczy miały roześmiane, usta - czerwone. Wszystko to już sprawa przeszłości, wszystkie marzenia i pragnienia lat chłopięcych przeminęły. Myląc go z kimś innym, poraziły go parą uśmiechów. Przy jednym z dalszych kortów na drabince z krzeselkiem siedział jakiś mężczyzna, może sędzia lub nadzorca gry, obserwując przelatującą nad siatką piłkę i jak automat kręcąc rytmicznie głową - nie, nie, nie: one nie są dla ciebie. W czarnej szczelinie uchylonych drzwi pojawił się oślepiająco biały Dreyer. - Chodźmy - zawołał i kipiącym energią krokiem, z puszystym ręcznikiem wokół karku, dwiema raketami pod pachą i pudełkiem nowych piłek w dłoni, skierował się ku kortowi numer sześć.

Marta powiedziała damie „*au revoir*” i przeszła do innego fotela, żeby obserwować graczy. Na korcie, z precyzją kata przygotowującego szafot, Dreyer mierzył już rakieta wysokość siatki. Franz stanął po stronie kortu znajdującej się bliżej jego kochanki i patrzył na przelatujący samolot. Z surową tkliwością zauważyła jego kochaną chłopięcą szyję, błyszczące okulary i eleganckie spodnie tenisowe, trochę zbyt obszerne w biodrach, ale poza tym bardzo twarzowe. Zakończywszy swoje złowieszcze przygotowania, Dreyer ciężko potruchtał do linii końcowej. Franz nadal stał po środku swego własnego prostokąta. Chuda

dziewczynka z obojętnym wyrazem piegowatej twarzy rzuciła mu jedną z piłek z pudełka. Piłka podskoczyła i ugodziła go w pachwinę, spróbował uderzyć ją lekko rakieta, ale przeleciała mu między nogami, dziewczynka rzuciła mu następną, ale i ta mu uciekła. Tym razem jednak pobiegł za nią i wyłuskał ją spod nóg gracza na sąsiednim korcie, gracz sfuszerował swoje uderzenie i wlepił w niego wzrok. Ochochy Franz włożył piłkę do kieszeni, pobiegł z powrotem i zajął swoją poprzednią pozycję. Z wyrozumiałym uśmiechem Dreyer kiwnął na niego, pokazując, że ma stanąć dalej, i machnąwszy energicznie, jakby czerpał rakieta jakiś płyn, zaserwował od dołu w całkiem znośnym stylu, naśladując uderzenie trenera klubowego, hrabiego Zubowa. Pełen animuszu Franz wychylił się ku piłce i bardzo szczęśliwie - szczęście początkującego tenisisty - zdołał jej dosięgnąć; uderzył piłkę niezbyt prawidłowo, ale nadał jej ogromne przyśpieszenie i posłał w punkt znajdujący się całkowicie poza zasięgiem Dreyera. Marta nie mogła powstrzymać się od oklasków. Dreyer zaserwował po raz drugi, znów od dołu. Broń Franza z potężnym świstem rozcięła powietrze, ale piłka pozostała nietknięta, zgrabnie złapała ją stojąca z tyłu dziewczynka. Potem, nie śpiesząc się, Franz przyjrzał się wyjętej z kieszeni piłce, którą trzymał w wyciągniętej ręce, ocenił wysokość, wypuścił piłeczkę i kiedy się odbiła, spróbował ją uderzyć. Nie stało się nic oprócz tego, że nastąpił na nią i o mało nie upadł. Podbiegł truchtem do siatki, w którą w końcu się zaplątała. Dreyer kazał mu się mocno cofnąć i posyłał w jego kierunku piłkę za piłką. Franz robił wypady i zwroty, ale jego specjalnością pozostało machnięcie w próżni. Dziewczynka, którą zaczęło to bawić, przemykała to w jedną, to w drugą stronę, każdą piłkę chwytala w kubek swoich drobnych dłoni i z nonszalancką precyzją rzucała ją lub toczyła po ziemi do Dreyera.

- Przestań się pętać pod nogami - zawołała Marta do zuchwałej małej łowczyni piłek, ale dziecko nie usłyszało albo nie zrozumiało jej słów.

Dziewczynka miała na palcu mosiężny pierścionek. Może to jakieś brudne Cyganiątko albo coś w tym rodzaju.

Ciężka próba trwała dalej. W końcu Franz w ekstazie rozpaczy dosięgnął piłki, walnął ją z całej siły i posłał wysoko ponad dach pawilonu.

Dreyer powoli podszedł do siatki i kiwnął na przeciwnika.

- Wygrałem? - spytał, dysząc, Franz.

- Nie - powiedział Dreyer - chciałbym tylko coś wyjaśnić. - Nie gramy w amerykański baseball ani w angielskiego krykieta. Ta gra nazywa się „*lawn tennis*”, ponieważ początkowo grano w nią na trawie. Jak zwykle niewłaściwie wymówił

„*lawn*”; rymowało się u niego z „*clown*”.

Potem powoli i markotnie wrócił do linii końcowej i wszystko zaczęło się od początku. Marta nie mogła już tego wytrzymać. Zawołała ze swojego miejsca: - Dostyc tego! Dobrze widzisz, że on nie może...

Chciała zawołać „nie może grać”, ale powiew wiosennego wiatru wyciął ostatnie słowo. Franz bacznie przyglądał się strunom swojej rakiety. Młody człowiek, także chudy i także w okularach, który z drapieżną ironią obserwował grę, zrobił parę kroków do przodu, skłonił się i Dreyer, pokazując Franzowi, że może sobie iść, radośnie powitał nowo przybyłego, którego znał jako dobrego gracza.

Franz podszedł do Marty i usiadł koło niej. Błada i ściągnięta twarz błyszczała od potu. Marta uśmiechnęła się do niego, ale on zabrał się do przecierania okularów i nie patrzył w jej stronę.

- Najdroższy - szepnęła, starając się złowić jego spojrzenie; udało się jej, ale Franz ponuro pokręcił głową, zaciskając zęby.

- Wszystko w porządku - powiedziała cicho. - Już nic takiego nie zdarzy się więcej. Wiesz, co się stało? - dodała jeszcze ciszej. - Znalazłam go.

Jego spojrzenie uciekło, ale ze zdecydowaniem złowiła je znowu.

-...znalazłam go w biurku. Po prostu weźmiesz go w przeddzień... Rozumiesz?

Zamrugął.

- Przeziębisz się tak tu siedząc - powiedziała. - Strasznie wieje.

Włóż sweter i marynarkę, kochanie.

- Nie mów tak głośno - szepnął Franz. - Proszę cię.

Uśmiechnęła się, rozejrzała dokoła, wzruszyła ramionami.

- Muszę ci wytłumaczyć... Nie, posłuchaj, Franz - mam zupełnie nowy plan.

Dreyer właśnie znakomicie zagrał, delikatnie posyłając piłkę tuż za siatkę i spode łba spojrział na żonę, zadowolony, że ta patrzy na niego.

- Wiesz co? - szepnęła Marta. - Chodźmy. Muszę ci to wszystko wytłumaczyć.

Dreyer próbował uderzyć piłkę z woleja, ale nie trafił i kręcąc głową, wracał teraz do końcowej linii. Marta zawołała go do siebie. Powiedziała mu, że głowa boli ją coraz bardziej i żeby nie spóźnił się na obiad. Dreyer kiwnął głową i wrócił do gry.

Nie mogli złapać taksówki, ale droga zabierała tylko parę minut szybkiego marszu. Przecięli park, gdzie na zeszłorocznych suchych liściach szczęśliwi zakochani, tonąc w sobie oczami, trzymali się w objęciach. Po drodze zaczęła wyluszczać mu plan.

Pomysł był cudownie niewinny, odwoływał się do faktu, że Dreyer uczy się angielskiego. Od czasu do czasu prosił ją, żeby zrobiła mu dyktando. Znała niewiele więcej

słów niż on, ale jej wymowa była chyba trochę lepsza, w każdym razie inna: na przykład „lawn” rymowało się u niej z „own”, a nie z „clown” - to śmieszne tak wymawiać to słowo, powtarzała to temu upartemu głupkowi wiele razy. Pisał te dyktanda w specjalnym zeszyciku. Potem porównywał to, co napisał, z tekstem. I właśnie od takiego dyktanda miało zależeć wiecznotrwałe szczęście w prywatnym parku. Wezmą jakąś powieść w wydaniu Tauchnitza i znajdą odpowiednie zdanie, na przykład: „Nie mogę postąpić inaczej”, albo: „Postanowiłem się zastrzelić, ponieważ znużyło mnie życie”. Reszta była oczywista.

- Podyktuję mu w twojej obecności wybrane zdanie - powiedziała. - Oczywiście musi je napisać nie w zeszycie, tylko na czystej kartce papieru. Prawdę powiedziawszy, zniszczyłam już ten jego zeszyt. Jak tylko to napisze, ale nim jeszcze zdąży podnieść głowę, podejdziesz do niego, bardzo blisko, trochę od tyłu, jakbyś chciał zajrzeć mu przez ramię, i potem bardzo ostrożnie...

## X

Minęły już niemal trzy miesiące od owego niezapomnianego dnia, kiedy Wynalazca (pisany teraz w umyśle Drejera dużą literą) pokazał pierwsze próbki swoich, jak je nazywał, automanekinów. Ze względu na mocne, niczym nie osłonięte oświetlenie jego warsztat przypominał laboratorium medyczne, zresztą tym właśnie było to pomieszczenie dawniej. Pokazy odbywały się w dużym pokoju bez mebli, gdzie niegdyś trzymano ciała zmarłych i ich części, które bezwstydni studenci (niektórzy z nich, ale bynajmniej nie wszyscy, byli teraz szacownymi starymi chirurgami) zwykli umieszczać w takich pozach i wzajemnych pozycjach, by powstało wrażenie osobliwych orgii. Wynalazca i Drejer stali w rogu pokoju i patrzyli w milczeniu.

Na środku jasno oświetlonej podłogi poruszała się mała korpulentna figurka wysokości około osiemdziesięciu centymetrów, ciasno opięta brązowym płótnem workowym, które pozostawiało nie osłonięte jedynie krótkie krwistoczerwone nogi, zrobione z tworzywa przypominającego gumę i obute w dziecięce buciki z guziczkami; figurka chodziła tam i z powrotem, a jej ruchy były bardzo naturalne i przypominały ruchy człowieka; zdawała się trochę puszyć, co dziesięć kroków odwracała się o sto osiemdziesiąt stopni, wydając z siebie zamierzony przez konstruktora cichy okrzyk - coś pomiędzy „hop” a „chlup” - który miał maskować lekkie skrzywienie mechanizmu. Splótszy palce na brzuchu, Drejer patrzył na widowisko z milczącym wzruszeniem, jak sentymalny gość patrzy na dziecko - być może swego własnego bękarta - którego pierwszymi niepewnymi krokami częstuje go dumna jak paw matka. Wynalazca, który zapuścił brodę i wyglądał teraz jak orientalny kapłan w stroju cywilnym, lekko uderzał stopą w rytm ruchów figurki.

- Mój Boże - powiedział nagle Dreyer głosem tak wysokim, jak gdyby miał się za chwilę rozplakać z rozczulenia.

Gnom w kapturze istotnie chodził bardzo ujmująco. Brązowe płótno służyło jedynie względem przyzwoitości. Później, kiedy mechanizm zamarł, Wynalazca rozwinął swojego prototypowego automanekina i obnażył tajniki jego działania: subtelny system stawów i mięśni i trzy małe, ale wyjątkowo ciężkie baterie. Już obserwując ten pierwszy surowy model wynalazku, można było dostrzec jedną rzecz: największe wrażenie wywierały nie elektryczne zwoje nerwowe ani rytmiczny przepływ prądu, wywierał je sprężysty, trochę stylizowany chód mechanicznego dziecka. Paradoksalnie, chodziło ono po podłodze raczej jak zamyślony matematyk niż mały chłopczyk, który znalazł się w lesie. Tajemnica tego ruchu tkwiła w giętkości woskinu - niezwykłego tworzywa, którym Wynalazca zastąpił żywe kości i żywe ciało.

Dwie nibynóżki tego pierwotnego woskajtko wydawały się żywe nie dlatego, że nimi poruszał (chodzący automat czy *zywula* nie jest w końcu rzadkością, w okolicach Wielkiej Nocy i Gwiazdki tego typu rzeczy mnożą się na ulicach jak króliki), ale raczej ze względu na materiał, z którego były zrobione; tworzywo ożywione tak zwanym prądem galwanobiotycznym przez cały czas pozostawało czynne - marszczyło się, napinało, rozluźniało, jak gdyby obdarzone było organicznym życiem, a nawet świadomością; podwójne zmarszczki przechodziły w potrójne plamki z gładką łatwością właściwą odbiciom w wodzie. Figurka chodziła bez gwałtownych szarpnięć i na tym polegał cud. I właśnie to Dreyerowi podobało się najbardziej, natomiast dość obojętnie odnosił się do informacji o technicznych sekretach, udzielonych mu przez ostrożnego Wynalazcę najpierw w postaci szyfru, a potem szyfrowanego wyjaśnienia szyfru.

- Może mi pan zdradzić, jaka jest płeć tego czegoś? - spytał Dreyer, kiedy brązowa figurka stanęła przed nim.

- Jeszcze nie określona - odpowiedział Wynalazca. - Ale za miesiąc, najdalej dwa możemy oczekiwać dwóch osobników płci męskiej i jednego płci przeciwnej, każdy z nich będzie miał ponad metr pięćdziesiąt wzrostu.

Innymi słowy, niemowlę powinno było wyrosnąć. Należało koniecznie stworzyć nie tylko nogi przypominające ludzkie, ale także pełne gracji ciało i wyraziste twarze.

Wynalazca nie był jednak ani artystą, ani anatomem. Toteż Dreyer znalazł dla niego dwu pomocników: starego rzeźbiarza, który obdarzał swe dzieła pełnią życia i potrafił wywołać wrażenie, że wyrzeźbiona przezeń postać cierpi na ostrą płasawicę albo, powiedzmy, zaraz kichnie, oraz profesora fizjologii, który starając się wyjaśnić dobrze znaną

zdolność niektórych ludzi do budzenia się o zaplanowanej godzinie, napisał długi traktat, nie tłumaczący niczego, ale zawierający pierwszy opis „samoświadomości mięśni”, pięknie ilustrowany kolorowymi rysunkami. Warsztat wkrótce zaczął wyglądać tak, jakby studenci medycyny znów zaczęli wyczyiniać w nim swoje figle z pokawałkowanymi truposzami. Profesor anatomii i ekscentryczny rzeźbiarz pomagali Wynalazcy bardzo wydatnie. Jeden był chudy i nerwowy, miał długie włosy, zaczesane do tyłu, i olbrzymie jabłko Adama, drugi - zrównoważony i łysy i nosił wysoki nakrochmalony kołnierzyk. Dreyer nie mógł nacieszyć się ich wyglądem, zwłaszcza że nerwowy chudzielec był profesorem, a stateczny łysoń - artystą.

Mógł teraz wyraźnie wyobrazić sobie wysokie, w pełni ukształtowane, elegancko ubrane automanekiny, tam i z powrotem przechadzające się między roślinami w doniczkach w potężnym oknie wystawowym domu towarowego, dyskretnie znikające w celu zmienienia za kulisami ich ubrań i ku uciesze publiczności znowu dumnym krokiem wkraczające na scenę. Była to wizja poetycka, a zarazem bez wątpienia lukratywne przedsięwzięcie. W połowie maja Dreyer za stosunkowo niską cenę kupił od Wynalazcy prawa do patentu i obecnie zastanawiał się, co będzie lepsze - wzbudzić sensację na Kurfurstendamm, dosłownie puszczając figurki w ruch, czy sprzedać wynalazek zagranicznemu syndykatowi: pierwsza możliwość obiecywała lepszą zabawę, druga - pewniejszy zysk.

Jak to przydarza w pewnym momencie z wielu ludziom interesu, Dreyer zaczął czuć owej wiosny, wiosny 1928 roku, że jego sprawy w jakiś dziwny sposób zaczynają żyć własnym życiem. Te z jego funduszy, którymi nieustannie obracał, krążyły siłą rozpędu, i to krążyły zbyt szybko, wyglądało na to, że traci kontrolę nad swoim bogactwem, że nie potrafi już, kiedy zechce, zatrzymać tego wielkiego złotego koła.

Połowa jego fortuny, jak nakazywał rozsądek, złożona była w bezpiecznym miejscu, ale druga, którą przyniósł mu rok niezwykłego szczęścia - działo się to w czasie, kiedy były niezbędne: szczęście, lekka ręka i właściwy mu szczególny typ wyobraźni - stała się teraz nazbyt żywa, nazbyt ruchliwa. Będąc z natury optymistą, miał nadzieję, że utrata kontroli jest chwilowa, i nawet przez chwilę nie sądził, że przyśpieszone wirowanie może przekształcić koło fortuny w pusty blask ani że gdyby je zatrzymał własnymi rękami, mogłoby się okazać złotym widmem koła. Marta jednak, którą teraz bardziej niż kiedykolwiek drażniła kapryśna lekkomyślność męża (choć kiedyś to właśnie ta lekkomyślność pomogła mu się wzbogacić), bała się, że może on tanecznym krokiem wdepnąć w jakąś katastrofę finansową, zanim zdoła go usunąć i sama zatrzymać beztróskie wirowanie.

Sklep prosperował świetnie, ale zyski nie były tak solidne, jak być powinny.

Rynkiem papierów wartościowych wstrząsnął ostatnio nagły dreszcz, Dreyer grał na nim i stracił, a teraz grał znowu. W tym wszystkim Marta widziała złowieszczą przestrogę. Mogła odroczyć wykonanie wyroku, by pozwolić mu zrobić jakiś porządny interes, gdyż - jak sama przyznawała - „wierzyła w jego nosa”, ale to żonglowanie akcjami było zbyt ryzykowne. Po co zwlekać, skoro każdy mijający miesiąc mógł oznaczać dalsze uszczuplenie majątku?

Tego słonecznego i strasznego przedpołudnia, zaraz po powrocie z klubu tenisowego, zaprowadziła Franza do gabinetu, żeby pokazać mu rewolwer. Już na progu szybkim spojrzeniem i ledwie dostrzegalnym ruchem ramienia wskazała biurko w głębi pokoju. Tam, w szufladzie, leżało narzędzie ich szczęścia.

- Zaraz go zobaczysz - szepnęła Marta i podeszła do biurka. W tej chwili jednak śmiałym, sprężystym krokiem wtargnął do pokoju Tom.

- Weź stąd tego psa - powiedział Franz. - Póki on tu jest, nie jestem w stanie nic zrobić.

- Wynoś się! - krzyknęła Marta.

Tom położył uszy po sobie, wyciągnął delikatny szary pysk i skrył się za fotelem.

- No, weź go - powiedział Franz przez zaciśnięte zęby i wstrząsnął nim gwałtowny dreszcz.

Marta klasnęła w dłonie. Tom wsunął się pod fotel i wynurzył z drugiej strony.

Marta groźnie uniosła rękę. Tom zdążył uskoczyć i oblizując się z urażoną miną, podreptał do drzwi. Na progu stanął z uniesioną łapą i obejrzał się za siebie, ale Marta szła prosto na niego. Podał się więc temu, co było nieuniknione. Marta zatrzasnęła drzwi. Usłużny przeciąg natychmiast strzelił oknem.

- Dobra, teraz się pośpieszmy - powiedziała ze złością. - Czemu się boczysz?

Chodź tu.

Szybko wyszarpnęła szufladę. Uniosła brązową teczkę. Pod spodem ukazał się błyszczący przedmiot. Franz machinalnie wyciągnął rękę i wziął go. Obracał go w dłoni.

- Jesteś pewna... - zaczął apatycznie.

Usłyszał prychnięcie Marty i spojrzał w górę. Zaśmiała się sucho i odeszła.

- Odlóż go na miejsce - powiedziała, stając przy oknie i bębniąc palcami w szybę. Nic dziwnego, że Willy się śmiał. - Powiedziałam: odlóż go. Widzisz przecież, że to zapalniczka do cygar.

- Tak, oczywiście. Ale naprawdę wydaje się, że to mały rewolwer. Bardzo zmyślna rzecz, nie? Chyba widziałem kilka podobnych w sklepie.



Bezgłośnie wsunął szufladę.

Tego dnia Marta zdała sobie sprawę z przygnębiającego faktu. Do tej pory sądziła, że postępuje rozumnie, tak samo, jak postępowała albo chciała postępować przez całe życie. A teraz okazało się, że w świat jej precyzyjnych wykresów wdziera się jakaś obrzydliwa kraina marzeń. Pewność siebie u początkującego może być wybaczalna, ale ten etap, kiedy jest wybaczalna, przyszedł i minął. Jasne, nie powinna się była zgodzić na poślubienie tego błazna z cuchnącą małpką w ramionach. Jasne, nie powinny ją były oszołomić jego pieniądze, nie powinna była w swej młodzieńczej naiwności sądzić, że zrobi z tego żartownisia zwyczajnego, dostojnego i posłusznego męża. Ale przynajmniej ułożyła sobie życie tak, jak chciała. Niemal osiem lat ponurych zmagania. Pomyśleć tylko, że zamiast kupować tę elegancką willę, chciał ją zabrać - proszę bardzo - na Cejlon albo na Florydę. Potrzebowała męża prowadzącego osiadły tryb życia. Męża wyciszzonego i poważnego. Potrzebowała męża martwego.

Było kilka takich dni, kiedy jak gdyby udała się na najdalsze pustynie swego ducha - zrobić przegląd swoich omyłek i zebrać siły: po to, by mogła, oczyszczona, powrócić do wyznaczonego sobie zadania i nie popełniać już odtąd dawnych błędów.

Wymyślne kombinacje, zawiła gmatwanina szczegółów, fałszywa broń - wszystko to miało być odrzucone. Od tej chwili jej hasłem będą: porządek i prostota. Poszukiwany plan musi być bardzo naturalny, bardzo czysty. Pośrednicy niech wezmą łaskawie na wstrzymanie. Trucizna to stręczycielka, rewolwer - rajfur. Każde z nich może ją zdradzić. Trzeba przestać kupować opowieści o Borgiach. Nie można zabić człowieka za pomocą zapalniczki do cygar, a niektórym najwyraźniej zdawało się, że jej tak się właśnie zdaje.

Franz potrzasał albo kiwał głową, zależnie od fragmentu jej szczerzej przemowy.

Pokoik zalany był słońcem. Franz siedział na parapecie okiennym. Okno było otwarte i zabezpieczone przed zamknięciem drewnianymi klinami. Mimo że była to niedziela, robotnicy na budowie pracowali zawzięcie, brzękając i stukając coraz to wyżej i wyżej.

Z okna na niższym piętrze zawołał coś dziewczęcy głosik, a inny, jeszcze bardziej anielski, odpowiedział z balkonu po przeciwnej stronie ulicy. Tam, w domu, jest teraz sezon grania na gitarze, trawek słodko śpiewających w cieniu wierzb.

Zaczęło mu być gorąco w plecach. Ześliznął się z parapetu na podłogę. Marta siedziała bokiem na stole z ciasno skrzyżowanymi nogami, ukazując pod spódnicą kawałek tłustego uda. W bezlitosnym świetle jej skóra wyglądała bardziej szorstko, a jej twarz wydawała się szersza, być może dlatego, że opierała brodę na pięści. Kąciki ust były opuszczone, oczy patrzyły w górę. Jakiś obcy człowiek w świadomości Franza zauważył mimochodem, że

właściwie ta kobieta przypomina ropuchę. Ale Marta poruszyła głową. Wróciła rzeczywistość. I znowu wszystko zrobiło się ciężkie, mroczne i nieustępliwe.

-...udusić go - mruknęła. - Gdybyśmy mogli po prostu udusić go. Własnymi rękami.

Sam wielki doktor Hertz powiedział przed kilku laty, że jej elektrokardiogram zdradza niezwykłą, niekoniecznie groźną, ale z pewnością nieuleczalną nieprawidłowość, którą widział tylko u jednej kobiety poza nią, przedstawicielki rodu Hohenzollernów, która dożyła czterdziestki i miała się dobrze, a teraz Marcie zdawało się, że serce jej pęknie, nie mogąc wytrzymać nienawiści, którą budziły w niej każdy ruch i każde słowo Dreyera. Czasami w nocy, kiedy zbliżał się do niej z tkliwym śmieszkiem, czuła nieprzepartą ochotę, żeby wbić palce w jego szyję i ścisnąć, ścisnąć z całej siły. Kiedy jednak wymogła na nim niedawno, żeby jej obiecał, że nie sprzeda za śmiesznie niską cenę, oferowaną przez Willy'ego, swojej najlepszej kamienicy, i jako szczerą rekompensatę zaproponowała mu z własnej woli krótką pieśczętę, niespodziewany brak męskiej reakcji zbrzydził ją równie mocno, jak jego umizgi.

Zdawała sobie sprawę, jak trudno w takich warunkach rozumować logicznie, jak trudno tworzyć proste, płynne i eleganckie plany, kiedy wszystko w niej krzyczy i kipi złością. Ale jeśli nie miała umrzeć, trzeba było coś zrobić. Dreyer rozprzestrzenił się przed nią przerażająco jak pożar na jakimś filmie. Ludzkie życie było groźne jak ogień i równie trudno było je zdusić. Podobnie jednak jak przy pożarach, musi istnieć, po prostu musi istnieć ogólnie znany sposób, naturalna metoda gaszenia niepokonanej żywotności człowieka. Olbrzymi, pokryty rudawym włosom, opalony od gry w tenisa, ubrany w jaskrawożółtą piżamę, płomiennie ziewający, tryskający ciepłem i zdrowiem, chrząkający i mrużący w sposób typowy dla mężczyzny, który nie potrafi w pełni zapanować nad swoją potężną witalnością, kiedy się budzi i przeciąga - Dreyer wypełniał sobą całą sypialnię, całe mieszkanie, cały świat.

Coraz częściej, z lekkomyślnością, której już nie zauważała, Marta uciekała od tej tryumfalnej obecności do pokoiku kochanka, przychodziła tam nawet w porze, kiedy był on jeszcze w sklepie i kiedy zamiast tętniących dźwięków napowietrznej budowy nie słychać było jeszcze aparatów radiowych z sąsiedztwa; surowo ściągawszy czarne brwi, cerowała skarpetkę, czekając na jego powrót z ufną i uzasadnioną czułością. Nie mogła wytrzymać dłużej niż dzień bez jego posłusznych ust i młodego ciała. W chwili gdy jeszcze czuła cofające się fale rozkoszy i otwierała oczy, dziwiło ją, że mocne dźgnięcia jej kochanka nie wykończyły Dreyera. Szybko zaczynała znowu kusić ospałego Franza i nie bez trudności (praca w sklepie męczyła biedactwo!) osiągnawszy cel, znów miała wrażenie, że Dreyer ginie, że każde zapamiętałe pchnięcie rani go coraz głębiej i że w końcu, przesyty okropnym

bólem, osuwa się na ziemię, skowycząc, wyrzuca płyn z jelit i wreszcie rozplywa się w nieznośnym blasku jej radości.

On jednak ożywał, jak gdyby nic się nie stało, hałaśliwie chodził po pokojach i wesoły i głodny siadał naprzeciw niej przy posiłkach, zawijał plasterki szynki, przebijał go energicznym ciosem widelca i przeżuwał, kręcąc wąsikami.

- Pomóż mi, Franz, pomóż - mruzczała czasem, szarpiąc go za ramiona.

Jego oczy za dobrze przetartymi szklami były całkowicie uległe. Ale obmyślić nie mógł niczego. Jego wyobraźnia była na jej rozkazy, gotowa pracować dla niej, ale to ona musiała dać jej podniecie i strawę. Zewnętrznie bardzo się przez ostatnie miesiące zmienił: stracił na wadze, wystające kości policzkowe bardziej niż kiedykolwiek nadawały mu wygląd głodnego Hindusa, jakaś osobliwa słabość rozmazywała kontury jego ruchów, jak gdyby istniał tylko dlatego, że tak jest przyjęte - robi się to jednak z konieczności i człowiek w każdej chwili powróciłby chętnie do stanu zwierzęcego odrętwienia. W dzień wszystko szło mechanicznie, siłą inercji, ale noce były bezkształtne i trwożne. Poranne szturchnięcie budzika było jak moneta wrzucona do automatu do sprzedaży. Wstawał, człapał do śmierdzącej ubikacji (samo w sobie mroczne piekielko), człapał z powrotem, mył ręce i zęby, golił się, ścierał mydło z uszu, ubierał się, szedł do stacji metra, wsiadał do wagonu dla niepalących, czytał zawsze ten sam wierszyk reklamowy nad oknem i w rytmie jego prymitywnego trocheja docierał do celu, wchodził po kamiennych stopniach, zezował na zalane słonecznym blaskiem cętkowane bratki na dużym klombie przed wyjściem, przechodził przez ulicę i w sklepie robił wszystko, czego się po nim spodziewano.

Wróciwszy tą samą drogą do domu, znów robił to, czego odeń oczekiwano. Po jej wyjściu przez jakiś kwadrans czytał gazetę, ponieważ przyjęte było czytać gazety.

Potem szedł do willi wujka. Przy kolacji opowiadał czasami, co przeczytał w gazecie, dosłownie powtarzając zdania, ale dziwnie mieszając fakty, toteż Dreyer świetnie się bawił, najpierw go podpuszczając, a potem poprawiając. Koło jedenastej wychodził stamtąd. Do domu szedł zawsze tymi samymi chodnikami. Kwadrans później już się rozbierał. Światło gasło.

Jego myślami rządziła ta sama monotonia, co jego działaniami, a ich następstwo odpowiadało porządkowi dnia. Dlaczego przestał przynosić kawę? Nie sposób spłukiwać, skoro za każdym razem urywa się łańcuszek. Tępe ostrze. Piffke goli się, nie zdejmując kołnierzyka, w publicznej toalecie. Te białe szorty nie są praktyczne. Dzisiaj mamy dziewiąty, nie, dziesiąty, nie, jedenasty czerwca. Znowu wyszła na balkon. Nagie ramiona, pelargonie w skrzynkach. Metro z każdym dniem coraz bardziej zatłoczone. Myjąc zęby

filodentem, usta wciąż masz uśmiechnięte.

Zdarzają się idioci, którzy ustępują miejsca potężnym, silnym kobietom. Myjąc usta filodentem, zęby wciąż masz uśmiechnięte. Usta ścięte.

A za tymi miarowymi codziennymi myślami, jak za słowami napisanymi na szkle, rozpościerała się ciemność, ciemność, w którą nie należy spoglądać. Zdarzały się jednak dziwne przeblyski. Kiedyś wydało mu się, że jakiś mocno zalatujący serem urzędnik policyjny z teczką pod pach patrzy na niego podejrzliwie z miejsca naprzeciw. Listy jego matki zawierały przerażające insynuacje: utrzymywała na przykład, że Franz przekręca niektóre słowa albo ich nie kończy. W sklepie pysk gumowego lwa morskiego, umieszczony tam dla rozrywki miłośników kąpiele, zaczął przypominać twarz Dreyera i Franz ucieszył się, kiedy pani Steller, Robbe Allée 1, kazała mu go zapakować i posłać do jej mieszkania. Wciągając zapach kwitnących lip, nostalgicznie przypominał sobie podwórko szkolne w rodzinnym miasteczku - bawiąc się w berka zamawiali dotykając kory lipowej. Pewnego razu na ulicy niemal wpadła na niego młoda dziewczyna z rozkołysanymi piersiami, ubrana w krótką czerwoną sukienkę; trzymała w ręce pęk kluczy i wydało mu się, że rozpoznaje w niej córkę stróża, której pragnął przed wiekami. Były to tylko efemeryczne mgnienia świadomości, kiedy gasły, natychmiast wracał do stanu półśnienia.

Ale w nocy, w jego narkotycznym śnie, przebijało się coś bardziej znaczącego.

Razem z Martą odpilowywali w publicznej toalecie głowę Piffkego, który początkowo niczym nie różnił się od zabitego w wypadku szofera, a potem nazywany był w języku snów Dreyerem. W koszmarach tych przerażenie i bezradna odraza mieszały się z jakimś zaświatowym wrażeniem, znanym tym, którzy właśnie umarli albo w jednej chwili oszaleli, odcyfrowawszy znaczenie wszystkiego, co istnieje. W jednym ze snów Dreyer stał na drabinie i powoli nakręcał czerwony gramofon i Franz wiedział, że za chwilę gramofon wyszczeka słowo, które rozwiązuje zagadkę wszechświata, i że potem istnienie stanie się częścią dziecinną zabawą, jakimś stawianiem stóp za każdym razem na szczelinie między płytami chodnikowymi. Z gramofonu popłynęła znana piosenka o smutnym Murzynie i miłości Murzyna, ale z miny Dreyera i jego chytrych oczu Franz domyślił się, że to podstęp, że zadrwiono sobie z niego, że w piosence ukryło się właśnie to słowo, którego nie wolno usłyszeć, i obudził się z krzykiem, i długo nie mógł rozpoznać bladego kwadratu w oddali, aż wreszcie stał się on bladym oknem w mroku, dopiero wtedy znowu przyłożył głowę do poduszki. Nagle wbiegała Marta - z okropną twarzą, woskową, połyskliwą, z ciężkimi policzkami, starczymi zmarszczkami i siwymi włosami - chwyciła go za nadgarstek i ciągnęła na jakiś zawieszony wysoko nad ulicą balkon, a na chodniku pod nim stał policjant, który

trzymał coś przed sobą i który zaczął powoli rosnać, aż wreszcie jego twarz dosięgła balkonu - trzymał gazetę i głośno przeczytał Franzowi wyrok śmierci na niego.

Koledzy z działu sportowego, atletycznie zbudowany Schwimmer i jego zniewieściał przyjaciel, Szwed (który teraz sprzedawał kostiumy kąpielowe), któregoś dnia zauważyli jego bladłość i poradzili mu, żeby się poopalał w niedzielę na brzegu jeziora w Grunewaldzie. Ale Franza opanowało lodowate lenistwo, a poza tym wolna godzina oznaczała godzinę z Martą. Co do niej, wzięła jego ponury nastrój za chorobę, na którą sama cierpiała, rozżarzoną do białości gorączkę ustawicznej myśli o morderstwie. Cieszyło ją, kiedy w obecności Dreyera, napotkawszy jego wzrok, Franz zaczynał niekiedy zaciskać i otwierać dłonie, łamać zapałki, bezmyślnie bawić się solniczką. Była przekonana, że jej śmiertelne promienie przebijają go na wskroś i że musi tylko ukłuć go błyskiem światła, by eksplodowała zgęszczona cząstka jego duszy, w której leżał w ukryciu uwięziony obraz śmierci, i by zolbrzymiały Franz rozdeptał pelzającego szerszenia. Irytowało ją natomiast, kiedy Franz się skarżył. Słuchając jego mamrotania, wzruszała ramionami.

- Czy nie rozumiesz, że to szaleniectwo? - powtarzał Franz. - Wiem, że jest szalony.

- Bzdura, wcale nie jest szalony, tylko trochę zbzikowany. To nawet lepiej dla nas. Przestań się, z łaski swojej, trząść.

- Ale to okropne - upierał się Franz. - Przestał przynosić mi kawę, nawet nie pamiętam, kiedy, a potem nagle pojawił się z filiżanką bulionu.

- Dajże spokój. Kogo to obchodzi? Jest zupełnie nieszkodliwy. Ma chorą żonę.

Franz dalej kręcił głową.

- Nigdy jej nie widać. Tysiąc razy stukałem do drzwi, żeby wyciągnąć go z klozetu, ale zawsze siedział tam on, nie ona. Nie podoba mi się to.

- Głuptas z ciebie. Mówię ci, że dla nas to lepiej. Nikt nie wtyka nosa w nasze sprawy. Mam wrażenie, że pod tym względem mamy sporo szczęścia.

- Bóg jeden wie, co się dzieje w tym ich pokoju - wzdychał Franz. - Dochodzą stamtąd czasem takie dziwne odgłosy. Nie śmiech, tylko raczej gdakanie kury.

- Dostyc tego - cicho powiedziała Marta.

Umilkł. Siedział nagi na krawędzi łóżka i wbijał wzrok w podłogę.

- Kochany mój, kochany - powiedziała posępnie i porywczo. - Czy to ważne?

Nie widzisz, że dni mijają, a my ciągle gadamy bez sensu i nie wiemy, od czego zacząć? Nie widzisz, że w ten sposób doprowadzimy się do strasznego stanu i któregoś dnia po prostu rzucimy się na niego i rozszarpiemy go na kawałki?... Tak dłużej być nie może. Musimy coś wymyślić. Wiesz, ostatnio jest tak okropnie pełen życia. Czy jest silniejszy od

nas? Czy jest w nim więcej życia niż w tym i w tym, i w tym?

Miała rację, o, tak, miała rację! Życie paliło się w starym wiarusie jasnym płomieniem. Czuł się młody, backhand miał teraz równie dobry, jak forehand, żołądek miał jak marzenie, następnej zimy chciał jechać do Brazylii albo do Zanzibaru. Izolda była kosztowna i niewierna, ale od czasu do czasu przeczyszczał się z nią erotycznie w ładnym mieszkanku, które kupił dla obu sióstr (Idę jednak wkrótce porwał do Drezna zazdrosny kochanek). Na przyjęciu wydanym przez attache handlowego Luksemburga wysoka Marta w czarnych jedwabiach, z uroczymi ramionami i kolczykami ze szmaragdów przyćmiła wszystkie inne kobiety. Dreyer postanowił ukryć przed nią, dopóki nie nadejdzie stosowna chwila, swoje specjalne przedsięwzięcie, choć po prawdzie kilka razy zrobił aluzję do nowego niezwykłego interesu. Ale jak by miał jej wyjaśnić to, co go tak bardzo zajmowało? Było to rzeczą niemożliwą. Uznałaby to za idiotyczną fanaberię. Słyszał kto, mechaniczne manekiny! Co potem, Pigmalionie? Ty, Galateo. Nie, takie postępowanie nic by nie dało. Powiedziałyby: „Tracisz czas na bzdury”. Tak, ale jakie cudowne bzdury. Uśmiechnął się na myśl, że i ona ma swoje dziwactwa. Na przykład ta woda różana z lodem, którą naciera twarz przed snem. Ta codzienna gimnastyka *à la* Hindukicz. Z hałasem przejechał laską po prętach ogrodzenia. Szli słoneczną stroną ulicy. Jego towarzysz, czarnobrody Wynalazca, sugerował stale, że może nie najgorszym pomysłem byłoby przejście na drugi, pogrążony w cieniu chodnik, ale Dreyer nie słuchał. Skoro on lubił słońce, inni też byli obowiązani je lubić.

- To jeszcze dosyć daleko - westchnął jego towarzysz. - Czy jest pan pewien, że chce pan tam iść?

- Jeśli pan pozwoli - z roztargnieniem powiedział Dreyer i przyśpieszył kroku.

Jak wesoło jest żyć. Na przykład w tej chwili ten czarnobrody geniusz prowadzi go gdzieś, gdzie zobaczą coś bardzo interesującego. Gdyby zatrzymać jakiegoś przechodnia i powiedzieć mu: „Spróbuj, brachu, zgadnąć, na co idę popatrzeć i dlaczego muszę to zobaczyć?” - w żaden sposób nie umiałby odpowiedzieć. Mało tego: wszyscy ci ludzie pędzący ulicą, czekający na tramwaj - jakież to nagromadzenie tajemnic, zaskakujących profesji, niewiarygodnych wspomnień. Na przykład tamten facet - z laską i bardzo angielskim złotym wąsikiem; kto wie, może w czasie wojny powierzono mu ponure i niedorzeczne zadanie: miał w taki sposób przystosowywać rozmaite elementy mundurów wziętych do niewoli nieprzyjaciół, by mogły służyć interesom narodu, ale po dwu latach tej pracy, materiał zaczął się kurczyć i faceta posłano na front, gdzie mógł się nacieszyć przynajmniej jedną porządną walką pośród ruin wioski, słynącej niegdyś ze swoich dyń i świń, a potem było zawieszenie broni i ostatni żołnierz zginął od wyrzuconego z samolotu worka ulotek z

tekstem traktatu pokojowego. Ale czemu obcym ludziom przypisywać własne wspomnienia? Ten staruszek na ławce był w młodości - no, nie wiem - może sławnym akrobatą; a ten czarnobrody cudzoziemiec, między nami mówiąc - straszny nudziarz, dokonał może efektownego wynalazku. Nic nie wiadomo i wszystko jest możliwe.

- Na prawo - powiedział straszny nudziarz, dysząc ciężko. - Tamten budynek, o, tam, ten z rzeźbami.

W przybudówce gmachu sądu policja zorganizowała wystawę zbrodni. U pewnego cieszącego się szacunkiem obywatela, który ni stąd, ni z owad, bez żadnego powodu, rozerwał na kawałki dziecko sąsiada, znaleziono w mieszkaniu sztuczną kobietę. Potrafiła chodzić, załamywać ręce i siusiać. Właśnie ta kobieta była teraz w policyjnym muzeum. Gnany profesjonalnym niepokojem, Wynalazca zapragnął się jej przyjrzeć. Zaprowadził ich do niej emerytowany żandarm, którego Dreyer skłonił pewną sumką do uruchomienia mechanizmu. Nieszczęsną kobietę wykonano, jak się okazało, dość prymitywnie, a tajemnicze tworzywo, o którym pisały gazety, było, dzięki Bogu, po prostu gutaperką. Jej zdolność poruszania się także wyolbrzymiono.

Mechaniczne urządzenie, zamontowane w środku, pozwalało jej zamykać szklane oczy i rozkładać nogi, które można było wypełnić gorącą wodą. Włosy na ciele i kasztanowate loki spadające na ramiona były prawdziwe. Ogólnie rzecz biorąc - nic nowego, po prostu trywialna kukła. Pełen pogardy i szczęśliwy Wynalazca zaraz wyszedł, natomiast Dreyer, który zawsze obawiał się przegapić coś zabawnego, zwiedził wszystkie sale. Obejrzał sobie twarze przestępców, powiększone fotografie uszu, niechlujne odciski palców, noże kuchenne, sznury, wypłowiałe strzępy ubrań, zakurzone słoiki, brudne próbówki - tysiące skrzywdzonych przedmiotów - i znowu szeregi fotografii, ziemiste twarze nie umytych, źle ubranych morderców i zapuchnięte twarze ich ofiar, które po śmierci zrobiły się podobne do tamtych.

Wszystko to było takie nędzne i głupie, że Dreyer nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Myślał o tym, jakim beztalenciem, jakim tępakiem albo histerykiem trzeba być, żeby zamordować bliźniego. Trupia szarość eksponatów, banalność zbrodni, jakieś meble z mieszczańskich domów, wylękniona konsolka, na której znaleziono krwawy odcisk palca, orzechy laskowe, nasyczone strychniną, guziki, metalowa miednica, znowu fotografie - cała ta tandetna zbieranina wyrażała prawdziwą istotę zbrodni. Ileż ci głupcy tracą! Tracą nie tylko cuda codzienności, zwyczajną przyjemność istnienia, ale nawet takie chwile, jak ta, możliwość przyglądania się z zainteresowaniem czemuś, co w gruncie rzeczy jest nudne. A na końcu ostateczne Nudziarstwo - o świecie, bez śniadania, bladzi ojcowie miasta w cylindrach

jadą na egzekucję. Jest zimno i mgliście. Jakim osłem musi się człowiek czuć o piątej rano w cylindrze! Skazańca wyprowadzają na podwórze więzienne. Pomocnicy kata błagają nieszczęśnika, żeby zachowywał się godnie i nie stawiał oporu. A otóż i topór. Razdwa i pokazują publiczności odrąbaną głowę. Co też robi mieszczuch w surducie, kiedy na nią patrzy - kiwa ze współczuciem czy chmurzy się z naganą, a może uśmiecha się zachęcająco, jak gdyby mówił: „Widzisz, jak szybko i prosto się sprawili?” Dreyer przyłapał się na myśli, że to mogłoby być interesujące - wstać o pierwszym brzasku i starannie się ogoliwszy i zjadłszy solidne śniadanie, wyjść w pasiastej piżamie więziennej na podwórze, z jakimś stosownym żarcikiem pomacać muskuły tęgiego kata, przyjacielsko pomachać całemu zgromadzeniu ręką, dobrze ostatni raz przyjrzeć się białym, poważnym twarzom... Tak, wszystkie te twarze są niezwykle blade. O, tu na przykład mamy młodego człowieka, który zarabiał swoich rodziców: jakie ma duże uszy i jaki jest pryszczaty. A tu, proszę, posępny dżentelmen, który zostawił na dworcu kufer ze zwłokami narzeczonej. A tutaj - wynalazek doktora Guillotina, och, nie, to średniowieczne szwajcarskie urządzenie dokładnie tego samego typu: deska, drewniany kołnierz, dwie pionowe listwy, ostrze pomiędzy nimi.

Monsieur Guillotin, jest pan plagiatorem! O - amerykański fotel dentystyczny.

Dentysta jest w masce. Pacjent także ma maskę, z otworami na oczy. Rozcinają mu na łyce nogawkę, żeby doprowadzić przewód. Aha! Włączono prąd. Hop, hop, hop - jak na wyboistej drodze. Co za okropni idioci. Zbiór kretyńskich twarzy i udręczonych przedmiotów.

Na dworze było cudownie, wiał bujny wiatr. Podeszwy przechodniów zostawiały na uwznioślonym przez słońce asfalcie srebrzyste ślady. Jaki cudowny, niebieski i wonny jest w lecie nasz Berlin. Nad morzem jednak także byłoby nie najgorzej. Te chmury takie promienne - wakacyjne chmury. Robotnicy leniwie naprawiają jezdnię. Jak dobrze. Zabawne byłoby - pomyślał - poszukać na twarzach tych robotników, tych przechodniów rysów i min, które widział przed chwilą na niezliczonych fotografiach. I ku swemu zdziwieniu w każdym, kogo tylko napotykał, rozpoznawał przestępcę, dawnego, aktualnego lub przyszłego. Wkrótce zabawa tak go pochłonęła, że zaczął dla każdego wymyślać osobny rodzaj zbrodni. Obserwował mężczyznę o krągłych ramionach, niosącego podejrzaną walizkę; podszedł do niego i poprosił o ogień. Mężczyzna strzepnął popiół z papierosa i w zwykły, oklepany sposób dał mu przypalić; ręka mężczyzny drżała, Dreyer to zauważył i zaczął żałować, że nie może okazać policyjnej odznaki. Przepływała obok niego twarz za twarzą, oczy unikały jego wzroku, nawet w pulchnych, macierzyńskich kurach domowych odnajdywał szkielety morderczyń. Tak sobie szedł, kręcąc laską jak śmigłem, bawiąc się wyjątkowo dobrze,



mimowolnie szczerząc zęby do obcych ludzi i z przyjemnością dostrzegając ich chwilowe zakłopotanie. Potem zabawa go znużyła, poczuł głód i pragnienie i przyspieszył kroku. Podchodząc do furtki, zobaczył w ogrodzie żonę i siostrzeńca. Stali obok siebie nieruchomo, patrząc, jak się zbliża. I poczuł miłą ulgę, widząc wreszcie dwie dobrze znane, całkowicie ludzkie twarze.

## XI

- Proszę panią, moja droga - powiedział Willy Wald - tak nie można. Już dwa razy spojrziała pani ukradkiem na zegarek, a potem na męża. Przecież naprawdę nie jest późno.

- I proszę wziąć jeszcze trochę truskawek - powiedziała żona Willy'ego.

- Musimy zostać chwilę, najdroższa - powiedział Dreyer - bo nie mogę sobie przypomnieć tego kawału.

- Błagam, proszę spróbować go sobie przypomnieć - powiedział z głębi fotela Willy Wald.

-...albo nalać sobie łyżeczek likieru - powiedziała pani Wald swoim znużonym, melodyjnym, afektowanym głosem.

Dreyer walnął się pięścią w czoło.

- Mam początek i środek. Dom towarowy za zakończenie!

- Spokojnie, samo przyjdzie - powiedział Willy. - Jeśli będzie się pan denerwować, pańską żonę ogarnie jeszcze większa nuda. To surowa dama. Czuję dla niej mores.

-...jutro o tej porze będziemy w drodze do Paryża - powiedziała pani Wald, nabierając rozpędu, ale Willy jej przerwał.

- Zabiera mnie do Paryża! Wiem, że to szampańskie miasto, ale po szampanie zawsze mam zgagę. Jadę jednak. Jadę. A właśnie, nie powiedział mi pan, jakie państwo mają plany wakacyjne. Słyszałem o gościu, który nie mógł sobie przypomnieć śmiesznej historyjki i pękła mu aorta.

- To nie to, że nie mogę jej sobie przypomnieć jest takie przykre - powiedział żałośnie Dreyer. - Przykre jest to, że przypomnę ją sobie w minutę po naszym rozstaniu. Nie, jeszcześmy się nie zdecydowali. Prawda, najdroższa? Jeszcześmy się nie zdecydowali? Prawdę powiedziawszy (zwracając się do Willy'ego), w ogóle o tym nie rozmawialiśmy. Ona nie znosi Alp. Wenecja nic dla niej nie znaczy. To wszystko jest takie skomplikowane. Pod koniec był zwrot, taki śmieszny...

- Proszę dać temu pokój - sapnął Willy. - Jak to się stało, że jeszcze się państwo nie zdecydowali? Mamy koniec czerwca. Najwyższa pora.

- Chyba - powiedział Dreyer, pytająco spojrzawszy na żonę - chyba pojedziemy nad

morze.

- Woda - przytaknął Willy. - Mnóstwo błękitnej wody. Świetny pomysł. Sam bym pojechał nad morze, z rozkoszą. A ciągnie się mnie do Paryża. Wyjątkowo dobrze pływam, pewnie by pan nie uwierzył.

- Ja nie umiem pływać - ponuro odpowiedział Dreyer. - W niektórych sportach jestem kiepski. To samo z nartami. Wydaje się, że cały czas stoję w miejscu: rozmach, zręczność, równowaga - po prostu nie udaje mi się tego osiągnąć. Nie jestem pewien, czy te nowe narty są dla mnie najważniejsze. Najdroższa, wiem, że nie lubisz morza, ale jedźmy tam jeszcze ten jeden raz. Weźmiemy ze sobą Franza i Toma.

Będziemy się pluskać i taplać. Będziesz pływać z Franzem łódką i zrobisz się brązowa jak mleczna czekolada.

I Marta się uśmiechnęła. Nie zdawała sobie sprawy, skąd nadleciał powiew wilgotnej świeżości. *Laterna magica* wyobraźni pozwoliła wsunąć się barwnemu przeźroczu: długa piaszczysta plaża nad Bałtykiem, gdzie byli raz, w 1924 roku, białe moło, jaskrawe chorągiewki, pasiaste budki, tysiące pasiastych budek - są coraz rzadsze, urywają się, a potem przez wiele kilometrów ciągnie się na zachód pusta biel piasku pomiędzy wrzosowiskiem a wodą. Jak zgasić pożar? Nawet dziecko potrafi odpowiedzieć.

- Pojedziemy do Gravitz - oznajmiła, zwracając się do Willy'ego.

Niezwykle się ożywiła. Jej lśniąca usta rozchyliły się. Jej podługne oczy iskrzyły się jak klejnoty. W jej płonących policzkach pojawiły się dwa sierpowate dołki.

Podniecona, zaczęła opowiadać Elzie Wald o maleńkiej krawcowej (zawsze są „maleńkie”), którą odkryła. I ekstatycznie pochwaliła perfumy Elzy. Dreyer obserwował ją, jedząc truskawki, i cieszył się. Po prostu nigdy jeszcze nie promieniała i nie paplała tak pięknie, kiedy odwiedzali Waldów („To twoi przyjaciele, nie moi”).

- Musimy poważnie porozmawiać - powiedziała w drodze do domu. - Czasem masz dobre pomysły. Posłuchaj, jutro rano napiszesz, że chcesz zarezerwować dwa sąsiadujące ze sobą pokoje i do tego jedną jedynekę w hotelu „Widok na morze”.

Ale psa zostawimy w domu, byłyby z nim tylko kłopoty. Lepiej się pośpiesz, bo zabraknie pokoi.

Był trochę pijany i przykleił się do jej ciepłej szyi. Dość dobrodusznie go odepchnęła i powiedziała:

- A więc jesteś nie tylko zbereźnikiem, ale i kłamcą.

Spojrzał na nią zaniepokojony.

- O co ci chodzi?

- Jak mi się wydaje - powiedziała - twierdziłeś - zaraz, kiedy to było... rok temu?... że bierzesz lekcje we Freibadzie i pływasz jak ryba.

- Niewybaczalna przesada - odpowiedział z ulgą. - Jak bardzo kiepska ryba.

Udaje mi się przepłynąć trzy metry, a potem tonę jak kłoda.

- Z tym zastrzeżeniem, że kłody nie toną - powiedziała wesoło Marta.

Trzeba się śpieszyć! Teraz jednak pośpiech był beztroski. Kiedy dokoła są fale i słońce, jakże łatwo się oddycha, zabija, kocha. Maleńkie słówko „woda” rozwiązało wszystko. Chociaż Marta nie miała pojęcia o zadaniach matematycznych i przyjemności eleganckiego dowodu, natychmiast rozpoznała rozwiązanie swojego zadania - po prostocie i przejrzystości. Ta harmonijna oczywistość, ten elementarny wdzięk kazały jej się wstydić - a miała czego - swojego błędzenia po omacku i niezdarnych fantazji. Poczula potężną chęć zobaczenia się - już, teraz - z Franzem, musiała przynajmniej coś zrobić, przetelegrafować mu natychmiast kluczowe słowo, na razie jednak depesza brzmiała: PÓLNOC TAKSÓWKA STOP DESZCZ BRAMA HOL

SCHODY SYPIALNIA PROSZĘ STOP DOBRZE POŚPIESZ SIĘ DOBRANOC. A następnego dnia wypadła niedziela - to ci los! Ostrzegła Franza, że jeśli pogoda się nie poprawi, nie przyjdzie do niego, ponieważ Dreyer nie będzie grał w tenisa. Nawet jednak ta zwłoka, która dawniej doprowadziłaby ją do szału, teraz, w świetle nowo zdobytej pewności, wydawała się drobiazgiem.

Zbudziła się trochę później niż zwykle i jej pierwszą myślą było, że poprzedniego wieczoru zdarzyło się coś wspaniałego. Na tarasie Dreyer właśnie skończył pić kawę i czytał gazetę. Kiedy zeszła na dół, promienna, w bładozielonej sukience z krepy, wstał i ucałował jej zimną dłoń, jak czynił to zawsze w niedzielne poranki, tym razem jednak dodał do pocałunku dobroduszne mrugnięcie okiem - wyraz wdzięczności. Srebrna cukiernica oślepijąco błysnęła w słońcu, powoli przygasła i zapłonęła znowu.

- Czy korty mogą być jeszcze mokre?

- Telefonowałem - odpowiedział i wrócił do lektury. - Są przesiąknięte wodą. Jakiś archeolog znalazł w Egipcie grobowiec, a w nim zabawki i niebieskie osty, mają po trzy tysiące lat.

- Osty nie są niebieskie - powiedziała Marta, sięgając po maszynkę do kawy.

- Napisałeś w sprawie pokoi?

Nie podniósł oczu, ale kiwnął głową i nadal kiwał, tylko trochę mniej energicznie, czytając gazetę, wesoło nakazywał sobie pomiędzy kiwnięciami pamiętać, żeby podyktować ten list jutro w biurze.

Kiwaj sobie, kiwaj... rób z siebie błazna... to już teraz nieważne. On jest pierwszorzędnym pływakiem - to nie żaden tenis! Ona także urodziła się nad brzegiem wielkiej rzeki i może się utrzymywać na powierzchni całymi godzinami, całymi dniami, przez całą wieczność.

Leżała czasem w wodzie na plecach i woda otulała ją i kołysała, taka cudowna, taka chłodna. I orzeźwiający wietrzyk przenikał cię, kiedy siedziałaś pośród niezapominajek - naga z nagim chłopcem w twoim wieku. Te refleksje przychodziły bez żadnego wysiłku. Nie musiała nic wymyślać, tylko dookreślać to, co istniało już w zarysie. Jaki szczęśliwy będzie jej ukochany. Czy ma zadzwonić do niego i powiedzieć tylko jedno słowo: *Wasser*?

Dreyer głośno złożył gazetę, jak gdyby zawijał w nią jakiegoś ptaka, i powiedział:

- Chodźmy się przejść, co? Jak myślisz?

- Idź sam - odpowiedziała. - Muszę napisać kilka listów. Trzeba uprzedzić Hildę...

Pomyślał: „A gdybym tak ją poprosił, czule, bardzo czule. Dzisiaj jest święto.

Znowu się kochamy”.

Ale uczuciowe zdecydowanie nigdy nie było jego mocną stroną i ostatecznie nie powiedział nic.

Chwilę potem Marta zobaczyła z tarasu, jak z deszczowcem przewieszonym przez ramię idzie w kierunku bramy, otwiera furtkę, puszcza Toma pierwszego, jak damę, i oddala się, zapalając w marszu cygaro.

Siedziała nieruchomo. Cukiernica na przemian to błyskała, to przygasła.

Nagle na obrusie pojawiła się szara plamka, potem obok niej druga. Kropla upadła na jej rękę. Marta wstała, spoglądając w górę. Frieda zaczęła pośpiesznie zbierać naczynia i ściągać obrus, także raz po raz patrząc na niebo. Zagrzmiało i zdziwiony wróbel przysiadł na balustradzie, a potem zerwał się z niej i poleciał. Marta weszła do domu. Drzwi toalety w korytarzu trzaskały. Frieda, już na wpół przemoczona, z obrusem w ramionach, śmiejąc się i mamrocząc coś do siebie, popędziła z tarasu w kierunku kuchni. Marta stała na środku dziwnie pociemniałego salonu. Na zewnątrz wszystko teraz bulgotało, mruczało, dyszało. Zastanawiała się, czy nie powinna najpierw do niego zadzwonić, ale była zbyt niecierpliwa - wszystkie te ceremonie z telefonem byłyby stratą czasu. Włożyła z szelestem swój płaszcz nieprzemakalny i chwyciła parasolkę. Frieda przyniosła jej z sypialni kapelusz i torebkę.

- Powinna pani poczekać - powiedziała. - To prawdziwy potop.

Marta roześmiała się i powiedziała, że zapomniała o umówionym spotkaniu w kawiarni z panią Bayader i jeszcze jedną damą, ekspertem w dziedzinie rytmicznego oddechu. („Wymiany oddechów” - Frieda, która wiedziała znacznie więcej, niż powinna, prychała raz

po raz przez cały ranek). Deszcz zaczął bębnić w naprężony jedwab parasolki. Furtka zatrzasnęła się, ochlapując jej rękę. Po lustrzanym chodniku szybko zmierzała do postoju taksówek. Nagle w długie strugi deszczu uderzyło słońce i podcięło je - natychmiast zrobiły się złote i bezdźwięczne. Słońce uderzało raz po raz i pobity deszcz strzelał już tylko pojedynczymi zapalczywymi kroplami i asfalt odbijał opalizujący fiolet, i wszystko stało się nagle takie jasne i gorące, że mokrowłosa Dreyer zrzucił z siebie w marszu deszczowiec, a Tom, po deszczu trochę ciemniejszy, ożywił się i ruszył pędem w kierunku brązowego jamnika. Tom i jamnik kręcili się w jednym miejscu, a właściwie kręcił się Tom, a jamnik obracał się gwałtownie w kółko, dopóki Dreyer nie zagwizdał. Szedł powoli, rozglądając się na wszystkie strony, próbując odszukać nowo wybudowane kino, o którym poprzedniego wieczoru wspomniał Willy. Trafił do dzielnicy, którą odwiedzał rzadko, chociaż znajdowała się niedaleko jego domu. Skręcił do parku, żeby pies lepiej się wyhasał, a potem przeciął jakiś pusty teren, przylegający do nie znanej mu szerokiej ulicy. Kawałek dalej przeszedł przez plac i na rogu następnej ulicy zobaczył wysoki budynek, odarty z większości rusztowań: parter ozdobiony był ogromnym obrazem reklamującym film, który miał być pokazany na otwarcie kina 15 lipca, adaptację sztuki Goldemara *Król, dama, walet*, cieszącej się przed kilku laty taką popularnością. Reklama przedstawiała trzy ogromne, chyba przezroczyście, karty do gry, przypominające witraż; wieczorem, podświetlone, będzie to pewnie wyglądać bardzo efektownie; Król miał na sobie kasztanowaty szlafrok, Walet - czerwony golf, a Królowa - czarny kostium kąpielowy. „Żeby nie zapomnieć jutro kazać zamówić tych pokoi” - pomyślał Dreyer. I trzeba, żeby wierna pani Reich napisała nad swoim podpisem jeszcze jeden liścik: Dr Eier musi wyjechać z miasta i z wielkim żalem zawiadomia, że nie może niestety dłużej płacić za mieszkanie, w którym uparcie przyjmujesz innych idiotów - czy coś w tym stylu.

Miał właśnie odwrócić się i ruszyć z powrotem, kiedy Tom wydał krótkie, stłumione szczerknięcie: z niedużej knajpki, wycierając kłykciami usta, wynurzył się Franz.

- No, no, no, co za spotkanie - zawołał Dreyer. - Zaczynasz dzionek od sznapsa?

- Mój gospodarz przestał mi przynosić śniadania - powiedział Franz. Co za okropne spotkanie. Szli obok siebie, obserwowani lśniąco oczami kałuż.

Niemal nigdy nie bywali tylko we dwóch i Dreyer stwierdził teraz, że zupełnie nie mają o czym rozmawiać. Dziwne uczucie. Spróbował je sobie wyjaśnić. Widywał

Franza w swoim domu praktycznie co wieczór, ale zawsze była przy tym Marta; Franz w naturalny sposób wtapiał się w otoczenie, w którym się zwykle pojawiał, zajmował miejsce od dawna mu wyznaczone i Dreyer nigdy nie rozmawiał z nim inaczej niż tonem

żartobliwym, nie starał się niczego dowiedzieć i nie wyrażał żadnych uczuć, pośród innych dobrze znanych przedmiotów i ludzi przyjmował Franza na wiarę i przerywał głupie i nudne opowieści siostrzeńca, niejasno skierowane do Marty, uwagami nie mającymi nic wspólnego z ich tematem. Dreyer dobrze zdawał sobie sprawę ze swojej własnej ukrytej nieśmiałości, z tego, że nie potrafi szczerze, poważnie, od serca porozmawiać z człowiekiem, którego zderzył z nim bezlitosny przypadek. Teraz milczenie, które wpełzło się między niego i Franza, budziło w nim zarówno lęk, jak i ochotę do śmiechu. Zapytaj go, dokąd idzie. Chrząknął i spojrzał z ukosa na Franza. Franz szedł, patrząc pod nogi.

- Dokąd idziesz? - spytał Dreyer.

- Mieszkam tu niedaleko - powiedział Franz z nieokreślonym gestem.

Dreyer patrzył na niego nie bez życzliwości. „Niech sobie patrzy - pomyślał

Franz. - Wszystko jest w życiu bezsensowne i ten spacer także nie ma sensu”.

- Świetnie - powiedział Dreyer. - Chyba nigdy tu nie byłem.

Przeszedłem przez puste ogrody warzywne i nagle znalazłem się pośród na wpół zbudowanych domów. Ale wiesz co - może pokazałbyś mi swoje mieszkanie?

Franz skinął głową. Milczenie. Po chwili wskazał ręką w prawą stronę i obaj mimowolnie przyśpieszyli kroku, by zrobić coś przynajmniej niecałkowicie pozbawionego sensu - skręcić w prawo. Tom także wyglądał na znudzonego. Niespecjalnie lubił Franza.

„Jaka głupia sytuacja - pomyślał Dreyer. - Muszę znaleźć coś, co mógłbym mu opowiedzieć. W końcu nie idziemy za karawanem”. Zastanawiał się, czy nie opowiedzieć mu o elektrycznych manekinach. To mogłoby zainteresować młodego człowieka. Sprawa była tak zajmująca, że musiał nieźle się powstrzymywać, żeby nie wygadać się w domu. Ostatnio Wynalazca poprosił go, żeby nie przychodził do pracowni, mówiąc, że pracuje nad niespodzianką, a potem, któregoś dnia, promieniejąc radością, zaprosił Dreyera. Rzeźbiarz, który wyglądał na uczonego, i profesor, który wyglądał na artystę, także zdawali się niezwykle zadowoleni z siebie.

Chłopcy ze sklepu, Moritz i Max, ledwie mogli ukryć rozbawienie. Pociągnąwszy za sznurek, Wynalazca rozsunął czarną kurtynę, która także była czymś nowym, i z bocznych drzwi po lewej stronie wyszedł blady, pełen dostojeństwa jegomość w smokingu, z goździkiem w butonierce, przeszedł przez pokój krokiem żywego człowieka, tyle że lunatyka, i wyszedł przez boczne drzwiczki po prawej. Za sceną chwycili go Moritz i Max i zmienili mu ubranie. Tymczasem pokój przeciął z kolei ubrany na białą młodzieniec z rakieta tenisową pod pachą, natychmiast po nim wkroczył somnambulik numer 1, który teraz miał na sobie szary garnitur i elegancki krawat i niósł teczkę. W roztargnieniu wypuścił ją z ręki, nim

zniknął ze sceny, ale Moritz podniósł ją i ruszył za nim do wyjścia. Jednocześnie znowu pojawił się młodzieniec, teraz paradował w wiśniowoczerwonym blezerze, a po nim wszedł starszy pan, ubrany prosto, w deszczowiec, i kroczył spokojnie, pogrążony w swym melancholijnym i tajemniczym śnie.

Dreyer uznał spektakl za zachwycający: nie tylko nogi we wspaniałych spodniach, stosownie przy tym obute, poruszały się ze stylizowaną gracją, jakiej do tej pory nie osiągnęła żadna mechaniczna zabawka, ale na dodatek obie twarze zostały ukształtowane z wielką starannością, zrobiono je z przypominającej wosk substancji, tej samej, w której wymodelowano ręce. I kiedy po ostatnim pojawieniu się czarującego młodzieńca prostak Max dla żartu zaczął go małpować, idąc za nim i stawiając majestatyczne, napuszone kroki, nikt nie miał wątpliwości, która z tych postaci ma więcej ludzkiego uroku, chociaż jeden z Wynalazców miał przecież o wiele większe doświadczenie niż drugi. Po chwili po raz ostatni wychynął w pełni dojrzały automanekin, w tym momencie jego stwórca tak wszystko zaaranżował, że znów odziany w smoking (tylko goździk gdzieś się zapodział przy okazji któregoś z awatarów) jegomość zatrzymał się na środku sceny i zaczął machać nogami - zdawało się, że pokazuje jakiś krok taneczny - a potem znów ruszył do wyjścia, z ręką zgiętą w łokciu, jak gdyby towarzyszył niewidocznej damie.

- Następnym razem - powiedział Wynalazca - będzie jeszcze kobieta. Piękno odtworzyć łatwo, ponieważ piękno opiera się na odtwarzaniu piękna, ale ciągle jeszcze pracujemy nad jej biodrami, chcielibyśmy, żeby nimi kręciła, a to niełatwo osiągnąć.

Ale jakże opisać to wszystko Franzowi? Opowiedziana w tonie żartobliwym, historia ta nie byłaby ciekawa, a gdyby ująć ją serio, Franz mógłby nie uwierzyć, ponieważ Dreyer bardzo często nabierał go w przeszłości. Nagle błysnęła mu zbawcza myśl. Franz nie wie jeszcze, że jest zaproszony nad morze, i oczywiście trzeba mu przekazać tę dobrą wiadomość. Jednocześnie Dreyer przypomniał sobie zakończenie kawału, które nieustannie wymykało mu się poprzedniego wieczoru. Najpierw jednak powiedział mu o wyjeździe, pozostawiając kawał na koniec. Franz wymamrotał, że jest bardzo wdzięczny. Dreyer powiedział mu, co powinien w związku z podróżą kupić, *selbstverständlich* na koszt Wujka! Franz trochę odżył i znowu podziękował, tym razem bardziej wymownie.

- Czy myślisz o małżeństwie? - spytał Dreyer (Franz wykonał gest klauna, któremu zadano zagadkę). - Bo jeśli tak, to mógłbym ci znaleźć bardzo namiętą narzeczoną.

Franz wyszczerzył zęby.

- Jestem za biedny - odrzekł. - Może gdybym dostał podwyżkę...

- To jest myśl - powiedział Dreyer.

- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedział Franz i omal nie przewrócił się na Toma, który nagle przystanął.

Dreyer postanowił, że swoją historyjkę, naprawdę wyjątkowo śmieszną, opowie, kiedy znajdą się już w pokoju Franza: kawałowi powinno towarzyszyć kilka gwałtownych gestów i dziwacznych wygięć ciała. Fatalna zwłoka! Nigdy już go nie opowiedział. Znajdowali się teraz przed domem, w którym inny zabawny kawał był w trakcie, jak to określają botanicznie nastroszeni folklorysty, „eksfoliacji”. Tom przystanął znowu, spojrział w górę, potem się obejrzał.

- Idź, idź - powiedział Dreyer i popchnął kolanem inteligentnego psa.

- Mieszkam tam - powiedział Franz, wskazując palcem czwarte piętro.

- No, to dalej, chodźmy - powiedział Dreyer i przytrzymał drzwi, by mógł przez nie wejść Tom, który z pełnym podniecenia skowytaniem pomknął na górę.

„Jezu Chryste, muszę znaleźć mu jakieś inne mieszkanie, mój siostrzeniec nie może mieszkać w takiej ruderze” - pomyślał Dreyer, wspinając się po schodach, na których nędzne chodniki urywały się na pewnej wysokości, znacznie poniżej granicy lasu. Podczas gdy wchodzili, Marta miała czas zacerować ostatnią dziurę. Siedziała na kochanej zniszczonej kanapie i pochylała się nad skarpetką, sznurowała usta, poruszała nimi i odymała je z zadowoloną miną pani domu. Gospodarz powiedział, że Franz za chwilę wróci. Wskoczył zjeść większe śniadanie niż to, które mogłaby przygotować chora, stara kobieta. Marta wstała, żeby włożyć skarpetki z powrotem do szuflady. Miała już na nogach symboliczne pantofle i wysunęła gumową miskę, kokieteryjnie przykrytą czystym ręcznikiem. Stała na wpół pochylona, wstrzymując oddech. „Przyszedł” - pomyślała i błogo westchnęła. Nagle po korytarzu zbliżył się jakiś nieczłowieczy tupot, potem rozległo się okropne, dobrze znajome szczekanie.

- Cicho, Tom - zachowuj się przyzwoicie - powiedział wesoły głos Dreyera.

- Trzecie drzwi na prawo - powiedział głos Franza.

Marta rzuciła się do drzwi, żeby przekręcić klucz w zamku, ale klucz był po drugiej stronie.

- Tutaj? - spytał Dreyer i klamka się poruszyła.

Całym ciężarem ciała oparła się o drzwi, silną dłonią trzymając klamkę. Słysząc było, jak obraca się klucz, najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Tom gorliwie węszył, wtykając nos w szczelinę pod drzwiami. Klamka znowu spróbowała się szarpnąć. Przeciwno niej było teraz dwu mężczyzn. Pośliznęła się i zgubiła pantofel, co zdarzyło się jej już kiedyś, w innym życiu.



- Co się dzieje? - powiedział głos Dreyera. - Drzwi nie chcą się otworzyć.

Jej silny kochanek pomagał napierać na drzwi. „Dwóch idiotów” - pomyślała Marta chłodno i znowu zaczęła się ślizgać. Uniosła ramię i zablokowała drzwi.

- Zupełnie tego nie rozumiem. Może to mój gospodarz stroi sobie żarty - wymamrotał Franz.

Tom szczeakał jak szalony. Trzeba go jutro zlikwidować. Dreyer chichotał i radził Franzowi wezwać policję.

- Otwórzmy drzwi kopniakiem - powiedział.

Marta poczuła, że nie może opierać się dłużej. Nagle zapanowała cisza i w tej ciszy piskliwy gderliwy głos wypowiedział magiczną antyformułę, pozostawiającą Sezam zamknięty:

- Jest tam pana przyjaciółeczka.

Dreyer odwrócił się. Ściskający czajniczek staruszek w szlafroku kiwał kudłatą siwą głową do młodego imbecyla, który ukrył twarz w dłoniach. Tom obwąchiwał staruszkę. Dreyer wybuchnął śmiechem i ciągnąc psa za obrozę, zaczął się wycofywać.

Franz towarzyszył mu do sieni, potknął się o wiadro.

- Aha, więc taki z ciebie gagatek - powiedział Dreyer.

Mrugnął porozumiewawczo, trącił Franza łokciem w splot słoneczny i poszedł.

Tom obejrzał się za siebie i ruszył za swoim panem. Franz z zeszywniałą twarzą, trochę niepewnie stawiając kroki, przeszedł korytarz i otworzył nie stawiające już oporu drzwi. Zaróżowiona, rozczochrana, zdyszana, jak po bójce, Marta szukała swoich pantofli.

Gwałtownie objęła Franza. Promieniejąc i śmiejąc się, całowała go w usta, w nos, w okulary, potem posadziła go przy sobie na łóżku, dała mu się napić wody.

Zakołysał się niemrawo i położył głowę na jej kolanach; pogładziła go po włosach i cicho, kojąco powiedziała mu o jedynym, płynnym, oślepiająco jasnym rozwiązaniu.

Wróciła do domu przed mężem. Kiedy przyszedł Dreyer i Tom podbiegł truchtem do niej, zmiażdżyła psa szyderczym spojrzeniem.

- Wiesz co - powiedział Dreyer - nasz mały Franz... no, nie, wyobraź sobie...

- długo bełkotał coś i kręcił głową, nim jej wreszcie powiedział.

Obraz jego ponurego, niezgrabnego siostrzeńca pieszczącego dużą, silną ukochaną był nie do opisanego komiczny. Przypomnił sobie, jak Franz podskakiwał na jednej nodze w brudnych kalesonach, i poczuł jeszcze większą wesołość.

- Zdaje się, że jesteś po prostu zazdrosny - powiedziała Marta, a Dreyer spróbował ją objąć.

Kiedy pierwszy raz po tym wydarzeniu Franz przyszedł na kolację, wujek zaczął z niego żartować. Marta kopała męża pod stołem.

- Mój drogi Franz - mówił Dreyer, przesuając się poza zasięg jej buta - może wcale nie masz teraz ochoty wyjeżdżać na odległe wybrzeża, może ci całkiem dobrze w mieście. Powiedz szczerze. W końcu i ja byłem kiedyś młody.

Po chwili zaś zwrócił się do Marty i mimochodem zauważył: - Wiesz, wynajęłem prywatnego detektywa. Ma za zadanie sprawdzić, czy moi pracownicy prowadzą cnotliwe życie, czy nie piją, nie hazardują się, a zwłaszcza nie...

- w tym momencie przycisnął do ust palce, jak gdyby powiedział za dużo, i spoglądał na swoją ofiarę. - Oczywiście żartuję - rzucił z udawanym zakłopotaniem i cienkim, sztucznym głosem, jak gdyby chciał zmienić temat, dodał: - Śliczną mamy dziś pogodę.

Do wyjazdu zostało zaledwie kilka dni. Marta była taka szczęśliwa, taka spokojna, że nic nie mogło jej teraz zdenerwować: dowcipy jej męża wkrótce się skończą, podobnie jak wszystko inne - jego cygara, woda kolońska, jego cień i cień jego książki na białym tarasie. Tylko jedna rzecz wyprowadzała ją z równowagi - fakt, że właściciel hotelu „Widok na morze” miał czelność skorzystać z wakacyjnego napływu gości i zażądał niesłychanej sumy za pokoje. Oczywiście szkoda, że usunięcie Dreyera będzie takie kosztowne, zwłaszcza teraz, kiedy muszą się liczyć z każdym groszem, bo - mówiła - nim się człowiek spostrzeże, Dreyer może w ciągu tych ostatnich dni stracić cały majątek. Były pewne podstawy, żeby się tego obawiać.

Jednocześnie jednak odczuwała jakąś dziwną satysfakcję na myśl, że teraz, w chwili kiedy ma pod jej nadzorem umrzeć, błyskotliwa kupiecka wyobraźnia jak gdyby się wyczerpała, że wyczerpał się talent do szybkich przedsięwzięć, dzięki którym Dreyer zdobył majątek dla wcale nie niewdzięcznej wdowy po sobie.

Nie wiedziała, że, paradoksalnie, w tym okresie kryzysu i bezwładu Dreyer w tajemnicy zajął się kosztownym przedsięwzięciem z automanekinami. Pytanie tylko, czy nie była to rzecz zbyt olśniewająca, zbyt ekstrawagancka, zbyt oryginalna jak na potrzeby statecznego mieszczańskiego sklepu w Berlinie? Z drugiej strony ani przez chwilę nie wątpił, że wynalazek można by sprzedać za ładną sumkę, gdyby tylko udało się olśnić i oczarować ewentualnego kupca. Wkrótce miał do Berlina przyjechać pan Ritter, amerykański biznesmen, który miał talent do czerpania zysków z dziwacznych innowacji. „Sprzedam mu to - pomyślał Dreyer. - Nieźle byłoby sprzedać i sklep”.

W sekrecie przyznawał, że jest kupcem jedynie z przypadku i że jego fantazje nie nadają się na przedmioty handlu. Jego ojciec chciał być aktorem, został charakterizatorem w

wędrownym cyrku, potem próbował projektować scenografię teatralną, wspaniale aksamitne kostiumy, a skończył jako średnio popularny krawiec.

W latach chłopięcych Kurt chciał być artystą, jakiegokolwiek rodzaju, ale zamiast tego spędził mnóstwo nudnych godzin na pracy w sklepiku ojca. Największą satysfakcję artystyczną czerpał ze swych przedsięwzięć handlowych w okresie inflacji. Wiedział jednak doskonale, że bardziej odpowiadałyby mu inne sztuki, inne nowości. Co właściwie powstrzymywało go przed poznaniem świata? Miał odpowiednie środki. A jednak pomiędzy nim a każdym przyzywającym go marzeniem rozpościerał się jakiś fatalny welon. Był kawalerem z piękną marmurową żoną, namiętym zbieraczem, który nie miał czego kolekcjonować, alpinistą, nie wiedzącym, na jakiej górze umrzeć, nienasyconym czytelnikiem książek, które zaraz zapominał, szczęśliwym i zdrowym nieudacznikiem. Nędzną namiastką sztuki przygód, którą musiał się zadowolić, były willa na przedmieściu i banalne wakacje w kurorcie nad Bałtykiem - i nawet to bardzo go podniecało, podobnie jak zapach taniego cyrku upajał jego cicho bełkoczącego ojca.

Wycieczka nad Zatokę Pomorską zapowiadała się na całkiem miłą imprezę, jeśli chodzi o wszystkich zainteresowanych, nie wyłączając boga losu (Przypadnik czy Słucza, czy jakkolwiek się tam naprawdę nazywa), jeśli wyobrazić sobie tego boga w roli powieściopisarza albo dramaturga, jak w najślawniejszym dziele Goldemara.

Marta przygotowywała się do wyprawy nad morze z systematycznym i błogim zapalem. Leżąc na piersi Franza, rozwalając się na nim, mocna i ciężka, i trochę lepka od upału, szeptała mu do ust i ucha, że najbliższa przyszłość ukoi jego cierpienia.

Nabyła - nie w sklepie męża, o, nie - rozmaite odświętne fatalaszki, czarny kostium kąpielowy, strój plażowy w niebieskozielone zygzaki, flanelowe spodnie, nowy aparat fotograficzny i mnóstwo jaskrawych sukni, co - wyrzucała to sobie z uśmiechem - było lekkomyślnością, jako że wkrótce przyjdzie jej przecież przywdziać żałobę.

Dreyer polegał na swym domu towarowym: kupił olbrzymią piłkę plażową i nowy typ pływaków do nauki pływania.

Napisała do swojej siostry Hildy, która niezobowiązująco zaproponowała wcześniej, by spędzili lato razem, że plany na ten rok nie są jeszcze skryształizowane, że chyba wyjadą z Dreyerem na kilka dni nad morze, ale to jeszcze nic pewnego - odezwie się, jeśli wyjazd dojdzie do skutku i postanowią zatrzymać się gdzieś dłużej.

Pozwoliła Friedzie pozostać na poddaszu, ale zabroniła kogokolwiek przyjmować.

Powiedziała ogrodnikowi, że rozhisteryzowany Tom ją ugryzł, że nie chce denerwować męża, ale życzy sobie, żeby zwierzę uspić, jak tylko wyjadą do Gravitza.

Ogrodnik zdawał się mieć jakieś obiekcje, ale wepchnęła do uczciwych, splamionych gaśnienicami szponów banknot pięćdziesięciomarkowy i stary żołnierz wzruszył ramionami na znak zgody.

W przeddzień wyjazdu sprawdziła wszystkie pokoje w willi, meble, naczynia, obrazy, szepcząc do siebie i do nich, że niedługo wróci - wolna i szczęśliwa. Tego dnia Franz pokazał jej list od matki, która pisała, że Emmy za rok wyjdzie za mąż.

- Za rok - uśmiechnęła się Marta - za rok, kochanie, odbędzie się jeszcze jeden ślub. No, chodź, ciesz się, przestań dłużyć w pępku. Wszystko jest w porządku.

Po raz ostatni spotykali się w nędznym pokoiku, który nabrał już lęklivego, nienaturalnego wyglądu, jak dzieje się to często, kiedy wynajmowany pokój żegna się na zawsze ze swoim lokatorem. Czerwone pantofle Marta zabrała już do domu i ukryła w kufrze, ale nie bardzo wiedziała, co zrobić z serwetkami, dwiema ładnymi poduszkami i innymi utensyliami, z którymi wiązało się tyle wspomnień. Z ciężkim sercem poradziła Franzowi, żeby zrobił z tego wszystkiego paczkę i posłał siostrze jako prezent ślubny od troskliwego brata. Pokoik wiedział, że mówi się o nim, i przyjmował coraz bardziej osobliwy wygląd. Lubieżni kupcy po raz ostatni oceniali niewolnicę z dużymi brodawkami sutkowymi i brązowymi bransoletami. Wzór tapet - bukiety krwawobrazowych kwiatów, regularnie w określonych wariacjach następujące po sobie, z trzech kierunków docierały do drzwi, ale tam nie było już dokąd iść i nie mogły wyjść z pokoju, tak samo jak ludzkie myśli, jakkolwiek wspaniale byłyby ze sobą skoordynowane, nie mogą wyrwać się z granic swego prywatnego kręgu piekielnego. W kącie stały dwie walizki, jedna, całkiem nowa, zrobiona z brązowej imitacji skóry, z ładnym kluczykiem ciągle przytwierdzonym do rączki, była darem od ukochanej; druga, czarna, włóknista, kupiona została przed rokiem na wyprzedaży i w pełni nadawała się jeszcze do użytku, tylko czasem jeden z zamków samowolnie się otwierał. Wszystko, co przyniesiono do tego pokoju i nagromadzono w nim w ciągu dziesięciu miesięcy, znikło w tych dwu walizkach, które następnego dnia miały opuścić to miejsce na zawsze.

Ostatniego wieczoru Franz nie przyszedł na kolację. Zamknął pustą komodę, rozejrzał się dokoła, otworzył okno i usiadł z nogami na parapecie. Musiał jakoś przetrwać tę noc. Najlepiej nie ruszać się, nie myśleć, siedzieć i wsłuchiwać się w klaksony odległych samochodów, wbijać wzrok w granatowy atrament nieba, w daleki balkon, gdzie pod pomarańczowym abażurem płonie lampa, a dwoje niewinnych, beztroskich ludzi, pochylonych nad szczęśliwą oazą stolika, gra w szachy. Jedna trzecia ludzkiej świadomości, możliwa do wyobrażenia przyszłość, przestała dla Franza istnieć, tkwiła tylko gdzieś w

postaci mrocznej klatki pełnej potwornych dni jutrzejszych zbitych w amorficzną kupę. To, co uderzyło Martę jako pierwsze realistyczne, logiczne rozwiązanie wszystkich ich problemów, wymierzyło tylko ostatni cios zdrowiu jego umysłu. Będzie tak, jak ona powiedziała - czy naprawdę będzie? Paniczny trzepot otarł się o jego serce. Może nie jest jeszcze za późno?... Może powinien napisać do matki albo do siostry i jej narzeczonego, żeby przyjechali i zabrali go stąd? Ostatniej niedzieli Los niemal go uratował, może go więc uratować raz jeszcze, tak - posłać do domu telegram, zachorować na tyfus albo może pochylić się trochę do przodu i zsunąć w zawsze gościnnie rozwarłe objęcia żarłocznego przyciągania ziemskiego. Trzepot jednak ucichł. Będzie tak, jak ona powiedziała.

Bez pantofli, bez butów i bez marynarki siedział długo, nieporuszony, ściskając kolana, nie zmieniał pozycji ud, mimo że wypukłość na parapecie boleśnie się w nie wpijała, a bzykający komar przygotowywał się do ataku na jego skroń. W skazanym pokoju zapanowała już ciemność, ale nie było nikogo, kto mógłby przekręcić wyłącznik, i nigdy nikogo nie będzie, jeśli on spadnie z parapetu. Partia szachów na dalekim balkonie dawno się skończyła. Jedno po drugim, a nawet dwójkami i trójkami, wszystkie okna gasły. Wkrótce poczuł, że zdrętwiał i że mu zimno i powoli wgramolił się do pokoju i włożył do łóżka. Trochę po północy korytarzem bezszelestnie przeszedł gospodarz. Sprawdził, czy pod drzwiami pokoju Franza nie ma paseczka światła, chwilę nadśluchiwał z przechyloną głową i wrócił do siebie. Doskonale wiedział, że za drzwiami nie ma żadnego Franza, że to on stworzył Franza kilkoma zręcznymi muśnięciami swojej lekkiej fantazji. Jednakże trzeba było doprowadzić ten żart do jakiegoś naturalnego końca. Byłoby głupio, gdyby płód wyobraźni zużywał kosztowny prąd elektryczny albo próbował rozciąć sobie ostrą brzytwą żyłę szyjną.

Poza tym ten właśnie stwór starego Enrichta zaczął go już porządnie nudzić. Nadszedł czas, by się go pozbyć i zastąpić czymś nowym. Jeden zamaszysty ruch myśli załatwił całą sprawę: niechże to będzie ostatnia noc fikcyjnego lokatora, niechże ten lokator jutro odejdzie, zostawiając po sobie dobrze znany beczelny bałagan, tak jak oni wszyscy. Założył więc, że jutro będzie pierwszy dzień miesiąca, że lokator sam chce zwolnić pokój, że w gruncie rzeczy zapłacił co do grosza to, co był winien. Teraz wszystko było w porządku. Wymyśliwszy w ten sposób niezbędne zakończenie, stary Enricht alias Phares poszperał w przeszłości i hurtem dorzucił do niego wszystko, co musiało doprowadzić do takiego finału. Wiedział bowiem doskonale - wiedział przynajmniej od ośmiu lat - że cały świat jest tylko jego sztuczką i że wszyscy ci ludzie: ośmiu poprzednich lokatorów, lekarze, policjanci, śmieciarze, Franz, przyjaciółka Franza, hałaśliwy jegomość z hałaśliwym psem, a nawet jego własna, Pharesowa, żona, cicha staruszka w koronkowym czepek, a i on sam, czy raczej jego

wewnętrzny współmieszkaniec, starszy, by tak rzec, komiliton, który osiem lat temu był nauczycielem matematyki, zawdzięczają swoje istnienie sile jego wyobraźni i sugestii oraz zręczności jego rąk. W istocie on sam w każdej chwili mógł zmienić się w pułapkę na myszy, mysz, starą kanapę, niewolnicę uprowadzaną przez kupca, który zaoferował najwyższą cenę. Tacy czarodzieje powinni zostawać cesarzami.

Wybiła godzina wstawania. Z krzykiem, zasłaniając głowę ramionami, Franz wyskoczył z łóżka i popędził do drzwi. Tu się zatrzymał, cały drżący, i rozejrzał dokoła spojrzeniem krótkowidza, świadom już tego, że nic szczególnego się nie stało, że jest po prostu siódma - mglisty, tkliwy, rozplywający się ranek ze swoim harmidrem wróbla i pociągiem ekspresowym, który miał odjechać za półtorej godziny.

Spał w koszuli, którą nosił za dnia, i mocno się spocił. Czysta bielizna była już spakowana, a poza tym nie warto było robić zamieszania ze zmienianiem koszuli na nową. Umywalka była całkiem obnażona, jeśli nie liczyć cieniutkiej resztki tego, co kiedyś było beżowym kawałkiem fiołkowego mydła. Sporo czasu zajęło mu zdrapywanie włosa, który przylgnął do niego; włos rozmaicie się wyginał, ale nie chciał zejść. Suche mydło zebrało mu się pod paznokciami. Zaczął myć twarz. Włos przylgnął mu teraz do policzka, potem do szyi, potem połaskotał mu wargę.

Poprzedniego dnia Franz spakował ręcznik gospodarza. Przestał dumać i wytarł się w róg prześcieradła. Nie było sensu się golić. Szczotka do włosów była spakowana, ale miał kieszonkowy grzebień. Skóra na głowie łuszczyła się i swędziała. Zapiął pomarszczoną koszulę. Nic nie szkodzi. Nic nie jest ważne. Starając się unikać obrzydliwych krawędzi, nałożył miękki kołnierzyk, który natychmiast ciasno objął szyję jak zimny kompres. Złamany paznokieć zaczepił o jedwab krawata. Spodnie (miał tylko jedną lepszą parę), które leżały tam, gdzie jej rzucił, koło nogi łóżka, zebrały z podłogi jakiś nieokreślony puszek. Szczotka do ubrań była spakowana.

Największa katastrofa zdarzyła się, kiedy wkładał buty: pękło sznurowadło. Musiał poślinić koniuszek i wcisnąć go do dziurki, ale tak krótkie końce diabło trudno było zawiązać. Nie tylko zwierzęta, ale i tak zwane przedmioty martwe bały się i nie znosiły Franza.

W końcu gotów był do wyjścia. Włożył zegarek i schował do kieszeni budzik.

Tak, czas zbierać się na stację. Włożył kapelusz i deszczowiec, wzdrygnął się na widok swojego odbicia w lustrze, chwycił walizki i uderzywszy w futrynę, jak gdyby był niezgrabnym pasażerem w pędzącym pociągu, wyszedł na korytarz. Resztkami jego fizyczności, które zostawił za sobą, były odrobina brudnej wody na dnie miednicy i pełny nocnik na środku pokoju.

W korytarzu zatrzymał się, ogłuszony nieprzyjemną myślą: dobre maniery kazały mu pożegnać się z Enrichtem. Postawił walizki i pośpiesznie zapukał do drzwi sypialni gospodarza. Żadnej odpowiedzi. Pchnął drzwi i wszedł do środka. Staruszka, której twarzy nigdy nie widział, siedziała plecami do niego na swoim zwykłym miejscu.

- Wyjeżdżam, chciałbym się pożegnać - powiedział podchodząc do fotela.

Nie było tam żadnej staruszki, tylko siwa peruka, nasadzona na kij, oraz zrobiony na drutach szal. Zrzucił całą tę zakurzoną maszynę na podłogę. Zza parawanu wyszedł stary Enricht. Był całkiem nagi, w ręce trzymał papierowy wachlarz.

- Już pan nie istnieje, panie Franz Bubendorf - powiedział sucho, wskazując wachlarzem drzwi.

Franz skłonił się i wyszedł bez słowa. Na schodach zakręciło mu się w głowie.

Postawił swój ładunek na stopniu i stał trzymając się kurczowo poręczy. Potem przechylił się przez nią jak przez burtę statku i głośno i obrzydliwie zwymiotował. Z załzawionymi oczami chwycił walizki, raz jeszcze zatrzasnął oporny zamek. Schodząc w dół, napotykał różne ślady swojej niemiłej przygody. W końcu dom się otworzył, wypuścił go i zamknął się znowu.

## XII

Przede wszystkim było tu oczywiście morze: szaroniebieskie, z zamazanym horyzontem, tuż nad którym gęsiego, jakby osadzone w jednym rowku, sunęły obłoczki, wszystkie jednakowe, wszystkie z profilu. Dalej półokręgiem ciągnęła się plaża z armią przypominających stragany pasiastych budek, szczególnie gęsto zbitych przy nasadzie moła, które wybiegało głęboko w morze, stercząc pośród stada łódek do wynajęcia. Kiedy patrzyło się z hotelu „Widok na morze”, najlepszego w Gravitz, można było tu czy tam dostrzec, jak jedna z budek pochyła się do przodu i pełźnie w nowe miejsce - niby czerwonobiały skarabeusz. Po lądowej stronie plaży ciągnęła się kamienna promenada, wysadzana drzewami świętojańskimi, na ich czarnych pniach ożywały po deszczu ślimaki i wysuwały ze swych kulistych skorupki po parze wrażliwych żółtych rożków, od czego nie mniej wrażliwemu Franzowi cierpła skóra.

Posuwając się jeszcze dalej w głąb lądu, natrafiało się na rząd fasad mniejszych hoteli, pensjonatów i sklepów z pamiątkami. Balkon pokoju Dreyerów zachowywał się tak, jak kazała mu nazwa hotelu. Pokój Franza natomiast smutno wychodził na ulicę, równoległą do promenady. Dalej ciągnęły się hotele drugiej kategorii. Jeszcze dalej biegła inna równoległa do poprzedniej uliczka z pokojami trzeciej kategorii. Im dalej od morza, tym hotele były tańsze, jak gdyby morze było sceną, a one rzędami foteli na widowni. Ich nazwy starały się w

ten czy inny sposób napomykać o obecności morza.

Niektóre z nich robiły to z trzeźwą dumą, inne wołały metafory i symbole. Tu i ówdzie w roli nazw pojawiały się kobiece imiona, takie jak „Afrodyta” - żaden pensjonat nie byłby w stanie spełnić kryjącej się w tym obietnicy. Była też jedna willa, która albo ironicznie, albo wskutek topograficznego błędu nazywała się „Helwecja”. W miarę oddalania się od morza nazwy były coraz bardziej poetyczne. Potem nagle rezygnowały i pojawiał się hotel „Centralny”, hotel „Pocztowy” i nieunikniony „Continental”. Mało kto, jeśli w ogóle ktokolwiek, wynajmował ubogie łódki przy moło i nic dziwnego. Dreyer, kiepski wilk morski, nie mógł sobie wyobrazić, by jemu czy jakimkolwiek innemu turyście chciało się wiosłować po tym ogromnym, pustym przestworze wody, skoro nad morzem można robić tyle innych rzeczy. Na przykład?

No cóż - opalać się. Słońce jednak było dość okrutne dla jego rdzawej skóry. Nie było nieprzyjemnie siedzieć w dookolnych kawiarniach, ale i to mogło się przejeść. W kawiarni „Niebieski Taras” mieli, jak uważał, dobre ciastka. Któregoś dnia, kiedy pili tam mrożoną czekoladę, Marta naliczyła w tłumie przynajmniej trzech cudzoziemców.

Jeden, sądząc po jego gazecie, był Duńczykiem. Pochodzenie pozostałej dwójki było trudniejsze do określenia: dziewczyna na próżno próbowała przyciągnąć uwagę kawiarnianego kota, małego czarnego zwierzątka, siedzącego na fotelu i liżącego jedną z tylnych łap, uniesioną jak zarzucona na ramię maczuga. Jej opalony towarzysz palił papierosa i uśmiechał się. Jakim językiem mówili? Polskim? Estońskim? Obok nich opierała się o ścianę swego rodzaju siatka: osadzony na pierścieniu woreczek z bladoniebieskawego welonu, przymocowany do kija z jasnego metalu.

- Poławiacze krewetek - powiedziała Marta. - Mam ochotę zjeść dzisiaj na kolację krewetki. (Szczęknęła przednimi zębami).

- Nie - powiedział Franz. - To nie jest rybacka sieć. Tym łapie się komary.

- Motyle - unosząc palec wskazujący, poprawił Franza Dreyer.

- A któż by chciał łapać motyle? - zauważyła Marta.

- Och, to musi być zabawne zajęcie - powiedział Dreyer. - Prawdę mówiąc, uważam, że mieć jakąś pasję to największe szczęście na świecie.

- Skończ czekoladę - powiedziała Marta.

- Tak - powiedział Dreyer. - Myślę, że to fascynujące, tajemnice, jakie odkrywa się w najzwyczajniejszych ludziach. To mi przypomina, że Piffke - tak, gruby, różowutki Piffke - kolekcjonuje chrząszcze i jest sławnym specjalistą w tej dziedzinie.

- Chodźmy - powiedziała Marta. - Ci aroganccy cudzoziemcy przyglądają ci się.



- Chodźmy na porządną wycieczkę - zaproponował Dreyer.
- A może byśmy wynajęli łódkę - powiedziała dla odmiany Marta.
- Na mnie nie licz - powiedział Dreyer.
- W każdym razie chodźmy gdzieś indziej.

Kiedy mijala fotel z kotem, szturchnęła go palcem i powiedziała: „Sio”, i kot, który za sprawą magicznej sztuczki znów miał cztery nogi, zeskoczył na ziemię i zniknął.

Dreyer poszedł się przejść sam, zostawiwszy żonę i siostrzeńca na innym tarasie. Już drugi raz łąził, przyglądając się wystawom sklepowym. Odwieczne pamiątki. Widokówki. Wyśmiewały się przede wszystkim z ludzkiej otyłości i jej niezbędnego przeciwieństwa, Herr i Frau Matchsin z Hungerburga. Potworny tyłek w obcisłym kąpielowym trykocie szczypał czerwony krab (zmartwychwstały z wrzątku), ale uszczypnięta dama rozplýwała się w uśmiejach, sądząc, że to ręka jakiegoś wielbiciela. Czerwona kopuła nad powierzchnią wody okazywała się brzuchem unoszącego się na falach tłuszczocha. Była też pocztówka pod tytułem „Pocałunek o zachodzie słońca” - dwa ślady w kształcie tyłków, odcisnięte na piasku. Chudzi, laskonodzy mężowie w szortach towarzyszyli żonom, których piersi przypominały dynie. Dreyera wzruszyło sporo fotografii z ubiegłego wieku: ta sama plaża, to samo morze, ale kobiety chodzą w obszernych w ramionach bluzach, a mężczyźni w słomkowych kapeluszach. Pomyśleć tylko, że te przesadnie wystrojone dzieci są teraz kupcami, urzędnikami, martwymi żołnierzami, grawerami, wdowami po grawerach.

Wiał morski wietrzyk i markizy skrzypiały. Torebki z różowego muślinu wypełnione były muszelkami - a może to cukierki? Jego zdetonowaną uwagę przyciągnął na chwilę barometr w kształcie damskich i męskich ubikacji, z których przedstawiciele przeciwnych płci wynurzali się zależnie od zmian pogody. Kiepski sklep z odzieżą męską reklamował wyprzedaż przed likwidacją. Miejscowy marynista przedstawiał miotane sztormem okręty, zbryzgane pianą skały i odbicie żółtego księżyca w indygowej powierzchni morza. I bez żadnego konkretnego powodu Dreyerowi zrobiło się nagle bardzo smutno.

Klucząc pomiędzy wałami z piasku, które otaczały efemeryczne dominium każdego plażowicza, śpiesząc donikąd w celu dowiedzenia tym pokazem pośpiechu, jak bardzo wymagający jest jego interes, szedł ze swym aparatem plażowy fotograf, ignorowany przez rozleniwiony tłum, i krzyczał, a jego słowa porywał wiatr: - Oto nadchodzi artysta! Obdarzony iskrą bożą, *der gottbegnadete* artysta nadchodzi!

Na progu sklepu, w którym sprzedawano tylko wyroby orientalne - jedwabie, wazy, posążki (komu to potrzebne nad morzem?) stał nie opalony człowieczek i ciemnymi oczami obserwował spacerowiczów, na próżno czekając na klienta. Do kogo jest podobny? No tak,

do chorego męża biednej starej Sary.

W kawiarni, gdzie Dreyer po chwili dołączył do naszych farsowych spiskowców, Marta, której przyniesiono niewłaściwe ciastko, wpadła we wściekłość, długo przywoływała przepracowanego kelnera, zwyczajnego chłopaka, a ciastko (wspaniały ociekający kremem ekler) leżało na talerzyku samotne, wzgardzone, nie chciane.

Nie minął jeszcze nawet pełen tydzień, a ta tkliwa melancholia opanowywała Dreyera już kilka razy. Co prawda doświadczał jej i dawniej („rzewne serce egoisty” - powiedziała kiedyś o tym Erika i dodała: „Potrafisz ranić i poniżyć ludzi, nie wzrusza cię ślepiec, tylko jego pies”); ale ostatnio melancholia była mniej tkliwa albo tkliwość - bardziej wymagająca. Może to słońce go rozmiękczyło, a może zaczął się starzeć, zapewne coś przy tym tracąc i upodabniając się w jakiś mroczny sposób do fotografa, z którego usług nikt nie chciał skorzystać i którego przedrzeźniały dzieci.

Kiedy położył się tego wieczoru do łóżka, nie mógł zasnąć - rzecz dla niego niezwykła. Poprzedniego dnia słońce, udając pieszczoty, tak poraniło mu plecy, że tęsknił za urokiem pochmurnej pogody. Stojąc w wodzie po biodra, grali w piłkę - Marta, Franz i dwu innych młodzieńców, nauczyciel tańca i student, syn kuśnierza z Lipska. Nauczyciel tańca zrzucił piłką niebieskie okulary Franza, w rezultacie czego niemal utonęły. Potem Franz i Marta wypłynęli daleko w morze. Stał i obserwował ich z plaży, przeklinając swoją niepełność. Od miłego nie znanego sobie dziesięciolatka pożyczył mały teleskop i przez dłuższą chwilę trzymał zazdrosne okrągłe oko na dwu ciemnych głowach, jedna przy drugiej podskakujących na wodzie w swoim bezpiecznym, niebieskim, okrągłym świecie. Jak tylko jego plecami wróci zdrowie - pomyślał - zacznie brać lekcje w hotelowym basenie. Aj, naprawdę pięką! Nie sposób znaleźć bezpiecznej pozycji. Starając się przywabić sen, leżał z zamkniętymi oczami i ujrzał okrągłą fosę, którą kopali, by ich budka plażowa była bardziej przytulna, ujrzał naprężoną włochatą nogę Franza, który kopał obok, potem niemożliwie jasną stronę antologii poetyckiej, którą próbował czytać leżąc na słońcu. Ach, jak to piecze! Marta obiecała, że jutro przejdzie, całkiem, nigdy już nie będzie boleć. Tak, oczywiście, skóra się wzmocni. Skóra nie skóra, muszę jutro wygrać ten zakład. Głupi zakład. Kobiety mierzą odległości w centymetrach - długość sukni, długość rękawów - a nie w milach morskich wody czy kilometrach piasku ani nie w pionowym blasku uchylonych drzwi. Odwrócił się do ściany i żeby wreszcie usnąć (nie zdawał sobie sprawy, jaki jest już senny, mimo że pionowy blask umiejscowił się teraz między jego łopatkami), zaczął powtarzać w myśli ich spacer o zachodzie słońca, drogę do Skały.

Marta lubi zakłady i łódki. Utrzymuje, że łódka dotrze tam szybciej niż piechur,

choćby nawet piechur, którego plecy pieką we wszystkich czterech pozycjach. Przyjął ponownie początkową, twarzą do drzwi, i znowu zaczął iść na zachód, ale tym razem szedł sam - była w drugiej sypialni i jeszcze nie zgasiła światła. Kiedy człowiek idzie na zachód z paskiem słonecznego blasku w oczach, kiedy idzie wzdłuż zatoki, to wyszedłszy z zaludnionej części plaży, przekonuje się, że pasmo piasku pomiędzy upałem po jego lewej stronie i morzem po prawej stopniowo się zwęża, aż wreszcie zatrzymuje go paroksyzm pomieszanych skał. Chyba powinienem się przewrócić na drugi bok... dobry Boże...

Jeśli zamiast iść wklęsłym brzegiem zatoki, pójdzie się koncentryczną dróżką, wiodącą lekko w głąb lądu, jak robię to teraz, to do Skały można dojść chyba w dwadzieścia minut, a może nawet szybciej, zmienmy ułożenie lewej ręki... o ileż wygodniej byłoby spać człowiekowi bez kończyn... a oto droga wiodąca na zachód z nędznych tyłów hotelu. Przecinam pagórek i parę kilometrów idę przez las przy plaży. Jak spokojnie, jak cicho... Zatrzymał się, żeby odpocząć na łóżku stojącym w lasku, ale potem wzdrygnął się i znowu ujrzał pionową linię piekącego bólu.

Dalej szedł, walcząc o wygraną. Musi się pośpieszyć! A może jego krokomierz się spóźnia? A może to wreszcie aspiryna zadziałała? Wynurzył się z lasu na wrzosowisko i zaraz pojawiła się dróżka; skręcając w prawo i zmieniając poduszkę znów dotarł do linii brzegu - na wzniesieniu zwanym Skałą. Tutaj można się zatrzymać i czekać na absurdalną łódeczkę z wiosłującą Martą, i rozkoszować się widokiem. Rozkoszował się widokiem. Usłyszał, jak wydaje chrapnięcie hipopotama i odzyskał świadomość. Skała to samotny cypelek, ale ona wskoczy człowiekowi do łóżka, jeśli człowiek wygra zakład. Po prawej... Przewrócił się na prawy bok i przestał słyszeć bicie swego serca. Tak lepiej. Aspiryna pochodzi od *sperare, speculum, Spiegel*. Teraz widzi łuk plaży, równoległy do szlaku, którym człowiek kroczy i kroczy, i kroczy. Ten blask, o, tam, za skalistą wysepką, trzy kilometry lotem akrobaty na wschód, to nasz skrawek wybrzeża w Gravitz, ten z hotelami przypominającymi kostki cukru. A tam płynie łódeczka z Martą w czarnej sukni wieczorowej, błyszczą jej kolczyki, łódeczka musi oczywiście wyminąć tę czarną wysepkę od zewnętrznej strony, ale poza tym, ujmując rzecz geometrycznie, droga morska jest krótsza, cięciwa łuku, cięcie zatoki, ale mimo to nawet bardzo zmęczony piechur...

Kiedy wreszcie chrapanie jej męża przybrało regularny rytm, Marta wstała, zamknęła drzwi i położyła się do swego niewygodnego łóżka - było o wiele za miękkie i stało o wiele za daleko od otwartego okna: za nim narastał ciągły cichy hałas, jak gdyby ogród był napelnianą wodą wanną. Niestety, nie był to szum morza, tylko odgłos deszczu. Co tam, deszcz czy nie deszcz. Niech weźmie parasol.

Zgasiła światło, ale nie było sensu próbować zasnąć. Wsiadła z Franzem do śmiertelnej łódki, a on dowiosłował z nią do cypla. To, co uspiło jej męża, ją rozbudziło. Szum deszczu mieszał się z brzęczeniem w jej uszach. Minęły dwie godziny. Była to znacznie dłuższa podróż, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

Wzięła swój zegarek ze stolika przy łóżku i zadumała się nad jego fosforyzującą informacją. Słońce było ciągle jeszcze gdzieś na Syberii.

O wpół do ósmej Franz się poruszył. Kazano mu wstać dokładnie o wpół do ósmej. Było dokładnie wpół do ósmej. Piekarz z encyklopedii, który wytruł całą parafię, powiedział więziennemu fryzjerowi, który golił mu szyję, że nigdy nie spał tak dobrze. Franz spał dziewięć godzin. Jego współudział w zbrodni sprowadzał się na razie do precyzyjnego obliczenia odległości do Skały, zarówno morzem, jak i lądem.

Ofiara powinna się tam pojawić na kilka minut przed przybyciem łódki. Dreyer będzie śmiertelnie zmęczony i z wdzięcznością przyjmie propozycję zabrania go łódką z powrotem.

Franz otworzył okno, które wychodziło na południe i przez które nie widać było ani skrawka morza, ale przez które przynajmniej udało mu się wysledzić nieduży balkon piętro niżej; przez trzy następujące po sobie popołudnia w porze sjesty obserwował rozpostartą na nim barmankę, opalającą się na ręczniku. Podłoga balkonu była wilgotnie ciemna. Może zdąży wyschnąć, nim przyjdzie czas jej sjesty, jeśli słońce wyjdzie przed dwunastą. „Wieczorem będzie już po wszystkim” - pomyślał machinalnie, ale nie mógł sobie wyobrazić ani tego wieczoru, ani następnego dnia, tak jak człowiek nie jest w stanie wyobrazić sobie wieczności.

Zgrzytając zębami, wciągnął wilgotne spodenki kąpielowe. W kieszeniach płaszcz kąpielowego pełno było piasku. Delikatnie zamknął za sobą drzwi i ruszył długimi białymi korytarzami. Piasek był też w noskach trampek: ślepe, tępe wrażenie.

Wuj i ciotka siedzieli już na balkonie i pili kawę. Dzień był bezsłoneczny - białe niebo, szare morze i ponury wiatr. Ciocia Marta nalała Franzowi kawy. Także miała na sobie płaszcz kąpielowy, narzucony na kostium. Puszysty granat przecinały zielone wzory. Wolną ręką przytrzymywała szeroki rękaw, przesuwając filiżankę w kierunku Franza.

Dreyer, ubrany w blezer i flanelowe spodnie, wertował listę gości hotelowych, od czasu do czasu czytając na głos zabawne nazwisko. Zamierzał włożyć subtelny bladocytrynowy chiński krawat, który kosztował pięćdziesiąt marek, ale Marta powiedziała, że zanoszą się na deszcz i krawat się zniszczy. Włożył więc inny: stary, w kolorze lawendy. Jeśli chodzi o takie drobiazgi, Marta zwykle miała rację. Dreyer wypił dwie filiżanki kawy i rozkoszował się bułką ze wspaniałym przezroczystym miodem, wylewającym się na boki.

Marta wypila trzy filiżanki i nie zjadła niczego.

Franz wypil pół filiżanki i również nic nie zjadł. Wiatr przewalał się przez balkon.

- Profesor Klister z miasta Swister - przeczytał Dreyer. - O, przepraszam.

Lister z miasta Swistok.

- Jeśli skończyłeś, to chodźmy - powiedziała Marta.

- Blavdak Vinomori - z tryumfem w głosie przeczytał Dreyer.

- Chodźmy - powiedziała Marta, ciasno owijając się płaszczem kąpielowym i starając się nie szcząkać zębami - zanim znowu zaczną padać.

- Jest jeszcze wcześniej, najdroższa - powiedział przeciągając głoski i rzucając ukradkowe spojrzenie na talerz z bułkami. - Dlaczego nikt u nas nie nadaje masłu tego falistego kształtu?

- Chodźmy - powtórzyła Marta, podnosząc się z miejsca. Franz także wstał.

Dreyer spojrział na swój złoty zegarek.

- I tak was pobiję - powiedział wesoło. - Idźcie pierwsi. Dam wam fory - kwadransik.

Mógłbym nawet dać więcej.

- Świetnie - powiedziała Marta.

- Zobaczymy, kto wygra - powiedział Dreyer.

- Zobaczymy - powiedziała Marta.

- Wasze wiosła kontra moje łydki - powiedział Dreyer.

- Puść mnie, nie mogę wyjść - zawołała ostro, pchając się z wysuniętym kolanem i wciąż otulając się niezdarnie płaszczem kąpielowym.

Dreyer przesunął swoje krzesło, przeszła.

- Z moimi plecami znacznie lepiej - powiedział - ale Franza chyba brzuch boli.

Nie patrząc na niego, Franz pokręcił głową. W okularach przeciwsłonecznych, nałożonych na normalne, i w jaskrawym płaszczu kąpielowym wyglądał tak, jak powinien wyglądać Blavdak Vinomori.

- Tylko się nie utop, Blavdaku - powiedział Dreyer i zabrał się do drugiej bułki.

Zamknęły się oszklone drzwi. Przeżuwał i posysając upačkane miodem palce, Dreyer z dezaprobatą spoglądał na wielkie blade morze. Z balkonu widać było skrawek plaży z budkami rozrzuconymi niechlujnie i stojącymi trochę krzywo. Nie zazdrościł odważnym pływakom. Punkt, gdzie wynajmowało się łódki, znajdował się trochę dalej na zachód, koło molo, i nie widać go było z balkonu. Przydzielał je starszy jegomość, ubrany jak operowy kapitan marynarki. Jakie zimne, mokre i nieciekawe było wszystko bez słońca. Nic nie szkodzi. To będzie szybki, orzeźwiający spacer. Tak jak za dawnych dni, za bardzo dawnych

dni. Marta zgodziła się trochę z nim pobawić i nie odwołała tego w ostatniej chwili, jak się w głębi ducha obawiał, że względu na złą pogodę.

Znowu spojrzął na zegarek. Wczoraj i przedwczoraj miał telefon z biura dokładnie o tej porze. Bardziej niż prawdopodobne, że i dzisiaj Sara zadzwoni. Nie, sam zatelefonuje do niej później. Nie ma co czekać.

Zdecydowanym ruchem wytarł usta, strzepnął z kolan okruchy i poszedł do łazienki. Zimny prysznic był torturą, ale poczuł się po nim świetnie. Przystanął na chwilę przed lustrem, w prawo i w lewo przesunął srebrną szczoteczką po swoim angielskim wąsiku. Na jego niemieckim nosie łuszczyła się skóra. Nieładnie. Pukanie do drzwi.

Biuro zdołało go jednak dopaść. Trzepiąc się po kieszeni, popędził do telefonu.

Rozmowa była krótka. Zawahał się, czy ma wziąć parasol, zdecydował, że nie, i wyszedł tylnymi drzwiami.

Na ławce siedziało bokiem dwu chłopców, których poznali wczoraj, grali w szachy. Obaj założyli nogę na nogę. Białe miały rękę schowaną między kolanem lewej nogi i łydką prawej, prawa stopa lekko się kołysała. Czarne miały ręce założone na piersi. Obaj chłopcy, witając się z Dreyerem, oderwali wzrok od szachownicy.

Zatrzymał się na chwilę i wesoło ostrzegł białe, że skoczek czarnych zamierza zaatakować króla i królową i podwójnie ich zaszachować. Marta, która lubiła zakłady, ale uważała je za coś niezbyt przystojącego poważnym ludziom, prosiła go, żeby nie mówił nikomu o ich małej randce przy Skale, więc nawet o tym nie wspomniał i poszedł dalej.

- Stary dureń - mruknęły czarne, których sytuacja była rozpacзлиwa.

Dreyer szedł czymś, co miało być główną ulicą, potem szedł dróżką, wdrapał się na pagórek, z którego zobaczył odjeżdżający spod poczty autobus do Swistok - spojrzął na zegarek. Jadąc tym autobusem, można by złapać ekspres do Berlina.

Skręcił w prawo, by zbliżyć się do brzegu, i ujrzał skrawek morza, a na nim zamgloną oddaleniem plamkę łódki. Zdawało mu się, że dostrzega dwa jaskrawe kostiumy kąpielowe, ale nie był tego pewien; przyspieszył kroku niemal do kłusu i wszedł do lasu przy plaży.

Franz wiosłował w milczeniu, to ponuro pochylając twarz, to w przypiływie rozpaczyci zwracając ją do nieba. Marta siedziała przy sterze. Nim wynajęła łódkę, zanurzyła się na chwilę w wodzie, sądząc, że to ją rozgrzeje. Okazało się to błędem.

Słońce, które dało niejasną obietnicę, nie zamierzało jej spełnić. Zimny mokry kostium lepił się jej do piersi, bioder i boków. Była jednak zbyt podniecona i szczęśliwa, żeby zwracać uwagę na takie głupstwa. Cudownie usłużna mgiełka lekko przesłoniła oddalającą się plażę. Łódka opływała skalistą wysepkę, gdzie jedynymi świadkami były mewy. Dulki

skrzypiały ociężale.

- Może chcesz o coś spytać, wszystko pamiętasz, kochanie?

Pochylony, cofał bowiem wiosła, Franz skinął głową. I znowu wbił wzrok w puste niebo, odpychając sprężynującą wodę.

-...kiedy powiem, dopiero kiedy powiem - pamiętasz?

Znowu ponure skinienie.

- Powtórzmy to sobie szybko, dobrze? Zostaniesz na dziobie...

Dulki skrzypiały, wścibska mewa zataczała kręgi nad Martą i Franzem, fala uniosła łódkę, żeby dokładnie się jej przyjrzeć. W odpowiedzi Franz się skłonił. Starał się nie patrzeć na tę szaloną ciotkę, ale niezależnie od tego, czy wbijał wzrok w wilgotne dno łódki, gdzie leżała zapasowa para wiosel, czy wodził nim za szczęśliwą mewą, bez przerwy całym swoim jestestwem czuł Martę i nie patrząc, widział jej gumowy czepek, jej okropną twarz z szerokimi szczękami, jej wygolone golenie, jej ciężką szatę koronacyjną. I doskonale wiedział, jak to wszystko przebiegnie: Marta wykrzyknie hasło, wiosłarze wstaną, żeby zamienić się miejscami... łódka się zakołysze... nie tak łatwo przejść obok siebie... ostrożnie... jeszcze jeden krok... bliżej... teraz!

-...pamiętaj, jedno silne pchnięcie, całym ciałem - powiedziała Marta, a Franz znów powoli się skłonił.

- Musisz wyrzucić go za burtę, przewrócić, tak żeby poleciał twarzą w dół, a potem wiosłuj z całych sił.

Chłodna bryza przejmowała ją wilgocią, ale podniecenie nie mijało. Baczenie wpatrywała się w wygięty brzeg, w las na skraju i we fiołkoworóżowy pas wrzosów, szukając miejsca - obok spiczastej skały - gdzie mieli przybić do brzegu. Zauważyła je. Naprężyła lewą linkę steru.

Odchylając się z bezgłośnym jękiem do tyłu, Franz słyszał, jak Marta chrypliwie się zaśmiała, zakaszłała, odchrząknęła i zaśmiała się znowu. Spora fala wzięła łódkę w posiadanie. Na chwilę przestał wiosłować. Mimo chłodu po skroniach spływał mu pot.

Marta uniosła się i opadła zgodnie z ruchem fali, dygotała, postarzała się niewiarygodnie, jej szara twarz lśniła jak guma.

Patrzyła na drobnutką ciemną figurkę, która pojawiła się nagle na bezludnym występie.

- Szybciej - powiedziała, trzęsąc się i odsuwając lodowato zimny, przylegający do ciała kostium kąpielowy, jakby to było prześcieradło, a ona umierała.

- Błagam cię, szybciej. On czeka.

Franz odłożył wiosła, powoli zdjął obie pary okularów, powoli przetarł szkła obydwu połą płaszczka kąpielowego.

- Mówię do ciebie, rusz się! - zawołała. - Przecież nie potrzebujesz tych głupich okularów słonecznych. Słyszysz, Franz?

Włożył okulary słoneczne do kieszeni płaszczka kąpielowego. Drugą parę podniósł wysoko. Przez szkła spojrzął na chmury, potem powoli włożył okulary i znowu chwycił za wiosła.

Ciemna figurka zrobiła się wyraźniejsza, miała teraz twarz - jak ziarenko kukurydzy. Marta poruszała tułowiem - to do przodu, to do tyłu - być może powtarzając ruchy Franza, być może próbując nadać łódce większą szybkość.

Można było już zauważyć niebieską marynarkę i szare spodnie. Stał w rozkroku, wzięwszy się pod boki.

- Teraz jest decydująca chwila - powiedziała Marta, mówiąc już szeptem. - Jeśli nie teraz, nigdy nie uda się go wciągnąć do łódki. Spróbuj zrobić weselszą minę.

Zwijiała w palcach linki steru. Brzeg się przybliżał.

Dreyer patrzył na nich i uśmiechał się. W dłoni trzymał płaski złoty zegarek.

Dotarł na miejsce osiem minut przed nimi, całych osiem minut. Łódka nazywała się „Lindy”. Przyjemnie.

- Witajcie - powiedział, wkładając zegarek z powrotem do kieszeni.

- Chyba cały czas biegleś - powiedziała Marta, ciężko dysząc i rozglądając się dookoła.

- Ależ skąd. To był spacer. Nawet odpoczywałem po drodze.

Dalej się rozglądała. Piasek, skały, a w głębi wrzosy na zboczach i las. Ani żywej duszy, nie przychodził tu pies z kulawą nogą.

- Wsiadaj - powiedziała.

Drobne pluskające fale lekko kołysały łódką. Franz apatycznie szykował drugą parę wiosel.

- Nie, wróć tę samą drogą - powiedział Dreyer. - W lesie jest wspaniale.

Zaprzyjaźniłem się z wiewiórką. Spotkamy się w kawiarni „Syrena”.

- Wsiadaj - powtórzyła ostro. - Mógłbyś trochę powiosłować.

Brzuszek ci rośnie. Zobacz, jaki Franz jest zmęczony. Nie mogę wiosłować sama.

- Naprawdę, najdroższa. Zupełnie nie mam na to ochoty. Nie znoszę wiosłowania, a poza tym znowu pieką mnie plecy.

- Dobrze, to był element zakładu - powiedziała - i jeśli natychmiast nie wsiądziesz, nie bawię się, zakład zostaje anulowany.



Uderzała się po dłoni linką steru. Dreyer wznosił oczy do nieba, westchnął i starając się nie zamoczyć stóp, zaczął niezgrabnie, ostrożnie gramolić się do łódki.

- To nielogiczne i nieuczciwe - powiedział i ciężko opadł na środkową ławkę.

Druga para wiosła była już w dulkach. Dreyer zdjął blezer. Łódka ruszyła.

Martę opanowało rozkoszne uczucie spokoju. Plan się sprawdzał, marzenie się spełniało. Pusta plaża, puste morze i mgła. Żeby upewnić się o całkowitym bezpieczeństwie, powinni oddalić się trochę od brzegu. W piersi i głowie czuła dziwną, chłodną, wcale nie nieprzyjemną pustkę, jak gdyby przewiał ją wiatr i wewnątrz oczyścił, porywając wszystkie śmieci. Poprzez to chłodne pulsowanie słyszała jego beztroski głos.

- Ciągle trącasz moje wiosła, Franz, tak się nie wiosłuje. Chyba nigdy w życiu nie wiosłowałeś. Oczywiście rozumiem, że twoje myśli szybują daleko... No proszę, znowu. Musisz trochę bardziej uważać na to, co próbuję robić. Razem, razem! Na pewno o tobie nie zapomniala. Mam nadzieję, że zostawiłeś jej adres. Raz, dwa.

Jestem pewien, że w hotelu będzie czekał na ciebie list z wiadomością, że jest w ciąży.

Rytm! Rytm!

Franz obserwował jego mocny, tęgi kark, żółte kosmyki włosów, rzednące na różowym zamszu, białą koszulę, napinającą się na plecach, by chwilę potem się wydać. Widział jednak to wszystko jak we śnie.

- Ach, dzieci moje, w lesie było kapitalnie - mówił głos. - Buki, mrok, powoje. Trzymaj się rytmu!

Marta z zainteresowaniem spoglądała przez wpółotwarte powieki na tę twarz, którą widziała ostatni raz w życiu. Obok niej leżał jego blezer, był w nim złoty czasomierz, srebrna szczołeczka do wąsików i gruby portfel. Cieszyła się, że rzeczy te nie przepadną. Malutka premia. Jakoś nie przyszło jej w tej chwili do głowy, że blezer z całą jego zawartością też trzeba będzie wrzucić do wody. Ten dosyć skomplikowany problem wypłynął dopiero potem, kiedy załatwiona była zasadnicza sprawa. Teraz jej myśli krążyły powoli, niemal ociężale. Przedsmak z takim trudem zdobytego szczęścia był zachwycający.

- Muszę przyznać, że się myliłem, myśląc, że to podrażni mi plecy. Obiecałaś, kochanie, że dzisiaj już wszystko będzie w porządku, i rzeczywiście jest dużo lepiej.

Pamiętaj, że wygrałem zakład. Wiosłuję sto razy lepiej niż ten drań za mną. Koszula ociera się o swędzące miejsca, to przyjemne. Chyba zdejmę krawat.

Byli teraz wystarczająco daleko od brzegu. Mżyło. Sporo białych widzów zajęło miejsca na czarnej wyspie. Krawat dołączył do blezera. Falki uderzały w łódkę i pienią się.

- Prawdę mówiąc, to mój ostatni dzień - powiedział Dreyer, energicznie wiosłując.

To tragiczne oświadczenie ani trochę nie poruszyło Franza, nic na świecie nie mogło już nim wstrząsnąć. Marta jednak spojrzała na męża z zaciekawieniem. Czyżby przecucie?

- Muszę jutro rano wracać do Berlina - wyjaśnił. - Właśnie miałem telefon.

Deszcz przybierał na sile. Marta rozejrzała się dokoła i spojrzała na Franza.

Można było zaczynać.

- Słuchaj, Kurt - powiedziała spokojnie - mam ochotę trochę powiosłować.

Usiądziesz na miejscu Franza, a Franz będzie sterował.

- Nie, zaczekaj, najdroższa - powiedział Dreyer, starając się tak jak Franz cofnąć wiosła płasko po wodzie, jakby lotem jaskółki. - Właśnie się rozkręcam.

Złapaliśmy z Franzem wspólny rytm. Franz jest w coraz lepszej formie. Przepraszam, najdroższa, chyba cię ochlapałem.

- Zimno mi - powiedziała Marta. - Proszę, daj mi powiosłować.

- Jeszcze pięć minut - powiedział Dreyer i znów spróbował prześliznąć się wiosłami tuż nad wodą, i znowu mu nie wyszło.

Marta wzruszyła ramionami. Poczucie władzy doprowadzało ją do ekstazy, chciała porozkoszować się nim dłużej.

- Jeszcze osiem uderzeń wiosel - powiedziała z uśmiechem. - Tyle, ile lat trwa nasze małżeństwo. Będę liczyć.

- Daj spokój, nie psuj wszystkiego. Za chwilę damy ci powiosłować. W końcu jutro wyjeżdżam.

Czuł się dotknięty tym, że Marty nie zainteresowało, dlaczego musi jechać.

Myśli pewnie, że jedzie ot, tak, żeby załatwić w biurze zwykłe sprawy.

- Rzecz zabawna i niespodziewana - powiedział z nonszalancją.

Ze szczególnym skupieniem poruszała ustami.

- Jutro - powiedział - zarabiam za jednym zamachem sto tysięcy dolarów.

Marta, która doszła w swoich obliczeniach do końca, podniosła głowę.

- Sprzedaję niezwykle patent. Takie to robimy interesy.

Franz nagle odłożył wiosła i zaczął przecierać okulary. Nie wiedzieć czemu, zdawało mu się, że Dreyer mówi do niego, i ścierając ze szkieł pot i deszcz, kiwnął głową i odchrząknął. W istocie osiągnął już taki etap, w którym ludzkie słowa, jeśli nie były rozkazem, pozbawione były znaczenia.

- Nie sądziłaś, że taki ze mnie spryciarz, co? - powiedział Dreyer, przestając wiosłować. - Pomyśl tylko, za jednym zamachem!

- Czy to jeden z twoich żartów? - spytała, marszcząc brwi.

- Słowo honoru, że nie - powiedział płaczliwie. - Jestem jedynym właścicielem bajecznego wynalazku i zamierzam go sprzedać panu Ritterowi, którego przecież znasz.

- Co to takiego, jakiś przyrząd do prasowania spodni?

Pokręcił głową.

- Czy to związane ze sportem, coś do gry w tenisa?

- To wielka i wspaniała tajemnica - powiedział - a z ciebie głuptas, że mi nie wierzysz.

Odwróciła się przygryzając popękaną wargę i długo wpatrywała w atramentowy horyzont, gdzie z wąskiego jasnego paska nieba zwisały frędzle deszczu.

- Na pewno sto tysięcy dolarów? Czy to ustalone?

Chociaż nic nie było jeszcze ustalone, kiwnął głową i zaczął wiosłować, słysząc, że wiosłarz za nim podjął swoją pracę.

- Nie mógłbyś powiedzieć czegoś więcej? - spytała, ciągle patrząc w bok. - Jesteś pewien, że sprawa się nie przeciągnie? Będziesz miał tepieniądze w ciągu kilku dni?

- No cóż, mam taką nadzieję. A potem wrócę tu i znowu sobie powiosłujemy.

A Franz nauczy mnie pływać.

- Niemożliwe, oszukujesz - zawołała.

Dreyer roześmiał się, nie rozumiejąc, dlaczego nie chce mu uwierzyć.

- Przyjadę z wielkim worem złota - powiedział. - Jak średniowieczny kupiec, wracający na ośle z Bagdadu. Jestem pewien, że ubiję ten interes już jutro.

Deszcz na chwilę ustał, a potem chlusnął znowu, jakby tylko ćwiczył się w padaniu. Zauważywszy, jak daleko odpłynęli, Dreyer zaczął prawym wiosłem zakręcać, Franz machinalnie hamował lewym. Marta siedziała pogrążona w myślach, to dotykając językiem plomby z tyłu zęba, to oblizując wargi. Po chwili Dreyer zaproponował, że da jej powiosłować. W milczeniu potrząsnęła głową.

Deszcz zaczął teraz padać na serio i Dreyer przez surowy jedwab koszuli poczuł jego kojący chłód. Rozpierała go energia, bawił się świetnie, z każdą chwilą wiosłował lepiej. Z mgły wynurzył się brzeg, można było dostrzec flagi i pasiaste budki; długie moło powoli, starannie mierzyło do ruchomego celu - ich łódki.

- Więc wrócisz w sobotę? Nie później? - spytała Marta.

Franz widział przez mokrą koszulę cieliste plamy, pojawiające się to tu, to tam: obrzydliwie różowa geografia, mapa zmieniająca się w zależności od tego, jaki kraj akurat przyklepał się podczas wiosłowania do skóry.

- W sobotę albo w niedzielę - z zapalem powiedział Dreyer i trafiwszy na fale przybrzeżne, zbyt głęboko zanurzył wiosła.

Lało na całego. Płaszcz kąpielowy Marty otulił ją ciężką wilgocią, od której rozboleła ją zebra. Cóż ją mógł obchodzić nerwoból, bronchit, zaburzenie rytmu serca? Całkowicie pochłaniało ją pytanie, czy postępuje słusznie, czy nie. Tak, słusznie. Tak, słońce zaświeci znowu. Znowu będą pływać łódką, skoro on odkrył nowy sport. Od czasu do czasu spoglądała na Franza. Musi być zdziwiony i rozczarowany, biedactwo. Jest zmęczony. Biedny, usta otwarte. Mój malutki! To nic takiego, zaraz wrócimy do hotelu i odpoczniesz, przyniosę ci kieliszek koniaku i zamkniemy drzwi na klucz.

„Lindy” wróciła nietknięta. Pochylając głowy w strugach gwałtownej ulewy, troje naszych urlopowiczów przeszło przez mokry ciemny piasek, potem weszło na śliskie schodki i ruszyło opustoszałą promenadą. Kiedy w końcu dotarli do swego apartamentu, Marta, nieprzyjemnie zaskoczona, stwierdziła, że drzwi są otwarte.

Dwie pokojówki, których nie znosiła - jedna złodziejka, druga flądra - pracowicie, nazbyt pracowicie, sprzątały pokój. Kazała im go sprzątać zawsze punktualnie o dziesiątej, a teraz była prawie dwunasta. Ale przytłoczyła ją dziwna apatia. Nic nie powiedziała i poszła poczekać w sypialni Dreyera. Tam ściągnęła z siebie mokry płaszcz kąpielowy i opadła na fotel, czuła się zbyt zmęczona, by zdjąć kostium i wziąć z łazienki ręcznik. Poza tym w łazience był jej mąż, widziała go przez otwarte drzwi.

Nagi, kipiący zaróżowionym życiem, energicznie się wycierał, podskakiwały przy tym różne fragmenty jego anatomii; podklinał za każdym razem, kiedy dotykał pokrytych czerwonymi plamami ramion. Zapukała jedna z pokojówek, żeby powiedzieć, że pokój pani jest gotów i Marta musiała zdobyć się na wielki wysiłek i ruszyć w długą podróż do sąsiedniej sypialni.

Myła się i ubierała - nieskończenie długimi okresami odrętwienia. Gruby golf, który poprzedniego wieczoru - a może dwa dni temu? - Franz pożyczył jej na esplanadzie, był trochę nazbyt męski, ale nie mogła znaleźć niczego cieplejszego. Nie bardzo jednak pomógł na napady dreszczy, które dręczyły jej ciało, podczas gdy umysł był niezwykle spokojny i znajdował się w stanie euforii. Oczywiście, że postąpiła słusznie. Co więcej, próba kostiumowa przebiegła doskonale. Wszystko było w absolutnym porządku.

- Wszystko jest w absolutnym porządku - powiedział przez drzwi Dreyer. - Mam nadzieję, że jesteś równie głodna, jak ja. Za dziesięć minut obiad w restauracji.

Poczekam na ciebie w czytelniku.

Mogła sobie wyobrazić tylko filiżankę czarnej kawy i kieliszek koniaku.

Kiedy mąż sobie poszedł, przeszła przez korytarz i zapukała do pokoju Franza. Drzwi nie były zamknięte, w środku - pusto. Na podłodze leżał płaszcz kąpielowy Franza, nieład

panował jeszcze w paru innych miejscach, ale Marta nie miała siły, żeby cokolwiek z tym zrobić. Znalazła go w białym kącie sali klubowej. Barmanka, chuda tleniona blondyna męczyła go, mówiąc o jakichś głupstwach.

Tymczasem deszcz nie ustawał. Igła, która rysowała na rolce papieru fioletowy wykres ciśnienia atmosferycznego, nabrała charakteru świętości. Ludzie na promenadzie zbliżali się do niej jak do szklanej kuli. Jej konkurenta spod arkad, tradycyjnego barometru, także nie dawało się przebłagać ani modlitwą, ani stukaniem w szkiełko. Na plaży ktoś zapomniał czerwonego wiaderka, które było już po brzegi pełne wody. Fotografów opadła chandra, restauratorzy natomiast mieli doskonały humor. To w jednej, to w innej kawiarni spotykało się wciąż te same twarze. Pod wieczór deszcz osłabł, a potem ustał. Dreyer, wstrzymując oddech, grał w karambol.

Rozeszła się pogłoska, że igła podniosła się o jeden milimetr.

- Jutro będzie ładna pogoda - powiedział jakiś prorok, wyrzucił pięść w dłoń. Gdy niebo czerwieniło się jarzy, radują się serca żeglarzy. Mimo że było chłodno, wielu gości jadło kolacje na tarasach. Przyszła wieczorna poczta - wielkie wydarzenie. Pod latarniami, zamglonymi wilgocią, zaczęło się wieczorne szuranie licznych nóg na promenadzie. W Kursaal odbywały się tańce.

Po południu położyła się, przykryta kołdrą i dwoma kocami, ale nadal miała dreszcze. Na kolację zdołała zjeść jedynie kiszony ogórek i dwie blade gotowane wiśnie. Teraz w sali balowej czuła się obco pośród otaczającego ją lodowatego hałasu.

Czarne płatki jej mglistej sukni zdawały się źle leżeć, jakby miały za chwilę się rozejść.

Dotyk ciasno opinającego jej łydki jedwabiu i paska podwiązki, który uciskał jej nagie udo, był jak zetknięcie z piekłem. Kolorowa zawieja konfetti zostawiała na jej plecach swoje płatki, ale i kończyny, i plecy należały do kogoś innego. W dręczącej harmonii z dźwiękami orkiestry pojawił się ból w innej tonacji niż cierpienie, które sprawiała jej neuralgia międzyżebrowa lub - jak powiedział jej pewien sławny kardiolog - „cień za sercem”. Taneczny rytm, inaczej niż zwykle, nie ukoił jej ani nie sprawił radości, nie, tym razem rysował na powierzchni skóry kanciasty wykres jej gorączki. Przy każdym ruchu głowy od skroni do skroni jak kula kręgielna przetaczał się skondensowany ból.

Dostała miejsce przy jednym z najlepszych stolików na sali, za sąsiada z prawej miała nauczyciela tańca, znanego młodzieńca, który przez cały sezon wakacyjny jak aksamitny motyl przelatywał z kurortu do kurortu; po lewej stronie siedział Schwarz, ciemnooki student, syn milionera z Lipska. Pantofelek, który był pod stołem, chyba sama zrzuciła ze stopy.

Słyszała, jak Marta Dreyer zadaje jakieś pytania, daje jakieś odpowiedzi, robi uwagi o okropieństwie grzmiącej sali. Musujące gwiazdeczki szampana szczypały jakiś obcy język, ale nie rozgrzewały jej krwi ani nie gasiły pragnienia. Niewidoczną ręką ujęła lewy nadgarstek Marty i starała się wyczuć puls.

Nie było go tam jednak, był gdzieś za jej uchem albo w szyi, albo w szczerzących zęby instrumentach orkiestry, albo we Franzu lub Dreyerze, którzy siedzieli naprzeciw.

Wszędzie dokoła z dłoni tańczących wyrastały lśniące niebieskie, czerwone i zielone baloniki i kołysały się na długich sznurkach, a każdy z nich zawierał w sobie całą salę balową i żyrandole, i stoliki, i ją samą. Ciasny uścisk fokstrota nie wlał w jej ciało ani trochę ciepła. Zauważyła, że tańczy także Marta i także ona trzyma szybujący wysoko zielony świat. Partner przyciskał się do jej nogi (wyczuwała, że facet ma erekcję), i wyznawał jej miłość za pomocą zadyszanych zdań z jakiejś sprośnej książeczki. Znowu popęzły w górę gwiazdeczki szampana, znowu kołysały się baloniki, znowu większa część nogi Marty znajdowała się w kroczu Weissa, który jęczał i swoim policzkiem dotykał jej policzka, a jego palce wędrowały po jej nagich plecach.

Znowu siedziała przy stoliku. Przez okulary Franza przepływały czerwone, niebieskie i zielone plamki. Dreyer parsknął rubasznym śmiechem, prostacko walił dłonią w stół i rozpiął się w fotelu. Wyprostowała pod stolikiem nogę i nacisnęła.

Franz wzdrygnął się, podniósł i uklonił. Położyła rękę na jego kochanym kościstym ramieniu. Jakże szczęśliwi byli, kiedy otaczał ich rytm tamtej wcześniejszej powieści, w tamtych pierwszych rozdziałach, pod obrazem niewolnicy, tańczącej pomiędzy wirującymi derwiszami. Na jedną cudowną chwilę muzyka przeniknęła przez jej prywatną mgłę, dotarła do niej, otuliła ją. Znowu wszystko było w porządku, bo to przecież on, Franz, jego nieśmiałe ręce, jego oddech, miękki puszek na jego karku pod jej paznokciami i jego ruchy, te drogocenne, cudowne ruchy, których nauczyła go sama.

- Bliżej, bliżej - wymamrotała - żeby było mi ciepło.

- Jestem zmęczony - wymamrotał w odpowiedzi. - Jestem śmiertelnie zmęczony.

Proszę cię, nie rób tego...

Trąbki stanęły dęba, a potem dźwięki się rozsypały. Franz odprowadził ją do stolika. Ludzie dokoła klaskali. Obok niej przemknął nauczyciel tańca z jakąś jasnożółtą dziewczyną. Orzechowobrzowy pan Vinomori, w którego białkach znacząco błyskała tęczęwka, klaniał się jej, wabił. Zobaczyła, że Marta Dreyer przytuliła się do niego i zaczęła tańczyć tango.

Wujek i siostrzeniec zostali przy stoliku sami. Dreyer wybijał palcem takt, obserwował tańczących, czekał na powtarzające się powroty zielonych kolczyków żony i ze

zgrozą słuchał mocnego głosu piosenkarki. Była krępa i posępna, krzyczała, zdzierała gardło, co jakiś czas podskakując w rytm muzyki: „Montevideo, Montevideo to nie miejsce für meinen Leo”. Tańczący ją potrącali; bez końca powtarzała ogłuszający refren; syknął na nią grubas w smokingu, jej pan, i powiedział, żeby zaczęła inną piosenkę, bo ta się nikomu nie podoba; Dreyer słyszał to „Montevideo” wczoraj i przedwczoraj i znowu opanowała go melancholia, poczuł się zakłopotany, kiedy głos biednej pękatej dziewczyny załamał się na jakiejś nucie i kiedy z dzielnym uśmiechem z powrotem dostroiła go do melodii. Tuż przy nim siedział Franz i zdawał się również obserwować tańczących. Był trochę pijany, a mięśnie bolały go od porannego wiosłowania. Miał ochotę przycisnąć czoło do blatu stolika i na zawsze już zostać w tej pozycji - pomiędzy popielniczką a pustą butelką. Czuł, że w wyszukany i obrzydliwy sposób dręczy go gad, giętki smok, że wywraca go na nice - torturze nie było końca. Istota ludzka, a w końcu był istotą ludzką, nie może wytrzymać takiej udręki.

Właśnie w tej chwili Franz odzyskał świadomość - jak niedostatecznie uśpiony pacjent na stole operacyjnym. Kiedy oprzytomniał, uświadomił sobie, że go krają, zawyłyby przeraźliwie, gdyby nie znajdował się w wymyślonej sali balowej. Rozejrzał się dokoła, bawiąc się przy tym sznurkiem przywiązanego do butelki balonika.

Zobaczył, jak odbita w rokokowym lustrze potylica Dreyera kiwa się w takt muzyki.

Odwrócił wzrok; jego spojrzenie zaplątało się pomiędzy nogami tańczących i desperacko uchwyciło jakiejś lśniącej niebieskiej sukni. Niebieska cudzoziemka tańczyła z wyjątkowo przystojnym mężczyzną w staroświeckim smokingu. Franz już dawno zauważył tę parę; migali mu jak powracający we śnie obraz, jak subtelny lejtmotyw - to na plaży, to w kawiarni, to na promenadzie. Mężczyzna niósł czasem siatkę na motyle. Dziewczyna miała delikatnie umalowane usta i tkliwe szaroniebieskie oczy i jej narzeczony albo mąż - smukły, elegancko łysiejący, wszystko prócz niej traktujący pogardliwie - patrzył na nią z dumą. I Franz zaczął zazdrościć tej parze - tak bardzo, że jego udręka i gorzycz niestety przybrały na sile; muzyka ucichła.

Przeszli obok niego. Głośno rozmawiali. Mówili całkiem niezrozumiałym językiem.

- Pańska ciotka tańczy jak bogini - powiedział student, siadając obok niego.

- Jestem bardzo zmęczony - bez związku zauważył Franz. - Dużo dzisiaj wiosłowałem. Wioślarstwo to bardzo zdrowy sport.

Tymczasem Dreyer powiedział z przymilnym mrugnięciem oka: - Czy i mnie będzie wolno zaprosić cię do tańca? Obiecuję, że nie będę ci deptał po nogach.

- Zabierz mnie stąd - powiedziała Marta. - Nie czuję się dobrze.

### XIII

Na wpół jeszcze śpiący, mrugając oczami, Dreyer w rozpiętej na różowym brzuchu żółtej pizamie wyszedł na balkon. Mokre liście iskrzyły się oślepiająco. Morze było mlecznoniebieskawe, nakrapiane srebrem. Na sąsiednim balkonie suszył się kostium kąpielowy jego żony. Dreyer wrócił do mrocznej sypialni, śpieszył się, musiał się szybko ubrać - wyjeżdżał do Berlina. O ósmej miał autobus, który potrzebował czterdziestu minut, by dotrzeć do stacji kolejowej w Swistok; taksówka zawiozłaby go tam w niecałe pół godziny i mógłby złapać wcześniejszy pociąg. Starał się nie śpiewać pod prysznicem, żeby nie zbudzić sąsiadów. Z zadowoleniem ogolił się na balkonie przed przyśrubowanym do balustrady lustrem nowego typu, doskonale statycznym i nietłukącym się. Znowu zanurzył się w półcieniu i zzwawo się ubrał.

Cichutko otworzył drzwi do sąsiedniej sypialni. Z łóżka dobiegły szybko wypowiedane słowa Marty:

- Bierzemy gondolę i płyniemy na tombolę. Pośpiesz się.

Często mówiła przez sen, bredząc coś o Franzu, Friedzie, orientalnych ćwiczeniach gimnastycznych.

Klepiąc się po bokach, by sprawdzić, czy włożył wszystko, co trzeba, do odpowiednich kieszeni, Dreyer roześmiał się i powiedział: - Do widzenia, najdroższa. Jadę do Berlina.

Wymamrotała coś głosem kogoś, kto się budzi, a potem powiedziała całkiem wyraźnie:

- Daj mi trochę wody.

- Śpieszę się - powiedział. - Sama dasz sobie radę. Czas wstawać, czas iść popływać z Franzem. Cudowny ranek.

Pochylił się nad mrocznym łóżkiem, pocałował ją we włosy i przez własną sypialnię wyszedł na długi korytarz, który prowadził do windy.

Na tarasie *kurhausu* wypił kawę. Zjadł dwie bułeczki z masłem i miodem.

Spojrzał na zegarek i zjadł trzecią. Na plaży można było dostrzec jasne płaszcze kąpielowe pływaków - rannych ptaszków, a morze lśniło coraz to mocniej i mocniej.

Zapalił papierosa i wskoczył do przywołanej przez portiera taksówki.

Morze zostało za nim. O tej porze więcej już głów pływaków nakrapiało połyskującą zielononiebieską powierzchnię. Ze wszystkich balkonów dobiegał cichy brzęk śniadania. Machinalnie wetknąwszy pod pachę piłkę, której serdecznie nie lubił, Franz przeszedł korytarz i zapukał do drzwi Marty. Cisza. Drzwi były zamknięte na klucz. Zapukał do drzwi Dreyera, wszedł i stwierdził, że w pokoju wuja panuje bałagan. Doszedł do słusznego



wniosku, że Dreyer wyjechał już do Berlina. W sklepie ten dzień musiał być straszny. Drzwi do pokoju Marty były uchylone. Było za nimi ciemno. Niech śpi. Tak jest dobrze. Zaczął wycofywać się na palcach, ale z ciemności dobiegł głos Marty.

- Dlaczego nie dajesz mi tej wody? - powiedziała z apatycznym naciskiem.

Franz zlokalizował karafkę i szklankę i ruszył w kierunku łóżka. Marta powoli się uniosła, wydołała spod kołdry nagie ramię i chciwie wypła wodę. Franz odłożył karafkę z powrotem na serwantkę i zamierzał ponownie wycofać się ukradkiem.

- Franz, chodź tutaj - zawołała tym samym bezbarwnym głosem.

Usiadł ponury na skraju łóżka, spodziewając się, że każe mu spełnić obowiązek, którego spełniania udawało mu się unikać, odkąd przyjechali nad morze.

- Chyba jestem bardzo chora - powiedziała zadumany głosem, nie podnosząc ręki z poduszki.

- Zadzwoń po twoją kawę - powiedział Franz. - Świeci dziś słońce, a tu jest tak ciemno.

Znowu się odezwała:

- Zużył cały zapas aspiryny. Idź do apteki i kup mi trochę. I powiedz, żeby zabrali to wiosło, uwiera mnie.

- Wiosło? To twoja butelka z gorącą wodą. Co ci jest?

- Proszę cię, Franz, nie mogę mówić. I zimno mi. Potrzebuję mnóstwa kocy.

Przyniósł koc z pokoju Dreyera i przykrył ją - niezgrabnie, niedbale, złoszcząc się na kobiecy kaprys.

- Nie wiem, gdzie jest apteka - powiedział.

- Przyniosłeś? - spytała Marta. - Co przyniosłeś?

Wzruszył ramionami i wyszedł.

Bez trudności znalazł aptekę. Oprócz aspiryny kupił tubkę kremu do golenia i widokówkę przedstawiającą zatokę. Paczka dotarła, ale Emmy w swoim ostatnim liście pytała, czy przypadkiem coś mu nie padło na mózg, toteż pomyślał, że powinien w paru słowach zaprotestować i zapewnić ją, że wszystko z nim w porządku. Idąc słoneczną promenadą z powrotem do hotelu, zatrzymał się, żeby popatrzeć na plażę.

Oddzielił fiolkę z aspiryną od kremu do golenia i włożył go do kieszeni. Nagły powiew wiatru zawładnął papierową torebką, w której były obie rzeczy. W tym momencie wyminęła go cudzoziemska para. Oboje byli w płaszczach kąpielowych, szli szybko, szybko rozmawiając w swoim tajemniczym języku. Zdawało mu się, że spojrzeli na niego i na chwilę umilkli. Minąwszy go, znowu zaczęli rozmawiać. Miał wrażenie, że mówią o nim, a nawet

wymieniają jego nazwisko. Zbiło go z tropu i rozzłościło, że ten cholerny szczęśliwy cudzoziemiec, który ze swoją opaloną, bladowłosą, uroczą towarzyszką śpieszy na plażę, wie absolutnie wszystko o jego kłopotach i być może lituje się, podśmiewując się trochę, nad uczciwym młodzieńcem uwiedzionym i przywłaszczonym sobie przez starszą od niego kobietę, przypominającą, mimo swych eleganckich sukni i kremów do twarzy, dużą białą ropuchę. W ogóle turyści w tych eleganckich kurortach to zawsze wścibscy i okrutni kpiarze. Poczuł się zawstydzony swoją włochatą nagością, byle jak przykrytą szarlatańskim płaszczem kąpielowym.

Przeklinając wiatr i morze i kurczowo trzymając fiolkę z aspiryną, wszedł do holu hotelu. Lekki papier, który zgubił po drodze, frunął wzdłuż promenady, opadał na ziemię, podrywał się znowu i sunął za szczęśliwą parą; potem wiatr zniósł go na ławkę, stojącą w niszy, którą tworzyła zagięta balustrada, i siedzący na słońcu staruszek w zadumie przebił go czubkiem laski. Co stało się z papierem później - nie wiadomo. Ci, którzy śpieszyli na plażę, nie interesowali się jego losami. Po drewnianych stopniach schodziło się na piasek. Chciało się człowiekowi jak najszybciej dotrzeć do powolnych, lśniących fałd morza. Biały piasek śpiewał pod stopami. Pomiędzy setkami budek w takie same paski łatwo było rozpoznać własną - nie tylko po wymalowanym na niej numerze: wynajmowane przedmioty zdumiewająco szybko przyzwyczajają się do swego przypadkowego właściciela, w naturalny i ufny sposób stając się częścią jego życia. Kilka stojących blisko siebie budek tworzyło niszę Dreyerów, teraz była ona pusta - nie było tu ani Dreyera, ani jego żony, ani jego siostrzeńca. Otaczał ją spory wał z piasku. Łaził po nim jakiś chłopczyk w czerwonych kąpielówkach i piasek osypywał się iskrzącymi się strużkami; po chwili rozsypał się cały fragment wału. Pani Dreyer byłaby niezadowolona, że obce dzieci burzą jej twierdzę. Wokół twierdzy, a także w jej obrębie niecierpliwe żywioły zamazały ślady nagich stóp. Nikt nie byłby teraz w stanie odróżnić mocnego śladu Dreyera od wąskiego odcisku podeszwy stopy Franza. Chwilę później przyszli Schwarz i Weiss i ze zdziwieniem przekonali się, że nikogo nie ma.

- Fascynująca, wspaniała kobieta - powiedział jeden z nich, a drugi spojrzawszy na promenadę odparł:

- Jestem pewien, że za parę minut się zjawią. Chodźmy popływać, wrócimy tu później.

Budka i otaczający ją wał pozostały puste. Chłopczyk pobiegł z powrotem do swojej siostry, która przyniosła niebieskie wiaderko wody do zabawy i po kilku magicznych zabiegach i klepnięciach starannie wytrząsnęła z wiaderka nienagannie ukształtowany stożek czekoladowego piasku. Nadleciał biały motyl, walcząc z wiatrem. Flagi łopotały. Z oddali dobiegło wołanie fotografa. Ludzie wchodząc do wody poruszali nogami jak narciarze bez

kijków.

Tymczasem chmara tych widoczków znad morza - błyski słońca na zielonej nabrzmiałej fali - jechała na południe, wygodnie ulokowana w głowie Dreyera; im bardziej berliński ekspres oddalał się od morza, tym natarczywiej domagały się one uwagi. Przedsmak spraw, które czekały go w stolicy, psuła nieco myśl, że właśnie w tej chwili zmienia się znowu w kupca, rzuca w wir kupieckich machinacji i fantazji i że tam, nad morzem, na białym, prawdziwie rzeczywistym piasku, pozostawił za sobą wolność. I im bardziej zbliżał się do metropolii, tym atrakcyjniejsza zdawała mu się roziskrzona plaża, którą niby miraż można było zobaczyć ze Skały.

W domu ogrodnik zawiadomił go o śmierci Toma: pies został chyba potrącony przez ciężarówkę, znaleziono go nieprzytomnego, umarł - powiedział - w jego ramionach. Dreyer dał mu za jego współczucie pięćdziesiąt marek i ze smutkiem skonstatował, że prócz tego dość nieokrzesanego starego żołnierza nikt naprawdę nie kochał biednego zwierzęcia. W biurze dowiedział się, że pan Ritter spotka się z nim nie w holu Adlerhofu, tylko w barze hotelu „Royal”. Przed pójściem tam zatelefonował do Izoldy - była u matki w dzielnicy Spandau - i nikczemnie błagał ją o krótką randkę wieczorem, ale Izolda powiedziała, że jest zajęta, i zaproponowała, żeby zadzwonił następnego dnia albo jeszcze następnego i wziął ją na premierę filmu *Król, dama, walet* - a potem się zobaczy.

Jego amerykański gość, miły, kulturalny człowiek ze stalowosiwymi włosami i potrójnym podbródkiem, spytał o Martę, którą poznał kilka lat wcześniej, i Dreyer doznał rozczarowania, odkrył bowiem, że jego angielszczyzna, mimo tylu godzin, poświęconych jej od chwili owego miłego przyjęcia, nie wystarcza, by dać sobie radę z nosową wymową Rittera - po czym ten ostatni przeszedł na staroświecką odmianę niemieckiego. Kolejne rozczarowanie czekało Dreyera w „laboratorium”. Zamiast obiecanych trzech automanekinów do pokazania nadawały się tylko dwa - znany mu już starszy jegomość, który miał na sobie replikę jego blezera, i sztywno wyglądająca kobieta w brązowej peruce i zielonej sukni - miała wysoko osadzone kości policzkowe i bardzo męską brodę.

- Mógłby pan zrobić jej trochę większy biust - zauważył Dreyer z wyrzutem.

- Typ skandynawski - powiedział Wynalazca.

- Typ skandynawski - powiedział Dreyer. - Raczej odtwórca ról kobiecych.

- Kontaminacja obydwu, jeśli pan chce. Mieliśmy pewne kłopoty, źle działało zebro.

W końcu potrzebuję więcej czasu niż Bóg, panie dyrektorze. Ale jestem pewien, że zachwyci się pan pracą jej bioder.

- Jeszcze jedno - powiedział Dreyer. - Krawat faceta nie wygląda mi najlepiej. Musiał

go pan chyba kupić w Chorwacji albo w Księstwie Liechtenstein. W każdym razie w moim sklepie takich nie sprzedajemy.

Prawdę mówiąc, pamiętam krawat, który miał ostatnim razem; był piękny, jasnoniebieski jak pański.

Moritz i Max zachichotali.

- Przyznaję - powiedział Wynalazca - że pożyczyłem go sobie na tę niezwykłą okazję.

Sięgnął pod swoją szeleszczącą brodę i zaczął szarpać przednią spinkę wysokiego kołnierzyka, tak jednak, że nie puściła. Dreyer zerwał już swój własny perłowski krawat i na resztę dostępnej poznanii egzystencji pozostał z rozpiętym kołnierzykiem.

Pan Ritter drzemał w fotelu w „teatrze”. Dreyer głośno zakaszał. Jego gość obudził się i zaczął jak dziecko przecierać oczy. Rozpoczęło się przedstawienie.

Kręcąc kanciastymi biodrami przez scenę przeszła kobieta - raczej ulicznica niż somnambuliczka. Za nią szedł pijany hulaka. Po chwili wpadła na scenę znowu, miała teraz na sobie futro z norek, zatoczyła się, odzyskała równowagę, dotarła do końca pełnej udręki drogi i zza kulis dobiegł potężny głuchy stuk. Jej niedoszły klient już się nie pokazał. Nastąpiła długa przerwa.

- To jedzenie, którym mnie pan uraczył, było nadzwyczajne - powiedział pan Ritter. - Zrewanżuję się, kiedy madame i pan odwiedzicie mnie przyszej wiosny w Miami. Mam kucharza, Hiszpana, który przez wiele lat pracował we francuskiej restauracji w Londynie, więc menu jest naprawdę kosmopolityczne.

Tym razem na powolnych wrotkach przepłynęła kobieta w czarnej sukni wieczorowej, nogi miała sztywne, widziana z profilu głowa przypominała czaszkę, w rozcięciu dekoltu widać było trykot, upačkany rękami jej stwórcy. Dwu jego współnikom nie udało się złapać jej za sceną; krótka kariera zakończyła się złowieszczym łoskotem. Nastąpiła kolejna przerwa. Dreyer zaczął się zastanawiać, jakie zboczenie umysłowe spowodowało, że przyjął z zadowoleniem, jeśli nie z zachwytem, te pijane marionetki. Miał nadzieję, że spektakl dobiegł końca, ale okazało się, że wraz z panem Ritterem nie zobaczyli jeszcze *clou* programu.

Na scenę wszedł staruszek w białych rękawiczkach i stroju wieczorowym, ręką dotykał cylindra, wyglądał na wypoczętego i wesołego. Stał przed widzami i zaczął zdejmować cylinder, by wykonać skomplikowany, stanowczo zbyt skomplikowany ukłon. Coś zachrząściło.

- *Halt* - zawył Wynalazca, wykazując dużą przytomność umysłu, i rzucił się w kierunku mechanicznego maniaka. - *Za późno!* - Staruszek zamaszystym gestem zdjął wprawdzie kapelusz, ale jednocześnie odpadło mu ramię.

Zasunęła się miłosierna czarna zasłona fotografa.

- *How have you liked?* - spytał Dreyer.

- Fascynujące - powiedział pan Ritter i zaczął zbierać się do wyjścia.

- Odezwę się do pana za parę dni. Widzi pan, muszę podjąć decyzję, który z dwu projektów powinienem sfinansować.

- Czy ten drugi jest podobny?

- Ależ nie. Nie, to coś całkiem innego. Drugi to projekt cyrkulacji wodnej w luksusowych hotelach. Woda wydawałaby określone dźwięki. *Wassermusik* w dosłownym tego słowa znaczeniu. Orkiestra kurków od kranu. Człowiek myje ręce w barkaroli, kąpie się w *Lohengrinie*, płucze srebra w Debussym.

- Albo zachłystuje się Bachem - zażartował Dreyer.

Resztę wieczoru spędził w domu, próbując czytać angielską sztukę pod tytułem Kandyda i co chwila leniwie oddając się myślom. Wynalazek dał mu wszystko, co mógł. Cała sprawa posunęła się niestety za daleko. Sinobrody roztrwonił hipnotyczną siłę i automanekiny straciły znaczenie, życie i urok. W jakiś niejasny sposób był im wdzięczny - za czarodziejskie zadanie, które spełniły, za podniecenie, za nadzieje. Ale teraz myślał o nich jedynie z niesmakiem.

Przedzierał się przez kolejną scenę, pilnie kartkując słownik przy każdej niepewności. Jutro zadzwoni do Izoldy. Zatrudni jakąś ładną Angieleczkę, żeby uczyła go języka Shawa i Galsworthy'ego. Po prostu sprzeda wynalazek z powrotem Sinobrodemu. Co za wspaniały pomysł! Za symboliczną cenę dziesięciu dolarów.

Jak cicho w domu. Nie ma Toma, nie ma Marty. Nie umie przegrywać, biedactwo. Nagle zrozumiał, jaki to dodatkowy czynnik wzmacnia martwą ciszę: w domu nie chodził ani jeden zegar.

Parę minut po jedenastej podniósł się ze swego komfortowego miejsca i miał zamiar pójść do sypialni, ale telefon położył mu na ramieniu swoją chłodną rękę.

I oto teraz pędził w wynajętej limuzynie, kierowanej przez szofera o szerokich barach, poprzez nie kończące się obszary nocnych pól i lasów, przez północne miasta, których nazwy zniekształcała ciemność: Nauesack, Wusterbeck, Pritzburg, Nebukow.

Ich wątle światła obmacywały go, kiedy je mijał, samochód drżał i kołysał się.

Obiecano mu, że dojadą w pięć godzin, ale nic z tego nie wyszło i gdy dotarli do Swistok, skąd było trzydzieści kilometrów do Gravitz, był już szary poranek, rojący się rowerami, które kręciły się pomiędzy pełznącymi wolno ciężarówkami.

Recepcjonista, młody brunet z zapadniętymi policzkami i wielkimi okularami,

powiadomił go, że wśród gości hotelowych znalazł się szczęśliwym trafem profesor Lister, lekarz światowej sławy, i że zbadał panią poprzedniego wieczora, a i teraz jest u niej.

Kiedy Dreyer wielkimi krokami pędził do swego apartamentu, słynny doktor, wysoki, łysy staruszek w stroju przypominającym mnisi habit wyszedł właśnie z pokoju Marty.

- To niesłychane - ryknął na Dreyera, nawet nie uściskawszy mu ręki.

- Pacjentka ma zapalenie płuc, czterdzieści jeden stopni gorączki i nikogo to nie obchodzi. Jej mąż zostawia ją w tym stanie i wyjeżdża sobie w najlepsze. Jej siostrzeniec okazuje się matolem. Gdyby wczoraj wieczorem nie zaalarmowała mnie pokojówka, dalej hulałby pan w Berlinie.

- A więc sytuacja jest poważna?

- Poważna? Pięćdziesiąt oddechów na minutę. Serce zachowuje się dziwacznie. To nie jest serce dwudziestodwuletniej kobiety.

- Trzydziestoczworoletniej - powiedział Dreyer. - W jej paszporcie jest błąd.

- No to trzydziestoczworoletniej. Tak czy owak natychmiast powinna zostać przewieziona do kliniki w Swistok, gdzie mogłaby być właściwie leczona.

- Tak, natychmiast - powiedział Dreyer.

Staruszek kiwnął z niezadowoleniem głową i majestatycznym krokiem odszedł.

Jedna z pokojówek, których Marta nie znosiła, ta, która w ciągu trzech dni ukradła co najmniej tyleż chusteczek do nosa, miała teraz na sobie strój pielęgniarki (w zimie pracowała w klinice).

Brązowy czy wrzosowy tweed? Franz ziewał właśnie nerwowo na tarasie kawiarni, kiedy wielką falą przetoczył się doktor, śpieszył się, żeby popływać chwilę przed wyjazdem do Swistok. Brązowy. Gburowatego Listera wzruszyło mimo woli przygnębienie chłopaka i zawołał doń z promenady: - Przyjechał pański wujek.

Franz poszedł do pokoju Dreyera i stał tam, nasłuchując jęków i mamrotania, które dobiegały z sąsiedniego pomieszczenia. Czy los pozwoli jej wyjawic ich sekrety?

Leciutko zapukał do drzwi. Z pokoju chorej wyszedł Dreyer. I jego wzruszył nieprzytomny wygląd Franza. Po chwili zobaczyli z balkonu, że na podjeździe pojawiła się karetka.

Marta kołysała się na falach, niedużych kanciastych falach, które wznosiły się i opadały w rytmie jej oddechu, płynęła białą łódką, a przy wiosłach siedzieli Dreyer i Franz, który uśmiechnął się do niej ponad pochyloną głowę Dreyera, i zobaczyła swój wesoły parasol odbity w uszczęśliwionym błysku jego okularów. Franz miał na sobie jedną z nocnych koszul swojego ojca; dalej uśmiechał się do niej wyczekująco, a łódka opadała i

skrzypiała, jakby była na sprężynach. I Marta powiedziała: „Już czas.

Zaczynamy”. Dreyer podniósł się z ławki, Franz podniósł się także i obaj zatoczyli się, śmiejąc się z całego serca, zakleszczeni w mimowolnym uścisku. Długa koszula Franza falowała na wietrze i nagle stał już sam, ciągle śmiejąc się i kołysząc, a z wody wyciągała się ręka. „Weź wiosło i walnij go” - zawołała Marta, krztusząc się śmiechem. Franz, mocno stojąc na niebieskiej tafli wody, uniósł wiosło i ręka znikła.

Byli teraz sami w łódce, która nie była już łódką, tylko kawiarnią z dużym marmurowym stolikiem, i Franz siedział naprzeciw, i jego dziwny strój nie miał już żadnego znaczenia. Pili piwo (ależ miała pragnienie). Franz popijał z jej niepewnie stojącego kieliszka, a Dreyer uderzał portfelem w blat, chcąc przywołać kelnera.

„Teraz” - powiedziała i Franz szepnął coś Dreyerowi na ucho, i Dreyer wstał, śmiejąc się, i obaj wyszli. Marta czekała, jej fotel unosił się i opadał - to była pływająca kawiarnia. Franz wrócił sam, niosąc przewieszony przez ramię niebieski blezer jej męża nieboszczyka; kiwnął znacząco głową i cisnął blezer na pusty fotel. Marta chciała pocałować Franza, ale stolik ich rozdzielał i marmurowa krawędź ukuła ją w pierś.

Przyniesiono kawę - trzy dzbanki, trzy filiżanki - i dopiero po pewnym czasie okazało się, że jest o jedną porcję za dużo. Kawa była za gorąca, toteż Marta uznała, że ponieważ zaczęło mżyć, należy poczekać, aż deszcz ją rozcieńczy. Deszcz jednak także był gorący i Franz namawiał ją, żeby poszli do domu, wskazując ich willę po drugiej stronie ulicy. - Zaczynamy - powiedziała. Cała trójka wstała i Dreyer, blady i spocony, zaczął wkładać swój niebieski blezer. Zaniepokoiło to Martę. Było to nieuczciwe, nielegalne. Gestykulowała, niemo wyrażając oburzenie. Franz zrozumiał, o co chodzi, i mówiąc bardzo zdecydowanie, zaczął wyprowadzać wuja, który zachwiał się, szukając na oślep rękawa blezera. Franz wrócił sam, ale nim usiadł, z przeciwnej strony pojawił się wracający Dreyer, krańcowo teraz widmowy i całkiem niedopuszczalny. Spojrzał na nią spode łba i pokręcił głową, bez słowa siadając na łóżku do wioseł. Martę opanowała taka niecierpliwość, że jak tylko łóżko się poruszyło, zaczęła krzyżeć. Nowa łódka płynęła długimi korytarzami. Chciała wstać, ale przeszkodziło jej w tym wiosło. Franz wiosłował wytrwale. Coś jej mówiło, że nie wszystko zrobili jak należy. Przypomniała sobie - blezer! Niebieski blezer leżał na dnie łódki, rękawy wyglądały na puste, ale plecy nie były wystarczająco płaskie, prawdę mówiąc, wybrzuszały się, podejrzanie się garbiły i oto zaczęły nabrzmiewać także oba rękawy. Widziała, jak blezer stara się stanąć na czworakach, więc go chwyciła; razem z Franzem rozkołysali go porządnie i wyrzucili z łódki. Nie chciał jednak zatonać. Prześlizgiwał się z fali na falę, jakby był żywą istotą. Trąciła go wiosłem, a on kurczowo się go chwycił, starając się wgramolić do łódki.

Franz przypomniał Marcie, że w kieszeni blezera ciągle jest zegarek, i wtedy blezer, teraz ze względu na wodę uszyty z nieprzemakalnego materiału, wolno zaczął tonąć, anemicznie poruszając zmęczonymi rękawami. Patrzyli, jak znika. Robota była wreszcie skończona i Martę opanowała olbrzymia, niespokojna radość. Teraz łatwo było oddychać, ten napój, który jej dali, okazał się cudowną trucizną (benedyktyn zmieszany z żółcią); jej mąż był już ubrany i mówił: - Pośpiesz się, zabieram cię na bal - ale Franz zapodział gdzieś jej klejnoty.

Przed wyjazdem do szpitala Dreyer powiedział Franzowi, żeby bronił twierdzy, za parę dni oboje wrócą. W istocie nie było chyba specjalnej różnicy między delirium Marty i stanem umysłu jej nieszczęsnego kochanka. Kiedyś, w przeddzień egzaminów w szkole, kiedy Franz rozpaczliwie potrzebował pozytywnej oceny, żeby nie powtarzać klasy, pewien chytry łobuziak zdradził mu sekret przemysłnej sztuczki, która zawsze przynosiła pozytywne rezultaty, jeśli wiedziało się, jak właściwie ją zastosować.

Trzeba było z maksymalną jasnością, zwarłszy w żelazną pięść wszystkie siły umysłu, wyobrazić sobie nie to, czego człowiek pragnął, nie pozytywną ocenę, nie jej śmierć, nie wolność, ale drugą możliwość: oblanie egzaminu, brak swojego nazwiska na liście tych, którzy zdali do następnej klasy, i zdrową, drapieżną, nieubłaganą Martę, wracającą do swego wesołego nadmorskiego piekła po to, by zmusić go do wykonania planu, którego realizację odłożyli. To jednak według kolegi nie wystarczało: najtrudniejszym elementem sztuczki było odsuwanie od siebie możliwości sukcesu, trzeba było to zrobić w sposób tak całkowity i naturalny, jakby w umyśle człowieka nie pojawiła się nigdy nawet myśl o takiej możliwości. Franz nie mógł sobie przypomnieć, czy dokonał tego wyczynu przed egzaminem (który ostatecznie zdał), wiedział jednak, że teraz jest do niego całkowicie niezdolny. Niezależnie od tego, jak wyraźnie wyobrażał sobie, że wszyscy troje siedzą znów na tarasie restauracji „Marmora” i zakładają się tak samo, jak poprzednio, i że znowu wciągają do łódki Dreyera, kątem oka zauważał, że łódka odpływa bez nich, Dreyer zaś telefonuje ze szpitala, by zawiadomić go o śmierci Marty.

Wpadając z jednej krańcowości w drugą, pozwalał sobie na niebezpieczny luksus wyobrażenia sobie wolności, oczekującej go ekstazy wolności. Potem, nacieszywszy się tą okropną rozpustą myśli, próbował innych sposobów oszukania losu. Liczył czekające na klientów łódki, a potem gości w kawiarence na plaży i dodawał obie sumy, mówiąc sobie, że jeśli wyjdzie liczba parzysta, będzie to oznaczać śmierć. Wyszła liczba parzysta, ale zaczął się niepokoić, czy przypadkiem ktoś nie opuścił kawiarni albo do niej nie wszedł, kiedy dokonywał obliczeń.

Poprzedniego dnia postanowił skorzystać z samotności i dokonać zakupu, który



Dreyer zapewne wykpiłby z właściwym sobie poczuciem humoru, a Marta uznała za lekkomyślny w tym krytycznym momencie ich życia. Chciał mianowicie kupić sobie wymarzone eleganckie pumpy. Spędził parę godzin w kilku różnych sklepach. Niemal kupił jedno, ale potem powiedział, że jeszcze to przemyśli i zdecyduje, które chce: z brązowego czy ciemnofioletowego tweedu. Wrócił teraz do tego sklepu i przymierzył brązowe - okazały się trochę za szerokie w talii. Powiedział, że je weźmie, jeśli zdążą zrobić poprawki przed zamknięciem. Obiecano mu to. Kupił też sobie dwie pary brązowych wełnianych skarpetek, następnie poszedł popływać, a potem wypił w barze kilka kieliszków koniaku, na próżno czekając, by pewna atrakcyjna blondynka pozbyła się dwu starszych mężczyzn, flirtujących z nią niezgrabnie i ordynarnie. Nagle przyszło mu do głowy, że dokonał wyboru bardziej konserwatywnego odcienia, ponieważ wyobraził sobie raczej śmierć niż życie, które mogłyby sugerować przypominające konfetti plamki na tweedzie. Kiedy jednak wrócił do sklepu, pumpy były już gotowe i nie miał odwagi zmienić swojego zamówienia.

Następnego ranka, kiedy Franz, w nowych pumpach i golfie, zjadłszy obiad, popijając drugą filiżankę kawy, wlepił oczy w deszcz, recepcjonista, który wedle Wuja Błazna, był do niego podobny, przyniósł mu dwie wiadomości. Dreyer telefonował, że pani życzy sobie swych szmaragdowych kolczyków - Franz natychmiast doszedł do wniosku, że jeśli pani zastanawia się nad pójściem na tańce, to nie ma co oczekiwać zgonu. Recepcjonista wyjaśnił, że pan dyrektor Dreyer chce, żeby siostrzeniec wyjął je z serwantki ciotki i bez zwłoki zawiózł taksówką do Swistok.

Najwyraźniej wyleczyła się z lekkiego przeziębienia tak szybko, że lekarz pozwolił jej wyjść jeszcze tego wieczoru. Franz stwierdził z goryczą, że ze wszystkich możliwości, jakie starał się przewidzieć, tej jednej nie zdołał sobie wyobrazić. Drugą wiadomością był telegram, który przekazano drogą telefoniczną i który recepcjonistapoliglota zapisał następująco: UPIJMY INTERES MUSCHE TO MIECZ STOP PO STO KROCZ

TAK RITTER. Nie miało to sensu, ale co z tego? Przeklinając cudotwórcę Listera, pojechał windą - z pseudoFranzem i zalatującym piwem tęgim ślusarzem o schrypłym głosie. Klucz był w torebce Marty, a torebka powędrowała wraz z nią do Swistok. Ślusarz zaczął pracować nad zamkiem serwantki. Wytarł nos i przyklęknął na jedno kolano, potem na oba. Fałszywy Franz oraz Franz mniej więcej rzeczywisty stali jeden obok drugiego, przyglądając się brudnym podeszwoom ślusarza.

W końcu szufladę udało się wysunąć. Franz otworzył czarną szkatułkę i pokazał ponuremu recepcjoniście szmaragdy.

Pół godziny później przybył do szpitala, który mieścił się w nowym białym budynku

w sosnowym lasku na peryferiach. Taksówkarz domagał się napiwku i ze złością zatrzasnął drzwiczki, kiedy Franz przecząco pokręcił głową. Kolejną wiadomość dla niego miała jakaś niezwykle wesoła pielęgniarka. Jego wujek - powiedziała z uszczęśliwionym uśmiechem - czeka na niego w hoteliku, jakieś półtora kilometra od szpitala. Franz pokonał tę odległość z lewą ręką przyciśniętą do lewej piersi, gdzie ubranie wybrzuszała szkatułka. Trochę obcierały uda. Kiedy zbliżał się do hoteliku, zobaczył, jak pełnym animuszu krokiem wychodzi z niego Marta i przygląda się niebu, trzymając rękę na guziczku otwierającym parasol. Spojrzała przelotnie na Franza i poszła w kierunku, z którego nadszedł. Była młodsza od Marty, miała inne usta, ale oczy i ruchy takie same. Miły zjazd rodzinny w hoteliku w Swistok - wujek, siostrzeniec i dwie ciocie.

Dreyera znalazł w holu hoteliku. Wujek przyglądał się bogato zdobionemu dzbanowi z cyny i wciąż na niego patrzył, kiedy Franz wtykał już czarną szkatułkę i telegram powietrzu w jego sąsiedztwie. Nie otwierając, Dreyer włożył jedno i drugie do tylnej kieszeni spodni i odwiesił dzban na przeznaczony do tego hak.

Zwrócił twarz w kierunku Franza, który dopiero teraz dostrzegł, że to wcale nie Dreyer, tylko jakiś obłąkany nieznajomy w wymiętoszonej, rozpiętej pod szyją koszuli, ze spuchniętymi oczami i rudawą szczecina na drżącej szczęce.

- Za późno - powiedział - za późno, żeby włożyć je na tańce, ale nie za późno, żeby włożyć je...

Pociągnął Franza za rękaw z taką siłą, że ten niemal stracił równowagę. A tymczasem Dreyer chciał go tylko skierować do małej recepcji.

- Zaprowadźcie go na górę - powiedział żonie właściciela. A potem, zwracając się do Franza: - Musimy zostać tu do jutra. Najgorsze formalności dopiero nas czekają. Idź teraz do swojego pokoju. Z Hamburga przyjechała właśnie Hilda.

Przyprowadzi cię za kilka godzin.

- Czy... - zaczął zdumiony Franz - czy...?

- Czy już? - spytał znowu chlapiący Dreyer. - Tak, już! Teraz idź.

Franz chciał złapać rękę swego dobroczyńcy i uścisnąć ją na znak gorącego współczucia, ale Dreyer popełnił okropną pomyłkę i wziął cień gestu za początek objęcia i mokra szczecina weszła w bezpośrednią styczność z rozpalonym policzkiem Franza.

Jej ostatnie słowa (wypowiedziane słodkim, dalekim głosem, jakiego nigdy nie słyszał) brzmiały:

- Kochanie, gdzie położyłeś moje szmaragdowe pantofle - to znaczy kolczyki?

Chcę je włożyć. Wszyscy zatańczymy, wszyscy umrzemy. - A potem, z dobrze znaną

poczciwą starą ostrością: - Frieda, skąd się tu wziął pies? Przecież nie żyje. Nie może go tu być.

A głupcy utrzymują, że nie ma czegoś takiego, jak jasnowidzenie.

Franz poszedł na górę za leciwą kobietą. Zaprowadziła go do pogrążonego w ciemności pokoju. Szybko podniosła żaluzje, szybko otworzyła dolną część nocnej szafki, żeby sprawdzić, czy nocnik znajduje się tam, gdzie trzeba. Szybko wyszła.

Franz zbliżył się do otwartego okna. Dreyer przeszedł przez drogę i usiadł na ławce pod drzewem. Franz zamknął okno. Był teraz sam. Kobieta w sąsiednim pokoju, nieszczęsna wędrowniczka, którą porzucił komiwojażer, słyszała przez cienką ścianę coś, co brzmiało tak, jakby kilku birbantów mówiło jeden przez drugiego i ryczało ze śmiechu, i wzajem sobie przerywało, i znowu ryczało w szale młodej radości.